O pojęciu, zadaniu i stanowisku historyi.

(W imię prawdy dziejowéj. Rzecz o zadaniu historyi i dzisiejszém jéj stanowisku, z powodu głosów dziennikarskich o swojéj książce „Dzieje Polski w zarysie," skreślił Michał Bobrzyński. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1879.) (1).

I.

Właśnie wyszła pod powyższym tytułem broszura p. Bobrzyńskiego, autora wydanych niedawno Dziejów Polski, które wśród publiczności naszéj obudziły tak ogólne zajęcie, których ocenienie niebawem po wyjściu książki w całéj niemal prasie naszéj donośném rozległo się echem. W samym już tytule objawia się wyraźnie okolicznościowy charakter téj broszury. Autor odpowiada w niéj na głosy dziennikarskie o swéj książce, nie zbija jednak, nie rozbiera poszczególnych zarzutów, nie wymienia nawet wprost żadnéj recenzyi, lecz usiłuje wykazać, że źródłem przeważnéj części tych sądów jest właśnie nieznajomość „zadania historyi i dzisiejszego jéj stanowiska." Wyjaśnienie tego przedmiotu jest więc celem piérwszéj części broszury, w drugiéj części stara się autor stwiérdzić, że główne pociski tych dorywczych głosów dziennikarskich godzą właśnie przedewszystkiém w traktowanie przedmiotu, odpowiednie dzisiejszemu stanowisku historyi i jéj zadaniu. Odpiérając je zatém jako prosty wynik nieznajomości zasadniczych pojęć o naukowém stanowisku historyi, oświadcza zarazem, że z niecierpliwością oczekuje krytyki naukowéj, choćby najsurowszéj, od któréj spodziewa się uznania i stwierdzenia jednych, sprostowania innych wyników swéj książki.

Nie tutaj miejsce oceniać krytycznie książkę p. Bobrzyńskiego. W artykule niniejszym, do którego wspomniana broszura dała bez-

(1) Już po napisaniu niniejszego artykułu doszedł mię 108 zeszyt „Niwy" z 3 (15) Czerwca b. r., zawierający prof. Szujskiego recenzyą „Dziejów Polski w zarysie" p. Bobrzyńskiego. W recenzyi téj (str. 906—910) znajduje się również ocenienie przytoczonéj broszury p. Bobrzyńskiego, z którém nasze wywody w wielu rzeczach się zgadzają.

pośredni powód, będę miał wprawdzie sposobność dotknąć mimochodem niejednego szczegółu téj książki, ale krytyka jéj nie może być mojém zadaniem. To tylko muszę zaznaczyć, że zdaniem mojém w niepospolitéj téj książce odróżniać należy dwa odrębne zupełnie piérwiastki. Wiele złożonych w niéj poglądów jest wyrazem ogólnego i jednolitego sądu całego grona dzisiejszych naszych historyków czyli t. z. nowszéj szkoły naszéj historycznéj. Wiadoma to bowiem rzecz, że w ciągu ostatnich lat kilkunastu dokonał się w dziejopisarstwie naszém ważny przewrót, którego wyniki po największéj części nie dotarły jeszcze do szerszéj publiczności. Źródła dziejowe, wydobyte na jaw, podczas kilku poprzednich lat dziesiątków, doczekały się w tym czasie skrzętnego rozpatrzenia i opracowania, z gorliwością rzucano się do wykrywania nieznanych źródeł i w ten sposób rozszerzył się niezmiernie zakres znajomości faktów, o których niedawno nikt jeszcze nie miał wyobrażenia. Przybyło wiele świeżych sił naukowych, wykształconych na gruncie ogólnego postępu nauki, w których ręku ten materyał, obficie nagromadzony i ciągle jeszcze wzrastający, coraz bujniejsze w monografiach historycznych zaczął wydawać i dotąd wydaje owoce. Umiejętna metoda w pracy historycznéj jest bowiem w ogóle dziełem kilku ostatnich lat dziesiątków; nasze dziejopisarstwo zaczęło ją sobie przyswajać, kiedy było jeszcze w kolebce i żyło późniéj przez czas dłuższy tradycyami tego słabego wpływu, dopóki w ostatnich czasach świéży zastęp nowych pracowników nie wniósł do pracy nad naszemi dziejami metody wydoskonalonéj postępem nauki w ostatnich kilkudziesięciu latach. Nic téż dziwnego, że wskutek współdziałania tych czynników, pod wpływem bardziéj ożywionego ruchu na polu naszego dziejopisarstwa, wyrobiły się w cechu historycznym zapatrywania, na które godzą się niemal wszyscy do cechu należący, choć szersza publiczność nie miała jeszcze sposobności z niemi się zapoznać. Książka p. Bobrzyńskiego ma przedewszystkiém tę zasługę, że usiłuje stać się wyrazem tych zapatrywań, dobrym ich przewodnikiem w obec szerszego grona czytającéj publiczności. Ale nie na tém kończy się zasługa i wartość téj książki. Nikt nie zaprzeczy, że prócz tego piérwiastku dzieło p. Bobrzyńskiego zawiera wiele zapatrywań i poglądów, które są wyłączną własnością autora i, o ile się utrzymają, będą jego indywidualną zasługą a w każdym razie on sam za nie jedynie odpowiada. Z ogólnym, zasadniczym poglądem, który się w całém dziele przebija, z tém wszystkiém, co jest wyrazem jednolitego sądu dzisiejszéj szkoły historycznéj mają te zapatrywania to niezaprzeczone pokrewieństwo, że nie podobna im odmówić wspólnego źródła, którém jest niezaprzeczenie dzisiejszy kierunek, dzisiejsze stanowisko pracy dziejo-

pisarskiéj. O tyle więc ma autor poniekąd prawo, niejako w imieniu obecnego stanowiska nauki, w imieniu t. z. dzisiejszéj szkoły historycznéj, odpiérać niektóre pociski, które na książkę jego spadły z procy dorywczéj krytyki publicystycznéj. Jeśli mu zarzucają, że nie godzi się odsłaniać całéj nagiéj prawdy o naszéj przeszłości, jeśli domagają się od niego jakiejś bezwzględnéj, niemożliwéj bezstronności, którаby była tylko zupełną abdykacyą sądu historycznego, jeżeli zaczepiają myśl przewodnią całéj książki, która w braku silnéj, potrzebom państwa i społeczeństwa odpowiadającéj władzy rządowéj, upatruje główną przyczynę naszego upadku: to wszyscy towarzysze zawodu, choćby wielu zapatrywaniom autora niejedno mogli zarzucić, zgodzą się na to jednomyślnie, że takie pociski „w imię prawdy dziejowéj" odeprzeć należy.

Czy jednak również wszyscy się zgodzą na ową lekcyą historyki, którą autor w broszurze swéj daje dziennikarstwu i publiczności, na ów wykład zasadniczych pojęć o „zadaniu historyi i dzisiejszém jéj stanowisku?" Niejedno, co autor w tym przedmiocie powiada, uznamy za niewątpliwy wyraz ogólnego naszego przekonania, na zasadnicze jednak określenie zadania i pojęcia historyi, jak je. p. Bobrzyński w swéj broszurze podaje, nietylko nie będzie zgody powszechnéj, jednomyślnéj, lecz w ogóle nawet wątpię, czy wielu znajdzie się w cechu sprzymierzeńców autora, którzyby się skupili pod wywieszonym przezeń sztandarem. Tém bardziéj należy to stwierdzić i nie ociągać się z krytyką tych zapatrywań, ponieważ autor w całéj broszurze w imieniu cechu niejako przemawia; gdyby się żaden głos w tym przedmiocie nie odezwał, byłoby to przyznać się milcząco do solidarności z zapatrywaniami, których co najmniéj znaczna większość historyków stanowczo nie podziela. Jest to obowiązek względem publiczności, dla któréj p. Bobrzyński broszurę swą napisał, obowiązek, którego ja tém chętniéj się podejmuję, im goręcéj staję po stronie autora w obec owych pocisków krytyki publicystycznéj. Do nieomylności nikt nie rości sobie pretensyi, występując w szranki oczekuję zarzutów na moje wywody w téj nadziei i w tém przekonaniu, że wszelki spór naukowy, prowadzony dla miłości prawdy i nauki, dla któréj każdy z przeciwników równie gorące żywi uczucia, może nie małe oddać usługi rozjaśnieniu kwestyi spornéj. Niejedno też zapewne, co w artykule tym wypadnie mi powiedzieć, będzie indywidualném mojém zapatrywaniem, samo ujęcie przedmiotu musi mieć na sobie piętno indywidualności autora, to tylko mogę oświadczyć, że będę starał się przedewszystkiém być wiernem echem tych zapatrywań, które według mego sądu i przekonania są wyrazem ogólnéj, panującéj w „cechu historycznym" opinii.

Na samym wstępie muszę wreszcie odpowiedzieć naprzód na zarzut niekonsekwencyi, który mię łatwo spotkać może. Oto p. Bobrzyński w tym celu właśnie wyłuszcza swoję teoryą historyi, żeby ze stanowiska téj teoryi rozprawić się z głosami dziennikarskiemi; jakże więc można przyznać się, w najważniejszych przynajmniéj rzeczach, do solidarności z tą odprawą, czyniąc tym sposobem zadość wymaganiom obecnego stanowiska nauki, a zarazem jak najstanowczéj wypowiadać wojnę zasadniczym podstawom saméj teoryi? Na zarzut taki jedyną możemy dać odpowiedź, zwracając uwagę na częsty i dość pospolity stosunek między praktyką a teoryą. Nikt mi nie zaprzeczy, jeśli powiem, że autor „Dziejów Polski w zarysie," „Ustawodawstwa nieszawskiego" i innych tyle cenionych monografij jest reprezentantem, i to wybitnym u nas reprezentantem, obecnego kierunku i stanowiska nauki historycznéj. Najzupełniéj téż możemy się zgodzić na jego teoryą *pracy historycznéj*, mianowicie *pracy badawczéj*, co najwięcéj z niektóremi tylko zastrzeżeniami, słowem na to wszystko, co wypowiada w swojéj broszurze aż do téj chwili, kiedy przystępuje do wyłuszczenia swéj teoryi o pojęciu i zadaniu nauki historycznéj. Ta teorya nie jest zresztą rzeczą nową, choć w téj właśnie formie nie była może jeszcze ujętą i określoną; wiemy dobrze, że zasadnicza jéj myśl liczy niemało zwolenników, ale podobno grono ich uszczupla się coraz bardziéj a najmniéj pewnie znajdziemy ich pomiędzy historykami z zawodu. Niepodobna tutaj wykazać, jaką doniosłość praktyczną ma ta teorya w zastosowaniu, w pracy historycznéj, po ściślejszym dopiéro rozbiorze będziemy sobie mogli zdać z tego sprawę. Rzecz jasna wszakże, że jeśli samę teoryą za błąd uważamy, to zastosowanie jéj w pracy historycznéj musiałoby według naszego zapatrywania być źródłem niebezpiecznych dla właściwego zadania historyi zboczeń. Sam jednak autor „Dziejów Polski w zarysie" jest dla nas dostatecznym i pocieszającym dowodem, że historyk, który dzielnie włada właściwą metodą naukową, pomimo teoryi, która go do owych zboczeń wiedzie, ma w téj metodzie talizman przeciw takim zboczeniom i pozostaje *historykiem we właściwem tego słowa znaczeniu*, choć według postulatów jego teoryi, historyk miałby inne do spełnienia zadanie.

Nie tylko polemika jednak jest celem tego artykułu. Występując przeciw teoryi p. Bobrzyńskiego, nie poprzestanę na ujemnych wynikach krytyki, lecz będę się starał również określić pojęcie i zadanie historyi, tak jak je według mego przekonania w obec dzisiejszego stanowiska nauki historycy pojmują. Dla pełniejszego rozwinięcia przedmiotu i dokładniejszego wycieniowania myśli zasadniczéj, przystąpię daléj do wyłuszczenia głównych zasad pracy dziejo-

pisarskiéj, tj. krytyki i konstrukcyi historycznéj, w którym to przedmiocie nierównie łatwiéj będzie mi zgodzić się z autorem wspomnianéj broszury. Złoży się w ten sposób krótki i ogólny szkic głównych zasad historyki, którego przedmiot, spodziewam się, zasługiwać może o tyle na uwagę szerszéj publiczności, o ile ją w ogóle prace historyczne zajmują i stanowisko najpopularniejszéj niezaprzeczenie nauki nie jest dla niéj obojętném. Tak mało u nas o tym przedmiocie pisano, jedyną tylko przecież mamy o nim książkę, zapomnianą, nieczytywaną i w istocie przestarzałą już historykę Lelewela, (1) że zaprawdę nie od rzeczy będzie poruszyć znów raz te zagadnienia, których objaśnienia i rozbioru, nie obojętna dla postępu historyi publiczność, słusznie się może domagać.

II.

„Praca historyka,“ mówi p. Bobrzyński, „nie jest niczém innéın jak zebraniem faktów dziejowych i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych...“ „Historya,“ polega na stwierdzeniu „i sprawdzeniu ogólnych prawd naukowych“ (z zakresu umiejętności społecznych) „w dziejach każdego narodu.“ Żeby się zaś nie zdawało, że w ten sposób historya „nie przynosi nic nowego, a zatém nie ma żadnego posłannictwa i celu,“ w tych słowach określa bliżéj naukowe zadanie historyi:

„Nie jest przedewszystkiém dla nauki obojętną rzeczą, że prawo jakieś, postawione na podstawie całego szeregu zawsze w ten sposób powtarzających się zjawisk, stwierdzi się wybitnie i wyraźnie jeszcze na jednym przykładzie i doświadczeniu. Takie ogólne prawo rozpada się jednak na mnóstwo szczegółowych zasad, z których każda w pewnych się tylko warunkach objawia. Otóż w historyi różnych narodów powtarzają się często i sprawdzają jedne i też same ogólne zasady, ale ponieważ historya każdego narodu ma swoje odrębne właściwości, i w pewnych, sobie tylko właściwych rozwija się warunkach, więc téż każda historya daje pole do wykrycia wielu drobniejszych praw, grupujących się około znanéj ogólnéj zasady. Jest téż w naukach społecznych i politycznych, jak w każdéj umiejętności wiele praw ważnych, nie zupełnie jeszcze sprawdzonych, są takie, które nie wyszły z obrębu mniéj lub więcéj uzasadnionych hi-

---

(1) Historyka. O łatwém i pożytecznćm nauczaniu historyi. O historyi, jéj rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających. O potrzebie gruntownéj znajomości historyi. Jakim ma być historyk. Warszawa. 1862.

potez. Każda nowa historyczna praca o takie prawa potrąca, każda może się nie pomału do ich stwierdzenia i sprostowania przyczynić, Istnieją nakoniec w życiu politycznem i społecznem człowieka fakta, któreśmy już raz i drugi dostrzegli, ale których jeszcze dotychczas nie zdołaliśmy wyjaśnić, powiązać, ocenić i choćby pod pewne przypuszczalne prawa podciągnąć. Jakież to pole dla historyka do wynalezienia większéj ilości podobnych faktów i do rozwiązania nierozwikłanéj dotychczas zagadki. Pomiędzy nauką o społeczeństwie i państwie a historyą zachodzi więc jak najściślejszy związek: piérwsza toruje drogę i stanowi podstawę i punkt wyjścia dla drugiéj, druga gromadzi dla piérwszéj nowe materyały a nieraz ją wprost nowemi spostrzeżeniami zbogaca."

Dotknąwszy następnie praktycznego, polityczno-etycznego zadania historyi narodowéj w obec każdego danego narodu, kończy autor określenie pojęcia historyi następującemi słowy:

„Nie można tu nareszcie pominąć i tego mniemania, które obok powyższych dwóch celów, przyznaje nadto historyi trzeci cel samoistny. Historya sama przez się, tj. sam obraz przeszłości ma być i to umiejętnym celem. Mniemanie to atoli nie da się uzasadnić. Przedmiot historyi oraz nauk społecznych i politycznych jest jeden i ten sam: życie towarzyskie człowieka, a cała treść historyi, wszystkie wykryte przez nią objawy i prawa, rozwoju ludzkości, w naukach społecznych i politycznych w zupełności się mieszczą. Historya dostarczywszy tym naukom wszystkich swoich wyników, sama przez się nie może téż żadnego innego umiejętnego zadania posiadać."

Posłuchajmyż jeszcze, jak autor pojmuje zakres i znaczenie umiejętności „społecznych i politycznych:"

„Nauki to niezmiernie rozległe, a myliłby się wielce ktoby je tylko za umiejętności prawnicze poczytał. Ich przedmiotem jest wszystko, co się składa na życie towarzyskie człowieka, a więc związki etyczne, prawne, i polityczne, związki mające na celu rozwój społeczeństw i jednostki we wszystkich możebnych kierunkach. Nauki te nie są żadną apriorystyczną filozofią, ale są umiejętnością ścisłą, rozwijającą się systematycznie, postępującą krok za krokiem, stwierdzającą pojedyńcze zasady i prawa na drodze doświadczenia i indukcyi, stawiającą na podstawie tych praw dalsze hipotezy i pracującą nad ich rozwiązaniem. Znaczenie to umiejętne zdobyły one sobie dopiero w naszym wieku, kiedy do nich zastosowano metodę nauk ścisłych i przyrodniczych. Badają one przedewszystkiém, mianowicie za pomocą statystyki, obecne życie towarzyskie człowieka i jego wytwory, zarówno w szczegółach, jakoteż w całości i związku, a sięgając na téj podstawie w przeszłość, pytają się, czy w przechowa-

nych nam objawach dawniejszego życia w historyi, prawa dzisiejszego rozwoju ludzkości nie znajdują potwierdzenia, rozwinięcia i większéj liczby przykładów, czy po pewnych faktach następowały zawsze jedne i te same skutki. Prawo takie rozwoju, widoczne dzisiaj, stwierdzone licznémi faktami w przeszłości, staje się umiejętnym pewnikiem.“

„Pomimo zapewnienia,“ że to „nauki niezmiernie rozległe,“ mogłaby jeszcze po przeczytaniu tego ustępu pozostawać niejaka wątpliwość co do zakresu pojęcia nauk społecznych. Nie powiada tu autor zupełnie jasno, czy myśli o umiejętnościach, społecznych w ściślejszém tego słowa znaczeniu, jako o umiejętnościach, których przedmiotem jest *społeczeństwo*, objawy życia i rozwoju *społecznego*, tj. właśnie „*związki* mające na celu rozwój społeczeństw i jednostek we wszystkich możebnych kierunkach,“ czy też uważa je za system umiejętności, których zadaniem jest tłómaczyć wszystkie objawy życia ludzkości we wszelkich kierunkach, a więc zarówno w dziedzinie rozwoju intelektualnego i estetycznego jak etycznego, politycznego, ekonomicznego i tp., i sprowadzać te objawy do ogólnych praw życia i rozwoju ludzkości. Wątpliwość tę usuwa jednak inny ustęp broszury, tłómaczący wyraźnie, czego autor żąda od historyka. „Kreśląc przeszłość narodu,“ mówi bowiem p. Bobrzyński, „musi historyk uwzględniać wszystkie tak różnorodne objawy jego życia, a więc obok stosunków politycznych i społecznych także i geografią, *piśmiennictwo*, obyczaje, religią, przemysł, handel, gospodarstwo i *sztukę*. Historyków, którzy to uwzględniali, mamy już wielu, mało jednak takich, którzy dla rzeczy umieli znaleść odpowiednią formę. Pospolicie opisuje się dziś jeszcze na początku wypadki a następnie w osobnych rozdziałach kreśli się rozwój prawa, gospodarstwa, piśmiennictwa, obyczajów, sztuki. Jest to ze strony historyka w każdym razie nieporadność, lub co gorsza brak zrozumienia rzeczy. Przecież w rzeczywistości żadna ze stron życia narodu nie rozwijała się odrębnie, wszystkie były ze sobą nierozerwalnie splecione, wszystkie nawzajem zależały od siebie, ze wszystkich dopiéro razem wytwarzały się polityczne wypadki.“ Jeśli więc historya ma być folwarkiem doświadczalnym, dla stwierdzania wykrytych już praw umiejętności społecznych, i odkrywania nowych, jeśli zaś uwzględniać ma zarówno wszelkie dziedziny życia ludzkości, „splecione ze sobą nierozerwalnie“ i tłómaczyć ich wzajemne na siebie oddziaływanie, to wniosek ztąd naturalny, że przedmiotem nauk społecznych ma być życie ludzkości we wszystkich kierunkach, w najrozleglejszém znaczeniu, a celem ich odkrywanie praw rządzących ludzkością tak jak prawa fizyczne rządzą przyrodą.

Tak pojmuje p. Bobrzyński zakres, zadanie i znaczenie umiejętności społecznych i historyi. Nie będziemy się starali stwierdzić z kilku kart jego broszury, czy w zapatrywaniu swém na system praw rządzących ludzkością, zbliża się do stanowiska socyologii Comte'a, jego statyki i dynamyki społecznéj, czy téż fizyki społecznéj Queteleta, biologii Spencera lub fizyologii Schäfflego. Nie mamy prawa dopatrywać się w jego stanowisku eklektyczności, ani téż samodzielności nie możemy mu przyznać, gdyż w ogóle nie podobna nam dokładnie zdać sobie sprawę z tego stanowiska. Słusznie tylko możemy mieć żal do autora, że wskazując tak stanowczo i jasno zadanie historyi, zupełną ciemnością pokrył podstawę, z któréj to zadanie wynika, i nie powiedział nic zgoła, co mamy sądzić o tych prawach ludzkością rządzących, które historya stwierdzać ma w dziejach.

Z tego już rozbioru teoryi p. Bobrzyńskiego łatwo stwierdzić bliskie jéj pokrewieństwo ze stanowiskiem Buckle'a. Nie sądzimy wprawdzie bynajmniéj, jakoby autor „Dziejów Polski“ podzielał wszystkie *historyozoficzne* zapatrywania angielskiego myśliciela, z luźnych, porozrzucanych po broszurze wzmianek o czynniku etycznym, możemy wnosić śmiało, że nie zgadza się z Buckle'm w sprawie t. z. praw moralnych i w negacyi ich rozwoju, wobec stanowiska, jakie p. Bobrzyński zajmuje w osądzaniu roli dziejowéj państwa i kościoła, stwierdzimy również na pewno, że nie podpisałby nigdy owéj teoryi Buckle'a o czterech zasadniczych prawach rozwoju i postępu ludzkości. Ale w określeniu zadania i pojęcia historyi jest pokrewieństwo wielkie i niezaprzeczone. Buckle tylko przyznaje historyi samodzielniejszy zakres działania, żąda od niéj *odkrywania* praw rządzących ludzkością, nie sądząc, jakoby nauki społeczne w przeważnéj części już uporały się z tém zadaniem i jakby tylko należało je stwierdzać, prostować lub uzupełniać za pomocą pracy historycznéj. I to prawda jednak, że wyraża się z uznaniem np. o niektórych prawach fizyki społecznéj Queteleta i przyjmuje je bez zastrzeżeń. Różnica między teoryą angielskiego historyozofa a naszego autora jest więc tylko, że się tak wyrażę, ilościowa i polega przedewszystkiém na korzystniejszém wyobrażeniu naszego historyka o wynikach dogmatycznych umiejętności społecznych. W istocie rzeczy stanął jednak p. Bobrzyński na stanowisku Buckle'a.

Jeśliby kto zarzucił zatém, że teorya p. Bobrzyńskiego nie jest bynajmniéj rzeczą nową, to pewnie się nań oto autor nie pogniewa. Wszak on nie chciał budować nic nowego, zamiarem jego było tylko określić „zadanie historyi i *dzisiejsze jéj stanowisko.*“ Niech nam więc wolno będzie zapytać, czy teorya Buckle'a przyjęła się tak ogólnie

w nauce, wśród tego poniewieranego przezeń „cechu historyków,“ żeby autor, który się do jéj zwolenników zalicza, miał prawo wygłaszać jéj zasady w imieniu dzisiejszego stanowiska historyi, w imieniu dzisiejszéj szkoły historycznéj. My wiemy tyle tylko, że ten niepoprawny cech historyków na całym świecie zajął względem Bucklizmu odporne stanowisko, i niejednokrotnie pokusił się o to, by mu dać stanowczą odprawę. Jeśli zaś nawet w teoryi nie wiele było zapasów z postulatami Buckle'a, to cały kierunek pracy dziejopisarskiéj od czasów wyjścia jego dzieła, pracy, wśród któréj w naszéj literaturze między innemi pisma p. Bobrzyńskiego tak zaszczytne zajmują stanowisko, dowiódł wymownie i stanowczo, że „cech historyków“ nie ugiął się przed Buckle'm, i nie dokonał w swéj nauce zasadniczéj reformy według jego wymagań.

Przyznajemy jednak, że to pokrewieństwo teoryi p. Bobrzyńskiego ze stanowiskiem Buckle'a nie rozstrzyga jeszcze o jéj wartości, tém bardziéj, że, jak wiadomo, ten wzgląd nie będzie miał żadnego znaczenia dla tych wszystkich, którzy i dziś jeszcze stanowisko odporne „cechu historycznego“ w obec postulatów Buckle'a kładą na karb jego cechowego wstecznictwa, niedołęztwa i lenistwa umysłowego dzisiejszych historyków. Pozostaniemy więc na gruncie saméj teoryi p. Bobrzyńskiego i zastanowimy się przedewszystkiém, czy zadanie, które autor historyi zakreśla, jest do spełnienia możliwe i czy historya może się podjąć tego zadania.

III.

Na teoryą p. Bobrzyńskiego ten tylko w zasadzie zgodzić się może, kto przyzna: 1) że życiem i rozwojem ludzkości rządzą stałe, niezmienne prawa, tak jak prawa natury rządzą w świecie przyrody; 2) że t. z. „nauki społeczne i polityczne“ zdołały choć w części te prawa odgadnąć i w system ułożyć, tak jak umiejętności przyrodnicze to uczyniły z prawami natury. Rzecz jasna bowiem, że tylko w takim razie można mówić na seryo o stwierdzaniu tych praw w dziejach, o uzupełnianiu ich zapomocą badań historycznych.

Artykuł niniejszy nie może jednak z natury rzeczy wdawać się w zasadniczy i wyczerpujący rozbiór piérwszego pytania. Gdyby kto nawet zaprzeczając racyi bytu metafizyce, chciał z zakresu téj kwestyi usunąć zupełnie rozbiór najzawilszych i najgłębszych zagadnień metafizycznych, ściśle z nią połączonych, to należałoby jeszcze w każdym razie roztrząsnąć choćby tylko kwestyą wolności woli i konieczności, objawiającéj się w życiu społeczném, a o tém wszy-

stkiém możnaby tomy zapisać, jeśli się nie ma zamiaru wydawać apodyktycznych wyroków z trójnoga nieomylności. Nie na wieleby się to zresztą przydało, gdybym w tym względzie wypowiedział moje indywidualne zapatrywanie, skoro w ogóle staram się usilnie traktować tę rzecz ze stanowiska ogólnéj, w „cechu historycznym" panującéj opinii, a o tym przedmiocie nikt nie może mieć prawa do przemawiania w jéj imieniu.

To tylko zaznaczyć muszę stanowczo, że jeszcze bynajmniéj nie stwierdzono, jakoby takie prawa niezłomne i niewzruszone istotnie rządziły życiem i rozwojem ludzkości, nie podniesiono tego zapatrywania do wysokości pewnika naukowego, i wskutek tego mamy zupełną swobodę zgadzać się z niém lub nie zgadzać, nie opuszczając przez to gruntu naukowéj dyskusyi. Mówią nam wprawdzie i dowodzą datami statystycznemi, że w niektórych dziedzinach życia społecznego objawia się owa zadziwiająca, „przerażająca" niezmienność stosunku cyfr statystycznych, że rok w rok powtarza się ten sam stosunek dat w statystyce ludności, małżeństw i najrozmaitszych ich kategoryj, samobójstw, zbrodni i t. p., wykazują nam, że społeczeństwo nierównie ściśléj płaci coroczny podatek samobójstwu, kradzieży, zgwałceniu i tp., niż, pomimo wszelkich środków egzekucyi — kasie państwowéj. Uznajemy ten fakt i pouczeni przezeń nie będziemy wątpić, że objawy życia społecznego w pewnych dziedzinach są dopóty w swym ogólnym wyniku niezmienne, dopóki warunki, w których społeczeństwo żyje, ważnym nie ulegną przeobrażeniom. Ale te wszystkie badania, choć tak ciekawe i pouczające, nie odkrywają nam bynajmniéj owych praw niezłomnych, któreby choć w przybliżeniu w ten sposób tłómaczyły objawy życia ludzkości, jak np. prawo ciążenia tłómaczy zjawiska przyrody. Nie przeczymy tych praw stanowczo, ale przyznajemy, że jeśli są, my ich nie znamy, zgódźmy się na to, że w niektórych dziedzinach życia ludzkości, jak n. p. w dziedzinie stosunków ekonomicznych, zbliżamy się zwolna do ich poznawania i stwierdźmy wreszcie, że w niektórych kierunkach życia społecznego prawa takie rządzą i obowiązują, chociaż my je znamy może tak niedokładnie, jak przed laty przodkowie nasi znali prawa przyrody. Nikt jednak wymagać od nas nie może, żebyśmy się przekonali, iż takie prawa rządzą wszelkiemi objawami życia i rozwoju ludzkości, iż *wszystko co czynimy*, *wszystko co się wśród nas dzieje*, jest naturalnym i nieodmiennym tych praw wynikiem, tak jak wszelkie zjawiska w świecie przyrody z odkrytych i nieodgadnionych praw natury z niezłomną wynikają koniecznością.

„Cech historyczny“ tém bardziej nie może się o tém przekonać, nie z powodu zacofania i wstecznictwa, ale w skutek nauki, którą mu daje zasób doświadczeń, jego pracą nagromadzony w skarbnicy historyi. Pamięta przedewszystkiém o olbrzymiéj roli dziejowéj pewnych indywidualności historycznych, które tak przeważny wpływ wywarły na rozwój ludzkości, pamięta o wydarzeniach, które ten rozwój niezaprzeczenie pchnęły na nowe tory, choć ich genezy i przebiegu niepodobna ująć w żadne karby niezłomnych praw, rządzących ludzkością.

W teoryi tych praw bowiem, nie ma zgoła miejsca na rolę dziejową indywidualności historycznéj. Wszelkie próby zbudowania takich teoryj wychodzą z zasady, że pomiędzy prawami rządzącemi ludzkością, a prawami przyrody, zachodzić musi bliska analogia; szukając jéj zatém albo w życiu organiczném albo w prawach rządzących światem nieorganicznym, zmierzają do utworzenia biologii lub fizyki społecznéj. W teoryi biologicznéj jednostka nie odgrywa żadnéj roli, komórką społeczną, najniższym ustrojem, od którego zaczyna się organiczne życie społeczeństwa, jest dopiéro rodzina. W fizyce społecznéj zaś jedném z zasadniczych pojęć, téj mającéj powstać nauki, jest pojęcie człowieka przeciętnego (l'homme moyen). Człowiek przeciętny jest typem, którego własności fizyczne, moralne umysłowe w daném społeczeństwie oznaczyć można ściśle cyframi, z dokładnością zadziwiającą, tj. w liczbach całych i ułamkach dziesiętnych. Ten typ w społeczeństwie przeważa, największa liczba jednostek zbliża się do niego, różniąc się w rozmaitych kategoryach własności drobnemi zboczeniami, które również w ułamkach dziesiętnych można wyrazić; niewiele tylko jednostek anormalnych przekracza ten typ przeciętny in plus lub in minus. Jeślibyśmy zatém mogli oznaczyć przeciętnego człowieka w społeczeństwie polskiém na początku XVI wieku, to mielibyśmy po nad jego linią np. Kopernika, lub jakiegoś olbrzyma atletycznéj siły, który dobrze zasłużył się w bitwie pod Orszą, poniżéj téj linii zaś głupkowatego idyotę albo karła, którym się zabawiano w komnatach zamku krakowskiego. Wszystko to bardzo pouczające, ale historya, obojętna zupełnie względem anormalności fizycznych karłów i olbrzymów, stwierdza zarazem, że olbrzymy duchowe, wysterczające wysoko po nad poziom przeciętnego człowieka, jeśli znajdą się na stanowisku odpowiedniém ich niezwyczajnym siłom i zasobom duchowym, stają sie temi potężnemi indywidualnościami historycznemi, bez których rozwój dziejowy ludzkości, kto wie czyby nieraz innemi nie poszedł był tory. Nie przeczymy, że najpotężniejsza nawet indywidualność historyczna bywa do pewnego stopnia wyrazem swojéj epoki, tj. właśnie niejako

kwintesencyą tych czynników moralnych i umysłowych, poruszających współczesném życiem ludzkości, czynników, na których wytworzenie złożyły się przeważnie jednostki przeciętne; wiemy dobrze, że tę teoryą posuwają czasami do ostateczności, dość przypomnieć ów znany paradox, że kiedyś potomkowie nasi uważać będą Napoleona za personfikacyą idei jego epoki. Któż jednak zdoła zaprzeczyć, że jeśli którąkolwiek z tych wielkich postaci dziejowych wykreślimy z historyi, nie zdołamy sobie bez nich wyobrazić tego zwrotu, który był następstwem ich roli dziejowéj. Gdybyśmy mieli najdokładniejsze daty statystyczne z drugiéj połowy VIII wieku, i mogli z nich obliczyć przeciętnego człowieka owéj epoki w państwie frankońskiém za Pipina, w Italii, za Pireenejami i na tym całym obszarze, na którym następnie rozległy się marchie Karolowéj monarchii, to przyznalibyśmy, że bez tego wielkiego króla Franków, który tak wysoko wzbił się po nad poziom przeciętnego człowieka, cała suma ludzi przeciętnych jego epoki, nie stworzyłaby monarchii uniwersalnéj i nie dałaby początku temu rozwojowi cywilizacyjnemu, który z tego źródła wypłynął. Zapewne że bez tego wszystkiego, co przed Karolem wielkim zdziałali jego poprzednicy, o wiele mniéj wzniesieni po nad typ przeciętny swojéj epoki, bez Arnolfingów i św. Bonifacego, bez poprzedniego zbliżenia się papieży do Pipina, bez tego popędu wreszcie, który zamysłom i ideom wielkiego monarchy dali tacy ludzie jak Alkwin, nie byłby Karol Wielki dokonał tego dzieła, które imię jego w rzędzie najpotężniejszych postaci dziejowych umieściło. Ale to jest właśnie cechą wielkich indywidualności historycznych, że geniusz ich umie wyzyskać materyał danych stosunków i pchnąć ich rozwój, w kierunku, o którym jeszcze poprzednim pokoleniom ani się nie marzyło. A bez monarchii Karolowéj czy możemy sobie wyobrazić rozszerzenie feudalizmu po całym zachodzie europejskim, jednolitą zatém zasadniczą podstawę ustroju społecznego w świecie germańsko-romańskim, odświeżenie tradycyj literackich, któremi następne wieki się karmiły, wskrzeszenie idei cesarstwa, do średniowiecznych stosunków zastosowanéj, hegemonią papiestwa, która już za Mikołaja I wystrzela w górę, słowem to wszystko, co istotę wieków średnich stanowi? Albo czy całe dzieje Polski, kto wie czy nawet same pojęcie polityczne i etnograficzne Polski, możemy sobie wyobrazić bez Chrobrego? Przeciętni Wielkopolanie, Kujawiacy, Mazowszanie i Chrobaci nie byliby z pewnością utworzyli i utrzymali Polski Bolesławowéj; Obodryci i Łużyczanie a nawet i Korutanie pomimo przyjęcia chrześcijaństwa ulegli i zniknęli z widowni dziejowéj, gdyż nie mieli wśród siebie takiego Bolesława, któryby się wzniósł wysoko po nad typ ich przeciętny. Na cóż wreszcie więcéj

przykładów? Jeżeli z p. Bobrzyńskim mamy się rozprawiać, to otwórzmy tylko jego własną książkę i odczytajmy mu jego utyskiwania, że w epoce, w której państwo polskie najtrudniejsze, najżywotniejsze dla siebie miało spełnić zadania, zabrakło nam potężnych indywidualności historycznych, któreby potrzebom czasu sprostać zdołały. Zarzucano nieraz książce p. Bobrzyńskiego zbytnią, bezwzględną surowość w ocenianiu najwybitniejszych postaci historycznych w naszych dziejach. Szanowny autor trzyma się istotnie tej metody, że skreśla w ostrych, wyrazistych konturach położenie danéj chwili, zaznacza stanowczo, co w obec tego położenia uczynić należało i stąd biorąc miarę do ocenienia postaci historycznych, którym to zadanie przedewszystkiém w udziale się dostało, tém ostrzéj je osądza, czém więcéj ich postępowanie oddalało się od wytkniętego postulatu. Jeśli więc tak wiele żąda od indywidualności historycznych, jeśli np. osądzając tak korzystnie przeciętnego człowieka w Polsce XVI wieku, winę nieszczęsnego przesilenia w ustroju państwowym składa w przeważnéj części na Zygmunta Augusta, jeśli uznaje olbrzymie znaczenie indywidualności historycznych w rozwoju dziejowym ludzkości i narodów, niechaj nie głosi teoryi, w obec któréj nie ma miejsca na rolę dziejową wielkich jednostek, gdyż według niéj wszystko, co się stało, było nieuniknionym wynikiem niezmiennych praw, ludzkością rządzących (1).

---

(1) „Teorya organiczna usuwa z poglądu na dzieje ludzkości nietylko cały mechanizm wzajemnego oddziaływania przypadkowych czynników, lecz z nim zarazem w ogóle wszelkie znaczenie przypadku, a najcelniejszém jéj dziełem jest udowodnić z zaszłych wydarzeń, że tak a nie inaczéj wypaść musiały i że będąc naturalnym objawem ducha epoki, nie byłyby dały powstrzymać się ani zmienić żadną indywidualną samowolą; co prawda jednak, rozumowanie takie jest dopiero wtedy możebne, gdy się owe wydarzenia już dokonały. To pewna zresztą, że żadna siła indywidualna nie zdobędzie sobie znaczenia w historyi, jeżeli nie zdoła opanować i wyzyskać dla siebie jakiejś potężnéj, poruszającéj do działania sprężyny i pewnych, właściwych ludzkiéj naturze skłonności do poddania się obcym wpływom. Z tém wszystkiém jednak nie są tylko dziećmi swéj epoki i jéj wyrazem ci ludzie pełni hartu i siły, którzy potęgą twórczości obdarzeni lub nieprzełamaną stałością woli, stanowczo na losy dziejów wpłynęli. W wielu razach widzimy, że ów duch ludzkości, o którego organicznym rozwoju tyle się mówi, zaledwie zdołał wznieść się do jakiegoś poczucia cierpianego ucisku, do tęsknego jakiegoś nastroju i cichego pragnienia zmiany; on wskazał tylko co najwięcéj zadanie, którego dokonanie było ogólną potrzebą, ale spełnienie tych pragnień i sposób ich spełnienia, jest zasługą i dziełem małéj liczby wybrańców. W innych wypadkach nie było nawet tego niedołężnego poczucia potrzeby i z trudnością tylko udało się pojedynczym osobistościom, kiedy ich usiłowania już skutek pomyślny uwieńczył, przemódz bezrozumny opór leniwych mas i nowy cel ich oczom ukazać. Wreszcie tam, gdzie siła jakaś indywidualna podjęła zadanie swojego czasu, rzadko wyniki jéj roli dziejowéj zdołały ściśle wymaganiom chwili zadośćuczynić;

Lecz nie dość tego. Według téj teoryi, wszelkie wydarzenia dziejowe same przez się nie mają żadnéj wartości w badaniu naukowém, i zasługują na nie tylko o tyle, o ile z nich wysnuć można owe prawa ogólne dotychczas niezbadane, lub uzupełnić jeszcze lub rozwinąć daléj odkryte już prawa. Przypuśćmy zatém, że będziemy mieli jaknajściśléj opracowaną teoryą emigracyi, a mianowicie tego jéj typu, w którym wśród rozbudzonego do wędrówki popędu, cały znaczniejszy odłam jakiegoś narodu, w karby pewnéj organizacyi politycznéj ujęty, opuszcza ojczyznę i przesiedla się w inne strony, przypuśćmy, że teorya mięszania się plemion będzie dokładnie wyjaśniona w drodze pozytywnego badania, i że w obu tych teoryach złożone będą prawa ogólne, rządzące życiem i rozwojem ludzkości w tych dwóch przytoczonych kierunkach. Czyliż poznawszy te teorye, będziemy zarazem znali i umieli wytłómaczyć genezę narodu angielskiego, aby przeniknąć jego istotę i łatwiéj ocenić to wszystko, co przezeń, przez jego indywidualność narodową, na obu półkulach zdziałaném zostało? Czy nam te prawa ogólne wytłómaczą, w jaki to sposób i dla czego osiedlili się Normanowie na obszarze północno-zachodniéj, nadbrzeżnéj kończyny państwa zachodnio-frankońskiego, przesiąkli tu duchem wytwarzającéj się i rozwijającéj wówczas narodowości francuskiéj, tą drogą spuścizną kilkowiekowéj dziejowéj

---

po największéj części jestto ich cechą, że tak w złym jak i w dobrym kierunku przekraczały granicę istotnéj potrzeby albo téż, co więcéj, poruszały się po za jéj obrębem. Wieleż to razy w przewidywanym rozwoju jakichś wydarzeń nagła, niespodziewana następuje przerwa. Daleko widzące umysły częstokroć tak umiały zręczném wyrachowaniem zapanować nad wzburzoną falą ogólnego nastrojenia, iż sprowadziły ją na różną zupełnie drogę i długo innym celom kazały jéj służyć. Przy sprzyjających okolicznościach znakomite talenta zdołały nadać tak wielkie znaczenie swym indywidualnym zapatrywaniom, że potęga ich przez wieki całe nieprzezwyciężony opór stawiała postępowi. W dziedzinie sztuki niektóre formy, rozkwitłe pod wpływem twórczości artystycznéj pewnych genialnych umysłów, utrzymały się przez długie czasy zwycięzko na stanowisku, pomimo zasadniczych przeobrażeń, jakim tymczasem ogólny uległ smak estetyczny; i w nauce nawet odziedziczone błędy przewlekają się z pokolenia w pokolenie jak długa choroba. Powtarza się to tak jasno i tak wybitnie w dziejach każdéj epoki, że ztąd możemy czerpać wskazówki do rozjaśnienia ciemnic tajemniczéj pierwotnéj doby historyi. Niezaprzeczenie miała ludzkość zawsze jednakie uzdolnienie i równe potrzeby, lecz w zaspokojeniu owych popędów nie wszyscy jednaki brali udział. Zasady kiełkującéj cywilizacyi nie wystrzeliły od razu na rozległéj przestrzeni jak młody las, z organiczną koniecznością i prawidłowością, lecz błędnym nieudolnym, pozbawionym twórczości popędom mas, dopiero szczęśliwe pchnięcie ręki wielkich ludzi utorowało drogę do pierwszych wyraźnych celów i dopomogło do pierwszego daléj sięgającego zaspokojenia potrzeb....

....Nie jest to w ludzkiéj mocy obliczyć i oznaczyć, kiedy jakaś wielka indywidualność historyczna wystąpi na widownią, i ta właśnie okoliczność narusza wszelką prawi-

pracy świata germańsko-romańskiego, i opanowawszy następnie Anglią, w asymilacyi z pierwiastkiém anglosaxońskim dali początek narodowi angielskiemu. Czy to wszystko, co w tym wielkim procesie dziejowym wydaje się zrządzeniem przypadku, a co w rozwoju ludzkości było źródłem tylu płodnych w następstwa wydarzeń, wytłómaczą nam owe prawa ogólne, tak jak prawa natury wyjaśniają powstanie i przebieg jakiéjś wielkiéj burzy, któréj następstwa widzimy w zmianie łożyska rzeki i w odmiennéj fizyognomii jéj brzegów.

Wątpimy bardzo. Lecz powiedzą nam, że umiejętność, która te wszystkie prawa odkryje i w system zestawi, jest jeszcze w kolebce. My i o tém wątpimy, i jeśli téj saméj wolno użyć przenośni, że jeśli ma nawet kiedykolwiek powstać w kolebce owa umiejętność, to w obecnym ruchu umysłowym dają się czuć zaledwie pierwsze oznaki brzemienności, jako zapowiedź jéj przyszłego urodzenia, a kto wie czy nie jest to brzemienność pozorna. To tylko pewna, że póki tych praw nie znamy, nie możemy ich stwierdzać w dziejach; jeśli zaś poprzestaniemy tylko na tych bez wątpienia wielce pouczających ogólnych spostrzeżeniach, które w pewnych dziedzinach życia społecznego poczyniono, i jak niektórym uczonym się podobało, nazwano prawami, to historya mieścić w sobie będzie jeszcze olbrzymie mnóstwo materyału, który z tą kategoryą praw czy spostrzeżeń, w bardzo luźnym tylko będzie związku i w ich karby ująć się nie da.

---

dłowość historycznego rozwoju, utrzymując go w ciągłém błądzeniu i wahaniu pomiędzy najrozmaitszemi nie mającemi ze sobą związku kierunkami. Każda potęga indywidualna potrzebuje jednak do rozwinięcia swéj działalności dobrze przygotowanego gruntu w massach, wśród których i przez które jéj działać wypadnie; jeśli zabraknie takiego gruntu lub jeśli, co gorsza, panuje w społeczeństwie nastrój wręcz przeciwny, wówczas ani pożyteczne ani szkodliwe wyniki jéj działalności nie mogą przyjąć się i nie zdołają wywrzéć pożądanego skutku, szczególniéj zaś te zabiegi, któreby z potrzebami danéj chwili były w stanowczéj sprzeczności. Im żywsze jest wzajemne oddziaływanie w stosunkach społecznych, im bardziéj rozwinięta jest wymiana myśli, im powszechniéj rozciągają się te dwa ważne czynniki, tém bardziéj zmieniają się warunki niezbędne do wyrobienia i utrzymania wpływu tych osobistości. Widnokrąg ich działalności rozszerza się naturalnie, lecz prawdopodobna potęga ich wpływu traci na donioslości, o ile tylko nie jest bezpośrednio dalszym ciągiem lub dopełnieniem istniejących już potrzeb i prądów. Do walki z niemi występuje bowiem skupiona siła opinii publicznéj, która pilnie zbadała już wszelkie stosunki, wyrobiła sobie o nich stały sąd i nie łatwo pozwoli indywidualnym zachciankom oderwać się od tysiąca korzeni, z któremi jest zrośnięta, nie łatwo da się popchnąć na tory odrębnego zupełnie rozwoju. Tak więc powstaje wspólna praca żywiołów pobudzających i pobudzanych, a z nią owe pozory organicznego rozwoju, gdyż im więcéj przybywa osobistości kierujących, tém bardziéj maleje potęga ich przewagi."

Lotze, Mikrokosmos, Idem zur Naturgeschichte und Geschichte der Menschheit, III. 65.

Przypuśćmy jednak nawet, że te oznaki brzemienności nie są pozorne, że umysł ludzki zdobędzie się na odkrycie praw, rządzących ludzkością we wszystkich kierunkach jéj życia, że znajdzie się kiedyś dla biologii ludzkości Kopernik czy Newton, w obec którego odkryć, pomysły dzisiejszych socyologów będą tak maluczkiemi, jak kosmograficzne wyobrażenia uczonych starożytnych w obec dzisiejszéj nauki. Możemy się oddać marzeniom i przypuścić, że kiedyś powstanie umiejętność, budująca system praw, które zdolne będą nam wytłómaczyć życie i rozwój ludzkości we wszystkich jego kierunkach, w wzajemném oddziaływaniu czynników fizycznych, moralnych i intelektualnych, i że będzie można wówczas każdy objaw tego życia w teraźniejszości czy w przeszłości sprowadzić do tych praw ogólnych. Byłaby to więc biologia ludzkości, korona wszelkich nauk antropologicznych, którąby korzystała z nich wszystkich i z każdéj z osobna i ostateczne z nich wydobywała wnioski. Kto wie, jakie nowe jeszcze przedtém powstałyby nauki, któreby téj królowéj haracz składały, nauki, o jakich dziś zaledwie może marzymy. Nauka o objawach psychicznych, na pozytywnych podstawach oparta, nie psychologia transcendentalna rozumie się, ale psychofizyka, czy jakby ją w przyszłości nazwano, etnografia, lingwistyka umiejętna, statystyka ze wszystkiemi wydoskonalonemi swemi rozgałęzieniami, i wszystkie inne nauki antropologiczne pracowałyby dla téj królowéj. Historya (jako statystyka przeszłości, że użyję tego niezupełnie tu właściwego wyrażenia) dostarczałaby jéj materyału w spostrzeżeniach nad zaginionemi typami objawów życia ludzkości, na historyi jedynie możnaby oprzéć pracę nad prawami rozwoju. Ale i historya byłaby téj królowéj poddanką i nie ważyłaby się uzurpować sobie tego zadania, któreby było istotą téj najwyższych nauk autropologicznych monarchini. Jéj bowiem tylko, téj biologii ludzkości, byłoby rzeczą odkrywać i w system układać prawa ludzkością rządzące, inne więc musi być zadanie, inne pojęcie historyi.

IV.

Cóż więc jest historya?

Żeby pojęcie to określić, musimy na chwilę zapomnieć zupełnie o naszéj nauce, o wszelkiéj w ogóle historyi pisanéj lub opowiadanéj, a zastanowić się wyłącznie nad pojęciem historyi w właściwém, pierwotném znaczeniu.

Otóż przyznamy, że wszystko ma swoję historyą. I najbiedniejsza kobiéta, która w nędzy trawiąc całe życie, nigdy za kopce gra-

niczne rodzinnéj wioski nie wyjrzała, i koń, który młodość przepędził pod siodłem dzielnego żołnierza, wśród niebezpieczeństw wojny i salw armatnich, późniéj woził bryczkę jakiegoś szlachetki a skończył zawód w ciężkiéj pracy przy pługu, i robak każdy, który ciężko pracował szukając pożywienia i pełzał po ziemi, póki go stopa jakiegoś przechodnia na miazgę nie starła, i chata każda wieśniacza, od chwili, kiedy w jéj budowie pierwsze węgły złożono aż do czasu, kiedy pochylona starością w gruzy się rozsypała, i sprzęt każdy i kamień każdy, który potrącamy nogą, i ta bryła olbrzymia, któréj cząstką drobną jest ten kamień, to nasza kula ziemska, na któréj powierzchni tyle cierpień się przesuwa, tyle rozkoszy przemija, tyle namiętności rozżarza się i wygasa, i zbrodnia wreszcie każda, od chwili, kiedy w myśli złoczyńcy objawiły się pierwsze zawiązki zamiaru, ze wszystkiemi fazami psychicznego rozwoju myśli zbrodniczéj, ze wszystkiemi przeszkodami, które pokonać wypadło aż do ostatecznego spełnienia zbrodniczego czynu, i choroba każda od pierwszych zaledwie dostrzegalnych jéj objawów aż do katastrofy, która niszczy ludzki organizm lub do zupełnego ustania wszelkich najlżejszych objawów patologicznych, i pożar każdy, od chwili kiedy pierwsza iskierka nieuważną ręką wykrzesana spadła na wiązki siana w kącie jakimś ukryte aż do zgaśnięcia ostatniego płomyka na bezładnych zgliszczach spalonego folwarku, wszystko ma swoję historyą.

Cóż jest zatém historya? Jest to suma ogólna wszystkich wydarzeń, odnoszących się do pewnego danego przedmiotu, od pierwszych pojawów jego istnienia aż do chwili, w któréj istnienie jego się kończy; jeśli zaś ów dany przedmiot w téj chwili istnieje, to historya jego kończy się z chwilą obecną i kres jéj posuwa się naprzód z każdą godziną, z każdym dniem i rokiem ubiegającym. Wydarzenia, których suma stanowi historyą danego przedmiotu, nie są jednak osobnikami, ustanowionemi przy sobie w ściśniętym szeregu, niepodobna pomiędzy niemi pociągnąć granic, późniejsze bowiem wypływają ze wcześniejszych i spływają się w jednę nierozerwalną całość, współczesne oddziaływają na się wzajemnie, w ściśléj łączności z wcześniejszemi, z których wypłynęły, i z późniejszemi, które z nich wynikają. Czém zawilsze i wyższe pojęcie danego przedmiotu, tém bardziéj do nieskończoności dochodzi suma wszystkich wydarzeń, tém liczniejsze niezgody wydarzeń współczesnych krzyżują się na jednéj linii, tém większa panuje między niemi różnorodność, tém trudniéj zdać sobie sprawę ze związku przyczynowego, który pomiędzy poszczególnemi wydarzeniami zachodzi. Stare, zużyte i pod niejednym względem chromające, porównanie historyi z biegiem rzeki szybko płynącéj, w któréj miliony kropel składają się na jednolitą masę wo-

dy wypełniającéj łożysko, uzmysławia poniekąd tę ścisłą łączność między niezliczonóm mnóstwem wydarzeń, stanowiących historyą każdego przedmiotu, którego pojęcie należy do zakresu pojęć wyższych i zawilszych.

Najwyższém pojęciem, którego historya nie jest nam zupełnie ukryta, jest dla nas ludzkość. Jak wszystko, tak i ludzkość ma swoję historyą. Kresem jéj jest chwila obecna, początek gubi się w przepaści tajemniczych zagadek, któréj ciemności hipotezy o pochodzeniu człowieka i pierwotném rozszerzeniu się rodu ludzkiego po obszarze lądów stałych nie zdołają rozjaśnić. To tylko pewna, że pierwotny rozwój ludzkości przechodził rozmaite, zupełnie nam nieznane i przeważnie jeszcze niezrozumiałe fazy, zanim doszedł do tego stopnia, odkąd możebnym był dalszy postęp w kierunku, z którego już sobie łatwiéj możemy zdać sprawę, w kierunku, który doprowadził ludzkość do tego, czém jest dzisiaj. Im dalszy postęp, tém rozległéj rozszerza się jego horyzont, tém więcéj przybywa czynników, które na rozwój ludzkości wpływały, objawiając się w nieprzejrzanéj ilości faktów. Każdy z tych faktów jest w najściślejszym związku przyczynowym z tysiącami innych, współczesnych, wcześniejszych i późniejszych, a suma ich ogólna, dzieląca chwilę obecną od zamierzchłych czasów przed tysiącami lat, wyniosła ród ludzki z tego stanu pierwiastkowego, w jakim się wówczas znajdował, do tego stopnia rozwoju, na którym ludzkość w naszéj epoce stanęła. Suma tych wszystkich faktów, to treść historyi ludzkości.

Od pojęcia historyi, dziejów danego przedmiotu, odróżniać musimy pojęcie nauki o tych dziejach. Jeśli powrócimy do przytoczonych powyżéj przykładów, to zgodzimy się na to, że historya jakiegoś zwierzęcia, które spostrzegamy w lesie czy na ulicy, kamienia, który potrącamy nogą lub jakiegoś sprzętu domowego, a choćby i dzieje któregokolwiek człowieka same przez się nie mogą być przedmiotem nauki. Historya jakiejś zbrodni może być przedmiotem godnym skrzętnego zajęcia, jako materyał do aktu oskarżenia lub obrony sądowéj, historya danéj choroby, opisana z wszelką drobiazgową dokładnością, zajmuje nieraz niesłychanie świat lekarski, mając dlań nietylko praktyczne lecz i naukowe znaczenie, nauką jednak sama przez się jeszcze nie będzie. Ale historya ludzkości może być i jest istotnie przedmiotem odrębnéj nauki. Nie miałaby może taka nauka racyi bytu w obec istot zamieszkujących jaką inną planetę, ale ludzkość pragnie znać te koleje, te wielkie zapasy, które w ciągu tylu wieków przechodziła, rozwijając się nieustannie, pragnie wiedzieć jakimi to tory toczył się ów rozwój od czasów, z których ją o objawach jéj życia pierwsze dochodzą wiadomości aż do chwili

obecnéj. Pragnienie téj wiedzy objawiało się zawsze, i wtedy jeszcze, kiedy o prawach rządzących ludzkością nikomu się nie śniło, i dziś, kiedy myśl ludzka sili się je odgadnąć; a jeśli takie prawa są rzeczywiście i kiedyś duch ludzki je przeniknie, to i w takim razie możemy sądzić, że pragnienie to nie ustanie. Żądza téj wiedzy jest zaś dla nas dostateczném uzasadnieniem racyi bytu nauki o dziejach ludzkości, t. z. historyi powszechnéj, czyli historyi *par excellence* jako nauki. (1)

Rzecz jasna, że tak pojęta historya jako nauka nie będzie prostém wyliczeniem wszystkich wydarzeń, których suma ogólna dzieje ludzkości stanowi. Wyliczenie takie w samém zasadniczém swém pojęciu jest rzeczą niemożebną. Umysł ludzki nie może zebrać i ogarnąć wszystkich wydarzeń chwili dopiéro co ubiegłéj, choć mu najłatwiéj byłoby dotrzeć do ich znajomości, jakżeby więc mógł zbadać, w jaki sposób zdołałby zestawić tę całą sumę wydarzeń, która tysiące lat dziejów ludzkości wypełnia. Mechaniczném zestawieniem faktów wyrywałoby się je wreszcie z naturalnego związku, w którym się w istocie znajdowały, spojone ze sobą nierozerwalnie stosunkiem przyczyn do następstw. Była wprawdzie w rozwoju nauki historycznéj taka faza, w któréj historycy, trzymając się wyłącznie schematu chronologicznego, zapisywali pod każdym rokiem niektóre ważniejsze, według ich sądu szczególniéj na uwagę zasługujące wydarzenia, ale metoda taka annalistyczna, która już należy do archeologicznych zabytków nauki, bardziéj się oddalała od jéj celu, niż stare pieśni historyczne, które barwném swém, całość przedmiotu artystycznie ujmującém opowiadaniem, pod względem metody stały nierównie wyżéj, chociaż mięszały prawdę z wytworami fantazyi. Historya pomna tego, że jéj celem naukowym jest kreślić przebieg dziejowego rozwoju ludzkości, korzysta ze wszystkich danych, znanych jéj faktów, by z nich wykazać, jakie to fazy ten rozwój przechodził, dzieli więc ogrom swego przedmiotu na główne epoki, w ramach tych epok rozmieszcza składowe ich okresy, *opisuje* stopień rozwoju, w jakim się ludzkość w każdym okresie znajdowała, a więc jéj stan mo-

---

(1) P. Bobrzyński gubi zupełnie w swojéj teoryi pojęcie historyi powszechnéj. Słyszymy tam o stwierdzaniu praw społecznych w dziejach poszczególnych narodów, dowiadujemy się, że to nie będzie pracą jałową, „ponieważ historya każdego narodu ma swoje odrębne właściwości i w pewnych sobie tylko właściwych rozwija się warunkach,“ mówiąc o społeczném zadaniu historyi, zna autor również tylko historyą narodową, słowem kreśląc „rzecz o zadaniu historyi i dzisiejszém jéj stanowisku, zapomniał o tém, co jest przedewszystkiém historya *par excellence* jako nauka tj. historya powszechna, historya ludzkości (l'histoire universelle, die Weltgeschichte). Prawda, że historya, w ten sposób pojęta, będzie samoistną nauką a p. Bobrzyński odmawia jéj stanowczo *samoistnego celu.*

ralny, umysłowy, ekonomiczny, urządzenia polityczne i tp., tłómaczy współdziałanie tych wszystkich czynników, które się na wytworzenie takiego stopnia rozwoju złożyły, i *opowiada* wydarzenia, które rozwijając się na tle stosunków danéj epoki, dokonywały w nich powolnego przeobrażenia, dopóki ich nie przekształciły zasadniczo i nie nadały im tych kształtów, jakie się w następnéj fazie dalszego rozwoju objawiają. Z natury rzeczy to zresztą wynika, że historya nie zajmuje się całą ludzkością w dziejach każdéj epoki, ale przedewszystkiém temi jéj cząstkami, które w jéj rozwoju przodują; i w tém właśnie objawia się najwybitniéj postęp w ogólnym rozwoju, że z każdą dalszą epoką rozszerza się horyzont historyi, obejmując swém zakresem coraz więcéj cząstek ludzkości, które w dawniejszych epokach jeszcze w ogólnym tym ruchu nie brały udziału ani nie ulegały jego wpływowi. Stąd wynika pojęcie *udziału w życiu dziejowém ludzkości*, udziału biernego i czynnego; każda cząstka ludzkości, każdy naród, dopiéro co powołany do dziejowego życia, rozpoczyna je zrazu udziałem biernym, który w miarę dalszego rozwoju staje się coraz czynniejszym, jeśli naród nie ma zamrzéć i usunąć się z widowni dziejowéj. W téj saméj zatém epoce rozmaite są stopnie względnéj wartości tego udziału różnych cząstek ludzkości w ogólném życiu dziejowém; historya, kreśląc obraz danéj epoki, opisując zdarzenia, które wiodły do nowych przeobrażeń, ocenia i odważa należycie te względne wartości, staranném cieniowaniem zaznacza różnice pomiędzy udziałem rozmaitych narodów w rozwoju ogólnym i przez to uwydatnia rozliczność i różnobarwność odmiennych typów, które biorą udział w życiu dziejowém każdéj danéj epoki. Pomna zaś głównego celu swojego, przedewszystkiém na piérwszy plan wysuwa obraz tych stosunków, które fizyognomii ogólnéj danego okresu nadają piętno charakterystyczne, te wydarzenia powszechnodziejowe, które w ogólnym rozwoju istotnie wpływową odgrywają rolę.

Tak określilibyśmy pojęcie historyi. Wskazaliśmy, w czém widzimy jéj naukowe uzasadnienie, jéj racyą bytu w hierarchii nauk: w téj mianowicie niezaprzeczonéj potrzebie umysłu ludzkiego, domagającego się téj wiedzy, która treść i istotę historyi stanowi. Przygotowani jesteśmy na zarzut, że takie określenie historyi nie odpowiada wymogom, jakie się łączą z pojęciem umiejętności. Taka bowiem tylko nauka, powiadają, ma prawo zająć miejsce w areopagu umiejętności, która z materyału przez się zgromadzonego i zbadanego wysnuwa prawa ogólne i układa je w system. Umiejętności przyrodnicze zatem, fizyka, chemia, geologia, botanika z anatomią i fizyologią roślin i t. p., z umiejętności antropologicznych np. lingwistyka i nauki społeczne mają w przeznaczeniu swém ten pasport, który

im wstępu do królestwa umiejętności dozwala, historya, taka jak my ją pojmujemy, nie może się nim wykazać. A więc dobrze, jeśli idzie o tytuł, wolimy, by nauka nasza pozostała nieutytułowaną, niż żeby okupywała drogo ten tytuł, podszywając się pod zadanie, które jest niezgodne z jéj pojęciem i istotą. Z tytułem umiejętności czy téż bez niego historya zarówno spełniać będzie swoje posłannictwo w obec téj potrzeby umysłu ludzkiego, która dała początek jéj istnieniu. A ci, którzy jéj życie i pracę swoją poświęcili, zgodzą się nawet z tym losem, żeby jako słudzy nieutytułowanéj pani w hierarchii służby naukowéj skromniejsze zajmować stanowisko, głęboko przekonani, że mimo to praca w zakresie historyi nie nada im piętna niższości umysłowéj. Kto bowiem ma odgadnąć koleje, jakie ludzkość w rozwoju swym dziejowym przechodziła, kto ma roztrząsnąć stopień tego rozwoju w każdéj epoce i należycie z niego zdać sprawę, ten zaprawdę podejmuje się zadania, które tyle sił umysłu wyzywa do walki, że nie godzi się pracy dziejopisarskiéj w porównaniu z pracą na polu innych nauk, nakładać tego ubliżającego piętna. Nie ma granic doskonałości, do jakiejby się wznieść można w spełnieniu zadania pracy historycznéj: do ideału doskonałości w tym względzie nikt dotrzeć nie zdoła, wobec najznakomitszego nawet dzieła zawsze będziemy musieli powiedzieć, że łatwo sobie wyobrazić o wiele bystrzejsze jeszcze przeniknięcie stosunków, odważenie czynników, które się na nie złożyły, o wiele potężniejszy artyzm w roztoczeniu ich obrazu, w ugrupowaniu przedmiotu. (1) O tyle też historya, jeśli na tytuł umiejętności nie zasługuje, to będąc nauką, jest i z natury rzeczy musi być sztuką zarazem. Od pracy naukowéj w jakimkolwiek innym zakresie wiedzy ludzkiéj wymaga się ścisłości w badaniu i sformułowaniu jego wyników, jasności i przejrzystości, w braku któréj najświetniejsze nawet wyniki badań w części przynajmniéj chybią

(1) ,,Nie trudno jest pisać historyą, skracać depesze, streszczać publiczne mowy, w stosownéj liczbie dorzucać słowa pochwały lub nagany, wykazywać przeciwieństwa, przedstawiać wielkich ludzi i stwierdzać, ile w nich mieściło się sprzecznych ze sobą cnót i zbrodni, wymieniać ich własności, zalety i wady: wszystko to rzecz bardzo łatwa. Ale być prawdziwie wielkim historykiem, stanowi bezwątpienia umysłową rzadkość. Jest dzieł uczonych nie mało, które w swoim rodzaju za doskonałość uchodzą Są poetyczne utwory, które śmiało skończonemi nazwać można, jeśli im zaś jeszcze brak czegoś, to drobne ich niedostatki bledną w obec świetnego blasku całości. Powiedzieć to samo można i o mowach Demostenesa, w których niepodobna zmienić ani jednego słowa bez nadwerężenia całości. Ale dzieła historycznego nie znamy żadnego, któreby choć w dalekiéj części odpowiadało naszemu pojęciu o tém, jaką historya być powinna. Nie mamy ani jednego utworu, któryby nie zbaczał mniéj lub więcéj w tę lub ową stronę od zasadniczego historyi pojęcia." *Macaulay, The romance of the history* (1828).

celu, ale na tém kończą się pod względem formy te wymagania. Na odtworzenie zaś i wycieniowanie tego stopnia rozwoju, w którym się ludzkość lub cząstka jéj jakaś w danéj epoce znajdowała, na skreślenie dróg, jakiemi ten rozwój daléj się toczył, zdobyć się może w połączeniu z ścisłością badania tylko artyzm prawdziwy, dla którego nie ma granic doskonałości. (1)

Poprzestaliśmy dotychczas tylko na określeniu pojęcia historyi powszechnéj, gdyż powtarzamy to raz jeszcze, tylko dzieje ludzkości w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu pojmujemy jako naukę, jako historyą par excellence. Z tém wszystkiém w zakresie pracy historycznéj najrzadziéj, zwłaszcza w czasie obecnym, spotkać się można z usiłowaniem objęcia całego olbrzymiego przedmiotu nauki. Każdy pracownik na polu historyi musi wprawdzie starać się o to by z całości przedmiotu o ile można najjaśniéj zdołał zdawać sobie sprawę, potrzeba mu tego dla wzniesienia się do stanowiska powszechnodziejowego poglądu, w którego świetle stanąć powinien każdy przedmiot specyalnéj pracy. Ale dzisiejsze stanowisko nauki wymaga podziału pracy, która jedynie ogromowi zadania w części podołać może. Największą téż zasługę naukową zdobywają sobie prace historyczne z mniéj lub więcéj ograniczonym zakresem przedmiotu, w każdym razie prace monograficznéj natury, które, im większą posiadają wartość, tém cenniejszym choć nieraz drobnym stają się

---

(1) P. Bobrzyński czuje dobrze doniosłość piérwiastku artystycznego w pracy dziejopisarskiéj i obejmuje nawet cały zakres konstrukcyi historycznéj nazwą *kunsztu historycznego*. „Niedość jest,“ mówi. „dobrze badać źródła i trafny sąd o nich wydać. Chcąc być historykiem w całém tego słowa znaczeniu, potrzeba jeszcze umiéć opowiadanie swoje i uwagi skreślić w odpowiedniéj, pod względem artystycznym nienagannéj formie. Inaczéj praca historyczna nie stanie się przystępną dla wszystkich lub co gorsza niedołężną formą rzetelne swoje wyniki zamąci i skazi.“ O każdéj przecież nauce można powiedziéć, że niedołężna forma kazi i mąci jéj wyniki, od formy zaś nawet, która na ten epitet bynajmniéj nie zasługuje, może być jeszcze bardzo daleko do artyzmu. Jeśli zaś artyzm w pracy historycznéj ma być tylko środkiem popularyzowania jéj badań, służyć do tego, żeby się stała „przystępną dla wszystkich,“ to byłoby tylko pewnym czynnikiem w obec społecznego, nie zaś naukowego zadania historyi. Wszak w każdéj również nauce nie brak popularyzatorów, którzy jéj wyniki podlewają ponętną dla umysłowego podniebienia publiczności zaprawą. Ale artyzm w pracy historycznéj jest czém innéın, jest niezbędnym warunkiem w spełnieniu właściwego naukowego zadania historyi. Gdyby to zadanie polegało istotnie na stwierdzaniu praw społecznych w dziejach i wykrywaniu nowych, wymagałaby praca historyczna, jak każda praca naukowa, ścisłości spostrzeżeń i bystrości w wydobywaniu wniosków, ale to, co zwiemy artyzmem historycznym, byłoby rzeczą zbyteczną. P. Bobrzyński jest jednak zanadto historykiem, żeby w tym ważnym punkcie nie miał się przyznać do zdania, które jest w sprzeczności z jego własną teoryą.

przyczynkiem do historyi w właściwém, naukowém tego słowa znaczeniu, tj. do powszechnych dziejów ludzkości.

W wyborze specyalnego przedmiotu w zakresie pracy historycznéj panuje zatém wielka swoboda i dowolność, któréj granice ostatecznie z saméj natury rzeczy wynikają. Są bowiem przedmioty, których traktowanie w historyi nie miałoby zgoła naukowego uzasadnienia. P. Bobrzyński mówi, że „niepodobna pisać umiejętnie dziejów ludności, mieszkającéj np. między Wisłą a Niemnem,“ my użylibyśmy jeszcze jaskrawszego przykładu i wykreśliwszy dowolnie na mapie Europy trójkąt, którego wierzchołki opierałyby się o ujścia Sekwany, Odry i Dunaju, zapytalibyśmy, czy możliwą byłoby rzeczą napisać umiejętnie czy nieumiejętnie historyą ludności zamieszkałéj w tym trójkącie. Dałoby to się tylko w takim razie wykonać, gdyby mechaniczne zestawienie całéj sumy wydarzeń, jakie zaszły na pewnym danym obszarze, było rzeczą możebną i odpowiadało zadaniu historyi. Tak jednak nie jest, fakta, które się zdarzyły w obrębie tego trójkąta, łączą się najściśléj, nierozerwalnie z faktami, których ojczyzna leży po za jego granicą, pomiędzy niemi zaś, jeśli ich całą sumę rozważymy, nie ma zgoła istotnego, przyczynowego związku, gdyż ludność zamieszkująca ten trójkąt, nie stanowi odrębnéj, organicznéj części ludzkości, tj. w tém ujęciu nie odgrywała nigdy w rozwoju ogólnym ludzkości odrębnéj, samodzielnéj roli. Ten wzgląd zaś rozstrzyga ostatecznie o tém, co może być przedmiotem specyalnéj pracy historycznéj. Prawo to przysługuje wszystkiemu, co w rozwoju dziejowym ludzkości odgrywało samodzielną rolę i stanowiło w ten sposób odrębną, organiczną całość, czy to był naród albo też cała grupa narodów, które na tym samym gruncie cywilizacyjnym, wyrosły, jak np. t. z. świat germańsko-romański, czy państwo narodowe lub sztucznie z odłamów rozmaitych narodowości utworzone, czy prowincya państwa jakiegoś, czy miasto którekolwiek, czy postać jakaś historyczna, czy wreszcie instytucya jakaś społeczna lub polityczna, rozważana w dziejach danego narodu lub rozleglejszéj ich grupy, czy którykolwiek kierunek życia ludzkości w ogóle lub w danéj organicznéj cząstce, jak np. ruch umysłowy w danéj epoce i tp., wszystko to może być przedmiotem pracy historycznéj, gdyż w tém wszystkiém znajdą się ważniejsze lub mniéj cenne przyczynki do historyi powszechnéj. W tym kierunku nie ma granicy coraz szczegółowszego specyalizowania pracy historycznéj, która zamykając się w obrębie tak ścieśnionego, ograniczonego zadania, a nie schodząc ze stanowiska powszechnodziejowego poglądu, tém staranniéj przetrawi w szczegółach dany przedmiot, i złoży wynik najściślejszego

badania jako przyczynek do wielkiéj ogólnéj skarbnicy wiedzy historycznéj.

Rzecz jasna zresztą, że praca historyczna w traktowaniu danego przedmiotu, zastosowywać się musi w każdym wypadku do jego istoty. Historyk np., który weźmie sobie za zadanie opracować dzieje miasta Norymbergi, będzie się starał zbadać i w obrazie dziejowym wyjaśnić wszystko, co się odnosi do rozwoju miasta, jego urządzeń, objawów życia moralnego i umysłowego, sztuki, handlu i tp. Tak opracowana historya Norymbergi będzie niezawodnie nieobojętnym przyczynkiem do dziejów powszechnych, przedewszystkiém cennym dla historyi Niemiec, ale nie wszystko, co jéj treść stanowi, da się użyć w ogólnéj historyi niemieckiéj. Historyk narodu niemieckiego skorzysta niemało z téj monografii, użyje nawet niejednego szczegółu, który jaskrawo ilustruje jakąś stronę życia miejskiego lub rzuca charakterystyczne światło na odrębną rolę dziejową danego miasta, ale ze wszystkich szczegółów, które w historyi lokalnéj Norymbergi są niezbędne, będzie się starał wydobyć wnioski ogólne, by z ich pomocą, na podstawie licznych innych prac tego rodzaju, utworzyć sobie wierny obraz rozwoju żywiołu miejskiego w Niemczech. Jego bowiem z natury rzeczy to tylko obchodzi, co w rozwoju dziejowym całego narodu niemieckiego wybitną odegrało rolę. Podobny zachodzi stosunek między historyą powszechną a dziejami poszczególnych narodów. Najznakomitsza i najzupełniejsza kolekcya dzieł zawierających dzieje rozmaitych narodów, nie będzie jeszcze stanowić historyi powszechnéj. Autor, który do tego najszczytniejszego zadania w zakresie pracy dziejopisarskiéj przystąpi, ze wszystkich tych dzieł skrzętnie będzie korzystał, znajdzie w nich materyał do odtworzenia ogólnego stanu i stopnia rozwoju cywylizacyjnego ludzkości w danéj epoce, odgadnie z ich pomocą odrębne cechy roli dziejowéj, jaką każdy z tych narodów w dramacie historyi powszechnéj odegrał, będzie się starał usilnie, żeby w wydobywaniu ogólniejszych wniosków nic nie uronić z tego wszystkiego, co monografie w skarbcu wiedzy historycznéj nagromadziły, ale nie będzie mógł tego obfitego materyału w całości przenieść do gmachu, który ma powstać pod jego ręką.

Każda praca monograficzna natomiast, jeśli ma mieć rzeczywistą wartość naukową i spełnić swoje zadanie, nie może zapominać o tém, co stanowi istotę historyi jako nauki i powinna utrzymać się na stanowisku powszechnodziejowego poglądu. Historyk Norymbergi nie wyrwie zatem dziejów tego miasta z ogólnego naturalnego związku, nie będzie mógł ich opasać murem chińskim i od całości dziejów odgrodzić, ale będzie się starał rozwinąć ich obraz na tle historyi żywiołu miej-

skiego w ogóle, a zwłaszcza w Niemczech, i uwydatnić przedewszystkiém to stanowisko, jakie się w zakresie téj historyi przedmiotowi jego monograficznéj pracy należy. Autor, któryby się zajął monografią historyczną o poezyi prowansalskiéj w wiekach średnich, nie spełni swego zadania, jeśliby najskrzętniéj zebrał biografie poetów, wyliczył ich utwory, oznaczył najdokładniéj czas ich powstania i rozebrał je ze stanowiska ogólnéj krytyki estetycznéj; zadaniem jego będzie zarysować szkic ogólnych dziejów ojczyzny téj poezyi w epoce jéj rozkwitu, wyjaśnić jéj genezę, rozwój i upadek na tle dziejów powszechnych fantazyi i poezyi owéj epoki, zaznaczyć wyraźnie, czém była poezya prowansalska w ogólnych dziejach fantazyi i twórczości poetyckiéj w wiekach średnich. Toż samo można o każdym przedmiocie monograficznym powiedziéć. Historya jakiegokolwiek narodu, któraby dzieje jego traktowała w oderwaniu od dziejów powszechnych i nie stawiała ich w świetle powszechnodziejowych prądów, byłaby w obec dzisiejszego stanowiska nauki ramotą i o tyle zasługiwałaby na uwagę, o ileby ją za surowy materyał można uważać.

Jakikolwiek więc jest przedmiot pracy historycznéj, czy najdrobniejszy jakiś szczegół monograficzny, czy dzieje wielkiego narodu lub cała epoka historyi powszechnéj, zawsze przyświeca jéj ten sam cel, stanowiący istotę nauki, zawsze te same środki służą do dopięcia celu. Piérwszym warunkiem do spełnienia właściwego zadania pracy historycznéj jest poznanie wszystkich faktów, zakres danego przedmiotu wypełniających; czyniąc zadość temu warunkowi, spełnia praca historyczna piérwsze swe zadanie jako praca badawcza. Skoro zaś zbadanego materyału faktów nie podobna ułożyć mechanicznie według chronologicznego, geograficznego czy jakiegokolwiek innego schematu, lecz celem pracy historycznéj jest zbudować zeń umiejętnie jakiś przyczynek do dziejów ludzkości, po badaniu historycznem następuje praca konstrukcyjna, jako drugi stopień pracy dziejopisarskiéj. Nauka postępuje tém raźniej, im bardziéj wydoskonala się metoda, im dzielniejszemi środkami posługiwać się może praca historyczna w badaniu i w konstrukcyi. Jakiekolwiek zaś miejsce przyznamy historyi w hierarchii nauk, musimy to stwierdzić, że w naszym wieku, w bieżącém stóleciu, metoda pracy historycznéj, mianowicie w zakresie badania, uczyniła tak znaczne postępy jak w dziedzinie każdéj niemal innéj nauki i wydoskonaliła do tego stopnia środki dotarcia do prawdy, która wszystkich nauk wspólnym jest celem, że dopiero od czasu takiego wydoskonalenia metody historycznéj, godzi się mówić na seryo o naukowém stanowisku historyi. Być może, że dla tego w ruchu obecnym na polu pracy historycznéj

przeważa kierunek pracy badawczéj, że przynajmniéj metoda w konstrukcyi historycznéj nie wydoskonaliła się w tym co badanie stopniu. Ale i w tym względzie jest niezaprzeczenie praca historyczna na drodze coraz większego postępu, i pod względem konstrukcyi wymaga się z dzisiejszego stanowiska nauki zupełnie czego innego, niźli przed laty kilkudziesięciu. Otóż wierni założeniu będziemy się starali określić dzisiejsze stanowisko historyi, wyłuszczając główne zasady pracy badawczéj, zdając sprawę ze środków technicznych, jakiemi się konstrukcya historyczna posługuje.

V.

Celem badania historycznego jest poznawać fakta dziejowe. Rzecz jasna, że najbliższém źródłem, do którego umysł ludzki w chęci poznawania faktów sięga, jest pamięć ludzka, pamięć każdego człowieka wraz z pomcoą, jakiéj mu udzielić zdoła pamięć innych, przeszczepiająca się z pokolenia w pokolenie, a więc tradycya dziejowa. I długo téż z tego źródła jedynie czerpano. Buckle mówi, że znikąd historya tyle szkody nie doznała, co z wynalezienia i rozpowszechnienia pisma; odkąd bowiem znalazł się środek utrwalenia tego wszystkiego, co tak skrzętnie w obawie uronienia czegokolwiek przechowywano w skarbnicy tradycyi, odtąd źródło tradycyi wygasło a pismo skaziło jéj czystość. Jest to paradox godny tylu innych genialnych paradoxów tego autora, ale tyle jest w nim niezawodnie prawdy, że łatwość przechowania skarbów tradycyi w piśmie nadwątliła energią pamięci i ujàwszy tradycyi uroku świętości w niejednym wypadku dała pochop do jéj skrzywienia. To jednak pewna, że tradycya mimo całéj swéj siły, która jest rękojmią jéj żywotności, mogła zawsze mieć słabą tylko stosunkowo zdolność utrzymania w świadomości ludzkiéj tego ogromu faktów, które treść historyi stanowią; mimo całego swego majestatu, który ją do pewnego stopnia chronił od skażenia, musiała w każdém nowém pokoleniu wskutek zmiany pojęć i zapatrywań, przy współdziałaniu fantazyi, znacznym ulegać przeobrażeniom i była wskutek tego zawsze, jak i dziś jest, jedyném nieraz i wielce cenném, ale mętném źródłem dziejowém. I gdzie badanie historyczne posługiwać się może tém jedném tylko źródłem, smutny tam jest los historyi. Mamy jednak obok tradycyi mnóstwo innych rodzajów źródeł historycznych, których mianem obejmujemy wszystko, co o pewnych faktach dziejowych dostarcza nam wiadomości.

Ze względu na to, w jaki sposób nam źródła historyczne dostarczają świadectw o faktach dziejowych, możemy cały ich zasób po-

dzielić na dwie kategorye. Sposób to bywa bowiem dwojaki: bezpośredni i pośredni. Świadectwa bezpośrednie czerpiemy z takich źródeł, które są w ścisłém tego słowa znaczeniu pomnikami, czyli zabytkami przeszłości. Wszystko, co się z téj przeszłości ostało, czego ząb czasu nie zniszczył, co w epoce swego powstania służyło do bezpośredniego użytku współczesnych, czego sam widok przenosi nas w czasy minione, dając bezpośrednie świadectwo o pewnéj stronie życia dziejowego owéj epoki, wszystko to należy do téj piérwszéj kategoryi źródeł. Każde zaś opowiadanie, którego celem jest przekazać potomności lub téż i współczesnym świadomość danych wydarzeń, jest już tylko świadectwem pośredniém i zalicza się do źródeł, które za pośrednictwem czyjéjś opowieści, dostarczają nam wiadomości o pewnych faktach. Wartość względna tych dwóch kategoryj źródeł najlepiéj się uwydatni, jeśli poznawanie faktów historycznych, porównamy z dowiadywaniem się o wydarzeniach współczesnych. Przypuśćmy zatém, że znajdujemy się na wieży, z któréj widać dokładnie bitwę toczącą się pod murami miasta. Patrząc na nią, dowiadujemy się bezpośrednio o jéj przebiegu. Jeśli zaś w towarzystwie naszém znajduje się jakiś ślepy, który o wszystkich operacyach wojennych obu armii nieprzyjacielskich z naszego tylko dowiaduje się opowiadania, to możemy o nim powiedzieć, że czerpie wiadomości o bitwie w sposób pośredni.

Z piérwszéj kategoryi źródeł, z bezpośrednich pomników przeszłości najłatwiéj zachowują się zabytki monumentalne, które trwałością swoją niszczącemu wpływowi czasu zdołają się oprzeć. A więc przedewszystkiém wszelkie budowle z epok minionych zachowane, od piramid egipskich aż do naszych starych modrzewiowych dworków szlacheckich, które gdzieniegdzie jeszcze, dzięki trwałemu materyałowi i szczęśliwym okolicznościom, przez kilka wieków aż do dni naszych się ostały. Następnie wszystkie przedmioty, które szczególna ich wartość, przypadek lub wczesne zamiłowanie naszych przodków w starożytnościach, zachować zdołały od zniszczenia; wszelkie przedmioty sztuki plastycznéj, obrazy i rzeźby, wszelkie sprzęty, narzędzia i ubiory, od zabytków t. z. przedhistorycznych, odkrywanych we wnętrzu prastarych grobów, aż do urządzeń domowych ostatnich generacyj, które nam jeszcze niekiedy służą do użytku, choć się nieraz ich staroświecczyzny wstydzimy. Daléj monety, rozważane jako bezpośrednie zabytki przeszłości, jako środek zamienny epok minionych, słowem wszystkie przedmioty, należące do zakresu badań archeologii w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. I pisma wszystkie, czy to oryginały dokumentów lub listów, czy kodexy rękopiśmienne, należéć będą, jako zabytki

przeszłości, jako przedmioty archeologiczne, do téj saméj kategoryi źródeł.

Inaczéj już będzie z pismami, jeśli w ich treść wejrzymy. Ściśle wprawdzie biorąc, i pod względem treści zaliczać musimy wszystkie pomniki piśmienne, jako *zabytki piśmiennictwa*, do źródeł bezpośrednich. Cała literatura w najrozleglejszém znaczeniu stanowi jednę z wielkich gałęzi téj kategoryi źródeł, gdyż z niéj czerpiemy bezpośrednio wiadomości o ruchu umysłowym, o kierunku fantazyi i sile twórczości, o wyobrażeniach i pojęciach danéj epoki. I kronika każda i pamiętniki wszystkie, jako pomniki literackie rozważane, są źródłem bezpośredniém; do źródeł pośrednich należą tylko opowiadania w tych pomnikach zawarte, o ile z nich czerpiemy wiadomości o faktach dziejowych.

Są jednak zabytki piśmienne, które pod względem treści w całéj rozciągłości i bez wszelkich zastrzeżeń do źródeł bezpośrednich zaliczyć musimy, gdyż fakta, które ich treść stanowią, w sposób bezpośredni dochodzą do naszéj wiadomości. Fakt, który mamy zbadać, stanowi właściwą istotę takiego zabytku a pismo służy tylko do utrwalenia faktu w pamięci ludzkiéj. Stenogramy np. z posiedzeń parlamentów mają dla poznania treści mów parlamentarnych takie same znaczenie, jak gdyby czytający był obecnym na posiedzeniu i mowy te słyszał. Nie od dawna datuje się wprawdzie wynalazek stenografii, jeśli jednak z czasów dawniejszych mamy text przemówienia jakiegoś, spisany przez samego mówcę, z wszelką rękojmią autentyczności, możemy go ze stanowiska badania stenograficznego traktować na równi ze stenogramem dzisiejszym. W wszelkich również autentycznych pomnikach prawa, czy to są edykta, statuta lub kodyfikacye urzędowe prawa zwyczajowego, pismo jest tylko środkiem zachowania postanowień prawnych w pamięci ludzkiéj, sam text zaś jest właśnie tém prawem, którego poznanie jest w danym wypadku celem pracy badawczéj (1). Niemniej wszelkie dokumenta urzędowe, których treść stanowią dekreta, wyroki sądowe, rozporządzenia i rozkazy, rozważane jako wyraz czyjéjś woli, warunki umów prywatnych lub międzynarodowych, traktaty handlo-

(1) Rzecz jasna, że wszelkie prace prywatne o daném współczesném prawie zwyczajowém mają już wartość źródła pośredniego, jako *opis* urządzeń i instytucyj prawnych, choć jak najściśléj ze stanowiska prawniczego sformułowany. Rzeczywista wartość źródłowa takiego pomnika jest względna i zależy od mniéj lub więcéj dokładnych informacyj autora jako téż od znaczenia i powagi, jaką sobie taka praca prywatna w praktyce prawniczéj wyrobić zdołała, tak że czasami może się pod względem wartości praktycznéj równać kodyfikacyi urzędowéj.

we, pokojowe i tp., noty dyplomatyczne mają w obec badania historycznego to samo znaczenie. Natomiast, ściśle biorąc, należałoby dokumenta, zawierające sprawozdanie o przebiegu pewnych faktów w formie opowiadania, a więc protokoły urzędowe, niektóre akta notaryalne i tp. zaliczać ze stanowiska teoryi do źródeł pośrednich a tylko charakter ich urzędowy nadawałby im w rzędzie tych źródeł, pod względem wiarygodności, piérwszorzędne znaczenie; należy tylko na to uważać, że często forma opowiadawcza takich dokumentów jest rzeczą pozorną, a treść ich istotną stanowią warunki umowy, rozporządzenia i tp. Wszelki jednak materyał opowiadawczy, zawarty w dokumentach, ma bezwzględnie tylko wartość źródła pośredniego, w skutek czego np. w jakimś akcie donacyjnym, tak pospolitym u nas wśród dokumentów wieku XIII, praca badawcza zupełnie inne zajmuje stanowisko w obec samego nadania, jako wyrazu woli monarszéj a ustępów, zawierających np. opowieść o zasługach obdarzonego, czyli t. z. w terminologii dyplomatycznéj narracyi. Toż samo zresztą, co o dokumentach, można powiedziéć o korespondencyi, która do dziejów niektórych epok tak obfity i ważny materyał stanowi. Każde opowiadanie, zawarte w liście, choć skreślone pod bezpośredniem wrażeniem wypadków, jest źródłem pośredniém, wszystko zaś, co w tym samym liście uważać można za rozporządzenia piszącego lub téż za wyraz jego przekonań, sądu, uczucia lub zamiaru ma niezaprzeczenie wartość źródła bezpośredniego.

W téj piérwszéj kategoryi źródeł wybitne miejsce zajmuje *język*, ten nieoceniony materyał historyczny, tylekroć sromotnie nadużywany, który z pomocą lingwistyki porównawczéj tak olbrzymie już oddał historyi usługi. W czasach zupełną ciemnością przyćmionych, do których ani żadne materyalne pomniki przeszłości, ani téż nić tradycyi nie sięga, prastare zabytki języka, umiejętną ręką lingwistyki z dzisiejszego materyału odtworzone, jedyną są dla historyka pochodnią, rozświecają mu zakres pojęć, do jakich wówczas ludzkość w rozmaitych swych częściach wznieść się zdołała, i tym sposobem wskazują mu drogę do odtworzenia obrazu ówczesnego stopnia cywilizacyjnego rozwoju. I późniéj lingwistyka nie usuwa się z swoją skuteczną pomocą, tłómaczy historyi i rozwiązuje zagadki pokrewieństwa ludów, do psychologicznego ocenienia ich ducha dostarcza innych wskazówek, oznacza ich siedziby i wędrówki, podaje najważniejsze przyczynki do odgadnięcia etnograficznego składu historycznych narodów. Z materyału tego korzysta praca historyczna jako z źródła bezpośredniego, przedwiekowe szczątki tego trwałego zabytku przeszłości, dostarczają jéj bezpośrednio jedynych wiadomości o faktach i stosunkach, po których tylko w nich jednych pozostały

ślady, gdy wszystko, co w ich epoce było materyą, od dawna już uległo zniszczeniu.

W kategoryi źródeł pośrednich piérwsze miejsce należy się tradycyi, już choćby dla tego samego, że wszystkie pomniki historyograficzne sprowadzić można do pojęcia tego źródła, uważając je za tradycyą na piśmie utrwaloną. Z żywą, ustną tradycyą w właściwém tego słowa znaczeniu, rzadko się dziś zdarza spotkać pracy historycznéj, co najwięcéj w dziejach najbliższych nam, niedawno ubiegłych czasów, gdyż obecnie siła tradycyi istotnie osłabła i nie sięga daleko w głąb przeszłości. Badamy wprawdzie klechdy i podania ludowe, a badania takie mogą dostarczyć historyi wiele nie obojętnych przyczynków; nie będziemy jednak w tym materyale szukali wiadomości o faktach dziejowych, ale wydobędziemy zeń stare zabytki w dziedzinie utworów fantazyi ludowéj. Zresztą badanie historyczne zajmuje się zwykle tylko tradycyą skrystalizowaną już w pomnikach literackich, których zadaniem było, jéj pamięć potomności przekazać.

Daléj zaliczymy do źródeł pośrednich to wszystko, co z wątka bezpośrednich jako materyał opowiadawczy wydzielić należy. A więc nietylko opowiadania, zawarte w listach, „narracye" dokumentów i tp., ale przedewszystkiém wszelkie napisy, znajdujące się na bezpośrednich zabytkach przeszłości, czy nimi są budowle, monety, zbroje lub sprzęty domowe, słowem cały materyał epigraficzny, który szczególnie w studyach nad historyą starożytną, zwłaszcza w obec dzisiejszego stanowiska nauki, tak niesłychanie ważną rolę odgrywa. Najważniejsze w zasobie tych materyałów miejsce zajmują opowieści epigraficzne, z góry przeznaczone na to, by potomności pamięć jakichś faktów dziejowych przekazać, opowieści, które zupełnie na równi ze zwykłymi zabytkami historyograficznemi traktować należy, gdyż różnią się od nich jedynie materyałem piśmiennym. Ale nietylko pismo służy do utrwalenia tradycyi, nietylko zabytki piśmienne wypełniają zasób źródeł pośrednich, sztuka plastyczna to samo w pewnym względzie spełnia zadanie. Portret każdy, jako przedmiot sztuki rozważany, czy na płótnie czy na monecie lub w rzeźbie się znajduje, jest niezawodnie źródłem bezpośredniém; jeśli zeń jednak korzystamy do odtworzenia zewnętrznéj postaci jakiegoś człowieka historycznego, przybiera znaczenie źródła pośredniego. Tak téż z wszelkich współczesnych obrazów, rzeźb, numizmatów i pieczęci czerpiemy jako z źródeł pośrednich wiadomości o kostiumach i urządzeniach domowych, różnica zaś między tym rodzajem źródeł a opowiadaniem w stosunku do faktów dziejowych, polega tylko na większéj zdolności wiernego odtworzenia przedmiotu w sztuce plastycznéj.

Najważniejszą jednak grupę w kategoryi źródeł pośrednich stanowi historyografia, tj. pomniki literackie, zawierające opowiadania o faktach dziejowych. Źródła te są już same przez się pracami historycznemi, które do *źródeł* o tyle tylko zaliczyć możemy, o ile są albo współczesne lub bliskie wypadkom opisywanym, albo też stanowią zbiornik tradycyi, która choć odległych czasów sięgając, w nich dopiéro się utrwaliła na piśmie. Pamiętniki i relacye poselskie, gazety, biografie współczesne, roczniki i kroniki i jakiekolwiek inne rodzaje historyograficznych pomników rozróżnić można, składają tę grupę źródeł. Pomimo niższéj swéj ze stanowiska teoryi wartości w stosunku do źródeł bezpośrednich, stanowią pomniki historyograficzne jednę z najważniejszych gałęzi całego rozległego zasobu źródeł, gdyż wiele jest objawów dziejowego życia ludzkości, których świadomość tylko w formie opowiadania może być potomności przekazaną, które w żadnym zabytku bezpośrednim nie mogą się ostać.

Stanisław Smolka.

(Dok. n.)

Najznakomitsi komedyopisarze hiszpańscy.

(Ciąg dalszy).

II.

GABRIEL TELLEZ (TIRSO DE MOLINA).

Studyum literackie.

Pod koniec dramatopisarskiéj działalności Lope de Vegi, liczba teatrów w Madrycie dosięgła aż *czterdziestu*, nie licząc scen królewskich *Buen Retiro* i *Casa de Campo* oraz prywatnych przybytków Talii, które wielcy panowie w pałacach swoich urządzali.

Król Filip IV, wielki miłośnik sceny, a nawet i autor dramatyczny, nie tylko powoływał do *Buen Retiro* najlepszych aktorów, lecz także uczestniczył nieraz i na ludowych przedstawieniach. W królewskim teatrze grano sztuki wieczorem, przy blasku sztucznego światła; przedstawienia zaś publiczne odbywały się we dnie, w miejscach odkrytych, zabezpieczonych płótnem jedynie od żaru słońca.

Miasta prowincyonalne miały także w téj epoce znaczną liczbę teatrów, a nawet jeden z głośniejszych dyrektorów podał memoryał do króla z prośbą o zredukowanie królewskich teatrów *(compañias reales)* do sześciu. Twierdził on, że koczujące trupy aktorów żyją niemoralnie, przyjmują do łona swego różnego rodzaju wyrzutków, pod strojem aktorskim urągających sprawiedliwości. Oprócz tego owe liczne trupy, lekceważąc prawa autorskie, przyczyniały się do rozpowszechniania niezręcznych przeróbek i plagiatów dramatycznych, które powstawały zwykle z błędnych kopij, lub przepisywane były wprost z pamięci.

Tutaj wydawca lub dyrektor coś obciął, tam coś dodał, tu na miejsce właściwego tekstu podstawił swój własny lub nazwisko autora dowolnie zmienił. Z powodu tych malwersacyj Alarcon reklamował niekiedy swe komedye, pod imieniem Lope de Vegi drukowane, a Calderon pisał do księcia de Veragua, że wydawcy tak poprze-

kształcali jego utwory, iż je z trudnością poznać może (1). Dla uniknięcia podobnych następstw, niektórzy poeci wydawali sami swe utwory, jak to robił między innemi i zajmujący nas obecnie pisarz Tirso de Molina.

O życiu jego znajdujemy niezmiernie skąpe wiadomości. Fray Gabriel Tellez, znany pod pseudonimem Tirso de Molina, urodził się w Madrycie około r. 1570, a więc w osiem lat po Lope de Vega. Kształcił się w uniwersytecie Alcala de Henares, a następnie studyował teologią i filozofią w słynném *colegio mayor de san Ildefonso*, gdzie najznakomitsi uczeni Hiszpanii wykłady miewali.

Otrzymawszy stopień uczony udał się do Madrytu, celem rozwinięcia w téj stolicy działalności dramatopisarskiéj. Nie wiadomo, kiedy wystawił pierwsze swe sztuki i z jakiém powodzeniem; dowiadujemy się tylko od autora (*Las Cigarrales de Toledo*), że jedna z prac jego „Bojaźliwy na dworze“ (*El vergonzoso en palacio*), do któréj zawsze szczególną wagę przywiązywał, została sponiewierana przez publiczność i przez krytykę. Autor broni dzieła swego z widoczném rozdrażnieniem i traktuje *en canaille* swych przeciwników, nazywając ich trutniami, które pracowitym pszczołom miód odbiérają.

Czy te niepowodzenia autorskie, czy inne jakie względy skłoniły Telleza do poświęcenia się stanowi duchownemu, nie wiadomo; to pewna tylko, że już w 1613 roku znajdujemy go w klasztorze w Toledo (*Merced calzada*). Prawdopodobnie wszystkie swoje komedye napisał Tirso przed wstąpieniem do klasztoru, gdyż są one po większéj części tak *swobodne*, że wolnego ich ducha z suknią zakonną pogodzić trudno.

Po zerwaniu poety ze światem przez lat 11 nie spotykamy żadnych śladów jego twórczości i dopiéro w r. 1624 wydaje Tirso własném staraniem *Cigarrales de Toledo* (Sądy Toledańskie). W książce téj umieścił trzy komedye (*El verganzoso en palacio*; *Como han de ser los amigos* i *El celoso prudente*) nowele bardzo miernéj wartości i drobne utwory poetyczne. W trzy lata późniéj wydał Triso dwa tomy swych komedyj, a pomiędzy r. 1634—36 synowiec poety wydrukował jeszcze trzy tomy. Pierwsze cztery tomy obejmują po 12 komedyj każdy, ostatni jedenaście tylko. Inne prace Tirso de Moliny drukowane były oddzielnie przez towarzystwa teatralne lub księgarnie. W ogólności napisał Tellez w ciągu lat 14-u *trzysta* komedyj, z których pozostałe do dzisiaj 70, wszystkie wierszem. Oprócz teatru i *Ci-*

(1) Alphonse Royer: Theatre de Tirso de Molina Paris 1863 Introduction.

garrales wydał Tellez książkę zatytułowaną *Deleitar aprovechando* (bawić i być użytecznym); jestto zbiór powieści, nowel, rozpraw i komedyj.

Fray Gabriel Tellez był kolejno nauczycielem teologii, kaznodzieją, historyografem, a wreszcie przeorem klasztoru Soria, gdzie też i umarł w r. 1648, mając lat 78.

Lope de Vega był przyjacielem Telleza, o którego charakterze i zdolnościach posiadał bardzo korzystne wyobrażenie. Autor „Gwiazdy Sewilskiéj" dedykował Molinie tragiedyą swoję *Lo Fingido verdadero*, a w poemacie *El Laurel de Apolon* nazywa Telleza Terencyuszem hiszpańskim.

Znakomity krytyk hiszpański Duran dzieli wszystkie utwory Telleza na następujące trzy kategorye.

1. *Comedias de intriga y de costumbres*, będące jedynie płodem inwencyi autora. W tych sztukach spotykamy osoby ze wszystkich klas społecznych, począwszy od głów ukoronowanych aż do pasterzów. Najrozmaitsze wypadki mniéj lub więcéj prawdopodobne znajdują się tutaj, wikłają, krzyżują, tworząc nieskończony labirynt, utrzymujący widza nieustannie w gorączkowo naprężonéj ciekawości. Surowa krytyka rozbraja się w obec tego mnóstwa scen efektownych, dyalogów żywych i najróżnorodniejszych niespodzianek, któremi autor czytelnika i widza zniewolić umié. Do najlepszych komedyj w tym dziale należą. *La Villana de Vallecas* (wieśniaczka z Wallekas); *Don Gil de las calzas verdes* (Don Gil w zielonych spodniach); *Amar por señas* (kochać za pomocą znaków); *Marta la piadosa* (Marta dewotka); *Celosa par si misma* (Zazdrosna o siebie); *No hay peor sordo, que el nò quiere óir* (Ten jest najbardziéj głuchy, kto słuchać nie chce); *Pruebas de amor y amistad* (Dowody przyjaźni i miłości) *Desde Toledo a Madrid* (z Toledo do Madrytu); *El amor medico* (miłość lekarzem) i wiele innych.

2. *Comedias historicas y heroicas* osnute na tle historyczném lub legiendowém jak: *El burlador de Sevilla* (Uwodziciel Sewilski); *La prudencia en la mujer* (Roztropność w kobiécie); *Palabras y plumas* (Słowa i pióra); *Cautela contra cautela* (Podstęp na podstęp); *Privar contra su gusto; Amar por arte mayor* itd.

3. *Comedias de asuntos devotos y religiosos*, przejęte żywiołem religijnym, z których najlepsza: *El condenado por desconfiado* (Potępiony dla braku wiary).

La Villana de Valecas jest komedyą intrygi w najściślejszém znaczeniu tego słowa. Pewien oficer, zabiwszy przeciwnika swego we Flandryi, ucieka do Walencyi, gdzie pod przybraném nazwiskiem Mendozy uwodzi piękną dziewicę, którą opuszcza i śpieszy do Ma-

drytu. W drodze spotyka w restauracyi cudzoziemca Mendozę, świeżo z Meksyku przybyłego. Obaj młodzi ludzie, położywszy w jedném miejscu swoje walizy, ucztują wspólnie aż do nocy. Nad ranem, uwodziciel Violanty wyjeżdża z zajazdu, a służący jego zabiéra w pośpiechu walizę Meksykanina. W drodze spotrzegli pomyłkę, lecz gdy kufer wypełniony był pieniędzmi i dokumentami, z których Gabryel dowiaduje się, że poszkodowany właściciel śpieszy do Madrytu, gdzie nań oczekuje nieznana mu jeszcze narzeczona,— postanawia odgrywać rolę Mendozy i wejść w posiadanie skarbów jego i arcy nadobnéj Serafiny. Przeprowadzenie tego planu udaje się Gabryelowi bardzo łatwo a biedny Meksykanin, zgłosiwszy się bez dowodów do rodziców narzeczonéj, zostaje uznany za oszusta i w dodatku zaproszony do więzienia. Tymczasem uwiedziona Walencyanka, przebrawszy się za wieśniaczkę, śpieszy za zdrajcą do Madrytu i w Vallecas, małéj wiosce pod stolicą, przyjmuje służbę u wieśniaka, zkąd chodzi do miasta już to z miotłami już z pieczywem dla wyśledzenia Gabryela. Dostawszy się do domu Serafiny, która miała wkrótce zostać żoną fałszywego Mendozy, Violanta spotykała tu często Don Juana, brata Serafiny, który oczarowany pięknością mniemanéj wieśniaczki, pokochał ją na zabój, jak to widzimy z téj rozmowy:

(Akt II Scena V) (1)

Don Juan. Tak w porę dzisiaj zjawiasz się,
Jak w maju najżyzniejszy deszcz,
Jak w styczniu jasny słońca blask,
Lub księżyc w pełni pogodny,
Gdy światłem cieszy wędrowców
I drogę pewną wskazując,
Od nieszczęść strzeże zbłądzenia!..
Violanta. Tak bardzo rano pan wstajesz?...
Don Juan. O!. duch mój, ciągle czuwając.
Za tobą w otchłań śpieszyć rad!..
Violanta. Śledczego ducha posiadasz?...
Don Juan. I kiedy swą zgubę znajdzie,
Nagrodę chce zdobyć hojną!..
Violanta. Coś stracił, panie?.
Don Juan. Cenny Skarb!.
Swoboda mi uciekła w świat!..

---

(1) Biblioteca de autores españoles T. V. Comedias escogidas de Fray Gab. Tellez Madrid 1866 Rivadeneyra p. 53.

I płacze jak małe dziecko,
Że powrót dla niéj stracony!..
Violanta. Więc radzę panu serdecznie,
Napisem grzbiet zaopatrzyć,
Lub dać woźnemu reala;
On znajdzie ją, choćby nawet
Igiełki postać przyjęła!..
Lecz aby późniéj nie zbiegła,
Nałożyć jéj musisz pęta!...
Don Juan. Obawiam się—by czary te,
Co ludziom swobodę kradną
I mnie jéj niepozbawiły!...
Violanta. Któż winien?..
Don Juan. Ty, dzieweczko, ty!..
Violanta. Nie żartuj pan i wiedzieć racz,
Że czarownicą nie chcę być!...
Don Juan. A jednak jest nią piękność twa!..
Cyganko śliczna, błagam chciéj
Wygłosić mi szczęścia wróżbę!..
Violanta. Niestety!. nie mam go sama!..
Don Juan. Tyś piękna!..
Violanta. Chléb mój weźmiesz pan?..
Don Juan. Czy biały?...
Violanta. Cukru blaskiem lśni!..
Don Juan. A dobry?..
Violanta. Ma orzecha smak!.
Don Juan. Czy świeży?..
Violanta. Parą jeszcze tchnie!..
Don Juan. Co nosisz wszystko gorące!.
Violanta. Byłażbym gorączką, panie?!..
Don Juan. Tyś sama go rozczyniała?..
Violanta. A któżby?..
Don Juan. Ty?
Violanta. Nie!.. ksiądz proboszcz!..
Don Juan. Daj kromkę—białość sprawdzić chcę!.
Violanta. To kaprys chyba?...
Don Juan. Może być!..
Violanta. Więc służę...
Don Juan. Ukraj go ząbkami!..
Violanta. Chcesz może abym go zżuła?!..
Don Juan. A właśnie!
Violanta. O żart na stronę!...

Don Juan. Kęs chléba z twoich pięknych ust
Najmilszym dla mnie przysmakiem!..
Wszak wiesz, ubóstwiam cię droga!..
Violanta. Gdy miasto pstrągów dostarcza,
To żab nie łówcie w bagnisku!..
Don Juan. Kto uczty prawdziwéj żąda,
Ten w polu szuka zdobyczy!...
Violanta. Nie przeczę, że tu w Madrycie
Są w strój bogate papugi,
Lecz z mięsa słyną twardego!..
Toż widzę, jak pysznie kroczą,
Atłasu powłócząc fale,
W klejnoty—jakby relikwie
Przybrane, a w wstążek zwoje
Bogatsze są od kościołów!...
Don Juan. Zachwycasz czarem swych wdzięków!..
Daj rękę!.
Violanta. Czy tak?.. a po co?!..
Don Juan. Białości śnieg jéj—złagodzi
Mojego serca żar straszny!..
Violanta. Ma ręka, to dłoń Judasza!.
Co gasi lampy kościelne!..
Don Juan. O nie bądź sroga!.. Daj, błagam!..
Violanta. Już o niéj myśleć zaprzestań!..
Bo ona ma swego pana!..
Don Juan. Żartujesz!..
Violanta. Mówiłam jasno,
Że prawo ktoś do niéj rości!..
Don Juan. Co prawo?..
Violanta. Tak!..
Don Juan. Kochasz?...
Violanta. Trochę!.
Don Juan. Zamężnaś?
Violanta. Pragnę nią zostać!..
Don Juan. Więc panną jesteś?...
Violanta. Na schyłku.
Don Juan. Związanaś słowem?...
Violanta. Już dawno!..
Don Juan. Więc dziś?...
Violanta. Zwątpienia mię trapią!..
Don Juan. I pragniesz?....
Violanta. Żeby zniknęły!..

Don Juan. A jak?..
Violanta. Przez kościół!...
Don Juan. Chcesz ślubu?...
Violanta. Tak!
Don Juan. Któż zabrania?...
Violanta. Los groźny!..
Don Juan. Zazdrosnaś?
Violanta. O nieskończenie!..
Don Juan. Masz powód?..
Violanta. I bardzo ważny!..
Don Juan. Chcesz zemsty?..
Violanta. Byłżebyś w stanie....
Don Juan. Czy wątpisz?..
Violanta. Chłopiec mój silny!..
Don Juan. Niech zginie!...
Violanta. Któż tego żąda?..
Don Juan. Twa krzywda!..
Violanta. Lecz on ją spłaci!..
Don Juan. Obraża mnie!..
Violanta. W jaki sposób?..
Dou Juan. Kochając cię!.
Violanta. Daj to, Boże!..
Don Juan. Niestały?..
Violanta. O! brat księżyca!..
Don Juan. Więc pogardź nim!..
Violanta. Dla kogóż znów?..
Don Juan. A dla mnie!..
Violanta. Niewczesne żarty!
Don Juan. Gdy żoną jego zostaniesz,
W dniu jednym miłość uwieńczy
I twoje szczęście i zgon mój!..
Violanta. *Requiem* i *Aleluja*!..
Czy sądzisz pan, że wieśniaczkę
Ta miłość przynęcić może,
Dla której koroną hańba!..
Don Juan. Przeczyste uczucie moje!..
Violanta. Czy wziąłbyś mię pan za żonę...
Jak Antoś mój?..
Don Juan. Toż by była
Najwyższa dla mnie pociecha!...
Violanta. Dla pana jam za uboga!..
Don Juan. Uczucie wszystko jednoczy!...

Violanta. Oj nie!. wymaga równych szal!..
Czy rolnik zechciałby w jarzmie
Połączyć wielbląda z mułem!..
Jeżeli pan nie chce chleba,
Więc idę....

Don Juan. Posłuchaj, droga!.
Jeżeli słowo ma wiarę,
Jeżeli ufasz przysięgom,
Na dwa te słońca urocze,
Jasnością których olśniewasz,
Na lic twych różową wiosnę,
Przysięgam, że gdy twa cnota,
Z pięknością twą chodzi w parze,
Nazwisko dajęć z majątkiem!...

Violanta. Od chwili twego poznania
Mnie chyba szatan opętał,
Tysiące mam igieł w sercu!
Ożenić chcesz się pan ze mną?...

Don Juan. Tak!.

Violanta. Prędko pan się zniechęcisz?...

Don Juan. Uczucie silne trwa wieki!..

Violanta. Naprzykrzy się słodycz łatwo,
Bo miłość—jak owoc każdy
Dopóki świeża—przynęca;
Odstrasza—gdy zbyt dojrzeje!.

Don Juan. Obawa płonna!..

Violanta. W istocie?..

Don Juan. Na żywot twój!..

Violanta. A na pański?!..

Don Juan. Czy wątpisz?..

Violanta. Więc kochasz mię pan?..

Don Juan. Nad siły!...

Violanta. Mogęż uwierzyć!..

Don Juan. Jam szlachcic!...

Violanta. A będziesz kochał?..

Don Juan. Uwielbiać będę!..

Violanta. To żarty!..

Don Juan. Nie!.

Violanta. Będęż miała podarki!

Don Juan. Królewskie!..

Violanta. A szaleć będziesz?..

Don Juan. Kochając cię!

Violanta. Czyś namiętny?...
Don Juan. O bardziéj niż Portugalczyk!..
Violanta. Kłótliwy jesteś?..
Don Juan. Broń Boże!..
Violanta. A łajesz?...
Don Juan. Rzadko!..
Violanta. Grać lubisz?
Don Juan. Ubóstwiam cię!...
Violanta. Wstajesz rano?..
Don Juan. Nie!..
Violanta. Wracać późno przywykłeś?..
Don Juan. Ze słońcem!...
Violanta. To zręczne słowo!..
Jak nazwiesz mię?...
Don Juan. Niebem!..
Violanta. Tylko?..
Don Juan. I słońcem!...
Violanta. Mało!..
Don Juan. Królową!..
Violanta. Wystroisz mię pan?..
Don Juan. Jak wiosnę!..
Violanta. Powozem będę jeździła?..
Don Juan. Karetą!..
Violanta. Tak?. A koronki!..
Mieć będę?...
Don Juan. Tylko Flandryjskie!..
Violanta. Wyjść mogę czasem?..
Don Juan. I często!..
Violanta. W gościnę?..
Don Juan. Owszem!..
Violanta. Do cyrku?..
Don Juan. Najchętniéj!..
Violanta. A konfitury
Czy będę jadła?..
Don Juan. Ile chcesz!..
Violanta. Z komedyj...
Don Juan. Nie stracisz żadnéj!
Violanta. Na wszystkich będę?..
Don Juan. Na wszystkich!..
Violanta. Na spacer w Prado?...
Don Juan. W dzień jasny!.
Violanta. A nocą... tak... przy księżycu?..

Don Juan. Na wiosnę!..
Violanta. Co mi darujesz?..
Don Juan. Swą duszę!..
Violanta. O wolne żarty!...

Zręcznością swoją wreszcie potrafiła Violanta wydobyć z więzienia Meksykanina, oddać mu jego narzeczoną i... odzyskać serce Gabryela, który téż został jéj mężem.

Wieśniaczka z Vallecas jest jedną z tych sztuk, w których talent Tirso de Moliny, jako poety narodowego, uzewnętrznił się najsilniéj. Nie masz tu jeszcze najmniejszego śladu przyszłego idealizmu Calderona; wszystko tam ściśle konkretne.. na wskróś realne....

Do najsłynniejszych, chociaż nie najlepszych utworów Telleza należy *El Brulador de Sevilla y convidado de piedra* (uwodziciel sewilski i gość kamienny). Utwór ten musimy poznać bliżéj, choćby dla tego tylko, że nazwiska Moliere'a, Corneille'a, Byrona, Mozarta, itd. z nim związane i że ten wyraz Don Juan (czytaj Don Chuan nie Żuan, jak to mówią wszyscy z francuzka) zyskał prawo obywatelstwa w całym świecie.

Don Juan Tenorio jestto niewątpliwie najoryginalniejsza i najbardziéj narodowa kreacya na hiszpańskim teatrze. Jak Don Quijot (czyt. Kichot nie Kiszot) i Sanczo obiegła ona świat cały, wywołując naśladownictwo w téj lub innéj formie we wszystkich prawie literaturach. W Hiszpanii ukazanie się D. Juana na scenie wywołuje zawsze niezmierną radość, gdyż jakkolwiek ów *burlador* jest jednocześnie typem uniwersalnym i miejscowym, jakkolwiek wszędzie są Tenoriowie, to jednakże prawdziwy Tenorio istnieje tylko w Hiszpanii. Don Juan, jako charakter ludzki, jest odwieczny, lecz dopiéro Tirso de Molina z niezliczonych przykładów typ stworzył, nadawszy mu niezmierną wyrazistość i niestartą nigdy barwę życia.

El Burlador de Sevilla osnuty jest na podaniu ludowém téj treści. Don Juan Tenorio, pochodzący ze znakomitéj sewilskiéj rodziny, zamordował pewnéj nocy Komandora Ulloa, uwiódłszy mu przedtém córkę. Komandor został pochowany w klasztorze S-o Frańciszka, gdzie rodzina jego miała własną kaplicę. Tradycya mówi, że mnichy, aby położyć koniec haniebnym nadużyciom Don Juana, który ufny w swe urodzenie sprawiedliwość lekceważył, ściągnęli go nocą do klasztoru, zkąd już nie wyszedł.

Nazajutrz wieść się rozeszła, że Don Juan wszedł do klasztoru, aby znieważyć grób komandora i że sam posąg, zstąpiwszy ze swego piedestału, porwał Don Juana do piekła. Obok téj legiendy, tradycya przechowała pamięć wielu innych jego zbrodni, które w rezultacie

tak straszną karę wywołały. Z tych to żywiołów Tirso de Molina ułożył dramat (1).

Pierwsze jego sceny odbywają się w Neapolu, gdzie Don Juan przybył dla rozrywki pod nazwiskiem Octavia i w stosownėm przebraniu wchodzi nocą do księżniczki Izabeli, narzeczonéj księcia, a uwiodłszy ją, ucieka. Izabela, poznawszy błąd swój wzywa pomocy, a przybyły na krzyk jéj monarcha każe ambasadorowi Hiszpanii, a wujowi Don Juana, aresztować Izabelę wraz z zbrodniarzem. Uwodziciel zdemaskował się w obec stryja.

— Jestem młody—rzecze, a ty nim byłeś; doświadczywszy nieraz miłości, powinieneś mię usprawiedliwić w jéj imię. Jeżeli chcesz wiedziéć prawdę, nic nie zataję. Zwiodłem księżniczkę Izabelę.

— Nie kończ!.. zawoła oburzony Don Pedro. Jak ty ją zwiodłeś?. mów ciszéj.

— Udawałem, że jestem książę Oktawio....

— Ani słowa więcéj.. milcz!.. już wiem za wiele... jestem zgubiony!...

Gdy wuj przypomina niepoprawnemu synowcowi, że za podobną zbrodnię był już z Hiszpanii wypędzony, Don Juan, nie wiele myśląc, wyskakuje balkonem i śpieszy do Sevilli. Don Pedro Tenorio postępuje sobie jak prawdziwy dyplomata; oskarża księcia Oktavia o zbrodnię i sam go natychmiast aresztuje.

Tymczasem fatalna gwiazda Don Juana prowadzi nas w inną stronę. Na jednėm z wybrzeży hiszpańskich Tisbea, młoda i piękna rybaczka, siedziała z bielizną w ręku o kilka kroków od swéj chaty. Z szumem śpienionych bałwanów łączy się spokojny a dźwięczny śpiew dziewczyny, lecz nagle piosenka Tisbei urwała się, gdy przestraszone dziewczę spostrzegło dwu ludzi, którzy ze statku wpadłszy w morze, walczą z rozhukanym żywiołem. Tisbea wezwała rybaków na ratunek i Don Juan wraz ze sługą zostali ocaleni. To nagłe zjawienie się Tenoria, który niby ironia losu, przychodzi stłumić rzewną piosenkę Tisbei, przejmuje czytelnika dziwną trwogą.

Gdy Catalinon, sługa Don Juana, pobiegł po rybaków, Tenorio zemdlony został sam jeden pod opieką Tisbei... Był to „z bajki Lafontaine‘a wąż odrętwiały!“.. Na dźwięk kobiécego głosu Don Juan oprzytomniał.

— Ocknij się kawalerze!

— Gdzież jestem?...

— W objęciach kobiéty. Czy nie widzisz?..

---

(1) Latour Seville et l‘Andalousie Paris 1877 T. II. p. 102.

Wezwani rybacy zajęli się losem rozbitka, który, skorzystawszy z jednéj chwili, rzucił w czystą duszę dziewczęcia zarzewie strasznego ognia. Dziewczyna każe zanieść Don Juana do swéj chaty, a wąż ogrzany czeka niecierpliwie na ofiarę.

— Słówko—rzecze do sługi.

— Słucham.

— Gdyby cię pytała, kto jestem, odpowiadaj, że nie wiesz... Umieram z miłości dla pięknéj rybaczki—dziś jeszcze będzie moją.

Jednakże Catalinon, jakkolwiek uczestnik w ciągłych zbrodniach swego pana, przy każdym nowym wypadku oburza się na bezprawia Don Juana.

— Chcesz więc uwieść Tisbeę?..

— Wiedząc jakie jest moje powołanie (*mi condicion*) po co pytasz?..

— Wiem, że jesteś plagą niewiast.

— Umieram z miłości dla Tisbei... Piękna dziewczyna!....

— Ładny sposób opłacania gościnności!..

— Niedołęgo!.. Wszak to samo zrobił Eneasz z królową Kartaginy!..

— Wszystkie te zbrodnie przypłacisz ty kiedyś życiem.

— Kiedyś!.. to jeszcze tak daleko!. (*Que largo me lo fiais*)

— Nieszczęśliwa tu się zbliża!...

— Idź i przygotuj konie!..

W kilka godzin po téj scenie Don Juan pędził do Sevilli, zostawiwszy pogrążoną w rozpaczy nową ofiarę.

W akcie II-m spotykamy Don Juana w Sewilli, gdzie poprzedziła go już wieść fatalna o wypadku w Neapolu. Wieść ta zniszczyła plany króla, który ułożył był małżeństwo Don Juana z Anną, córką komandora Ulloa. Piękna ta dziewica, dowiedziawszy się o zamiarach króla, naznacza kochankowi swemu, Markizowi de la Mota, schadzkę w swém mieszkaniu. Na nieszczęście Don Juan list przejmuje i postanawia *wyręczyć* przyjaciela. Skoro jednak wkradł się do mieszkania Anny, został poznany, a krzyk dziewicy sprowadził ojca, który broniąc honoru swéj córki został zabity. Don Juan tymczasem, śpiesząc na wygnanie do Lebrija, staréj mieściny nad brzegami Gwadalkwiwiru, poznaje w podróży piękną Amintę, która podobnie jak inne staje się pastwą jego żądzy. Lecz miara zbrodni spełniła się. Przybywszy potajemnie do Sewilli, Don Juan z szyderstwem na ustach znalazł się wraz ze sługą przed grobowcem Komandora.

— Co to za grób?..

— Tu pochowany Don Gonzalo.

— Czy ten którego zabiłem?.. Piękny ma nagrobek!

— Król go zbudował. Lecz co to na nim napisano?...

„Najzacniejszy z rycerzów oczekuje tutaj, aż pan Bóg zemści się na jego zdrajcy.“

— Lubię żarty!.. Więc to nademną masz się zemścić starcze o kamiennéj brodzie? Czekam cię téj nocy z ucztą w mojém mieszkaniu. Tam się narąbiemy do woli, jeśli zemsta jest twém pragnieniem; szkoda tylko, że masz kamienną szpadę.

Zapomniawszy zupełnie o zaproszonym gościu wieczorem Don Juan siedział przy stole, gdy nagle ktoś do drzwi silnie zastukał. Służący pobiegł otworzyć i.. wraca oniemiały z przerażenia. D. Juan wysyła Catalinona, który przejęty trwogą woła:

— Może to uwiedzione kobiéty przychodzą mścić się nad nami.

Znaglony jednak idzie do drzwi i, drżąc ze strachu, poznaje Komandora. Wówczas Tenorio sam idzie ze światłem w jednéj ręce a szpadą w drugiéj i woła.

— Kto tam?..

— To ja!.. odpowiada głos stłumiony.

— Kto jesteś?..

— Rycerz, którego na wieczerzę zaprosiłeś.

— Wystarczy dla nas.. Siądź do stołu!..

W pośród ogólnéj trwogi, D. Juan zachowuje całą przytomność umysłu i swobodę, częstuje winem, zachęca do wesołości, rozmawia, lecz wszystkie jego wysiłki rozbijają się o lodowate milczenie Komandora, który daje wreszcie znak Tenoriowi, że chce z nim zostać sam na sam.

— Drzwi zamknięte, jesteśmy sami, mów!—rzekł D. Juan po wyprawieniu obecnych.

— Czy dotrzymasz mi słowa?...

— Jako człowiek honoru i szlachcic umiem dotrzymać słowa.

— Daj mi rękę—nie lękaj się!..

— Co ty mówisz?... Ja miałbym się lękać!.. Gdybyś był wcieloném piekłem, nie wahałbym się podać ci ręki. Masz ją!..

— Na to słowo i na tę rękę, jutro o 10 wieczorem czekam z wieczerzą. Przyjdziesz?..

— Sądziłem, że żądasz czegoś więcéj. Będę jutro twym gościem. Gdzie mam przyjść?..

— Do méj kaplicy.

— Sam?...

— Ze służącym, a dotrzymaj słowa, jak ja ci swego dotrzymałem.

— Dotrzymam. Jestem Tenorio.

— Jestem Ulloa.

— Przyjdę niewątpliwie.
— Liczę na to. Bądź zdrów.
— Czekaj, poświęcę ci.
— Niepotrzeba, jestem w stanie łaski.

Komandor oddala się, utkwiwszy wzrok swój w oczy D. Juana, który po wyjściu Ulloi stracił nagle całą odwagę i zawołał.

— Całe moje ciało potém zlane; czuję, że mi się serce w lód zamienia. Sciskał mi rękę z taką siłą, iż sądziłem, że mię spalą ognie piekielne; a kiedy mówił, jego oddech był tak zimny, jak by się z otchłani wydobywał.

Tymczasem król, mający ciągle na widoku ożenienie D. Juana, pragnie go połączyć z Izabelą, czemu też i Tenorio nie sprzeciwia się wcale; musi jednak przedewszystkiém pójść na schadzkę.

— Mamy coś jeszcze do zrobienia, rzekł do sługi.
— Cóż takiego?..
— Wieczerzać z umarłym.
— Szaleństwo nad szaleństwami!...
— Czy nie wiesz, że dałem słowo?..
— Mniejsza o to, czy go dotrzymasz. Czyż figura marmurowa może od ciebie żądać słowa?..
— Ten umarły mógł by powiedzieć głośno, żem podły!..
— Kościół zamknięty.
— Wołaj!..
— Pocóż. Któż otworzy?.. Zakrystyan zasnął.
— Stukaj do tych drzwiczek.
— Otwarte!..
— Wejdź!.. kto tam?..
— Ja!..
— Umieram—woła w przerażeniu Catalinon.
— Jestem umarły... nie lękaj się!.. Nie sądziłem, że dotrzymasz mi słowa, oszukując świat cały.
— Czy sądzisz, że jestem podły?..
— Tak!.. gdyż uciekłeś przedemną téj nocy, kiedyś mię zabił.
— Uciekłem, aby nie być poznanym; lecz oto jestem znów przed tobą. Powiedz prędko czego żądasz?..
— Żebyś wieczerzał ze mną.
— Wieczerzajmy!..
— Wprzód musisz podnieść ten grobowiec.
— Choćby nawet te filary!..
— Jesteś dzielny!..
— Odwaga jest we krwi mojéj, w mojém ciele.
— Usiądź!..

— Naczém?.
— Oto dwaj paziowie niosą krzesła.
— Siadaj—rzecze do Catalinona don Juan.
— Ja, panie, tylko co jadłem!..
— Nie sprzeczaj się!..
— Ja się nie sprzeczam. Co to za potrawa, senorze?..
— Skorpijony i gady.
— Piękne danie!..
— To nasz pokarm zwykły. Ty nie jesz?. dodał Komandor zwracając się do D. Juana.
— Jeść będę choćbyś zgromadził wszystkie żmije piekła.
— Mam także swych śpiewaków—rzekł gospodarz.
— Jakie tu wino piją—pyta sługa.
— Skosztuj!
— Ależ to nie wino, lecz żółć z octem!..
— Takie wychodzi z naszych fabryk!..
Nagle zabrzmiały śpiewy.
„Pamiętajcie wielcy grzesznicy, że każdy termin przyjdzie, każdy dług spłacić się musi"!...
— To źle—rzecze z cicha Catalinon do swego pana, zrozumiałem tę piosenkę—tu o nas idzie!...
„Nikt nie powinien mówić mam czas jeszcze, gdyż czas pokuty jest krótki."
— Już nie jestem głodny, rzekł D. Juan, każ stół sprzątnąć.
— Daj mi rękę—mówi Ulloa, czegóż się lękasz... daj mi swą rękę?...
— Co ty mówisz?.. ja się lękam?.. Lecz goreję... nie pal mię tym ogniem, który ciebie pożera.
— On jest niczém, w porównaniu z ogniem, któregoś szukał. Bóg, niepojęty w swych wyrokach, chce abyś zbrodnie swoje spłacił w objęciach trupa!.. każdy musi znaleść sprawiedliwość za swe czyny!...
— Straszny ogień mię trawi... puszczaj!. lub cie przebiję!. Napróżno uderzam w powietrze!... Jam nie zhańbił twojéj córki.. dość wcześnie odkryła podstęp!..
— Wszystko jedno, chęć wystarcza!..
— Pozwól mi wezwać kapłana, który by mię wyspowiadał i rozgrzeszył.
— Nie ma czasu; zapóźno o tém myślisz!..
— Ah!.... płonę...... umieram!...
— Nie ma środka ocalenia--rzecze sługa—umieram razem z tobą!..

Lecz grób pochłania gwałtownie D. Juana i posąg komandora a przerażony sługa ocalał.

Taka jest treść dramatu, którego wyłączny interes ogniskuje się w jednym charakterze, przeprowadzonym konsekwentnie, z nadzwyczajną wyrazistością rysów. Don Juan jestto szaleniec namiętny, nieokiełznany, odważny, lekceważący wszelkie wędzidła i prawa, żądny rozkoszy tylko i przekładający osobistość swoję nad wszelkie względy moralne i społeczne. Jego namiętność i popędy, jego kapryśna i nieujarzmiona wola są dlań najwyższém prawem, któremu poświęca wszystko, od sumienia aż do życia. Idzie on wyłącznie za instynktami nieokiełznanéj natury, gardząc i depcząc z niesłychaną dumą i bezprzykładném zuchwalstwem wszelkie przeszkody, jakiemi moralność, społeczeństwo i prawo usiłują krępować jego żądze. Lekkomyślny i nierozważny z jednakową obojętnością traktuje krzywdy wyrządzane zarówno innym jak i sobie. Ufny w swą siłę i męstwo drwi śmiało ze sprawiedliwości ludzkiéj, nie troszcząc się wcale o boską; nie dla tego, żeby nie miał w nią wiary, lecz że ją za zbyt odległą poczytuje „*Muy largo me lo fiais*"!.. To nie jest jeszcze ateusz; inkwizycya by takiego w obec publiki nieścierpiała,—jestto rozpustnik!.. Nie można go nawet zwać przewrotnym, gdyż nie grzeszy z wyrachowania, lub z zimną obojętnością zbrodniarza, lecz pod wpływem burzliwych prądów namiętności, które wciąż się ścierając w jego żyłach, pędzą go na oślep ku rozkoszy!.. To téż jeżeli dobro nie stoi w widocznéj sprzeczności z jego żądzą; jeśli może okazać dodatnią stronę swéj duszy, nie niwecząc celów do których dąży, wówczas i piękne przymioty charakteru okazać umie. Jest on nieustraszony, mężny a niekiedy i szlachetny; nieposkromiona energia jego ducha, siła charakteru, jasność inteligiencyi i ujmująca powierzchowność oto czary, które czynią tę postać sympatyczną dla Hiszpanów, mimo szpetności jéj występków.

Fantazya ludowa w ten sposób pojmuje D. Juana i takim go téż stworzył Tellez. Jako dramat, *Burlador de Sevilla* jest wadliwy, ze względu na plan sztuki i artystyczne jego rozwinięcie. Jest tu wiele epizodów i osób tak zbytecznych, że wprost utrudniają one bieg akcyi; *gracioso* szpeci niepotrzebnemi konceptami najpiękniejsze sceny, a forma nawet, zwykle u Moliny bez zarzutu, w téj sztuce nieraz szwankuje.

Jeżeli typ D. Juana, jako całość należy niewątpliwie do Telleza; to jednak sprawiedliwość przyznać każe, iż niektóre charakterystyczne rysy téj postaci, a może nawet i całą scenę z posągiem Komandora naśladował poeta z Lope de Vegi. W jednym z dramatów tego pisarza p. t. „Pieniądze są szlachectwem" (*Los dineros son Calidad*) spotykamy następującą scenę: Kiedy Oktavio, zrozpaczony

upadkiem swych nadziei, rozbija grobowiec króla Henryka, który zrujnował materyalnie jego ojca, a następnie pomimo błagalnych próśb sługi tchórza, chce zasnąć pod cieniem tych gruzów, nagle usłyszał wymówione śród westchnień, swoje imię:

— Oktavio!..

— Wołają mię!..

— Oktavio!. Oktavio!..

— Kto mię woła?..

— Przekonaj się!..

— Kto jesteś?...

— Zobacz!..

— Jakże wejdę bez światła?...

— Już jasno!..

— Serce moje wzdyma się... włosy powstają!..

— Lękasz się?..

— *Ja się lękam!.. nie zadrżałbym przed tobą, choćby ci towarzyszyło całe piekło.*

— A więc przybywaj!..

— Idę.

— Czy mię poznajesz?..

— Tak!. tak!..

— Kto jestem?..

— Hen.. Hen...

— Nie lękaj się!. mówisz przecie, żeś odważny!...

— Ja się lękam?.. drżę z gniewu! .

— Któż jestem?...

— Henryk!..

— Twój król!..

— Pocoś mię sprowadził tutaj?...

— Aby cię zabić!..

— Dobywaj szpady!.. I waleczny Oktavio, chcąc dosięgnąć Henryka, tak samo pruje mieczem powietrze, jak D. Juan, gdy chciał przebić Komandora!.. Podobieństwo, jak widzimy, jest wyraźne, jakkolwiek ogranicza się ono wyłącznie do téj sceny.

W pierwszéj połowie XVII w. wydrukowana została komedya pt. *Tan largo me lo fiais*, comedia famosa de D. Pedro Calderon de la Barca. Ponieważ jednak utwór ten nie figuruje w żadnym ze zbiorów komedyj Kalderona; przeto i Hartzenbusch nie włączył go do swéj edycyi. Za to Mesonero Romanos, w katalogu ogólnym, alfabetycznym, wydrukowanym w 2-m tomie *Dramaticos posteriores a Lope de Vega* (tom 49 wydawnictwa Rivadeneyry) przypisał powyższą sztukę, nie przeczytawszy jéj wcale, Kalderonowi.

Dopiéro w ogłoszonym przeszłego roku w Madrycie XII tomie bardzo ważnego wydawnictwa pt. *Coleccion de libros españolos raros o curiosos* oprócz dwu nieznanych dotąd tragiedyj Guillena de Castro (*La tragedia por los celos* i *Quien no se aventura)* wydrukowano także *Tan largo me lo fiais*, jako *una redaccion nueva de el Burlador de Sevilla* de Tirso de Molina. Jakoż istotnie dopiéro znakomity pisarz Manuel de Revilla krytycznie dowiódł (1) że komedya *Tan largo me lo fiais*, tak długo Kalderonowi przypisywana, jest bez żadnéj wątpliwości *waryantem* „Uwodziciela Sewilskiego."

Dramat Tirso de Moliny w rozlicznych naśladowaniach, przekładach i przeróbkach obiegł prawie wszystkie europejskie sceny, a szczególniéj włoskie, francuzkie i niemieckie. W Hiszpanii naśladował D. Juana Zamora (w XVIII w.) oraz D. Jose Zorilla i Espronceda (*El Estudiante de Salamanca*) współcześni pisarze. W Anglii Shadwell i Byron korzystają ze spuścizny po hiszpańskim pisarzu, a Mozart obleka w szatę dźwięków cudowną treść „*Burladora*," ujętą w *libretto* przez włoskiego pisarza da Ponte, podług dramatu Zamory. Gienialny Molière pozwolił sobie trzyaktowy dramat Moliny rozwałkować na 5 aktów pt. *Don Juan ou le festin de Pierre* (2). Tłómacząc błędnie *combidado de piedra*, zrobił z „gościa kamiennego" „*ucztę Piotra*" (piedra=Pierre), która będąc przeróbką tylko, jest o wiele od pierwowzoru niższą i zaszczytu Molierowi nie przynosi. To téż odgadnąć trudno, z jakich pobudek ową „ucztę Piotra" oblekł w szatę wierszowaną Tomasz Corneille, pod tym samym śmiesznym tytułem (3).

Najlepszą historyczną sztuką Tirso de Moliny jest *La prudencia en la mujer*. W braku miejsca na analizę, powiemy chociaż słów kilka o głównéj postaci w téj sztuce. Autor przedstawił tu dosadne malowidło ciężkiéj małoletności Ferdynanda IV, kiedy korona tego monarchy napastowana kolejno lub jednocześnie przez Infantów Don Manuela, D. Henryka i przez D. Diego de Haro, była broniona z taką siłą, taktem i godnością przez królową Maryą, która, młoda i piękna jeszcze, musiała bronić praw swego syna, przeciw pokusom swoich wdzięków, swéj młodości i władzy. Królowa Dona Maria była jedną z bohatérek wieków i taki téż obraz wielkiéj monarchini Tirso w swéj komedyi nakreślił. Jest ona czysta i szlachetna, rozum-

(1) La Ilustracion española y americana 1878 Octubre p. 255, 56 i 57: Noviembre 287.

(2) Oeuvres de Molière. Paris Firmin Didot 1866 T. 1 p. 449.

(3) Oeuvres choisies de Th. Corneille Paris 1839—635.

na i roztropna, mężna i politycznym zmysłem obdarzona,—a potęgą tych przymiotów wznosi z pośród ruin wywołanych stronnictwami, bezpieczny tron dla syna. Jako królowa sprzedaje miasta i wioski swego posagu, pozbawia się swych klejnotów, zastawia stroje i woli raczéj zostać biédną, niż obarczyć swoje ludy podatkami; jako żona i matka jest gotowa zrzec się korony, byle zmarłemu mężowi zaprzysiężonéj dochować wiary i ocalić miłość swego syna. Sceny od V do XI-éj w akcie II-m (1) tak ją nam właśnie przedstawiają. Interes dramatyczny w téj sztuce jest bardzo żywy, a ciekawość czytelnika wzrasta ciągle po każdéj niemal scenie.

Musimy w końcu zatrzymać się jeszcze przez chwilę nad dramatem religijnym, który hiszpanie uważają za jeden z najbogatszych klejnotów swego narodowego teatru („*une de las mas ricas joyas de nuestro teatro nacional*, mówi Revilla) i w którym, podług wyrażenia Latour'a „myśl abstrakcyjna oblekła się w ciało" (2). „Potępiony dla braku wiary" (*El condenado por desconfiado*) jest sztuką na wskróś religijną, w duchu wierzeń dogmatyczno-teologicznych katolicyzmu, panującego w owym wieku tak wszechwładnie. Jestto rodzaj ewangielicznéj paraboli, napisanéj dla uprzystępnienia narodowi *problematu usprawiedliwienia* i *łaski*, będącego wówczas szrankami, w których z największą zaciętością ścierały się sprzeczne wywody katolików i protestantów. Ci ostatni twierdzili, że człowiek sam siebie usprawiedliwia przez wiarę; katolicy zaś utrzymywali, że wiara bez czynów nic nie znaczy, zarówno jak czyny bez wiary i że dla usprawiedliwienia człowieka oba te elementy zjednoczyć się muszą.

Otóż *El condenado por desconfiado* jest dramatem przeciwko protestanckiemu dogmatowi wymierzonym. Wiara w wyroki opatrzności nie zbawiła Pawła; miłość synowska i żal szczery otwierają natomiast bramę zbawienia dla Henryka, bandyty. Tamten, będący widocznie personifikacyą kalwińskiego dogmatu, wierzy jedynie w predestynacyą i arbitralnym wyrokom opatrzności powierza zbawienie swoje lub niełaskę; Henryk zaś w miłosierdziu boskiém posiada najzupełniejsze zaufanie. Dla Pawła wolna wola jest czczém słowem, a czyny dobre rzeczą w zupełności niepożyteczną. Bóg mu powiedział, że los Henryka będzie jego losem i obietnica ta zadawalała go w zupełności. Jeśli Henryk będzie zbawiony—i on także, chociażby, życie jego było jedném pasmem zbrodni; jeżeli tamten zasłuży na

(1) Bibl. d. aut. espan. loc. cit. p. 294, 295 i 296.

(2) Etudes litteraires sur l'Espagne contemporaine. Paris 1864 p. 374.

potępienie i on potępiony będzie, bez względu na największe cnoty swego życia.

Myśl tę zasadniczą rozwija Tirso w akcyi żywéj, interesującéj i podniosłéj, a abstrakcyjność idei głównéj nie zmniejsza dramatycznéj siły i ludzkiego interesu téj sztuki. Paweł wprawdzie jest więcéj personifikacyą surową i abstrakcyjną niżeli realnym charakterem, lecz Henryk—to postać pełna życia, prawdy i sympatyi. Bandyta ów, który przy zbrodniach swego życia pielęgnuje, niby klejnot kosztowny, najszczytniejszą jaka być może miłość synowską; ów człowiek straszny, poświęcający wszystko wraz z życiem dla starego, sparaliżowanego ojca, którym opiekuje się jak najtroskliwiéj z czułością prawdziwie kobiécą i z najgłębszém dziecięcém uszanowaniem; ów zwierz dziki o ludzkiéj twarzy, który drży, upokarza się i poddaje w obec błagań bezsilnego starca, a przez szacunek dla siwizny swego ojca, odczuwa piérwszy raz w życiu drgnienie szlachetne, które go zmusza do wyrzeczenia się zbrodni,—jestto jedna z potężniejszych i najbardziéj ludzkich kreacyj hiszpańskiéj literatury.

Gruntowną analizę téj sztuki napisał August Duran (1).

W ostatnich czasach powstała wątpliwość co do autorstwa téj sztuki. D. Luis Fernandez Guerra y Orbe w ciekawéj monografii swéj o Alarconie, opiérając się na podobieństwie „Potępionego dla braku wiary“ do „Antychrysta“ (*El Anticristo*) Alaveona, przyszedł do wniosku, że ten właśnie pisarz jest autorem obu dramatów. Przypuszczenie to skłoniło Emanuela Rewillę do głębszego zbadania kwestyi, która ostatecznie rozstrzyga się podług niego na korzyść Lope de Vegi. Porównawszy dramat tego pisarza *El remedio en la desdicha* (Lekarstwo w nieszczęściu) z *El condenado por desconfiado*, wydrukowanym o 15 lat późniéj (2) znajduje w tym ostatnim całe ustępy żywcem z tamtéj komedyi pożyczone. Ponieważ zaś w przekonaniu hiszpańskich krytyków Tirso de Molina nie dopuszczał się nigdy plagjatów; przeto Revilla konkluduje, że *El condenado por desconfiado* jest dramatem Lope de Vegi, który mógł był, przy takiém mnóstwie swych utworów przeflancować wypadkowo czy rozmyślnie parę motywów jednéj sztuki do innéj. Że zaś, dzięki okolicznościom, któreśmy na wstępie przytoczyli, mogła się była interesująca nas obecnie sztuka, wcisnąć do drugiéj części dzieł Tirso de Moliny bezzasadnie,—o tém przekonywa nas komedya *La mujer por fuerza*,

---

(1) Bibl. d. aut. espan loc. cit. 270 i nast.

(2) La Ilustracion española y americana Junio 1878 411 i inne.

która, jakkolwiek umieszczona pierwotnie między utworami Moliny, okazała się w końcu dziełem Vegi.

Współziomek, uczeń, przyjaciel i naśladowca Lope de Vegi, Tirso de Molina, przejąwszy się ściśle zasadami swego mistrza, wziął także rozbrat z klasycznemi regułami, a idąc za prądem wieku, zabawę i rozrywkę publiczności miał na celu. Malował on żywemi barwami społeczeństwo owego wieku, nadając wszystkim swoim utworom tło satyryczne. Mężczyzni są w ogólności u Telleza bojaźliwi, słabi i poddani płci pięknéj, podczas gdy kobiéty charakteryzuje jako stanowcze, intrygantki i gwałtowne we wszystkich namiętnościach, które się na dumie a próżności opiérają. Zdawałoby się z pozoru, że zamiarem poety było przedstawienie kontrastu flegmatyczności i niezdecydowania jednych z gwałtownością i wytrwałym uporem drugich. Przeważna więc liczba sztuk Telleza grzeszy podobieństwem fabuły, która przedstawia się zwykle w następujących dwu kombinacyach. Księżniczka lub w ogóle dama wyższego świata kocha się na zabój w eleganckim, ale biednym rycerzu, robi go swoim sekretarzem, a pogardziwszy trzema lub czterema książętami, którzy się o jéj rękę ubiegali, naznacza kochankowi nocną schadzkę w swym ogrodzie. W drugiéj kombinacyi spotykamy zwykle wieśniaczkę prawdziwą czy przebraną, która biegnie w świat sama za *złodziejem swego honoru* (*robador de su honestidad*) a dzięki intrygom, sprytowi i miłości zwycięża wszystkie przeszkody i zmusza lekkomyślnego kochanka do naprawienia małżeństwem swego błędu.

Żaden z poetów hiszpańskich nie opisywał z takiém upodobaniem sieci miłosnych, jakie płeć słaba zostawia na silniejszą, by ją ujarzmić; tak że upodobanie to zmusza Telleza częstokroć do przekroczenia granic przyzwoitości i wstydu, do przewracania uczuć moralnych w prosty handel próżności i rozpusty, a wreszcie do odarcia miłości z wszelkich iluzyj i przedstawiania jéj widzom obnażoną i bezwstydną. Wprawdzie czasy Filipa III i IV nie należą pod względem obyczajów do nieskalanych, lecz w każdym razie kobiéty owéj epoki miały przecież pewną dumę szlachetną i wstyd niewieści; a historya tego wieku nie świadczy bynajmniéj, żeby *los matrimonios se consumasen antes de su celebracion*, jak to się u Tirso de Moliny tak często praktykuje.

Jeżeli kochankowie, mówi Lista, nie byli wierniejsi i stalsi jak dzisiaj, to jednak jest rzeczą niewątpliwą, że wierność była w oczach tego wieku nie uprzedzeniem, lecz cnotą, a stałość nie śmiesznością, lecz zasługą.

Lekceważenie płci nadobnéj przebija się u Telleza prawie wszędzie.

— Biédny ten honor—mówi król w „Uwodzicielu"; jeżelić jesteś duszą mężczyzny, to pocóż umieszczono cię w kobiécie niestałéj, która jest uosobieniem lekkości.

— Najwierniejsza żona, mówi w tejże sztuce Oktavio, jest zawsze kobiétą tylko.

— Czy to twoja żona, pyta w inném miejscu Don Alonzo (1).

— Kocham ją więcéj jeszcze niż w pierwszym dniu naszego związku.

— Jesteś piérwszym kochankiem, który, najadłszy się do syta, wstaje od stołu głodny. Dzisiejszy sposób kochania przypomina, przyznasz, pocztylijonów w karczmie; wypija się kieliszek i... jazda!.. Miłość umiéra z niestrawności, gdyż jako dziecko grzeszy obżarstwem!...

— Szaleniec, kto wierności kobiét ufać może!.. woła D. Vicente w wieśniaczce z Vallecas.

— Myślisz o kobiécie? pyta D. Gabriel w téj saméj sztuce.

— Nie zwykłem poświęcać czasu na błahostki odpowiada zapytany; o poważniejszą rzecz tu idzie.

Że poeta przedstawiał kobiéty w przesadnie ujemnych kolorach, widzimy z wystąpienia Calderona, który wprowadziwszy na scenę damy tak idealne i romantyczne jak u Vegi, stał się panem teatru i widzów, a utwory Telleza, nie harmonizujące widocznie z moralnemi potrzebami epoki, w absolutném pogrążył zapomnieniu.

W ogólności takie dodatnie typy kobiét jak królowéj w *Prudencia en la mujer* lub Estela w *Pruebas de amor y amistad*, gdzie poeta przedstawia miłość czystą, bezinteresowną i szlachetną, należą u Telleza do wyjątków.

Tirso de Molina nie zawsze był dość skrupulatny w wyborze treści do swych utworów, zdarzało mu się dość często kopiować samego siebie, a niezbyt rzadko sięgać nawet i po cudze, jakkolwiek hiszpańscy krytycy, jak to wspomnieliśmy wyżéj, starają się odwrócić od niego ten zarzut.

Dwie zazdrosne o siebie siostry spotykamy np. w kilku sztukach (*Amor y celos hacen discretos*; *Marta la piadosa; No hay peor sordo itd.*). Koniec sztuki *La celosa de si misma* jest powtórzeniem motywów, użytych już w *La Villana de Sagra*. Piękna komedya *Palabras y plumas* jest plagiatem sztuki Lope de Vegi pt. *Las flores de Don Juan*. *Menechmów* Plauta przeżuwa Tirso aż dwa razy (*La celosa de si misma* i *El castigo del penseque*) itp.

---

(1) Prudencia en la mujer.

Wartość dramatycznych sztuk Moliny zasadza się, nie na kunsztowności planu, oraz ekonomicznéj ich jednolitości, lecz na różnobarwnym nagromadzeniu sytuacyj, żywotnéj sile charakterystyki, świeżości obrazów, głębokości dowcipu i poetycznym blasku świetnéj dykcyi. Siłą komizmu przypomina Plauta, śmiałością gryzącéj ironii Beaumarchais'go a plastyką kilku udatnych typów (*Dworak bojaźliwy*, *Marta dewotka*) toruje drogę Alarconowi i Morecie do wytworzenia komedyi charakterów. Naturalność stylu, śmiałość zwrotów, harmonijność wersyfikacyi, bogactwo rymów, niezwykła żywość dyalogu i zjadliwy humor (*sal picante*) oto wybitniejsze cechy zewnętrznéj szaty prać Moliny. Tirso jest czarodziejem, który najrozmaitsze postacie przyjmować umié; zaledwie zdaje nam się, żeśmy właściwą jego fizyognomią odgadnęli, już nam się zaraz innym przedstawia; blask jego poezyi zmienia się nieustannie w tęczowéj grze kolorów, utrudniając krytyce zajęcie analitycznego stanowiska. W satyrycznych wycieczkach swoich Tellez nie oszczędza wcale zarówno nieba jak ziemi, lecz wszystkie rany, jakie zadaje, stara się łagodzić słodkim balsamem swéj poezyi. Śmiałość jego napadów na możnych tego świata, na dwór i dworaków, na księży i mnichów jest w hiszpańskiéj literaturze jedyna, tak, że w istocie bardzo się można dziwić téj swobodzie sceny w obec wszechwładnéj potęgi inkwizycyi (1). „Pomimo monotonnéj a częstokroć dziwacznéj treści sztuk Telleza mówi Duran, kto je tylko widział raz jeden, pragnie je widzieć i powtórnie, gdyż autor takiém bogactwem środków dramatycznych rozporządza, że widz olśniony rażące nieraz usterki przebaczyć musi.“

Julijan Adolf Święcicki.

(Dokoń. nast.)

---

(1) Schack loc. cit. 565.

KONIEC RADZIEJOWSKIEGO,

ROK 1704—5.

(Dokończenie.)

Jesień roku 1704, zima 1705, kiedy August opuściwszy Polskę, wyjechał na dłuższy czas do Drezna, jest, rzecz dziwna, mimo wypadku z wojewodą łęczyckim, mimo zniszczenia dóbr prymasa, czasem najzabieglejszych starań Augusta i jego stronników około pozyskania osoby Radziejowskiego. Drzwi mieszkania Radziejowskiego w Gdańsku nie zamykają się prawie przed nimi. Prymas, jak przypominamy raz jeszcze, jest istnym symbolem prawowitości polskiéj. Chodzi obu stronom o zdobycie ostateczne i trwałe pozyskanie jego osoby.

Cóż zaś za długi szereg owych pracowników interesu Augustowego! Na czele stoją podskarbi korony Przebendowski wraz z sekretarzem swéj ambasady Franciszkiem Ossolińskim starostą Drohickim i nuncyuszem papiéskim Vidonim. Mniéj pokaźną, ale czynniejszą może jeszcze rolę odgrywają w tém samém dziele Bokum biskup przemyski nominat krakowski, Anna Małachowska owdowiała wojewodzina poznańska (1), Krzewski wojewoda Malborski, wreszcie świeżo nawróceni na wiarę Augustowego interesu w. hetman koronny Lubomirski i brat jego oboźny. Między wskazanymi co dopiéro osobami a prymasem, odbywa się nieustanna komunikacya, a jednym z najsprawniejszych agentów nominata krakowskiego i w. hetmana koronnego jest niejaki ksiądz Jałowiecki (2). Przywieziony przezeń

(1) Archiwum kopenhagskie. Liczne listy barona Iessena posła duńskiego do króla Fryderyka IV, z Krakowa, z miesięcy Października i Listopada roku 1704.

(2) Rękopism poznański. List nominata krakowskiego do prymasa z Października roku 1704.

do Gdańska w Październiku 1704, list nominata krakowskiego rzuca charakterystyczne światło na ówczesny stan, warunki i szczegóły owéj negocyacyi. Ksiądz Jałowiecki jedzie z ramienia w. hetmana koronnego; patronami zgody nuncyusz Vidoni i podskarbi Przebendowski wśród zaręczenia łaski papiéskiéj. List nominata krakowskiego tłómaczył prymasowi namawianemu usilnie do zgody z Królem, iż w. hetman koronny myśli również o podobnéj zgodzie, że interes jest bliskim ukończenia a że ma być nie tylko *saluterimum patriae*, ale co ważniejsza jeszcze dla ocenienia charakteru epoki *i prywatnym interesem Pana Krakowskiego.* Donosił przy téj sposobności nominat krakowski prymasowi, że mu radzi czém prędszą zgodę z królem, bo tego czeka tylko hetman; dodaje jednakże biskup, iż lepiéj pono będzie, skoro zgoda hetmańska *wprzódy* nastąpi, „bo *praevided*, że na reassumacyą rady *pro die 12 Novembris manet summa dies* na honory, na substancye y na dalsze nadzieje jakiejkolwiek potém rekoncyliacyi.“ Tak to wypływała i w tych intencyach zgody panów polskich z zakłopotanym królem *pryvata* jako jedynie prawdziwy i rzeczywisty czynnik.

Ksiądz Jałowiecki jeździł z polecenia nominata krakowskiego dwa razy w ciągu miesiąca Października 1704 do Gdańska, starając się prymasa na dzień 12 Listopada, jako na oznaczony przez króla termin rady sprowadzić do Krakowa. Prymas i hetman byliby w takim razie obaj razem złożyli akt submisyi.

Drugi raz towarzyszył księdzu Jałowieckiemu sam hetman (1). Prymas jednakże odprawił ich w gruncie rzeczy z niczem, a dzieje owéj bezpłodnéj konferencyi skreślił nominatowi krakowskiemu we własnoręcznym liście z dnia 4 Listopada 1704. Jak dawniéj uwięzienie Towiańskiego, tak teraz znów spustoszenie dóbr i rabunek majętności, szkoda osobista indentyfikowana ciągle z krzywdą kościoła, figurują jako argument prymasowéj odmowy. „Pałace wszystkie zdezolowane, dobra spustoszone, depozyta pozabierane, samym nawet Świętym Pańskim *non indultum*, o które choćbym inszéj nie miał mocy, jako piérwszy kapłan ujmować się powinienem. Co tu już daléj za *securitas* w Królestwie, kiedy nad kościoły *profani jecerunt manus*. Co za *immunitates* dóbr szlacheckich, którą przodkowie nasi *cum sanctuariis Dei* porównywać chcieli.“ Po skargach na spusto-

---

(1) Rękopism Biblioteki Ossolińskich. Libellus Collectorum Variorum manuscriptorum. Ex libris F. M. de Tenczyn Ossoliński, Lunevillae die 12 Septembris 1741. — List prymasa do nominata krakowskiego z Gdańska 4 Listopada 1704. „Drugi raz zaś przyjechał (ks. Jałowiecki) i gdy zaczął był coś traktować in praesentia Imci Pana krakowskiego“ i t. d.

szenie Łowicza i Radziejowa przez Sasów, ciągnął prymas daléj: „Nie moja zatém, ale całéj Rzeczypospolitéj *et legum publicarum* jest uraza, którą wprzód *reconciliare* trzeba, aniżeli moją osobę.“

Odmawiając stanowczo przybycia na dzień 12 Listopada do Krakowa, kończy prymas uwagą: „*Inter alia* temu mi najbardziéj śmieszno, że W. Pan życzysz *ad amplexum* Króla Imci *sine mora festinare* a ja tu jednym cugiem po bruku jeżdżę, bo mi drugie wszystkie Sasi w Tygenhoffie pobrali. Nie nauczyłem się zaś pieszo *et sine comitatu* służyć, ani téż *testudo properare* może. Taką tedy dawszy rezolucyą W. Panu względem Imci Pana Krakowskiego, *iż wedle interesów moich postępować będę*.“ Odpowiedź ta dotrzymała istotnie swéj końcowéj obietnicy. Kiedy hetman w. koronny Hieronim Lubomirski pragnący tak niesłychanie i tak natarczywie dostać do swéj kompanii prymasa, składał w dniu 12 Listopada przed ołtarzem kościoła Panny Maryi w Krakowie ze łzami w oczach (1) akt submisyi królowi Augustowi, pozostał prymas nadal w swém ustroniu gdańskiém, nie przestając być celem zabiegów tak jednéj, jak drugiéj z wojujących stron. Nadaremną mianowicie pozostała ostatnia jeszcze próba w. hetmana koronnego, uczyniona w kilkanaście dni po jego akcesie do Augusta, próba nosząca, jak wszystko w owéj epoce, cechę najpoziomszéj prywaty. Syn wojewodziny łęczyckiéj, tak bliski sercu prymasowemu Krzysztof Towiański, był jak wiadomo, ożeniony z hetmańską córką. Lubomirski uderza tedy w stronę owego stosunku, byle tylko z prymasa uczynić współtowarzysza własnego nawrócenia politycznego. Oświadczywszy w liście z Krakowa dnia 23 Listopada 1704 (2), że uczynił akces do króla Augusta ze względu na intencye wojska, które nie chciało odstępować króla i Rzeczypospolitéj, przedstawiwszy mu daléj jak dalece nuncyusz Vidoni rozżalony obecną jego postawą, kończy hetman swój list prośbą do prymasa, by pozwolił młodemu Towiańskiemu w przeciągu czterech tygodni przystąpić do Augusta, „*dla konserwacyi interesów jego*,...“ „abym miał konsolacyą widziéć go z córką moją na téj stronie, którą z dyspozycyi rzeczy wojskowych *pro conservatione osoby mojéj* przedsięwziąść mi należało.“ I ten list hetmański nie zdołał jednakże wyprowadzić prymasa z jego biernéj roli. Przypatrzmy się teraz usiłowaniom Stanisławowym i szwedzkim około osoby prymasa, schodzącym się nadto ze staraniami i prośbami szlachty, przedewszystkiém

---

(1) „Mit thränenden Augen,“ pisze o hetmanie naoczny świadek téj ceremonii poseł duński Jesseu.

(2) Rękopism poznański.

wielkopolskiéj. Jeżeli August sprowadzeniem prymasa do swego boku, pragnie pozbawić stronę przeciwną posiadania podobnego symbolu prawowitości polskiéj, zasypują go Stanisław Leszczyński i Karol XII z leż zimowych Rawickich, z roku 1704 na 5, istnym rojem agentów w dwóch celach, po piérwsze, starając się uprosić prymasa o ukoronowanie neo-elekta, po drugie, usiłując namówić go do zwołania nowéj walnéj rady całéj Rzeczypospolitéj do Warszawy. Tyle dumny a lekceważący czasem prymasa, Karol XII traktuje z nim od czasu królewskości Stanisława, niemal jak z osobną potęgą. Jeszcze podczas marszu swego z Rusi ku Warszawie, dnia 6 Października 1704, (1) przesyła mu list powinszowalny, że uszedł szczęśliwie niebezpieczeństwa grożącego mu w Warszawie, a że on sam, król szwedzki, rusza przeciw nieprzyjacielowi. Późniéj nieco, po oswobodzeniu Poznania od oblężenia i zwycięztwie pod Poniecem, skreśla król szwedzki prymasowi w liście ze Wschowy pod dniem 11 Listopada 1704 (2) pochód swój z nad Wisły nad Odrę, szereg swych powodzeń i wyprawia z tym listem do Gdańska, wypróbowanego zwolennika Stanislawowéj sprawy w Wielkopolsce Ludwika Górzeńskiego. W listach z Rawicza dnia 1 Lutego 1705 do prymasa i Bronisza usiłuje obu skłonić do popierania swego interesu, wystawiając im korzyści wyniesienia na tron Leszczyńskiego, i traktatu przymierza między Szwecyą a Polską. Wszystkie te listy Karola kończą się regularną inwokacyą, by prymas przystępował czém prędzéj do podjętego przezeń dzieła, by poparł swym akcesem prawowitość nowéj królewskości Leszczyńskiego. Stefan Urbanowski sekretarz Leszczyńskiego, wspomniany co dopiéro Górzeński, niejaki Baranowski, Kaweczyński podkomorzy Chełmiński, otóż osobistości, które co chwila widzimy przybywające w owym czasie do Gdańska z poleceniami Stanisława i jego szwedzkiego protektora. Również naliczyćbyśmy mogli mnóstwo listów biegających w tymże samym czasie między nimi a prymasem. Dodać jeszcze do tego grona gorliwych i częstych około osoby prymasa należy wysłańców wielkopolskiej szlachty, która obojętna dość na prawne tytuły obu królów, kłopoce się jedynie o swe majątki, stęka pod ciężarami wojennemi, pragnie pokoju a przesądnie może nieco, uważa za jedynego skutecznego pośrednika, *prymasa.* Często naówczas odbywające się sejmiki połączonych województw kaliskiego i poznańskiego w Srodzie, wyprawiają to pana Alexandra Gurowskiego miecznika poznańskiego, to pana

---

(1) Rękopism Biblioteki Ossolińskich.

(2) Rękopism poznański.

Bardzkiego, to innych, do prymasa „dla obmyślenia środków połączenia Rzeczypospolitéj,“ lub do marszałka Bronisza „z podziękowaniem za podjęte trudy.“ (1) Raz po raz pojawi się w Gdańsku u prymasa Sapieha podskarbi litewski, generał szwedzki Meierfeld, angielski poseł Witworth, sam król Stanisław wreszcie w ciągu zimy roku 1705 po odwiedzinach matki i żony w Braunsbergu (2). Prymas nie pokazuje im jednakże pogodniejszego oblicza, aniżeli emisaryuszom Augustowym, pisze listy dość lekceważącéj treści do neo-elekta, a tymczasem stara się, jak widzimy, pokryć swe straty za pomocą szczodrobliwości Augustowych przeciwników. Pod tym względem znajdujemy we współczesnéj korespondencyi prymasa charakterystyczne i ciekawe wskazówki. List swój do Leszczyńskiego z Gdańska dnia 4 Listopada 1704, kończy bezceremonialnie następnym frazesem: „Sam przyjeżdzać y wdać się tak głęboko nie mogę w konfederacyę *si mal soutenue*. Zamilczam o sobie, który *supra humanum patior* a mógłem być nie tylko kontent, ale y szczęśliwy *par les grands avantages*, *que N* (August) *on m'offre réels*. Od króla zaś szwedzkiego dotąd *mirrha* tylko y kadzidło, *in publicum* zaś miliony *super folium*, *quod vento capitur*“ (3). Wymawiając się zręcznie Karolowi XII, wśród skarg na zniszczenie dóbr i uwięzienie wojewody Łęczyckiego, od wszelkich żądanych przezeń usług politycznéj natury, jest za to bezogródkowo natarczywym, istnie po swojemu, w materyi pieniężnéj. „Pani Towiańska,“ pisze w liście z dnia 22 Listopada 1704 (4) do neo-elekta, „spodziewała się usłyszeć coś pocieszającego o mężu, *ja sam o spłacie długu 38.800 talarów*, których termin minął z dniem 24 Października... W liście W. K. Mości, jako y króla Imci szwedzkiego, nic więcéj nie czytamy, tylko *pro dote triumphos*.“

Niezrównany prymas! Cóż go mogą obchodzić tryumfy szwedzkie i Stanisławowe, kiedy mu trzeba pieniędzy.

Karol zdobywa się wreszcie na zrozumienie potrzeby Radziejowskiego, a wzywając go ponownie w liście 22 Listopada (v. s.) z Rawicza do Warszawy, donosi mu, że mimo zakłopotania skarbu szwedzkiego, wysłał mu za pośrednictwem kanclerza Pipera weksel

---

(1) Biblioteka Smiełowska. Volumen zawierający lauda sejmików średzkich od r. 1704—9.

(2) Archiwum drezdeńskie. Volumen betreffend die Arretirung des General-Lieutenants Johann Reinhold von Patkul. Dalej rękopism Biblioteki Ossolińskich. List z Gdańska 5 Lutego 1705.

(3) Rękopism Biblioteki Ossolińskich.

(4) Rękopism poznański.

na pokrycie kosztów jego podróży (1). I ten, tyle wymowny zwykle u prymasa argument, nie zdolny go przecież wyrwać ze stanu spokoju i neutralności, a jak dotąd, tak i później pozostaje przedmiotem ciągłego targu pomiędzy obu wojującemi stronami. Prymas przecież, jak się przekonamy niżéj, nie ma jeszcze bynajmniéj zamiaru pożegnać się stanowczo z wszelką rolą i działalnością polityczną, ale postanawia widocznie wyczekać stósownego dla swego wystąpienia *momentu*. August jest mu, pominąwszy przeszłość, wstrętnym przez świéży fakt uwięzienia wojewody łęczyckiego wyzyskany naturalnie szeroko ze strony jego małżonki, przez zniszczenie i zrabowanie majętności prymasowych. Królewskość Stanisława nie przedstawia mu warunków trwałości, Karol nie daje dosyć pieniędzy; ostatecznie woli tedy pozostać na uboczu, czekając co zmiana okoliczności przyniesie. Streśćmy ewolucye polityki obu stron odbywające się przez kilka miesięcy następnych około jego osoby. Przedewszystkiém rozpatrzmy się w ogólnéj, ówczesnéj fizyonomi wielkiéj widowni polityczněj i wojennéj. Nie ma pewnie w całym zawodzie wojennym bohatérskiego króla szwedzkiego chwili gnuśniejszéj, bezczynniejszéj od owych długich leż zimowych Rawickich z roku 1704 na 5. Nie inaczéj dzieje się z jego przeciwnikiem Augustem. Król szwedzki odbywszy pospieszny marsz z pod Lwowa przez Warszawę ku Wielkopolsce, przepłoszywszy i rozpędziwszy na cztéry wiatry Sasów wraz z posiłkującemi ich wojskami Piotra, doznawszy zaledwie od dzielnego Schulenburga tuż nad granicą szląską pod Poniecem poważniejszego oporu, osiadł sobie w Rawiczu, sprowadzając do pobliskiéj Rydzyny króla Stanisława. Tu i ztąd pracuje, wśród zupełnéj bezczynności wojennéj, nad utrwaleniem i ustaleniem swego politycznego dzieła w Polsce, przez nadanie prawnych podwalin królewskości Leszczyńskiego. Cały szěreg sredzich *laudów*, uchwalonych na połączonych sejmikach dwóch województw, w sprawie podnoszenia chorągwi i wybierania podatków na rzecz Stanisława, jest piérwszym owéj pokojowéj pracy rezultatem. W wolnych od Szweda województwach małopolskich widoczniejszym wpływ elementów Augustowych, Bokuma nominata krakowskiego, obu świéżo nawróconych Lubomirskich, wyczekujących niecierpliwie powrotu królewskiego.

---

(1) Rękopism poznański. „Quamvis vero longinquae expeditionis sumtus aerarium nostrum non parum attenuasset, netamen necessitatibus Eminentiae Vestrae subsidium omne detraheretur, jam litteras cambii mittere voluimus in aliquod praesentis temporis levamentum. Reliqua, quae Eminetiae Vestrae usui alicui ac solutio esse poterunt, senatori nostro domini Comiti Piper, ut larglus praevideret, in mandatis dedimus."

Na Litwie zwykłe harce między związanymi ze Szwedem Sapieżyńcami a trzymającymi stronę Augustową Pociejem i Wiśniowieckimi. Raz po raz przerwie jaka krwawa burda ów zimowy spokój. W Lutym r. 1705 (1) uderzają chorągwie młodego starosty Spiskiego, Teodora Lubomirskiego (syna znakomitego Stanisława) na przeszkadzających mu w kwaterunku Sasów. Przychodzi do walki między wojskami nibyto sprzymierzonymi i nibyto jednemu i temu samemu panu służącemi. Wyraźny dopiéro, jakoby między osobnemi zwaśnionemi z sobą mocarstwami, zawarty traktat kładzie koniec zatargowi w owym odległym zakątku Podgórza krakowskiego.

Król August tymczasem, przyzywany nadaremnemi poselstwami swych stronników do Polski na radyi zjazdy z odraczanemi ciągle terminami, przesiaduje uparcie w Saksonii. Rozkoszuje z hrabiną Cosel, wyprawia Karusele i maskarady w Dreznie, bawi się na jarmarku w Lipsku, chroni się z wybrańszem gronem biesiadników i współhulaków do Moritzburga, tymczasem tęskni za pokojem i podejmuje negocyacye z Karolem XII za pośrednictwem będącego w niewoli saskiéj Arweda Horna. Otóż w najgłówniejszych zarysach obraz czasu od miesiąca Listopada 1704 do miesiąca Kwietnia roku 1705, epoki wojennego wypoczynku, bezpłodnéj dyplomatycznéj akcyi i intryg z podstawnym tylko wszędzie i dosłyszalnym akordem wyrzekań i biadań kraju na straszliwe ciężary wojenne, którym chwilowa przerwa samejże akcyi wcale końca nie kładzie.

Prymas Radziejowski wiedzie bezczynny żywot wśród podobnego położenia rzeczy na uboczu swego obserwatoryum gdańskiego, wśród odbiérania nieustannych wizyt reprezentantów obu stron, wśród, licytacyjnych targów około swéj osoby. „Pójdź do nas i ukoronuj Leszczyńskiego;“ „zostań przy mnie i nie dawaj sankcyi uzurpowanéj królewskości;“ „wracaj do kraju i ratuj nas jakąbądź sztuką w naszéj biedzie!“ Otóż krótko streszczony sens moralny akcyi i intencyi trzech polityk, szwedzkiéj, Augustowéj i szlacheckiéj, zbiegających się i krzyżujących na przemian około osoby Radziejowskiego. Obserwują tymczasem wszelkie jego kroki, znajomi nasi: radzca Werner z ramienia króla pruskiego, agent saski Stenzel ze strony Augustowéj.

Od Lubomirskich i nominata krakowskiego pracujących dla Augusta, pojawi się od czasu do czasu znów może jaki ksiądz Jałowicki

(1) Rękopism biblioteki Ossolińskich. List z Gdańska 5 Lutego 1705: „Zaś Imć Pan starosta Spiski drobantów króla Imci Augusta rozgromił, 30 pojmał, 2 rotmistrzów, y kotly, y trąby srebrne wziął y chorążego sam personaliter miał zabić. Co y przeszła krakowska poczta confirmavit.“

lub wojewoda Malborski Krzewski; od szlachty i Leszczyńskiego czy króla szwedzkiego znów bądź to p. Urbanowski, Górzeński, Kaweczyński, lub Baranowski, generał Meierfeld lub podskarbi litewski.

Przebendowski woła tymczasem, (1) w zamiarze pozyskania prymasa dla sprawy Augustowéj, rozpaczliwie niemal w każdéj swéj depeszy do króla, by przecież wypuścił z pod swego klucza nie potrzebny sobie wielce zastaw w osobie wojewody Towiańskiego, bez czego o zgodzie z prymasem ani mowy być nie może. Strona Leszczyńskiego i Karol XII zaopatrują, o ile im na to środki pozwalają, pieniężne potrzeby prymasa, a zasypują go hojniéj nierównie oświadczeniami grzeczności.

On sam tymczasem, gniewny na Augusta, podtrzymywany w gniewie przez wszechwładną przy swym boku intrygantkę, poczuwa się raz jeszcze, już blisko końca swego żywota, na wysokości swéj rozjemczéj roli, trzyma w swym ręku talizman prawowitości polskiéj, stuka, by się obrazowo wyrazić, palcem o palec, niepewny i wahający się, na którą szalę wagę wpływu dorzucić..., *August* czy *Karol*, *Karol* czy *August*...

Istotnie, była to znów chwila, gdzie decyzya prymasa, właśnie w swym niezaprzeczalnym charakterze symbolu prawowitości polskiéj, mogła zaważyć w ówczesnych losach narodowych. Czegóż, zapytaliśmy, trzeba narodowi w epoce owego strasznego zamętu, nie tyle jeszcze burzy wojennéj i klęsk zewnętrznych, ile umysłów i charakterów? — Jedności dróg i celów. *Niechaj wiem, kto mój wróg a kto mój przyjaciel*, woła naówczas kłopotliwie naród. Skupić, zjednoczyć Polskę około jakiegobądź naówczas, czy to Augustowego, czy Stanisławowego, byle tylko zbornego i wspólnego sztandaru, znaczyło wydobyć ją do połowy z toni, wyprowadzić na suchy i bezpieczny brzeg. Miał prymas taką sposobność, trzymając się niezachwianie strony Augustowéj, w roku 1703 podczas sejmu lubelskiego. Wina niepowodzenia ówczesnego spada na Augusta, który niepolitycznem postępowaniem zraził go i zniechęcił sobie.

Druga taka sposobność, wśród odmiennych wręcz kombinacyj a wśród warunków powodzenia bardzo, prawda, zmniejszonych, nastręczała się obecnie, w zimie z roku 1704 na 5. Prymas rozumiał, jak widzimy z jego listu do papieża, wagę przymierza szwedzkiego dla Polski, niebezpieczeństwo grożące Polsce od sprzymierzeńca Au-

---

(1) Depesze jego w archivum drezdeńskiem. Volumen: Den Polnisch-Schwedischen Krieg betreffend. Was hierinnen der Kronschatzmeister von Prebendow negociiret 1705.

gustowego. Nie zbywało mu na jasnowidzeniu polityczném, nie zbywało na trafności oka. Być może, iż pochwycenie podobnéj chwili, iż stanowcze przerzucenie się na stronę Karola i Leszczyńskiego z jawném i wyraźném wyłuszczeniem powodów, byłoby pociągnęło naród i sprowadziło go nareszcie do upragnionego, wspólnego mianownika, na ten raz około osoby Leszczyńskiego. Prymas był przecież człowiekiem rozumu, ale nie był człowiekiem ani szybkich decyzyj, ani charakteru. Zamiast szybko i stanowczo działać, wolał pozostać w swéj dwuznacznéj, wyczekującéj roli, a odtąd pozostaje badaczowi owéj tragicznéj epoki zamiast tego, coby *chciał*, zapisać niestety tylko to, co się *działo* i *stało*. Wiosna roku 1705 wskazuje obok nieustającéj około osoby prymasa akcyi Augustowéj, stan coraz to zabieglejszych i natarczywszych w tym samym celu zachodów Karola XII i Stanisława Leszczyńskiego. Karol XII wyprawił pod koniec Marca do Gdańska podkomorzego Kaweczyńskiego, z obietnicą przymierza szwedzkiego dla Polski. Prymas nie przywiązywał przecież szczególnéj wartości do owych obietnic i przestrzegał swych przyjaciół, jak np. Józefa Potockiego wojewodę kijowskiego bawiącego w Stanisławowie, jak Sieniawską wojewodzinę Bełzką przebywającą w Krakowie, by na lep szwedzki zbyt pochopnie nie szli. Jak zaś lekko traktował samegoż neo-elekta, niechaj okaże następny list do Leszczyńskiego z dnia 25 Marca 1705 (1). „Wszedłeś W. K. Mość w *engagement* wielkie, żeś się pozwolił mianować; gdyby to we Włoszech, albo we Francyi było, czyżby nie sakryfikowali wszyscy krewni i koligaci fortuny swojéj dla utrzymania W. K. Mości a ruszył-że się aby jeden na pomoc a przynajmniéj na poradę? Imć P. Marszałek (Bronisz) chce wydać uniwersały na reassumacyą Rady i zjazdu, na który jeżli nie zwabi tylko województwa wielkopolskie, co za korzyść z tego a jeżli jeszcze tyle, co na nominacyą, co za honor? Jeżeli zaś *violenter* narabiać myślimy *quae Securitas regnandi* na dalszy czas; czy to Polska powinna *pati in infinitum?* Gdyby generał Stromberg miasto Wielunia w Krakowie siedział, czyżby to nie było lepiéj y smakowniéj dotychczas y czyżby się nie facylitowała reassumacya zjazdu akcessu prowincyi Małopolskiéj? Czyby się wzmocnił Sas, który wyciągnąwszy miliony sam już opuszcza tamte kraje, wyssawszy je i ku Litwie obraca. Nastąpi tam, wierzę, Szwed, ale nie na konsolacyą, bo już *emunctus populus*, chyba *arida* ssać będzie. Sam W. K. Mość przypatrzył się temu, jeżeliśmy złe rady dawali; czy przyjmowano którą? Generał Reinszyld, czyż nie trawił

(1) Rękopism biblioteki Ossolińskich.

darmo czasu kilka miesięcy idąc do Warszawy od Krakowa; czy potrzebnie Król Imość szwedzki ku Lwowu obrócił, mogąc *utroque latere* ścisnąć nieprzyjaciela; czy nie radzono, aby na drugą stronę Wisły co wojska ordynował, którą się król August do Warszawy na zgubę i konfuzyą naszą zakradł; czy dany posiłek województwom polskim *in tempore* a czy taż deklaracya króla Imci szwedzkiego jako dobra nasze y fortuny assekurowała? O sobie mówię, o tych, co do mnie należą; zginąłem z kretesem tak na honorze, jako y na fortunie, zginęli i moi najbliżsi a wolałbym był y sam y drudzy, gdybyśmy się nie spisali na tę fatalną protekcyą, choćby była najwalniejsza od Sasów *tempestas*. Hultaj Połaniecki (kasztelan, Felicyan Czermiński) wiesz W. K. Mość, jako dobra wszystkie w niwecz obrócił, *nunquam restauranda* za wieku mego. Skarany wprawdzie od Szwedów a cóż mi już z tego, kiedy nie ma już ani czém orać, ani siać w całém Księztwie i jeżeli jeszcze co może być, to wyje *auxiliaris miles*. Kiedy y teraz ztamtąd piszą, że z województwa rawskiego każą sobie kontrybucye płacić gotowemi pieniędzmi a z Kięztwa sami żyją i konie żywią, jako W. K. Mość z uniwersału oryginalnego wyczytasz, który jeżeli to na przywitanie wydany, toć jeszcze *tolerabile* będzie, ale jeżeli będzie powtórzony, to co *non consumpsit bruchus, consument locusta*. A co jeszcze żałośniejsza, że do kluczów moich Wielkopolskich konsystencye wydane z sejmiku sredzkiego, których zrozumiéć nie mogę. Na łany assygnacye y na koń wybiéranie y na jeden klucz trzy chorągwie stokonne. Odprosiłem konsystencye u króla Imci szwedzkiego a swój bierze. Daję to pod uwagę W. K. Mości. Pisałem od trzech niedziel do Imci Grafa Pipera strony trybunału lubelskiego. Raz pisał król Imość August do wszystkich deputatów, aby się *pro termino reassumptionis* zjeżdżali do Lublina; jest to *absque mysterio*. Wiesz W. K. Mość, co to jest trybunał i czego jest *capax* i co za konsekwencye z tego, kiedy się pod imieniem Augusta odprawować będzie. Zaczem zawczasu przestrzegam, aby przeszkodzić téj reassumpcyi, która w poniedziałek po przewodniéj niedzieli przypada, t. j. 20 *Aprilis*, *iterum iterumque* przestrzegam.“ List ten stwierdza z jednéj strony stanowczą niechęć prymasa do Augusta, z drugiéj pewien pesymizm względem sprawy Stanisława, potwierdzony zresztą bardzo stanowczo w listach Przebendowskiego (1). Chęci podania ręki jednéj lub drugiéj stronie nie widać, jakkolwiek ciągle na najnatarczywszych w tym celu za-

(1) Przebendowski w liście do Augusta z Berlina, dnia 9 Kwietnia 1705: „Es ist aber gewiss, dass der Cardinal dem Leszczyński gar nicht gewogen und einen naturellen Hass wider ihn hat.“

biegach, mianowicie Stanisława nie zbywa. Fakt ten stwierdzają liczne listy prymasa do króla pruskiego, do Stanisława Szczuki podkanclerzego litewskiego z miesiąca Kwietnia i Maja roku 1705. Pod dniem 17 Kwietnia 1705 (1) czytamy w liście Stanisława do prymasa z Rydzyny: „Co się tyczy méj koronacyi, wiesz W. Eminencya bardzo dobrze, że jestem bardzo powściągliwy, lecz błagam Ją, byś wymieniła przeszkody, które mam usunąć; aby dojść do celu, będę pracował z całego serca; Mój Boże, oddajcież mi sprawiedliwość. Błagam W. Eminęcyę, zróbże sobie sławę z dzieła, z którego będziesz zbierał owoce przez całe życie.“

Tuż za tym listem przybyła w piérwszych dniach Maja nowa deputacya Stanisławowa do Gdańska, składająca się z Czarnkowskiego bliskiego krewnego króla i Gurowskiego miecznika poznańskiego. Wobec téj nowéj próby okazał się prymas skłonniejszym jakoś do ustępstw na rzecz Stanisława. Wśród mnóstwa skarg na szwedzkich generałów Lübeckera i Meierfelda nie zasłaniających dostatecznie jego majętności łowickiéj i skierniewickiéj; wśród biadań na zabranie koni i cugów, bez których się z Gdańska ruszyć nie może; wśród żalów na komendanta szwedzkiego miasta Torunia, który zatrzymał na Wiśle statki wiozące mu do Gdańska zboże, rozmaite inne rzeczy a mianowicie ładunek ulubionego piwa łowickiego, pisze prymas w liście z dnia 7 Maja 1705 (2): „Od kilku tygodni sollicytowany jestem o wydanie uniwersałów (na rzecz Stanisława). Zwłóczyłem. Ganiłem pospieszny zjazd warszawski ze Stycznia 1705.. Nie wzbraniam się tedy wydać uniwersałów y wydać je deklaruję *primis diebus Junii* y takich, z których będziecie wszyscy kontenci. O sekret tylko proszę.“

Przychodzimy teraz w opowiadaniu naszém do punktu, w którym na scenę prymasowéj akcyi wypada nam wprowadzić nowy, bardzo ważny czynnik. Jest nim *wpływ dworu berlińskiego.*

Ewolucye pruskiéj polityki wciągu piérwszego aktu wojny północnéj, o ile dotyczą Polski i Augusta, skreśliliśmy w inném miejscu i powtarzać ich tutaj nie będziemy. Dość powiedzieć, że spekulacyą prusko-brandeburską wśród owych zamieszek było wykołatać na kłopotach polskich, uznanie świeżéj królewskości pruskiéj, a co ważniejsza, ustępstwa terytorialne nad Dolną Wisłą, jeżliby się zaś udało, sam Gdańsk. W miarę nadziei zyskania podobnych ustępstw od jednego lub drugiego z żywiołów rządzących naówczas faktycznie

(1) Rękopism poznański.
(2) Tamże.

Polską, zbliża się lub oddala na przemian dwór berliński bądź to do Szweda czy od Szweda, bądź to do Piotra i Augusta, bądź od Piotra i Augusta. Oscyllacya ta trwa jednostajnie od początku wojny szwedzkiéj aż do chwili traktatu Altranstädzkiego. W jednéj z niezliczonych takich oscyllacyj magnesowéj igły polityki pruskiéj ku stronie szwedzkiéj, z wiosną roku 1705, uważał gabinet berliński za rzecz potrzebną, rozpocząć w sposób ostrożny i oględny działania swe około przeciągnienia prymasa na stronę interesu Stanisława Leszczyńskiego. O ile na to wpłynęły instancye samegoż Leszczyńskiego, poszukującego naówczas w rozmaity sposób protekcyi dworu berlińskiego, pozostaje rzeczą obojętną. Naturalniejszą owéj akcyi berlińskiéj, na usposobienie prymasowe przyczyną, zdają nam się być obietnice, jakie wyprawiony naówczas do Berlina poseł szwedzki Rosenhane w imieniu swego pana poczynił. Dość, nie ma wątliwości, że z wiosną roku 1705 zaczyna gabinet berliński przez bawiącego w Gdańsku agenta swego, radzcę Wernera, pracować nad osobą prymasa w interesie szwedzkim, *po swojemu* jednakże, to jest tak, aby w razie przejęcia intrygi nie dostarczyć przeciwnéj stronie żadnego wyraźnego dowodu przeciw sobie. Mimo to miał na całą ową sprawę otwarte oko przez *swoich* znów agentów w Gdańsku, reprezentant Augusta na dworze berlińskim Przebendowski, a jak ją skrzyżował i zwichnął, zobaczymy niżéj. Teraz wypada nam tylko przypatrzéć się stosunkowi prymasa do dworu berlińskiego i celowi, do którego ministrowie pruscy Kolbe von Wartenberg i Ilgen w interesie szwedzkim u prymasa za pośrednictwem Wernera zdążali (1). Prymas jest od początku niemal swego zawodu politycznego związany ściśle z dworem berlińskim. Widzimy go rzecznikiem uznania królewskości pruskiéj przez Rzeczpospolitą Polską, widzimy go przedmiotem niesłychanych grzeczności i uprzejmości ze strony dworu pruskiego, wiernym korespondentem króla Fryderyka I, który go w swych listach francuzkich „*mon cousin*“ tytułuje. Korespondencya między prymasem a królem pruskim wskazuje istnienie listu drugiego do pierwszego z miesiąca Grudnia 1704, uniewinniającego się z usunienia, teraz już zbytecznéj dla bezpieczeństwa prymasowego, brandeburskiéj straży. Późniéj (w ciągu roku 1705) donosi król pruski Radziejowskiemu o zgonie swéj małżonki; prymas odpowiada serdecznym listem kondolencyjnym. Słowem, stosunki wznoszące się po nad poziom zwykłych między monarchą a dygnitarzem sąsiedniego

(1) Archiwum drezdeńskie. Volumen. Den polnisch-schwedischen Krieg betrefend. Was hierinnen der Kronschatzmeister von Prebendow am Königl. Preussischen Hof negociiret. 1705.

państwa ceremonialności, a stanowiące wyborny pomost do zawiązania poufniejszéj akcyi dyplomatycznéj. Zawiązuje ją téż dwór berliński w interesie szwedzkim przez Wernera. Czas zaś teraz zobaczyć, około jakiéj to kwestyi streszczał się w miesiącu Kwietniu i Maju roku 1705 interes polityki szwedzkiéj i Stanisławowéj. Na piérwszym jéj planie sterczało naturalnie, ulegalizowanie królewskości Stanisława, koronacya ręką prymasa; jako przedwstępny jednakże środek do tego celu miała posłużyć, obecność jego na ziemi polskiéj, ogłoszenie daléj uniwersałów na walny zjazd Rzeczypospolitéj. Prymas wahał się, wahał się tém bardziéj, że w Maju roku 1705 nastąpiło zwolnienie aresztu wojewody łęczyckiego, a małżonka jego weszła znów w targi z Przebendowskim, ofiarując wyrobić akces prymasa do króla Augusta, w zamian pozostawienia synowi jéj podczaszemu posiadanych przezeń starostw. Z wiosną r. 1705 biorą rzeczy chwilowo taki nawet obrót, iż Przebendowski donosi w każdéj niemal depeszy Augustowi, iż prymas coraz więcéj ku niemu się skłania. Podobne doniesienia wyprawia podskarbi koronny na mocy informacyj nadsełanych mu przez wyprawionego do boku prymasowego Franciszka Ossolińskiego starostę drohickiego, sekretarza ambasady polskiéj w Berlinie. Tymczasem przełamuje powoli owe wahania prymasa na rzecz Szweda, wpływ pruski w osobie Wernera, przedstawiającego iż król pruski uważa sprawę Augusta za straconą, że się myśli sprzymierzyć z Karolem XII i uznać ostatecznie Leszczyńskiego. *Dowodów*, że tak istotnie było, nie mamy, bo dwór berliński wypierał się swéj roboty konsekwentnie, a był tyle ostrożnym, że pisanego śladu podobnego zwrotu swéj akcyi nie pozostawił. Akt samegoż prymasa jednakże, o którym niżéj będzie mowa, listy jego równoczesne do Stanisława Szczuki, do wojewodziny bełzkiéj Sieniawskiéj, niezmiernie ożywiona między nim a królem pruskim w miesiącach Maju i Czerwcu 1705 korespondencya, list znów Augusta do Przebendowskiego z Karlsbadu, nie pozwalają wątpić, że mimo wszelkich urzędowych oburzeń i zaprzeczeń, wpływy brandeburskie odegrały właściwą sobie rolę i popchnęły prymasa, połowicznie przynajmniéj, w objęcia szwedzkie. Zbyt to stanowczéj wagi w zawodzie ówczesnym Radziejowskiego dokumenta, abyśmy najcharakterystyczniejszych z nich ustępów w dosłownem brzmieniu przytoczyć nie mieli. Posłuchajmy najprzód listu prymasa do wojewodziny bełzkiéj z Gdańska dnia 26 Maja 1705: „Zechciéj Pani wiedzieć, że król pruski zakomunikował mi swe intencye i że według nich stanie obok króla szwedzkiego“ (1). W równoczesnym prawie

(1) Oryginał francuzki w *rękopiśmie poznańskim*.

liście do podkanclerzego Szczuki pisze, iż się długo wahał z wydaniem żądanych odeń uniwersałów, ale że odebrał od dworu berlińskiego wiadomość, jako tenże, widząc niepodobieństwo zgody Augusta z Karolem XII, przystępuje do dzieła podjętego w Polsce przez króla szwedzkiego. Posłuchajmy wreszcie w téjże saméj materyi listu Augusta do Przebendowskiego z dnia 5 Lipca 1705 (1): „W ostatecznym rezultacie zdaje się prawie z wszystkiego, że w Berlinie nastąpiło zupełne porozumienie ze stroną szwedzką i że z nią tajemnie współdziałają, co i z tego można wnosić, że tamtejszy dwór zadowalnia się udzieloną przez prymasa w przedmiocie owych uniwersałów, zdrowemu rozsądkowi sprzeciwiającą się interpretacyą, i bynajmniéj na nią się nie żali.“ Jakkolwiek tedy wyraźnego i stanowczego dowodu nie ma, mówią przecież wszelkie zastępujące potrzebę dowodu poszlaki, iż dwór berliński działał na prymasa w sensie Szwedom i nowéj królewskości przychylnym, że mu zaręczał uznanie i poparcie Leszczyńskiego, że wreszcie prymas pod naciskiem podobnéj akcyi porzucił zachowywane dotychczas stanowisko neutralności, i wystąpił w porozumieniu z marszałkiem Broniszem z aktem, o którym tuż pomówimy szerzéj. Aktem tym były uniwersały do całéj Rzeczypospolitéj, krok przedwstępny do ulegalizowania królewskości Leszczyńskiego, ograniczający się dotąd na zwołaniu walnego zjazdu do Warszawy pod przewodnictwem prymasowem. Uniwersały te nosiły datę z Gdańska dnia 31 Maja 1705. Prymas wyłożywszy w nich najprzód, że umknął wraz z Broniszem do Gdańska wobec napaści Augusta na Warszawę; poskarżywszy się na zupełną ruinę swych majętności w Polsce, na spustoszenie i rozbicie Polski moralne, na zniszczenie kościołów i majątków szlacheckich, przychodził do konkluzyi, iż król August nie dba o kraj, który opuścił a do którego wracać nie myśli. Daléj ciągnął prymas, jak następuje:

„Kiedy y król pruski straciwszy nadzieję cale o przejednaniu króla Imci szwedzkiego z królem Imci Augustem, w którym przez czas nie mały pracował a nie widząc podobieństwa, aby król Imci szwedzki miał *secedere* od Elekta Imci Stanisława, którego *publica legatione et tot externis demonstrationibus* za króla uznał, sam się *in partes* króla Imci szwedzkiego a zatém y Elekta Imci Stanisława deklarował“ (2).

---

(1) Archiwum drezdeńskie. *Volumen:* den Polnisches-Schwedischen Krieg betreffend etc.

(2) *Rękopism poznański* zawiera polski oryginał owych uniwersałów. Przekład ich łaciński, *Epistolae* Załuskiego. Tomus III.

Po tym znaczącym i charakterystycznym owych uniwersałów ustępie, wskazywał prymas dobre króla szwedzkiego dla Rzeczypospolitéj intencye i naznaczał wszystkim ziemiom i województwom „*pro unione*“ walny zjazd do Warszawy na dzień 11 Lipca 1705, kładąc tymczasem termin przedwstępnym w tymże celu sejmikom na dzień 26 Czerwca. Dodajmy, że marszałek konfederacyi Bronisz wydał pod tąż samą datą osobne uniwersały (1) zapowiadające traktat przymierza z koroną szwedzką, a będące w gruncie rzeczy czystem powtórzeniem uniwersałów prymasowych....

Akt ten prymasa nie był jeszcze uznaniem i ulegalizowaniem królewskości Leszczyńskiego, ale niedwuznacznym jego wstępem.

Powołanie się na króla pruskiego było argumentem dla przekonania i pociągnienia chwiejnych, bo wszakżeż nie od dzisiaj dopiéro wiadomo, iż silnym i zwycięzkim sprawom najłatwiéj o przymierza i zwolenników. Prymas wyrwany sam ze stanu chwiejności i neutralności wpływem króla pruskiego, rozumiał dość naturalnie ukazaniem szlachcie jego poręki dla Leszczyńskiego, przezwyciężyć i jéj wahania. Znając nadto rozum polityczny i przebiegłość prymasa, przypuszczamy, iż tak niedyskretném powołaniem się w swych uniwersałach na osobę króla pruskiego, chciał go bezpowrotnie skompromitować w obec Augusta i Piotra, a tém samém popchnąć w objęcia przymierza szwedzko-stanisławowego.... W podobnéj rachubie przeliczył się przecież prymas, a właśnie znów owe uniwersały, właśnie ów akt dający początek podjętéj ponownie akcyi, stają się powodem ostatecznéj już teraz klęski, jego ponownego strącenia w rolę niepewności i bezczynności, którą miał zamiar porzucić. Akt uniwersałów prymasowych, zakomunikowany królowi pruskiemu i wyzyskany zręcznie przez Przebendowskiego, wystraszył i przeraził niemało dwór berliński. Dwór tenże nie cierpiał Augusta, mógł po cichu u prymasa przeciw niemu intrygować, tajemnie go podkopywać, ale skompromitowanym i wskazanym jakoby palcem być nie chciał. Bał się Piotra, obawiał się o Księztwo Pruskie, gdzie, jak to gdzie indziéj mieliśmy sposobność powiedziéć, Piotr już roku przeszłego w razie sprzymierzenia się Pruss ze Szwedem „*maskaradę wyprawić*“ groził. Skoro więc tylko prymasowe uniwersały wyszły na jaw, a Przebendowski i August z Karlsbadu z groźnemi i pełnemi oburzenia w obec dworu berlińskiego wystąpili interpelacyami, pośpieszył król Fryderyk I z najformalniejszém wyparciem się osoby i czynu prymasa.....

---

(1) Tamże.

List okólny Augusta z miesiąca Czerwca 1705 (1) z Karlsbadu, obejmował energiczny protest przeciw uniwersałom prymasowym, piętnował prymasa samego jako zdrajcę, którego król w razie mściwéj woli był mógł poszukać w Łowiczu lub Gdańsku; zwracał się wreszcie przeciw królowi pruskiemu, który mu się mimo osobistego uznania jego królewskości przez podczaszego Towiańskiego, w podobny odwdzięcza sposób. W liście przeznaczonym wprost do króla pruskiego z Karlsbadu dnia 21 Czerwca 1705, (2) wyrzucał August dworowi berlińskiemu pogwałcenie traktatów Welawskich, i sprzeczność z przyrzeczeniami danemi uroczyście Flemmingowi. W pomoc tym oświadczeniom i protestom Augustowym przychodziły wreszcie, co najważniejsza, wydane pod dniem 25 Czerwca 1705 (3) z obozu pod Połockiem do Rzeczypospolitéj uniwersały Piotra. Groził on w nich przeciwnikom Augustowym ogniem i mieczem, przedstawiał bezprawność elekcyi Leszczyńskiego, kładł namiętny protest przeciw prymasowym uniwersałom, przeciw zwołanym przez nie zjazdom Czerwcowym i Lipcowym. Otóż burza, jaką wywołały uniwersały prymasa z dnia 31 Maja, otóż niebezpieczna sytuacya, jaką stworzyły przedewszystkiém dla dworu berlińskiego. Król pruski przeczuwając ją, napisał już pod dniem 16 Czerwca 1705 (4) list następnie brzmiący do prymasa: „Mój kuzynie odbieram właśnie uniwersały, które kazałeś ogłosić w Polsce w celu zwołania szlachty i wyznaję Ci, że zostałem mocno uderzony tém, co tam znalazłem o sobie, mianowicie, jakobym był miał wejść z królem szwedzkim w nowe zobowiązania dotyczące spraw Polski, i jakobym był miał uznać przez publiczne poselstwo i przez kilka innych oświadczeń wojewodę poznańskiego królem“... Wypiérając się stanowczo podobnych kroków, dodawał król pruski: „Podobnie mają się rzeczy w sprawie aliansu ze Szwecyą, z którą nie zawarłem żadnego traktatu od roku 1703 nie mającego żadnego związku z obecnemi stosunkami polskiemi.“ Po tym jakoby poufnym liście do prymasa, wyprawił król pruski pod dniem 27 Czerwca 1705 (5) uroczysty, kontrasygnowany przez ministra Kolbe von Wartenberga list do Augusta, pełen najlepszych dlań życzeń, żalów z powodu zamieszek polskich, protestów przeciw insynuacyom prymasowych uniwersałów, zaręczeń,

(1) *Rękopism Poznański* i III. tom *Epistolae* Załuskiego.

(2) Tamże.

(3) Tamże.

(4) Archiwum drezdeńskie. *Volumen*: Den Polnisch-Schwedischen Krieg betreffend itd.

(5) Rękopism Poznański.

iż nie myślał ani uznawać królewskości Leszczyńskiego, ani wchodzić w przymierze z królem szwedzkim. Tak to znalazła się skłóconą zgoda prymasa z dworem berlińskim, prymas wtrącony ponownie w stan wyczekującéj i bezczynnéj neutralności, z którego zaledwie wychodzić począł. Prócz króla pruskiego, odpowiedzieli na uniwersały prymasowe stanowczym protestem, zgromadzeni w Brześciu litewscy senatorowie pod dniem 11 Czerwca. Z tegoż samego daléj czasu datuje się drażliwa korespondencya między prymasem wyrzucającym Tomaszowi Działyńskiemu wojewodzie chełmińskiemu zawarcie traktatu Narewskiego z Piotrem a wojewodą zarzucającym prymasowi w swéj obronnéj odpowiedzi zdradę króla i Rzeczypospolitéj" (1)... Znajdujemy się w naszém opowiadaniu w ostatnich dniach miesiąca Czerwca, pierwszych Lipca 1705. Prymas miał, jak się zdaje, ochotę dotrzymać słowa danego w owych uniwersałach i przybyć wraz z Broniszem na zjazd Lipcowy do Warszawy. Pominąwszy jednak już nawet ziębiące wrażenie oświadczeń berlińskich, manifestacyi Brzeskiéj i zatargu z wojewodą chełmińskim, zbiegło się jeszcze kilka innych okoliczności przeszkadzających wykonaniu tego zamiaru. Kasztelanowa krakowska Lubomirska, teściowa jego ulubieńca młodego Towiańskiego, poczęła pracować u prymasa w interesie Augustowym i odradzała wszelkiemi sposobami podróż do Warszawy. Nie dość na tém, straszył go niepomału głośny w owych miesiącach lata roku 1705 swemi powodzeniami partyzanckiemi Adam Śmigielski. Śmigielski jest naówczas żywą grozą i plagą stronników Leszczyńskiego w całéj niemal Koronie. W końcu Maja rozpędza sejmik województwa Sandomierskiego w Opatowie, bierze do niewoli kasztelana Sandomierskiego i trzech mniejszych kasztelanów. Ztamtąd idzie w województwo Rawskie i Mazowieckie, rozpędza wszędzie sejmiki Stanisławowe; wydziera z akt grodzkich i niszczy uniwersały prymasowe i szwedzkie, oblatuje Augustowe, chwyta, gdzie się uda, komisarzy szwedzkich wybierających kontrybucye. Wpaść w obec przerwanych w ten sposób między Gdańskiem a Warszawą komunikacyj w ręce Śmigielskiego, być oddanym pod klauzurę Augustową, podzielić na Sonnensteinie lub Königsteinie los Sobieskich, biskupa Poznańskiego czy wojewody Łęczyckiego,—było perspektywą nęcącą nieszczególnie prymasa i Bronisza a przeszkadzającą bardzo wyprawie na zjazd Warszawski. Jakkolwiek Bronisz późniéj nieco usłuchał wezwania szwedzkiego i wybrał się do Warszawy, wolał za to prymas pozostać w bezpieczném schronieniu Gdańskiém a wysłać tymczasem tylko do Warszawy, w charakterze

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom III. str. 659.

obserwatora i rozjemcy, bez wyraźnie określonéj misyi, Stanisława Szczukę podkanclerzego.

Przypatrzmy się teraz ostatnim kilkunastu tygodniom prymasowego życia, od chwili wspomnianego zajścia z dworem berlińskim. Jeżeli sobie w owéj chwili zamętu i niepokoju wybrał Gdańsk właśnie na wygodną siedzibę, uczynił to w przeświadczeniu, że metropolia handlu baltyckiego, strzeżona i broniona interesem mocarstw morskich, ubezpieczona osobnemi stypulacyami między dworem berlińskim a Marlboroughiem i lordem Rabby, mająca w ostatecznym odwodzie interwencyą Anglii, Holandyi, może i Prus, będzie dlań *istotnie* niezakłóconém żadną przygodą schronieniem. Dzieje się tymczasem, począwszy od lata roku 1705 inaczéj. Gdańsk staje się przedmiotem zabiegów szwedzkiéj i augustowéj strony, co tém niebepieczniejsza, każda z nich w krótce po sobie, może żądania swe poprzeć gotową, będącą w pobliżu siłą zbrojną. Dyplomacya gdańska, prezydent miasta, naczelnik jego siły zbrojnéj, radzcy miejscy znajdują się wśród podobnego z obu stron nacisku w nader trudném położeniu. Nie można przecież ich ówczesnéj postawie odmówić godności i śmiałości (1). W końcu Czerwca, w początku Lipca r. 1705 widzimy przedewszystkiém czynnymi agentów i reprezentantów interesu szwedzkiego. Ciągle obecnym jest naówczas w Gdańsku komisarz i rezydent szwedzki Cuypercroona. Równocześnie pojawiają się co chwila, podobnie jak o téj saméj porze w obu latach poprzednich, z rozmaitemi żądaniami i pretensyami generałowie Magnus Stenbock i mający komendę nad załogami szwedzkiemi w Warmii i Prusach Meyerfeld. Cuypercroona występuje naówczas między innemi z żądaniem, by mu miasto Gdańsk wydało zapas effektów wojskowych saskich, które się tamże na składzie znajdowały. Prezydent miasta Gdańska w połączeniu z radą odpiérali przez długi czas to żądanie, ponawiane z pewnym naciskiem przez Stenbocka i Meyerfelda. Wtedy to zmienili szwedzi przedmiot swéj pretensyi, poczęli się od miasta domagać za owe efekta saskie okupu pieniężnego. Gdańsk odmówił jednakże pieniędzy, poczém nareszcie po nowych dość długich targach, prezydent i rada zgodzili się, by uniknąć dalszych korowodów, na wydanie Szwedom augustowéj własności. Za tém obojetnéj i podrzędnéj natury żądaniem, nastąpiły ważniejsze i draż-

(1) Co do zatargów Gdańska ze Szwedami a późniéj z chorągwiami Augustowemi najważniejszém źródłem, w archiwum drezdeńskiém, depesze agenta saskiego Stenzla w woluminie *Den Polnisch-Schwedischen Krieg betreffend* od Lipca do Października 1705 i drugi tom Nordberga str. 1—39 Depesze Stenzla są zarazem najważniejszém źródłem co do szczegółów ostatnich dni życia prymasa.

liwsze. W miesiącach Maju i Czerwcu roku 1705 bawili w Gdańsku, najprawdopodobniéj w misyi od Augusta i Przebendowskiego do prymasa, Krzewski wojewoda Malborski i Jan Radziwiłł wojewoda Nowogrodzki zięć podskarbiego koronnego. Generał Meierfeld zażądał w imieniu Karola XII ich przytrzymania i wydania Szwedom, grożąc w razie odmowy wkroczeniem żołnierza szwedzkiego na terytorium miejskie. Pretensya ta rzuciła niesłychany alarm na miasto, ale nie odebrała mu ani energii, ani nie pozbawiła dotychczasowéj postawy godności. Krzewskiemu i Radziwiłłowi dano po cichu radę, by opuścili miasto; jakoż obaj w początku Lipca r. 1705 wyjechali i udali się na terytorium starostwa Lembursko-Butowskiego. Na żądanie zaś wydania obu panów polskich dało miasto odmowną odpowiedź, w czém doznało poparcia ze strony prymasa, który Meierfeldowi, Cuypercroonie i przestającemu z nim wreszcie wiele naówczas szambelanowi Karola XII baronowi Sacken starał się wytłómaczyć, jak dalece pretensya szwedzka nieuzasadniona. Równocześnie z prymasem wziął miasto w opiekę pruski rezydent Werner, pytając oficyalnie magistrat, czy Szwedzi rzeczywiście grożą zbrojną inwazyą. Tuż wreszcie po za temi interwencyami moralnéj natury ukazywała się skuteczniejsza opieka państw morskich Anglii i Holandyi, ukazywał się zawarty między Malboroughiem a gabinetem berlińskim traktat gwarantujący neutralność Gdańska. Miasto samo wreszcie wzięło się wśród podobnych okoliczności energicznie do dzieła, podniosło liczbę żołnierza swego, utwierdziło mury i bramy, zapowiedziało, że gwałt gwałtem odpiérać będzie. W obec podobnéj postawy miasta, odstąpili Szwedzi od swego żądania. Natomiast poczęli znów Meierfeld i Sacken nagabywać prymasa w imieniu króla szwedzkiego o wyjazd na mającą się niezadługo zebrać radę warszawską, przyczém Meierfeld podjął go się odstawić bezpiecznie do saméj Warszawy. Radziejowski nie czuł się przecież i to nie bez słuszności dość zabezpieczonym ofiarą Meierfelda, oświadczył, że pozostanie jeszcze na miejscu, i wyprawił tylko marszałka Bronisza do Warszawy. *Sam* miał zaś mimo wszelkich, ożywiających go przeciw Augustowi niechęci, ważne powody do zachowania się, co najmniéj, powściągliwym w obec nagabywań szwedzkich. Złożyli się na nie równą prawie miarą papież Klemens XI z jednéj, zbrojni reprezentanci konfederacyi Sandomierskiéj zagrażający bezpieczeństwu Gdańska z drugiéj strony. Przypatrzmy się działalności obu tych czynników.

Znajdujemy się, w drugiéj połowie Lipca roku 1705. August, szukając na wszystkie strony środków ocalenia, wyprawił do Rzymu, jako nadzwyczajnego posła, znanego dobrze w owych dziejach Pie-

montczyka hr. Lagnasco. Misya Lagnasca nie była bezowocną. Rezultatem jéj były owe somacye wyprawiane raz po raz do Radziejowskiego z Rzymu, owe terminy naznaczane mu od trzech do trzech miesięcy, by się stawił przed kuryą w celu zdania sprawy ze swych czynności, owe wydawane do senatorów i biskupów polskich *brevia* upominające ich do wytrwania przy królu Auguście. Najgłówniejszym tryumfem dyplomatycznym przecież, jaki starania hr. Lagnasco w Rzymie odniosły, było wydanie i ogłoszenie *breve* Klemensa XI do prymasa i biskupów polskich pod dniem 10 Czerwca 1705 (1). Dokument to zbyt ważny i zbyt charakterystyczny, abyśmy go w całkowitém brzmieniu przytoczyć nie mieli: „Przewielebnym Braciom Arcybiskupom i Biskupom Królestwa Polskiego, Klemens XI Papież. Przewielebni Bracia, przesyłamy wam pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie! Jakkolwiek chwalebne i wytrwałe, jakie o rozsądku, wierze i religii waszéj mamy przekonanie daje nam pewną nadzieję, że pamiętni będąc tego, co przez inne nasze w podobnéj formie *brevia* w sprawie przywrócenia Rzeczypospolitéj Waszéj spokoju, ustrzeżenia wiary katolickiéj przeciw heretyckim najezdnikom, a w interesie najsławniejszego naszego w Chrystusie syna Augusta, Najjaśniejszego króla polskiego pisaliśmy do was, niczego się nigdy nie dopuścicie przeciw temuż królowi Augustowi, lecz przeciwnie dostarczycie należnych dlań dowodów uszanowania, aby wszystkim stało się wiadomo, że poświęceni kościoła przewodnicy pracują nie dla zamieszania, lecz popierania i strzeżenia Rzeczypospolitéj; to przecież, skoro nam się stało wiadomém, że śmiałość niektórych do tego posunęła się stopnia, iż pogardziwszy wszelkiemi Boga i Ojczyzny prawami, a usunąwszy prawego króla, nie powstydzili się głównie za pomocą heretyków, nowego wybrać króla, można się słusznie obawiać, aby dodając od dnia do dnia coraz to gorsze postanowienia królestwa owego w ostateczną nie wtrącili ruinę. Ztąd to, ponieważ uważając, jakby było rzeczą zdrożną a stanowi biskupiemu nie przystojną, nadużywać władzy kościelnéj tak otwarcie ku krzywdzie prawego króla, czego ustrzedz jak najbardziéj tak sama sprawiedliwość i prawa wasze, jak całego królestwa pokój i spokojność, jak też i wzgląd na wiarę katolicką wymagają, ztąd to daléj, przez ojcowską, jaką wyznajemy względem Waszéj Rzeczypospolitéj i Was samych życzliwość, pragnąc dojrzale, o ile to z Panem uskutecznić można, zapobiedź jakimbądź dalszym wynikającym ztąd nieszczęściom, za własnym popędem a z pewnéj wiadomści i po dojrzałéj

(1) *Nordberg* tom IV, dodatki num. 105 i Załuski *Epistolae* tom III.

rozwadze, z pełni władzy naszéj Apostolskiéj Wam i każdemu z Was z osobna, brzmieniem niniejszego pisma wyraźnie zalecamy i zakazujemy, abyście się do koronacyi pomienionego bezprawnie i pośpiesznie obranego króla, któraby jakimkolwiekbądź sposobem mogła być podjętą, żadną miarą nie mieszali, pod karami odsadzenia od wykonywania obrządków biskupich i zakazu wstępu do kościoła, karami następującemi z popełnienia samegoż czynu i bez żadnéj innéj poprzedniéj deklaracyi. Nie przeszkadzają temu żadne inne ogólne apostolskie, na ogólnych czy prowincyalnych i synodalnych zjazdach powzięte uchwały, ani specyalne konstytucye i postanowienia, ani jakie bądź przysięgą, konfirmacyą apostolską lub jakiembądź innéem zatwierdzeniem poparte statuta, zwyczaje, przywileje, indulty i listy apostolskie sprzeciwiające się temu, co powiedziano wyżéj, jakimbądź sposobem wyjednane, zatwierdzone lub wznowione. Co wszystkim i każdemu z osobna wyraziwszy od słowa do słowa, ku skuteczności tego, co oświadczyliśmy, znosimy wyraźnie i szczegółowo, coby się temu mogło sprzeciwiać. Dan w Rzymie u Św. Piotra *sub annulo piscatoris*, dnia 10 Czerwca 1705, naszego pontyfikatu roku piątego.“ Polityczna doniosłość podobnego dokumentu jest jasna i nie potrzebuje komentarza. Nie trudno pojąć, co to znaczyło w łono organizmu państwowego, w którym żywioł hierarchiczny tak ogromną politycznie i społecznie odgrywał rolę, rzucić z wysokości Watykanu podobną groźbę. Cokolwiekbądź i z jakiegobądź stanowiska na sprawy ówczesne zapatrywać się będziemy, nie może się nam owo wydobyte przez Augusta za pośrednictwem Lagnaski z Rzymu *breve* do biskupów polskich, nie przedstawiać w charakterze wyraźnego przekroczenia granic władzy kościelnéj, niepowołanego mieszania się w najżywotniejsze prawa polityczne, narodu. Biskupi polscy byli, po za obrębem swego stanowiska kościelnego, obywatelami i dygnitarzami Rzeczypospolitéj, reprezentantami i wykonawcami politycznego interesu, z którym kościół nic wspólnego nie miał. Tymczasem, według *breve* Klemensa XI z dnia 10 Czerwca 1705 miały biskupów polskich spotykać kościelne cenzury nie za grzechy przeciw wierze i kościołowi, lecz za wybór takiego lub owakiego stanowiska politycznego! Oczywistość tego faktu uderzyła od razu zwolenników Leszczyńskiego. Dla zrozumienia zaś i wyjaśnienia owéj opozycyi wypadnie nam na krótką chwilę przenieść się na widownię zwołanéj przez Radziejowskiego lipcowéj rady warszawskiéj.

Rada mająca według intencyi Karola XII zadanie zawrzeć ze Szwecyą traktat pokoju i ulegalizować królewskość Leszczyńskiego, zebrała się nader nielicznie w Warszawie dnia 11 Lipca. Mimo obecności przybyłego z Gdańska marszałka Bronisza, nie czuli się

zebrani na miejscu konfederaci dość bezpiecznymi w Warszawie. Karol XII nie ruszył się jeszcze ze swych leż zimowych w Rawiczu; nad bezpieczeństwem zgromadzenia Warszawskiego miał czuwać odkomenderowany od głównéj siły szwedzkiéj, obozujący w Ujazdowie generał Nieroth z pułkami kawaleryi smalandzkim, ostrogotskim i Krusego, nadto z pułkami piechoty Uplandzkim i Dalekarlijskim pod dowództwem pułkownika Dahldorfa. Mimo to obawiało się szlacheckie zgromadzenie o swe bezpieczeństwo, ponieważ tuż pod miastem od strony Pragi zagrażali generałowie Schulenburg i St. Paul z siłą czterotysięczną Sasów, tudzież marszałek związkowy Stanisław Chomentowski, Adam Śmigielski starosta gnieźnieński i Felicyan Czermiński kasztelan połaniecki w 67 chorągwi konfederackich, czyli razem do 8 tysięcy ludzi. Wśród owego szczęku broni przepełniającego miasto i okolicę Warszawy, w obec pewności, że lada chwila może nastąpić krwawe starcie, którego rezultat, co najmniéj, wątpliwym, stawało się zgromadzenie z każdym dniem mniéj liczném, narady jego coraz kłopotliwszemi. Pierwszy przedmiot, od którego pod przewodnictwem Bronisza czynności swe rozpoczęło, było zawezwanie prymasa, by przybywał czém prędzéj do Warszawy. Prymas odpowiedział nań w liście z dnia 24 Lipca 1705 między innemi, jak następuje (1): „To jedno sobie tylko przedsięwziąłem, odkładając wszystko inne nabok i gdziekolwiek końca życia mego dosięgnę, abym ojczyźnie mógł przybyć w pomoc. Dla tego téż i z tego powodu wiosłem i żaglami spieszyłbym do łona waszego, gdyby drodze téj nie przeszkadzały niebezpieczeństwa, których wy ostróżnym krokiem uniknęliście. Skoro przecież tylko bezpieczeństwo wróci a zgromadzenie nasze znajdzie się utwierdzoném liczniejszą obecnością przybywających, nie omieszkam pośpieszyć.“ Dyplomatyczna ta odpowiedź mogła w oczach rady konfederackiéj znaleść tém większe usprawiedliwienie, że sama nie dotrzymywała bohatersko placu, że topniała z każdym dniem niemal więcéj. W obec zbliżających się partyzantów polskich króla Augusta, zaczęli konfederaci wynosić się jeden po drugim z Warszawy, aż dopiéro odniesione dnia 31 Lipca (1705) tuż pod murami miasta nad Sasami zwycięztwo generała Nierotha (w którém to spotkaniu, poległ, nawiasowo powiedziawszy, szwedzki bicz boży na szlachtę Clas Boude) i wzięcie do niewoli rosyjskiego generała Paikela wróciło szlachcie nieco równowagi i uczyniło możliwym dalszy ciąg obrad zgromadzenia. Przybyli na ten czas do Warszawy sam król Stanisław, biskup kamieniecki Gniński,

---

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom III str. 643.

kasztelan sieradzki Jan Męciński; późniéj nieco pod eskortą 200 rajtarów szwedzkich starostowie krakowski, dobczycki, kowalewski i duninowski. Następnie ściągnęli jeszcze do Warszawy Branicki wojewoda podlaski, Pieniążek wojewoda sieradzki, wreszcie z chorągwiami swemi Sapieha wojewoda wileński i Józef Potocki wojewoda kijowski. Było to w drugiéj połowie miesiąca Sierpnia. Karol XII opuścił nareszcie zimowe leże Rawickie i stanął dnia 18 Sierpnia w Błoniu. Ztąd wyprawił do bawiącego w Warszawie Stanisława poselstwo, składające się z przeszłorocznych swych komisarzy Horna, Wachslagera i Palmberga z listem zapewniającym neo-elekta o swéj niezmiennéj przyjaźni i o konieczności ścisłego przymierza między dwoma koronami szwedzką i polską. Po uzupełnieniu grona przeszłorocznych komisarzy polskich wyborem Gnińskiego biskupa kamienieckiego i Jana Męcińskiego kasztelana sieradzkiego, ciągnęły się daléj rozpoczęte już z dniem 6 Sierpnia w klasztorze Karmelitów na Lesznie konferencye. Pierwszym ich punktem, ciągle była kwestya sprowadzenia prymasa. Następnie zapadła uchwała remanifestacyi przeciw protestowi senatorów litewskich w Brześciu z dnia 11 Czerwca 1705 i postanowienie kar na „nie powracających do łona Rzeczypospolitéj“ w przeciągu czterech tygodni. Była to po prostu odpowiedź na całkiem podobny akt konfederacyi sandomierskiéj. Po za tém tyczyły konferencye Warszawskie *dwóch* przedewszystkiém przedmiotów. Pierwszym była sprawa koronacyi Leszczyńskiego i jego małżonki, ku czemu naznaczono termin na dzień 4 Października 1705; drugim sprawa papiezkiego *breve* do prymasa i biskupów polskich (1). Akt ten dotknął i obruszył zgromadzonych w Warszawie konfederatów i wywołał z ich strony rodzaj nie urzędowéj ale głośnéj mimo to w kraju repliki. Podjął jéj się podobno Franciszek Radzewski starosta Wschowski i skreślił w formie *listu szlachcica polskiego* obszerny memoryał, który rozrzucony w licznych egzemplarzach nie pozostał bez wrażenia. Pominąwszy długie historyczno-teologiczne wywody o prawach papieskich, od których się memoriał konfederacki zaczynał, zawierał pomieniony akt ustępy, którym nie podobna zaprzeczyć prawdy i siły (2). Mianowicie znajdował się w nim energiczny protest przeciw pretensyi papieskiéj mieszania się w świeckie sprawy Polski i narzucania woli Rzymu biskupom, jako równoczesnym senatorom i dygnitarzom polskim. „Z pewnością,“ mówił ów memoryał, „Polacy nasi są pochwały godni, iż okazywali

---

(1) Co do szczegółów zjazdu Warszawskiego *Nordberg* tom II str. 1—39 i *Epistolae* Załuskiego, tom III. str. 669, 670.

(2) Nordberg, tom IV, dodatki num. 106.

zawsze, przed wszystkiemi narodami, szczególną miłość i cześć dla swego kościoła, że woleli cierpieć ze ślepém posłuszeństwem największe surowości ze strony kuryi Rzymskiéj, aniżeli być posądzanymi o lekceważenie względem tego, który ma reprezentować Jezusa Chrystusa na ziemi. Dla tego téż to reprezentanci Rzeczypospolitéj na soborze Trydentyńskim zyskali wiele chwały. Jest rzeczą pewną, że Polacy ci utwierdzili swemi usiłowaniami władzę papieską, mocno naówczas zachwianą i podawaną przez wielu w wątpliwość. Ponieważ jednakże rzeczy doszły do tego stopnia, że kurya Rzymska nie poprzestając na wykonywaniu jurysdykcyi swéj w sprawach kościelnych, zaczyna mieszać się także w prawa Rzeczypospolitéj, winniśmy nie ukrywać téj obrazy pod karą zdrady owéj wolności, z którą razem przyszliśmy na świat. Cała ziemia bowiem wie a wie aż na zbyt tylko ku wstydowi imienia polskiego, z jaką wyniosłością ostatni nuncyuszowie apostolscy nadużywali naszéj łatwości. W czasie, w którym widzieli Rzeczypospolitą jakoby zatopioną w Ocean nieszczęść i w niebezpieczeństwie zguby, śmieli nam wymierzać nauki lub groźby, skorośmy się tylko ruszyli ku naszemu oswobodzeniu. Mogli cierpiéć, aby Polska była rozdartą przez króla Augusta; mogli zgadzać się na wszystkie niesprawiedliwości tegoż monarchy i mogli go, jak gdyby był bronił najlepszéj sprawy w świecie faworyzować, wspierać, upominać nawet do wytrwania w wykonywaniu swych pomysłów. Odkąd przecież pokazaliśmy, że mamy zamiar posłużyć się środkami, jakie rozum i natura dają przeciw tyranom, nie przestali nazywać nas zbrodniarzami, grozić nam i straszyć nas. Robili wielką wrzawę z powodu, że wprowadzano wojska heretyckie w granice królestwa katolickiego; wystawiali jako ludzi godnych wszelkiego przekleństwa przyjaciół Szwedów; było jednakże według nich rzeczą obojętną, że dzięki swawoli żołnierzy saskich, dotkniętych tąż samą herezią, Polska została oddana rabunkowi, kościoły łupione, przedmioty służby bożéj zbeszczeszczone, osoby zakonne wiązane i krzywdzone najokrutniéj. Cóż powiedziéć...... o całym zalewie barbarzyńców, których..... król August, ów ojciec ojczyzny wprowadził do Polski? Czyż uwierzymy, że te pobożne wojska przyszły w celu wytępienia heretyków, my, co wiemy, że przybyły tylko, by wypędzić Szwedów i podzielić się następnie z królem Augustem, bez żadnéj przeszkody, królestwem i zdobyczą? Doświadczyliśmy, że Szwedzi nie krzywdzili nikogo z powodu religii, że przeciwnie zapobiegali pod surowemi karami wszelkiéj obeldze i wszelkiemu pogwałceniu miejsc świętych i osób duchownych; za to wiadomo nam, że sprzymierzeńcy króla Augusta grożą nie tylko naszéj religii i plwają publicznie na nasze święte obrazy, lecz że nawet mordowali niemiło-

siernie niewinnych zakonników, gdy się brali do obrony kościoła. Otóż ci sami nuncyuszowie papiescy, którzy oddają pochwały tym zaciętym nieprzyjaciołom religii katolickiéj, robią nam zbrodnię z tego, że Szwedzi wkroczyli do królestwa, jakkolwiek rzeczą niewątpliwą, że to ucieczka żołnierza saskiego pociągnęła ich na wnętrze Polski. Ponieważ jednakże spodziewamy się na pewne, że Szwedzi ustąpią przecież kiedyś, jesteśmy równie pewni, że zatrzymując króla Augusta, nie będziemy nigdy wolnymi od téj drugiéj klęski. Trzeba więc wprzódy uwolnić Polskę od téj pierwszéj zakały, skoro się pragnie wypędzania innych wojsk heretyckich....

Tymczasem mając nieprzyjaciela pośród siebie, lub może nawet nieprzyjaciela żyjącego spokojnie we własnym domu, widzimy porywanych naszych panów z pośród siebie, a iżby na niczém nie zbywało naszemu nieszczęściu, widzimy także Ojca Świętego korzystającego z naszych klęsk. Nie mogę, bez najwyższego oburzenia mówić o krzyczącém postępowaniu względem biskupa Poznańskiego a ma żółć rozgrzewa się, ile razy myślę o obeldze, jaką Rzeczpospolita przy téj sposobności poniosła. Senator, który się dobrze zasłużył Rzeczypospolitéj i który wykonywa, co mu stany królestwa rozkazały, jest pociągniony jako zbrodniarz w więzach do Rzymu; tamże wytaczają mu nawet proces, jakkolwiek sprawa jego nie obchodzi w niczém religii....

Z samowolą upoważnioną w ten sposób, posuwają rzecz daléj. Zabraniają biskupom, im, mówię, którzy w Rzeczypospolitéj piastują także godność senatorską, połączyć drogą koronacyi pod jednym i tym samym naczelnikiem rozproszone członki kraju. Rzym posunął się do wywołania z kraju, bez sromu i wstydu, prymasa królestwa, to jest tego, który reprezentuje majestat całéj Rzeczypospolitéj; chciano go pozbawić wszelkiéj godności, jaką jest winien ojczyźnie. Czyż to prawo takiego postępowania mamy przyznać następcy św. Piotra, głowie kościoła, namiestnikowi Boskiemu, rządzcy świata chrześciańskiego?“ Długi ten memoryał kończył się inwokacyą całéj Rzeczypospolitéj, senatorów świeckich i duchownych do podtrzymania wyboru Leszczyńskiego, wbrew groźbom Rzymu. Nie wchodząc w kwestyą zatargu między Leszczyńskim a Augustem, nie wdając się w rozbiór pytania, o ile na redakcyą podobnego aktu mogły wpłynąć podszepty szwedzkie, nie przeceniając wartości frazesów o „*wolności*“ i „*tyranach*,“ jakie w tymże memoriale znajdujemy, nie możemy mu jednakże racyi i słuszności odmówić w *tym* esencyonalnym punkcie, iż Rzym przeliczył się w granicach swéj kompetencyi, nakładając senatorom Rzeczypospolitéj kary kościelne za akt czysto-politycznéj natury. Prawda tu była zbyt oczywistą, aby mogła ujść

uwagi współczesności polskiéj. Za czysty jéj wynik uważamy fakt ogłoszenia pomienionego memoryału, za ważniejszy dowód, iż usposobienie narodu a nawet duchowieństwa nie było mu obcém, uważamy obecność biskupa kamienieckiego w gronie komisarzy Rzeczypospolitéj z ramienia Stanisławowego, uważamy daléj późniejszy fakt koronacyi Leszczyńskiego przez Zielińskiego arcybiskupa Lwowskiego, dygnitarza kościelnego, który, nawiasowo powiedziawszy, przez miesiące lata r. 1705 bawi na uboczu w Prusach...

Wróćmy teraz do prymasa, o którym dobrze poinformowany Stanisław Godlewski starosta Nurski, pisze naówczas pod dniem 26 Sierpnia z Warszawy (1): „Kardynał domaga się zatwierdzenia elekcyi, a król szwedzki nalega, aby się koronacya jak najprędzéj odbyła.“ Prymas wiedział prywatnie, z posłuchów i poufnych doniesień o egzystencyi papieskiego *breve* z dnia 10 Czerwca 1705. Urzędownie i formalnie nie było ono mu jednakże doręczoném, a wszelkie starania jego na uboczu gdańskiém zmierzały do tego, aby insynuacyi niewygodnego, co najmniéj, dokumentu uniknąć lub o ile możności ją odwlec.

Cokolwiekbądź, nie ma wątpliwości, iż *breve* owo zaważyło znów na szali wachających się i bezeń postanowień prymasa, że w obec ponownych sommacyi Leszczyńskiego i Karola XII, że w obec powtarzających się nalegań generała Meierfelda, by pośpieszył włożyć koronę na głowę neo-elekta, skłoniło go do odwłoki a następnie do odmowy. Na ową, prawda, że bardzo grzeczną i warunkową odmowę wpłynęła okoliczność następna. Wspomnieliśmy że prymas unikał wszelkiemi sposobami odebrania papieskiego *breve* w urzędowéj formie.

W tym celu zakazywał nawet służbie swéj wpuszczać do domu duchownych sobie nieznajomych, lub w dwie osoby przychodzących (2). W ten sposób chciał sobie prawdopodobnie warować swobodę swéj akcyi na obie strony. Kanonik kapituły Warmińskiéj Szembek, i przeor Karmelitów gdańskich mający od przełożonéj władzy duchownéj polecenie doręczenia prymasowi papieskiego *breve*, nie mogli w obec przedsięwziętych przezeń środków ostrożności swego mandatu dopełnić. Wziął na siebie jego spełnienie zakonnik niewiadomego nazwiska, który nie mogąc pomienionego dokumentu doręczyć prymasowi osobiście, przylepił go w nocy na bramie mieszka-

---

(1) *Epistolae* Załuskiego tom III str. 670.
(2) Depesze Stenzla.

nia jego i na drzwiach dwóch kościołów gdańskich. Było to około 20 Września (1)....

Prymas uczuł głęboko wymierzony w ten sposób przeciw sobie cios. Zbyt dumny jednakże, aby na zewnątrz wrażenie okazać, udał się umyślnie tego samego dnia na odprawienie nabożeństwa do jednego z kościołów gdańskich, poczem, jak kilkakrotnie w ciągu owego lata, wyjechał w odwiedziny do Tygenhoffu. Jeśli jednakże już poprzednio prymas *wahał* się w swych postanowieniach, wtrącił go, jak już powiedziano wyżéj, fakt podobnéj insynuacyi, w stan zupełnéj a zgubnéj już teraz po tém co się stało, niepewności. Nadaremno donoszono prymasowi, że rada warszawska w porozumieniu z królem szwedzkim naznaczyła termin koronacyi na dzień 4 Października w Warszawie, że złotnicy Warszawscy pracują już nad insygniami koronacyjnemi neo-elekta, że wszyscy czekają prymasowego przybycia. Prymas wymówił się, kiedy bawiący ciągle jeszcze w ostatnich dniach Września 1705 w Toruniu arcybiskup Lwowski pozwolił się na spełnienie aktu koronacyjnego namówić i pojechał do Warszawy....

Fakt wystąpienia papieskiego i przebieg jego insynuacyi wstrząsnął, jak się wszystkie ówczesne sprawozdania zgadzają, i tak już zachwianém i osłabionėm zdrowiem prymasa. Po tym pierwszym nastąpił prawie równocześnie inny fakt bolesnéj dlań i przykréj doniosłości. Andrzéj Załuski w. kanclerz koronny i biskup Warmiński, uznał *tę* właśnie chwilę poniewierki i poniżenia prymasa za stosowną, by odbyć z nim osobisty swój i publiczny rachunek. W tym celu wystosował doń pod dniem 19 Września 1705 list niesłychanéj gwałtowności, w którym między innemi czytamy apostrofę: „Zkądże przecież iskra ta wybuchnęła w taki pożar, jeźli nie przez Ciebie Panie!“ (2). Nie dość i na tém jednakże jeszcze, spotkała prymasa w owych tyle fatalnych dniach Wrześniowych roku 1705, nowa osobista obelga, tém dokuczliwsza, że odbierająca mu, pominąwszy stronę upokorzenia moralnego, materialną swobodę ruchów, że przeszkadzająca nie tylko już puścić się do Warszawy na koronacyą Leszczyńskiego, ale wychylić nawet bezpiecznie głowę po za mury Gdańska. Tuż po klęsce Warszawskiéj Paikela, wybrały się podniesione na rzecz Augusta chorągwie konfederacyi Sandomierskiéj pod dowództwem trzech najdzielniejszych jego partyzantów Chomentowskiego marszałka związkowego, Śmigielskiego starosty Gnieźnień-

---

(1) Tamże.

(2) *Epistolae* Załusklego, tom III str. 677.

skiego i Rybińskiego starosty płockiego, do Warmii i Prus. W miesiącu Sierpniu widzimy je gospodarujące tam bez przeszkody, ponieważ stojący dotąd pod Gdańskiem Meierfeld ustępuje ku głównéj sile szwedzkiéj pod Warszawę. Chomentowski, do którego chorągwi sypała się gromadnie okoliczna kaszubska i pomorska szlachta, odnosi nad załogami szwedzkiemi w Warmii i Prusach małe korzyści; pod koniec miesiąca Sierpnia zdobywa szturmem Malborg i bierze do niewoli prezydenta miasta Bliwernitza, gorliwego stronnika Szwedów (1). Usadowiwszy się tutaj, zaczynają chorągwie Chomentowskiego rozpościerać się po Żuławach gdańskich, zaglądają do Oliwy, zagrażają samemuż Gdańskowi. Chomentowski przybywa osobiście do Gdańska, odbywa z prezydentem i magistratem konferencye, staje się równie prawie niebezpiecznym i niewygodnym, jak przed kilku tygodniami Meierfeld i Stenbock, okolica Gdańska w skutek tego przez miesiąc Wrzesień 1705 coraz niepewniejszą dla przeciwników Sasa. Przebywający dotąd w klasztorze oliwskim poseł francuzki Bonac, chroni się w mury miasta, prymas nie jest bezpiecznym w przejażdżkach swych do Tygenhoffu, miasto samo zbroi się i trzyma dzień i noc warownie swe obsadzone żołnierzem miejskim.

Łatwo pojąć, jak dalece podobnie groźne położenie rzeczy wpłynęło rozdraźniająco na usposobienie prymasa, zwłaszcza że obecność Chomentowskiego tuż pod murami miasta, nadawała jakoby materialne poparcie *breve* papiézkiemu, że insynuacya jego była dziełem mnicha znajdującego się przy konfederackich chorągwiach, że groźby i somacye Augustowego partyzanta dochodziły prymasa w jego bezpieczném, jak mniemał dotąd, schronieniu. Jakby dla przypieczętowania złego, wydarzył się wreszcie wypadek następny. Wspomnieliśmy o wycieczkach prymasa do Tygenhoffu. Jedna z ostatnich takich przejażdżek miała miejsce tuż po insynuacyi papiézkiego *breve*, około 20 Września.

Partyzanci Augustowi nie korzystali z niéj, nie wiedząc prawdopodobnie o obecności prymasa i pozwolili mu spokojnie wrócić do miasta. W kilka dni późniéj, około 1 Października, postanowili przecież błąd swój naprawić i zrobili wyprawę na Tygenhoff. Prymasa samego nie zastali i pochwycić go nie zdołali, ale za to gospodarowali ze wzgardą osoby i stanowiska istnie po swojemu w jego własności. Wszystkie cugi, przeszło 40 koni, wszelkie kosztowności, jakie jeszcze dotrwały na miejscu po przeszłorocznéj wizycie saskiéj,

---

(1) Depesze Stenzla.

zostały złupione, nałożona wreszcie na dobra tygenhoffskie kontrybucya 20.000 złotych pod zagrożeniem pożogi. Przypominamy sobie, z przytoczonych wyżéj listów prymasa, drażliwość jego wobec doniesień dochodzących go w Gdańsku o zniszczeniu i złupieniu jego pałaców w dalekiéj Warszawie, dóbr łowickich, skierniewickich i nieborowskich. Kilka miesięcy zaledwie temu jeszcze, pod dniem 30 Stycznia r. 1705 (1), rzucał ze swego schronienia gdańskiego exkomunikę na „napastników dóbr kościelnych.“ Teraz stanęli ciż sami napastnicy, w jego obliczu, pod własnémi niemal oczami, wśród urągań i obelg przeciw jego osobie, wśród objawów wzgardy dla jego piérwszorzędnego w Rzeczypospolitéj i kościele stanowiska. Prymas uczuł dotkliwie doniosłość podobnego czynu, a zmuszony mimo dumy do kapitulacyi, wyprawił, by oszczędzić Tygenhoffowi pożogi, w sprawie żądanego okupu do Chomentowskiego niejakiego Sardego. Wojewodzina łęczycka nie odstępuje i w tych chwilach osoby prymasa, a odgrywa właściwą sobie rolę i w owéj negocyacyi o Tygenhoff. „Prymas,“ pisze rezydent saski Stenzell w liście z Gdańska dnia 7 Października 1705, „więcéj jednakże jeszcze pani Towiańska, są bardzo skłopotani stratą zabranych koni, piérwszy zaś wczoraj i dziś obłożnie chory.“

Rzeczywiście skupiło się wszystko, by zatruć prymasowi życie, by wstrząsnąć choćby nawet *jego* silną i strawną organizacyą, by podkopanego moralnie i politycznie, sprzątnąć i fizycznie z widowni tego świata. Dzięki długiemu, przez rok cały blisko przeciągającemu się wahaniu i namysłom, stracił kredyt u Szwedów i Leszczyńskiego, nie zyskując go w zamian u Augusta. Karol XII poradził sobie *bez* niego, każąc właśnie w owych dniach rozpoczynającéj się choroby prymasa, dnia 4 Października 1705, arcybiskupowi lwowskiemu włożyć koronę na głowę Leszczyńskiego. Prymas miał jeszcze czas dowiedzieć się o tym wypadku, przykrym dla swych uczuć i nadziei, krzyżującym jego widoki co do księcia Conti lub hetmana Lubomirskiego. Równocześnie skazywało go *breve* papiéskie na bezczynność pod karą destytucyi, gdy do tego wszystkiego jeszcze, istnie w roli jakoby jéj wykonawców stanęli w obliczu jego Chomentowski wraz ze swém żołnierstwem, niszcząc jego włości, miotając w oczy obelgi. W Lublinie przed dwoma laty znalazł jeszcze prymas po podobném upokorzeniu pole późniejszéj zemsty w akcyi wywołującéj na scenę konfederacyą warszawską. Obecnie było mu ono zamkniętém, zraził sobie i zniechęcił narzędzia, z po-

---

(1) *Epistolae* Załuskiego, tom III, str. 613.

mocą których dotąd działał. Moralnie i politycznie zachwiany, dostąpił rzadkiéj i nie wszystkich mężów stanu spotykającéj łaski Opatrzności, *nieprzeżycia* upadku politycznego. Prymas cierpiał oddawna na żółciowe kamienie. Ciosy obecne powaliły go dnia 5 Października na łoże boleści. Choroba postępowała szybko. Dnia 12 Października czuł sam, czuło jego otoczenie, że koniec się zbliża. Znalazł jeszcze przecież dość czasu, by sporządzić długi akt swego testamentu (1), tegoż dnia przed południem. Jako obecnych téj ostatniéj prymasa czynności widzimy posła francuzkiego Bonaca, Bartłomieja Sardego, Karola d'Aujane de Willer, kanonika Marcina Lipnickiego, niejakiego Falęckiego i Pawła Grattę „generalnego pocztmagistra Królestwa Polskiego." W testamencie swym przebaczał prymas wszystkim swoim nieprzyjaciołom i przeciwnikom, skreślał, naturalnie w dodatnich barwach, życie swe polityczne i działalność kościelną, wypierał się autorstwa wojny szwedzkiéj, zaręczał, że wszystko byłoby wzięło dobry obrót a kraj byłby oddawna uspokojny, gdyby król August rad jego był chciał usłuchać. Poczyniwszy liczne zapisy rozmaitym kościołom, mianowicie archikatedrze gnieźnieńskiéj, nie zapomniawszy o nikim ze służby swojéj, wspomniawszy mianowicie wiernego kamerdynera Francuza Le Camus, zamianował ostatecznie uniwersalną swą sukcesorką panią Konstancyę z Niszczyckich Towiańską wojewodzinę łęczycką i jéj następców. Dobra Radziejowice przekazywał dzieciom swéj siostry Prażmowskim, żądał wreszcie być pochowanym w kościele OO. Misyonarzy Św. Krzyża w Warszawie, przeznaczając zarazem znaczne fundusze na msze za swą duszę. Egzekutorami testamentu mianował: Hieronima Lubomirskiego w. hetmana koronnego, Marcina Kątskiego wojewodę krakowskiego, Karola księcia na Ołyce i Nieświeżu Radziwiłła w. kanclerza litewskiego, Jerzego Towiańskiego wojewodę łęczyckiego, Stanisława Szczukę podkanclerzego litewskiego i Piotra Bronisza starostę pyzdrskiego. Uregulowawszy w ten sposób przytomnie i rozważnie sprawy swe świeckie, przeżył prymas jeszcze dzień cały i noc następną. Dnia 13 Października o godzinie 10 z rana zakończył życie. Odbyta dnia 15 Października sekcya wykazała zatrucie krwi, chorobę serca i znaczną ilość kamieni żółciowych (2).

Zgon jego wywołał pewne zatargi z miastem.

---

(1) Leben des Cardinals Michael Radziejowski i t. d. Stockholm, 1737. Dziełko nie wielkiéj zresztą wartości, ale mające przez zamieszczenie autentycznego testamentu prymasa pod koniec (str. 73—94).

(2) Archiwum drezdeńskie. Depesza Stenzla z Gdańska, 17 Października 1705.

Magistrat nie chciał początkowo zezwolić na żadne żałobne ceremonie około osoby zmarłego prymasa; późniéj ustąpił wobec nalegań otoczenia a dopóki ciało było w mieście, odzywały się co pół godziny dzwony żałobnym dźwiękiem z wież kościołów gdańskich (1). W kilka dni późniéj wywieziono wśród ciemni nocnéj ciało do Warszawy i złożono według życzenia wyrażonego w testamencie, w sklepach kościoła Św. Krzyża. Wrócił w ten sposób do Warszawy po śmierci, dokąd za życia nadaremno mu się było wybrać. W archikatedrze gnieźnieńskiéj, którą w testamencie „swą ukochaną narzeczoną“ nazywa (jakkolwiek przez siedmnaście lat swéj prymasowskiéj godności nigdy w Gnieźnie nie był) a któréj wspaniałe kosztowności i znaczne sumy pieniężne zapisuje, ma na lewo od głównego wejścia w kaplicy Bożego Ciała swój pomnik wystawiony kosztem kapituły. Tamże znajduje się téż malowany znakomitym pędzlem na złotéj blasze portret prymasa, przedstawiający twarz pełną i rumianą, bystre niebieskie oczy, grube nieco zmysłowe usta, nos kształtny, wypukłe, wysokie czoło...

Tak to ustąpił z widowni ówczesnych wypadków syn fatalnéj pamięci Hieronima, prymas Michał Stefan Radziejowski, który wśród nich nie mnéj prawie od ojca, swego czasu fatalną odegrał rolę. Współcześni jego zgonowi historycy dostrzegają w jego politycznym zawodzie jako głównéj winy, zbytku przywiązania do Francyi i interesu francuzkiego. Grzech ten, niewątpliwéj prawdziwości w życiu prymasa, stwierdzony trwaniem przy księciu Conti jeszcze nawet po krakowskiéj koronacyi Augusta, objawiający się tuż po detronizacyi jego w próbie sprowadzenia do Polski francuzkiego księcia, poczytalibyśmy raczéj Radziejowskiemu za cnotę. Ów „*grzech*“ dowodziłby, że prymas umiał przynajmniéj cośkolwiekbądź w życiu kochać i jakiejkolwiekbądź wierze pozostać wiernym. Co do nas, wręcz przeciwnie, zarzucilibyśmy prymasowi, obok nie wątpliwych przymiotów przyrodzonéj zdolności, wymowy, ukształcenia, które, nawiasowo powiedziawszy, zawdzięczał w znacznéj części królowéj Maryi Ludwice (2), grzech chciwości, mściwość, intryganctwo, niepowściągliwą ambicyą a co gorsza od tego wszystkiego w człowieku politycznym, chwiejność i niezdolność decyzyi. Prymas jest mistrzem w zawiązywaniu i przeprowadzaniu intryg, w ostatnim akcie cofa się fatalnie wobec ich konsekwencyi. Począwszy od roku 1702, działa i intryguje zręcznie i umiejętnie ku wy-

---

(1) Tamże.

(2) Wspomina o tém prymas wyraźnie w swoim testamencie.

tworzeniu sobie samodzielnego, rozjemczego stanowiska między wojującymi królami. Gdy intryga dojrzała, gdy akt detronizacyi nastąpił, cofnął się wobec naturalnych skutków własnego dzieła, nie uczestniczył w akcie elekcyi Leszczyńskiego, opuścił Warszawę. W rok późniéj blisko gotów już udzielić sankcyi dziełu szwedzkiemu, wydaje uniwersały na zjazd mający ulegalizować królewskość Leszczyńskiego. W stanowczéj chwili znowu go przecież nie ma. Prymas cofa się ponownie, zostawia radę warszawską własnym losom, koronacyą Leszczyńskiego arcybiskupowi lwowskiemu, sam czeka w Gdańsku, jakoby na koniec swego zawodu publicznego i osobistego. Z po za kulisów podobnéj widowni wysuwa się w charakterze mało zaczytnéj, a przecież dostrzegalnéj wszystkim sprężyny, złowroga, intrygancya, przewrotna postać wojewodziny łęczyckiéj. Jak zaś dzięki współce podobnych czynników *fatalną i smutną* w dziejach owéj epoki była rola Radziejowskiego dla Polski, tak przeciwnie mogła, dzięki stanowisku i niezaprzeczonym zdolnościom być na prawdę zbawczą, on sam zaś ostatnim może prymasem polskim, któremu była dana możność zaważenia stanowczo a dobroczynnie na szali losów narodowych. Cała sztuka, cała tajemnica zbawienia narodowego w owym czasie zależała, jak raz jeszcze przypomnićć nie odrzeczy, na sprowadzeniu narodu pod jeden wspólny sztandar. *Dwa* razy, nadarzała się prymasowi podobna sposobność. *Raz* podczas sejmu lubelskiego i po sejmie lubelskim w roku 1703 na rzecz Augusta; *drugi raz*, choć prawda, iż już wśród wiele większych trudności, w lecie roku 1705, na rzecz przymierza szwedzkiego i Leszczyńskiego. Obie sposobności wypuścił z rąk prymas, oba razy *przespekulował się* w swéj akcyi i rachubie, by mówić pospolitym językiem teraźniejszości. W ostatecznym rezultacie ocenienia dziejowego, sterczy jako postać, która całą swą działalnością, wszelkiemi sztukami i sposobikami krętéj i podstępnéj gry, pozostaje charakterystycznym dowodem zgubności jakichbądź machiawellizmów czy wallenrodyzmów politycznych, żywém stwierdzeniem tak ogólnikowo nibyto i trywialnie brzmiącéj a przecież w rzeczywistości tak prywatnego, jak publicznego życia rzadko zawodzącéj prawdy: „*Najwyższy rozum cnota!*“

Kazimierz Jarochowski.

LISTY CZESKIE.

II.

Rozdwojenie w łonie stronnictwa narodowego.

Amicus Plato, sed magis amica veritas.

W niniejszym liście sprobuję przedstawić pochodzenie stronnictwa tak zwanych „młodych Czechów“ znaczenie téj partyi w życiu narodowém i polityczném narodu czeskiego oraz stanowisko jéj względem tak zwanych „starych Czechów“. Jakkolwiek dla krótkości utrzymuję tu, w ogólném użyciu będące nazwy, „młodych czechów“ i „starych czechów“ uważam za stosowne zastrzedz z góry, że te określenia nie są bynajmniéj urzędowemi nazwami obu odcieni stronniczych, albo jak się „młodzi czechowie“ z naciskiem wyrażają, obu partyj. Nazwa „młodych czechów“ może ze względu na swoje pochodzenie mieć pozorny związek z „młodemi Niemcami“ lub z „giovine Italia“, ale w życiu stronnictw niemieckich ani włoskich, nie napotykamy „starych Niemców“ ani żadnéj „Italia vecchia“ a zatém, antyteza starych i młodych Czechów w Czechach tylko istniejąca, dowodzi że jednakowemi nazwami określają się nie zawsze jednakowe rzeczy. Oba wyrażenia „młodzi czechowie“ i „starzy czechowie“ są tylko utartemi, popularnemi nazwami dwu stronnictw, służącemi do codziennego użytku; oficyalne nazwy, *których młodzi czechowie sami zawsze używają, i przez które wyraźnie określają za co siebie samych, za co przeciwne stronnictwo uważają i jak właściwie chcą być nazywani*, są: *narodni strona swobodomyślna* i *narodni strona konserwatiwni.* Samo z siebie rozumie się że narodni strona swobodomyślna, są to młodzi Czechowie.

Uczyniwszy to zastrzeżenie, pozostanę nadal dla krótkości, jak to już nadmieniłem, przy nazwach młodych czechów i starych czechów.

Zamierzając jako Czech rzucić trochę więcéj światła na ukryte starcia i na otwartą walkę tych obu narodowych stronnictw, muszę

się przedewszystkiém obwarować, że bynajmniéj nie jest moim celem prać naszą brudną narodową bieliznę w oczach całego świata, że zatém w zamierzonym obrazie nie myślę występujących często drobnych osobistych interesów wysuwać na główne plany. Przeciwnie staraniem mojém będzie w całości objawów uwydatnić wedle możności zasadnicze rysy i mówić, o ile się da, raczéj o kierujących zasadach, niż o kierujących osobistościach.

Ażeby dokładnie wyjaśnić wytworzenie się stronnictwa młodych Czechów, muszę naturalnie cofnąć się do minionych czasów.

Przed rokiem 1848 znajdowało się w Czechach jedno tylko zwarte narodowe (sławiańskie) stronnictwo; ówczesne stosunki nie pozwalały jeszcze na zbytek rozdwojenia. Do tego zwartego narodowego stronnictwa, należał każdy Czech sławiańskiéj narodowości, który w umysłowém wykształceniu tak daleko był posunięty, że utrzymanie i pielęgnowanie swéj narodowości, a zatém utrzymanie i pielęgnowanie ojczystego, sławiańskiego języka, uważać mógł za zadanie swego życia. Każdy Czech który solidaryzował się z tém dążeniem i popierał je według sił swoich, nazywał się wtedy „*vlastenec*“, patryota.

Między temi „vlastenci“ z czasów przedmarcowych nie obywało się też bez drobnych osobistych starć, bez drobnych literackich waśni (np. o czeską ortografią); ale były to tylko waśni o środki za pomocą których miał być osiągnięty wzniosły cel słaniający się wszystkim przed oczami z jednakowym majestatem, a tym wielkim, wzniosłym celem, był zawsze silny nierozerwalny węzeł który wszystkich silnie z sobą jednoczył: wszyscy żyli tylko dla jednéj wielkiéj myśli, ażeby z długiego letargu mającego pozory śmierci, wskrzesić naród czeski do nowego życia.

Główném owego czasu zadaniem było podźwignięcie literatury narodowéj, i dla tego ci wszyscy którzy się temu zadaniu poświęcili, zdobyli sobie wybitne stanowisko w narodzie; czyli ściśléj mówiąc w części narodu świadomie do wielkich celów dążącéj i należącéj do stronnictwa patryotów, „vlastenci“: wszyscy więc ówcześni pisarze cieszyli się wysokim szacunkiem i poważaniem tego stronnictwa. Ale zadanie, któremu się poświęcał ówczesny pisarz czeski, nieopłacało się pod względem materyalnym, nie tylko bowiem nie przynosiło żadnego zysku, lub też bardzo drobne dawało korzyści, ale połączone było z wielu niedogodnościami, bo gorliwi obrońcy dążeń narodowych, nie tylko źle byli widziani u rządu niemieckiego, nietylko wyrzec się musieli jego łaski i poparcia, ale podlegali też prześladowaniu ze strony policyi. Mogli więc temu zadaniu poświęcić się tylko tacy ludzie, którzy czuli w sobie siłę i powołanie do służenia

idealnéj sprawie, z wyrzeczeniem się materyalnych tego życia korzyści. Pisarze czescy ówczesnego okresu, były to natury szlachetniejsze zdolne do poświęceń—byli to, według dzisiejszego wyrażenia tylko idealiści, to jest po większéj części ludzie, którzy dla idei poświęcali możliwą w życiu karyerę. Bezinteresowność i zdolności do poświęceń jednoczyły ich między sobą duchowym węzłem wzajemnego szacunku i sympatyi, a chąc dokładnie pojąć i ocenić dzisiejsze między stronnictwami stosunki, należy znać tę okoliczność i mieć ją ciągle na uwadze. Na wszystkich, którzy się wtedy poddawali mozolnéj i niewdzięcznéj pracy budzenia czeskiego narodu do nowego życia, ciężył jednakowy nacisk z góry; na wszystkich działały jednakowe nieprzyjazne stosunki, wszystkim stawały na drodze te same, trudne do przezwyciężenia zawady, a koniecznêm następstwem tego wszystkiego była naturalnie jedność i zgoda w ówczesném stronnictwie narodowém.

Kiedy rok 1848 potargał nagle węzły, któremi absolutyzm austryacki, krępował wszystkie swobodniejsze ruchy różnych ludów monarchii, dotychczasowe narodowe stronnictwo w Czechach stało się odrazu partyą polityczną; dotychczasowy program narodowy trzeba było zamienić a raczéj przerobić na polityczny. Stronnictwo narodowe w Czechach nie było dostatecznie przygotowane, na tak nagłą a wielką zmianę swego stanowiska, nie miało właściwie gotowego, utrwalonego programatu politycznego; taki program trzeba było dopiéro stworzyć. W obec nowych stosunków, cel który miało przed sobą to stronnictwo aż do roku 1848 był bardzo skromny, pielęgnowanie języka narodowego utworzenie literatury narodowéj stanowiło całą treść programu narodowego; takiemi tylko przygotowaniami do nowego narodowego życia zajmowano się prawie wyłącznie, i nie wielu wybitnych dojrzalszych mężów z tego stronnictwa, może tylko sam Palacky, miał jasne pojęcie o politycznêm stanowisku, które kiedyś zająć może i powinien naród czeski w monarchii austryackiéj, jeżeli się poczuje narodem; a sam nawet Palacky nie mógł jeszcze w r. 1848 przeczuć, że w ośm tygodni późniéj, duch narodowy w Czechach dźwignie się z tą siłą i potęgą z jaką istotnie dźwignął się po pamiętnych dniach marcowych. My wszyscy, którzy przed r. 1848 poświęciliśmy życie nasze służeniu idei narodowéj, nie troszcząc się bardzo czy i kiedy osiągnięty będzie cel naszych dążeń—zupełne odrodzenie narodu czeskiego, zdumieni byliśmy w marcu r. 1848 zjawiskiem, o którém teraz zupełnie przedmiotowo mówić można. Piękna to była nagroda naszych usiłowań, kiedy mogliśmy powiedzieć sobie wtedy: naród czeski żyje! ale zdumieni byliśmy patrząc jak Praga, stolica kraju, przybrała odrazu czeski charakter, i jak wszystkie inne

miasta stały się niespodzianie czeskiemi miastami. Wydało mi się koniecznén nacisk na to położyć, ażeby dobrze wyjaśnić fakt, że stronnictwo narodowe czeskie nie miało jeszcze w r. 1848 gotowego programu politycznego. Zresztą łaskawi czytelnicy wiedzą z mego pierwszego listu, że Niemcy czescy stworzyli sobie polityczny program dopiéro po Marcu r. 1848.

Naród czeski zatracił wszelkie wspomnienia swego dawnego politycznego stanowiska; nawet szlachta w kraju, tak nazwane stany, z trudnością uchodzić mogły za przedstawicieli tych wspomnień; to co szlachta uważać mogła za swoje polityczne prawa, nie było jawne, a zatém naród nie miał o tém żadnéj świadomości; nie widać téż tam było ani śladu jakiego bądź sławiańskiego narodowego dążenia. Stara czeska szlachta, częścią wyginęła, częścią tak była zniemczona, że stronnictwo narodowe bardzo słabe znalazło w niéj swoich dążeń poparcie, i dla tego nie mogło w szlachcie czeskiéj widziéć przedstawicielki mającego się odnowić prawa politycznego Czech, dla tego nie mogło téj szlachty uważać za podporę przyszłego politycznego stanowiska narodowości czeskiéj.

Wszystkie te okoliczności należy wziąść na uwagę, ażeby zrozumiéć, że naród czeski nie mógł w r. 1848 wystąpić z gotowym politycym programem; brakowało mu tradycyi, brakowało arystokracyi narodowéj.

Program polityczny narodu czeskiego wytworzył się częściami w r. 1848: interesa narodowe stały naturalnie na najbliższym planie. Pierwszy punkt owéj petycyi do cesarza, którą uchwalono w Pradze na pierwszém zgromadzeniu narodowem 11 Marca r. 1848 brzmiał jak następuje:

„Zabezpieczenie narodowości czeskiéj we wszystkich ziemiach korony czeskiéj i zupełne równouprawnienie języków czeskiego i niemieckiego w szkole i w urzędzie.

Wolność prasy, swobody gmin, zreformowane sądownictwo, wolność wyznań, wszystko to wydawało się wtedy każdemu rzeczą nie potrzebującą dowodzenia. Treścią wszystkich pragnień, która miała być rzeczywistém, wspólném dobrem całego narodu było *równouprawnienie narodowości i opór przyłączeniu Czech do Niemiec*. W tém pragnieniu zjednoczył się cały naród i można powiedziéć, że w r. 1848 cały naród czeski tworzył jedno stronnictwo. Czasy wolności trwały w Pradze tylko trzy miesiące. W połowie Czerwca, po stłumieniu powstania czerwcowego, nastąpił stan oblężenia i swoboda ruchów ustała. Gdyby była potrwała dłużéj, byłby się już wtedy naród czeski na dwa stronnictwa rozdzielił: mianowicie na krańcowo-rewolucyjne i umiarkowane. Ponieważ do tego rozdwojenia nie

przyszło, mogę ograniczyć się na krótkiéj tylko wzmiance, ale muszę wspomniéć o możliwości rozdwojenia, bo niektórzy członkowie tworzącego się stronnictwa krańcowo-rewolucyjnego ukazują się znów po 1861 r. między młodemi czechami.

Rzeczą jest ogólnie ludzką, że nie wielu znajduje się ludzi o tyle w poglądach swoich rozwiniętych i tak silnie przy swoich zasadach stojących, ażeby wśród wszelkich okoliczności utrzymali się na drodze, którą im szczere przekonania wytknęły, wtedy nawet kiedy ich do tego nie zmusza żaden zewnętrzny nacisk. Przeciwnie, jest mnóstwo ludzi, którzy tego nie potrafią, albo z braku silnych przekonań, albo téż dla tego, że fizyczny ich ustrój tak zwane słabe nerwy, utrudniają im zachowanie równowagi pod działaniem potężnych wrażeń. Takie słabe głowy były zawsze zgubą wszystkich rewolucyj, tracą bowiem przytomność gdy wszystko chwiać się zaczyna, i działają wtedy zawsze nie pod wpływem rozwagi, lecz w stanie chwilowego podniecenia. Podobni ludzie znajdowali się naturalnie i w Pradze w r. 1848, a krótko, bo trzy miesiące trwająca swoboda ruchów, czyli jak inni nazywają, „rewolucyjna agitacya“ aż nadto była wystarczająca, ażeby z takich ludzi wytworzyć krańcowych rewolucyonistów, których mglisty nieco program polegał na kopiowaniu wielkiéj rewolucyi francuzkiéj. Tego co osiągnąć chcieli nie wyobrażali sobie jasno, głównem ich staraniem było naśladowanie różnych scen z rewolucyi francuzkiéj. Doszło jednak tylko do stawiania barykad w czerwcu, które w głowach tych ludzi, nadawały dopiéro całemu ruchowi prawdziwie rewolucyjny koloryt, los oszczędził nam gilotyny i terroryzmu. Bombardowanie Pragi w Czerwcu r. 1848 wystarczyło niektórym z pomiędzy tych krańcowych rewolucyonistów; inni powtórzyć musieli w 1849 podobne próby, ażeby dostać się na kilka lat do fortecy, i uchodzić następnie za męczenników wolności.

Zwracałem już na to uwagę w piérwszym liście, ale muszę tu raz jeszcze powtórzyć, że krańcowi rewolucyoniści w r. 1848 wyrządzili sprawie narodowéj w Czechach wielką krzywdę, któréj późniéj niepodobna było powetować. Wybuch powstania czerwcowego w r. 1848 przeszkodził zebraniu się sejmu czeskiego, który ostatecznie spełzł na niczém, choć mógł był w ówczesnych warunkach bardzo łatwo wytworzyć porozumienie między Niemcami i Słowianami i uregulować prawnopaństwowy stosunek królestwa czeskiego do całéj monarchii; z winy powstania czerwcowego nie zakończył się prawidłowo kongres słowiański, który natchnął cały świat przekonaniem, że słowianie austryaccy, a przedewszystkiem Czechowie nie są panslawistami, że dążą nie do żadnych politycznych fantazyj lub utopij, ale do ściśle określonych i praktycznych celów, to jest do

utrzymania i zabezpieczenia życia narodowego i że te ich żądania bynajmniéj pokojowi Europy nie zagrażają.

To też nic dziwnego, że po powstaniu czerwcowém, wszyscy rozważni patryoci stanowczo potępili stronnictwo krańcowych rewolucyonistów r. 1848, i że w skutek tego wpływ ich na dalszy przebieg wypadków ma zupełnie podrzędne znaczenie. Czechowie wystąpili na sejmie w Wiedniu w r. 1848 jako stronnictwo zupełnie zwarte, a w rewolucyjnych wybrykach 1849 r. brały w Czechach udział tylko pojedyncze indywidua, które tém właśnie dowiodły, że zgoła nie mają pojęcia o ówczesnym stanie rzeczy. Awantury rewolucyjne w r. 1849 dopomogły tylko przygotowującéj się wtedy w całéj Europie ogólnéj reakcyi. Ludy europejskie nie umiały w r. 1848 wyzyskać jak należy okoliczności sprzyjających wyswobodzeniu się z jarzma absolutyzmu; a reakcya tém lepiéj potrafiła spożytkować do swoich celów wszystkie błędy przez narody popełnione. Żelazna jéj ręka ciążyła blizko przez dziewięć lat na narodzie czeskim, który miał być za to ukarany, że słońce wiosenne r. 1848 ośmielił się uważać za wschodzącą jutrzenkę swéj narodowéj wolności.

W ciągu tych dziewięciu lat zupełnego zastoju w życiu polityczném i publiczném, wyrosło w Czechach nowe pokolenie młodych ludzi, którzy poczuli w sobie odwagę i siłę wystąpienia w obronie praw narodu czeskiego, znajdowało się między nimi kilka znakomitych talentów pisarskich. Rok 1848 ze wszystkiemi swemi walkami, nadziejami i rozczarowaniami rysował się w umyśle tych młodych ludzi w żywych choć może w niedość jasnych, w niedość jasno zrozumianych wspomnieniach. Główne wrażenie które pozostawił w tych młodych ognistych wyobraźniach, przedstawiało się w formie ostatecznego niepowodzenia i bezowocności ówczesnego wysiłku narodowego. „To co można było wtedy zrobić, zrobiono źle; my zrobilibyśmy to i zrobimy lepiéj,“ taka była myśl, z którą nosili się młodzi bojownicy wolności. Najmniejsza rzecz, którą w swéj zacieśnionéj sferze przedsięwzieli i szczęśliwie do końca doprowadzili, wydawała im się nierównie ważniejszą i dla dobra ojczyzny donioślejszą, niż wszystko cokolwiek przed nimi inni obmyślili i przedsięwzięli.

Leży to już w naturze ludzkiéj, że młodość niema nigdy należnego szacunku dla doświadczeń dojrzałego wieku. W politycznem życiu narodów, jestto, jak mówi Heine o innych stosunkach, stara, a jednak wiecznie nowa historya, że młodsze pokolenie lekko sobie waży doświadczenie starszych, i nie jest zbyt skłonném do uważania tego doświadczenia za nagromadzony kapitał, o którego odpowiednim spożytkowaniu w danym czasie i w danych warunkach żaden

naród nie powinienby zapominać. Ztąd między starszymi i młodymi naturalna wynika sprzeczność, piérwsi bowiem przedstawiają rozwagę dojrzałą pod wpływem doświadczenia, gdy drudzy nie krępowani zastanowieniem śmielsi są w pomysłach i energiczniejsi w wykonaniu. Gdzie oba żywioły współdziałają w dopełniającéj się wzajem harmonii, tam kwitnie pełne i plenne życie narodu. Gdy życie publiczne narodu może rozwijać się w nieprzerwanéj działalności, kiedy młodsi bojownicy krzepią się przy boku starszych, gdy są sami świadkami niezachwianego wytrwania, i niewzruszonéj wierności przekonań starszych towarzyszy, gdy zmuszeni są w tym lub owym przywódzcy widzieć wzór godny naśladowania, w takim tylko razie nie tworzy się ów niebezpieczny antagonizm między starszém a młodszém pokoleniem, który w Czechach od r. 1861, a właściwie od r. 1863, rozdzielił na dwa prawie nieprzyjacielskie obozy, stronnictwo narodowe tak potrzebujące jedności.

W Czechach właśnie przy powtórném obudzeniu się życia politycznego po dziewięcioletnim prawie zastoju, zdarzył się ten fakt, że młodsze pokolenie bardzo dzielnych ludzi, wyrosło bez zetknięcia ze starszymi, i uważało się naturalnie za powołane do zrobienia wszystkiego lepiéj, aniżeli robili jego poprzednicy. Taki jest piérwszy zasadniczy powód wytworzenia się stronnictwa tak zwanych „młodych Czechów.“ Trzeba tu nadto dodać ogólnie przytrafiającą się okoliczność, że młodsze pokolenie zawsze skłonne jest przechylać się ku krańcowemu kierunkowi, który lepiéj odpowiada jego duchowi przedsiębierczemu, niekrępowanemu jeszcze doświadczeniem.

Kiedy w Październiku r. 1860, dyplom cesarski rozpoczął w Austryi nową erę życia konstytucyjnego, a w lutym 1861 weszła w życie konstytucya i wszystkie urządzenia krajowe, istniejące już żywioły stronnictwa młodych Czechów, nie miały jeszcze téj spójności, któraby je zdolnemi czyniła do samodzielnego wystąpienia. Na czele narodowego stronnictwa czeskiego, a raczéj na czele narodu czeskiego, który chciał na nowo bronić swoich praw politycznych, stali wówczas, z niezaprzeczonem prawem do politycznego sterowania dwaj ludzie, którzy ani nie uzurpowali tego stanowiska, ani go sobie sami nie nadali: Palacký i Rieger. Zbytecznem byłoby zastrzegać tu, że polityczne przewodnictwo całego narodu, nie jest bynajmniéj rzeczą, do któréjby każda jednostka według osobistego upodobania mogła rościć pretensyą, że to stanowisko musi wyniknąć naturalnym porządkiem, ze zdobytego zaufania całego narodu. Jeżeli naród czeski w r. 1861 uznał Palackiego i Riegera za swoich politycznych przywódzców, to dla tego, że upostaciował w tych dwóch mężach, na podstawie długoletniego doświadczenia, wszystkie przymioty któ-

re ich czyniły godnymi zupełnego zaufania narodu. W Palackim szanowali Czechowie najgruntowniejszego znawcę dziejów ojczystych, a ponieważ historya narodu niczém innémi nie jest jak nagromadzonémi jego doświadczeniem życiowém, więc Palacky był dla Czechów tym wzniosłym duchem, który reprezentował doświadczenie wieków. Musiał nadto naród cenić w tym mężu bezinteresownego i nieprzedajnego patryotę, poświęcającego całe swoje życie jednemu celowi, to jest wywalczeniu dla czeskiego narodu stanowiska i praw politycznych, które w nieszczęsnych okolicznościach utracił. Rieger, odznaczający się szlachetnym charakterem w najlepszém tego słowa znaczeniu, znany przed r. 1848 jako jeden z działaczy najgorliwiéj popiérających dążenia narodowe, i z powodu niezależnego stanowiska materyalnego, uzdolniony do roli, która w owym czasie gotowość do poświęceń czyniła piérwszym warunkiem czekiego patryoty, przyłączył się w młodzieńczych latach do ruchu r. 1848. Uzdolnienie uznane przez wszystkich, świetny talent krasomówczy, a nawet, że tak śmiało rzec można, wszelkie na męża stanu kwalifikacye, wyniosły go w krótkotrwałym rewolucyjnym okresie a szczególniéj podczas zgromadzenia ustawodawczego w Wiedniu, na stanowisko o którem naród nie mógł zapomnieć, nawet w ciągu dziewięcioletniéj reakcyi i zastoju w życiu polityczném i publiczném w Czechach. Tacy dwaj ludzie stali na czele narodu czeskiego, kiedy rok 1860 zamknął w Austryi okres politycznéj reakcyi. Rieger wyłuszczył w wyczerpującém memorandum do cesarza austryackiego wszystkie gravamina narodu czeskiego, i przedstawił je w r. 1860 na osobistém posłuchaniu Jego cesarskiéj Mości; Rieger zajął się w r. 1860, utworzeniem nowego organu dla narodu czeskiego; Rieger i Palacki stanowili punkt krystalizacyjny komitetu wyborczego przed wyborami na zgromadzenia i do sejmu czeskiego, i wiadomo jest powszechnie, że wybrani byli wtedy w całym kraju tacy tylko kandydaci, których polecili Rieger i Palacki. Polecając kandydatów Rieger i Palacky, nie rządzili się ciasnemi, stronniczemi względami, i nikt nie może twierdzić, że musieli zaproponować tych, których zaproponowali. Ta okoliczność na szczególną zasługuje uwagę, należy tu więc z naciskiem przypomnieć, że nietylko wszyscy przywódcy późniejszych „młodych Czechów,“ nawet z nazwisk narodowi czeskiemu nieznani przez Palackiego i Riegera wprowadzeni zostali w szranki życia politycznego, ale że szczególniéj Dr. Sladkowsky, w podziękowaniu D-rowi Riegerowi ogłoszoném w dziennikach, wręcz oświadczył, iż wybrany został na posła dzięki zaleceniu Dra. Riegera.

Jeżeli dochowując wierności przedmiotowéj prawdzie, o tych faktach wspominam, muszę zaraz dodać, że daleką jest odemnie

myśl przedstawienia w ten sposób stosunków między przywódzcą politycznym a jego stronnictwem, jak gdyby ten przywódca miał być nieograniczonym samowładzcą, jak gdyby stronnicy idący za jego przewodnictwem, mogli być tylko poddańczémi jego wasalami, potakującemi wszystkiemu bez zdania i bez woli. Jestem stanowczo wręcz przeciwnego zdania, że sternik narodowego stronnictwa, a raczéj, wyrażając się dokładniéj, przywódzca reprezentantów politycznych danego narodu, musi działać według tych samych zasad, których przestrzegać obowiązany jest rząd uczciwie konstytucyjnego państwa, to jest, że może być tylko wykonawcą woli wyrażonéj przez większość; ale należy tu znowu dodać, że w każdem stronnictwie narodowém, które istotnie wspólny cel osiągnąć pragnie, mniejszość winna zawsze poddać się większości. Wszelka opinia ma prawo bytu, nikt niema obowiązku opinii przywódzcy uważać za rozkaz któremuby każdy poddawać się musiał; ale większość tylko może o tém rozstrzygać, które zdanie uchodzić ma za ogólnie uprawnione, któremu wszyscy poddawać się winni. Uwagą powyższą wyraźnie obwarować się musiałem ażeby mnie późniéj nie posądzono, że reprezentantów politycznych proponowanych przez Riegera i Palackiego uważać chcę w czambuł za bezwłasnowolnych automatów, lub że przynajmniéj skłonny jestem przez uczucie wdzięczności przedstawiać ich stosunek do przywódzcy, jako stosunek wasalów.

Jesteśmy zresztą dopiero na początku r. 1861: nigdzie jeszcze nie widać objawów przyszłego rozdwojenia w łonie stronnictwa narodowego, które stoi jeszcze w zwartych szeregach; nikt jeszcze nie myśli o otrząśnięciu się z pod wpływu ogólnéj uznanéj powagi kierownika.

Po długich mozołach przychodzi do skutku założenie nowego organu stronnictwa: dziennik *Narodni listy* zaczyna wychodzić od 1-go Stycznia r. 1861. Historya założenia tego organu odgrywa tak ważną rolę przy wytworzeniu się partyi „młodych Czechów,“ że ją nieco bliżéj wyświecić muszę. Rieger postanowił jeszcze w r. 1860 założyć dziennik polityczny, ale ani on ani starsi jego towarzysze nie mogli otrzymać potrzebnéj koncesyi. Nowa konstytucyjna era, zbyt jeszcze krótko trwała ażeby biurokratycznéj maszynie władz politycznych i policyjnych, nadać ruch konstytucyjny. Rieger i starsi jego przyjaciele byli w czasach reakcyi u tych władz notowani, jako zatwardziali rewolucyoniści, nic więc dziwnego, że nawet przy nowym porządku rzeczy, musiano im odmówić zezwolenia na dziennik polityczny, opierając się na niezniesionych jeszcze wyraźnie przepisach z czasów panowania reakcyi. W tém kłopotliwem położeniu dowiedział się Rieger, że pewien młody człowiek, doktór praw Juliusz Gregr,

sekretarz u adwokata w *Friedland*; również zrobił podanie o koncesyę na wydawnictwo dziennika politycznego, i takową bez zwłoki otrzymał. Między Drem Juliuszem Gregrem a Riegerem stanęła wkrótce odpowiednia umowa; właściwie nawet nie był to formalny przed sądami ważny kontrakt, i *Narodni Listy* ukazały się poraz piérwszy w dniu 1 Stycznia r. 1861, jako nowy polityczny organ czeskiego stronnictwa narodowego. Wszyscy przyjmujący udział w tém wydawnictwie byli zadowoleni: Rieger i Palacky mieli to czego potrzebowali, organ polityczny; Dr Juliusz Gregr miał od samego początku pięć tysięcy prenumeratorów, bo Palacky i Rieger oświadczyli, że ta gazeta jest organem czeskiego stronnictwa narodowego. *Narodni listy* mogłyby być dziś jeszcze w r. 1879 jedynym niejako urzędowym politycznym organem stronnictwa narodowego w Czechach, i rozdział tego stronnictwa na młodych i starych Czechów ze wszystkiemi swémi następstwami nie miałby miejsca, gdyby Rieger nie był się wówczas dopuścił zaniedbania, niezgodnego z konieczną w politycznym przywódzcy przezornością, które też wkrótce ciężko na samém stronnictwie pomścić się miało.

Zaniedbanie polegało na tém, że Dr. Rieger nie uważał za potrzebne, zyskowne to dziennikarskie przedsiębiorstwo uczynić istotną własnością i organem stronnictwa narodowego, przez zorganizowanie towarzystwa akcyjnego i komitetu redakcyjnego, lecz ze względów wygody i aby się jaknajprędzéj pozbyć kłopotów, powodowany ufnością prawdziwie niepojętą do młodego i jeszcze niewypróbowanego sprzymierzeńca, oddał wkrótce dziennik, któremu własnem nazwiskiem zjednał całe koło prenumeratorów, na zupełną własność i do dowolnego rozporządzenia Dr. Juliuszowi Gregrowi.

Nie potrzeba było długo czekać na następstwa takiego nierozważnego kroku. Dr. Juliusz Gregr musiał wkrótce uczuć, że był panem położenia; przy boku miał całe młode pokolenie zdolnych utalentowanych ludzi, którzy w ciągu dziewięcioletniéj reakcyi dojrzeli do nowych walk za prawa narodu czeskiego; wszyscy mieli do rozporządzenia cały arsenał dziennikarskiéj broni, którą za te prawa walczyć mogli; cóż dziwnego, że ufając zupełnie swoim młodym, świeżym siłom, postanowili sami stanąć do boju bez opieki starszego przywódzcy, która im nie wiele obiecywała. Pozostawiono im dobrowolnie jedyny narodowy organ, jakże nie mieli wpaść na myśl użycia go za organ własny?

Pozostawiając *Narodni listy* Juliuszowi Gregrowi, Dr. Rieger stworzył sam stronnictwo młodych czechów, jego opieszałość jest właściwą matką téj partyi.

Rozdwojenie nie spełniło się jednak odrazu. Dr. Juliusz Gregr pracował jeszcze jakiś czas pod dawną firmą Riegera i Palackiego, ale nazwizko jego, które naród czeski widział codzień na jedynym narodowym organie stawało się coraz popularniejszém, liczba jego osobistych stronników wzrastała znacznie; stronnictwo krańcowe, które pod kierunkiem Dr. Sladkowskiego posiadało od początku r. 1862 swój własny organ (Hlas), mogło być już uważane za sprzymierzeńca nowotworzącéj się partyi młodych Czechów, i chodziło już tylko o to, aby przy najodpowiedniejszéj sposobności wystąpić przed narodem czeskim z samodzielnym programatem politycznym. Sposobności téj dostarczyło polskie powstanie r. 1863.

Palacky i Rieger oświadczyli się przeciw polskiemu powstaniu uważając je za przedsięwzięcie bez żadnych widoków, a zatém za klęskę narodową. Mieli przekonanie, że na téj drodze zastarzały narodowy antagonizm między Polakami i Rosyanami nie może być usunięty, i dostrzegali nadto w powstaniu nieprzychylne dla słowian machinacye polityki zachodnio-europejskiéj. Przy całéj więc sympatyi dla bohatérskiego narodu, nie mogli stanąć po stronie powstańców.

Partya młodych Czechów, czując już silny grunt pod nogami wystąpiła otwarcie przeciw obu przywódzcom narodowym, obwiniła ich o zaparcie się tych liberalnych zasad, które dawniéj wyznawali i ogłosiła ich jako niegodnych zaufania narodu Czeskiego. Rozpoczęła się w całym kraju formalna agitacya w celu okazania obu przywódzcom w sposób demonstracyjny nieufności narodu. Portrety Palackiego i Riegera wiszące w publicznych miejscach zdjęto i zniszczono; temu samemu losowi uległy i popiersia. Miało to wszelki pozór jak gdyby chciano na zawsze usunąć, obalić powagę tych dwu mężów tak wielce dotąd przez naród Czeski szanowanych.

Narodni listy wystąpiły otwarcie przeciwko Palackiemu i Riegerowi, którzy żadnego innego dziennika nie mieli do swego rozporządzenia. Naród musiał być koniecznie w błąd wprowadzony co do ludzi, którzy tak zawzięcie potępieni byli w jedynym, rzec można uprzywilejowanym, dzienniku, przez tychże samych ludzi za organ narodowy ogłoszonym.

Zażarta napaść w r. 1863, zachwiała wprawdzie ale nie obaliła zupełnie powagi Palackiego i Riegera. Nie mam zamiaru dochodzić czy ta napaść może być uważana za czyn patryotyczny i czy ją za zasługę poczytać wypada; zaznaczę tylko jednę okoliczność, że tworząca się partya „młodych Czechów“ wynalazła szczęśliwie główny punkt swego nowego politycznego programatu: mianowicie przywilej na wyłącznie jéj przyznany *liberalizm*.

Po tém piérwszém powodzeniu można było spodziewać się, że nowa partya wystąpi także z nowym programatem wewnętrznéj polityki; że młode pokolenie, korzystając z piérwszego zwycięztwa nad dawnymi kierownikami, wypowie im wręcz posłuszeństwo i z gruntu zechce przekształcić całe stronnictwo, od głów począwszy. Do tego jednak nie przyszło; przeciwnie, pokazało się wkrótce, że najhałaśliwsze, najgwałtowniejsze demonstracye przeciw Palackiemu i Riegerowi, urządzone były nie przez dojrzałą politycznie część narodu, ale po większéj części przez młodzież nieuprawnioną jeszcze do stanowienia takiego ostracyzmu, i że przywódzcy tych wszystkich manifestacyj, właściwie nie mogli liczyć na poklask politycznie dojrzałéj większości narodu Czeskiego.

Ta okoliczność wyjaśnia dla czego Palacki i Rieger faktycznie pozostali po r. 1863 sternikami narodu czeskiego i kierownikami jego narodowéj polityki, i dla czego wszelkie dokumenta polityczne, w których przedstawicieli narodu czeskiego uznali za właściwe zawarować prawa ludu królestwa czeskiego, redagowane były przez Dra Riegera, i podpisywane zawsze przez wszystkich deputowanych od narodu. Prawni reprezentanci ludu czeskiego, występowali i po r. 1863 pod wodzą Palackiego i Riegera jako zgodne i zwarte stronnictwo. Należy też z naciskiem w tém miejscu przypomnieć, że ani w r. 1863, kiedy deputowani czescy wyszli z rady państwa ani w r. 1868, kiedy odmówili wejścia do sejmu czeskiego, młodzi czechowie nie podnieśli głosu przeciw rozpoczętéj polityce *abstynencyi*, lecz przyklaskiwali téj fatalnéj taktyce, bronili jéj gorąco, i swoim współudziałem nadali jéj formalną sankcyą. Fakt ten oceniany z dzisiejszego stanowiska może się wydać dziwnym, ale wyjaśnia go w bardzo prosty sposób okoliczność, że wtedy cały naród, nietylko popiérał politykę biernego oporu, ale nawet, rzec można domagał się jéj gwałtownie.

Polityka, a raczéj, mówiąc ściśléj, *taktyka* abstynencyi czeskiego stronnictwa narodowego przejawiła się w ten sposób, że najprzód deputowani czeskiego narodu wybrani przez sejm do rady państwa, w deklaracyi z 17-go Czerwca r. 1863 oświadczyli, iż nadal nie przyjmą udziału w obradach tego zgromadzenia od którego na przyszłość zdala trzymać się będą; powtóre, deputowani na sejm czeski również odmówili udziału w posiedzeniach tego sejmu, w deklaracyi złożonéj 22-go Sierpnia r. 1868.

Kładę nacisk na wyrażeniu „taktyka abstynencyi,“ bo nie było bynajmniéj zamiarem prawnych przedstawicieli narodu czeckiego, postawić abstynencyą jako polityczną zasadę w tém znaczeniu, jak gdyby reprezentanci byli zasadniczymi przeciwnikami parlamentaryzmu i konstytucyjnego w państwie ustroju. W gruncie rzeczy bierny opór

należało uważać jako manewr taktyczny, przy pomocy którego stronnictwo narodowe czeskie spodziéwało się łatwiéj i bezpieczniéj wyjednać dla narodu i dla Królestwa czeskiego wszystkie te konstytucyjne prawa, o które dopominać się na podstawie ogólnych zasad konstytucyjnych, nie tylko służyło prawu, według mniemania stronnictwa, ale nakazywał obowiązek.

Jakkolwiek taktyka powyższa wynikała tu i owdzie z motywów czysto osobistych i miała służyć często osobistym widokom, była jednak w r. 1863 w stosunku do rady państwa i w r. 1868 w stosunku do sejmu czeskiego na wskróś narodową, bo ją popiérał cały naród; co zaś do tworzącéj się partyi młodych Czechów, powtórnie jeszcze zaznaczyć tu wypada, że śmiałości jéj i pewności siebie, nierównie lepiéj taktyka owa odpowiadała, aniżeli spokojniejszéj rozwadze starszych patryotów.

Praktyczne przeprowadzenie obietnic cesarskich wyrażonych w dyplomie z 20 Października r. 1860 nie mogło zadowolnić narodu czeskiego. Konstytucya z 26 Lutego r. 1861 i w tym samym duchu obmyślane urządzenia krajowe dla Królestwa czeskiego, musiały wyrobić w narodzie smutne przekonanie, że w życiu państwowém Austryi, nie uważano go za czynnik równouprawniony z innemi austryackiemi ludami, ale że widziano w nim raczéj przeszkodę, stojącą na drodze austryackiéj polityce państwowéj, zawadę, którą w interesie całéj monarchii usunąć, obalić należy. Przepisy wyborcze do obu ciał prawodawczych, w których i naród czeski miał być konstytucyjnie reprezentowany, były tak sztucznie ułożone, że przedstawiciele narodu czeskiego, który w Czechach stanowi co najmniéj trzy piąte całéj ludności, zredukowani zostali w sejmie czeskim do jednéj trzeciéj ogólnéj liczby deputowanych sejmowych, a z 54 posłów, których sejm czeski delegować miał do rady państwa, przypadło tylko *jedenaście* miejsc na przedstawicieli narodu czeskiego. Słowem trzy piąte ludności Królestwa czeskiego, które otrzymać miały 33 posłów, przedystylowano w radzie państwa do *jednéj piątéj* całéj reprezentacyi.

Widocznêm dążeniem ówczesnéj polityki rządowéj w Austryi, było przedstawić Czechy w ich życiu publicznêm jako kraj niemiecki, we wszystkich prawach konstytucyjnych ogłoszonych 26 Lutego r. 1861, nie znajduje się ani jeden wyraz z którego możnaby wnosić, że ówczesny rząd austryacki choć na chwilę o têm pomyślał, iż w Czechach mieszkają powiększéj części słowianie, którzy w nowéj epoce konstytucyjnéj wolności, mogą również rościć pretensyą do panowania i opieki dla swych praw narodowych. To ostentacyjne ignorowanie narodu czeskiego w nowéj teoryi konstytucyjnéj,

które następnie w praktyce w ten sposób stosowano, że na sejmie czeskim język czeski z początku zupełnie nie był cierpianym, a póżniéj jak z łaski tolerowanym, i że nowa konstytucyjna era nie powstrzymała ani na chwilę germanizacyi w szkole i w urzędzie, to ignorowanie powtarzam, musiało obudzić z konieczności w sercu każdego szczerego patryoty uczucie słusznego rozjątrzenia, którego najwyraźniejszym objawem była ogólnie popierana taktyka abstynencyi posłów czeskich. W tém poczuciu słusznego rozjątrzenia zjednoczył się cały naród, to właśnie ogólnie doznawane uczucie, było niewątpliwie silniejszém i gwałtowniejszém w ognistych duszach młodszego pokolenia, w śród którego partya młodych czechów mogła znaleźć swoich stronników.

To czysto ludzkie uczucie, podzielane wówczas przez cały naród, możnaby krótko i zwięźle wyrazić, kładąc Czechom w usta wyrazy, które zdawali się mówić ignorującemu ich państwu austryackiemu usunąwszy się od wszelkiéj działalności konstytucyjnéj: „jeżeli sądzisz, że możesz żyć bez nas, to ci w tém nie będziemy przeszkadzać.“

Czy taktyka biernego oporu była właściwą drogą, po któréj naród czeski mógłby dojść do upragnionego celu, to jest do zmiany praw konstytucyjnych w pożądanym dla siebie duchu, to znów inne pytanie. O ile wiem, w chwili gdy naród wszedł na tę drogę nikt o jéj skuteczności nie wątpił, i chcąc być wiernym prawdzie muszę zaznaczyć, że wśród narodu czeskiego nie ozwał się wtedy ani jeden głos (przynajmniéj publicznie), któryby ten krok potępił. Jeden wzgląd nasuwał się już wtedy bardzo blisko, ale nie zwrócono nań uwagi.

Z 54 delegatów sejmu czeskiego, drobna tylko mniejszość bo 11-stu deputowanych odmówiło w r. 1863 wejścia na drugą sesyą rady państwa, 43 posłów reprezentowało jeszcze Czechy i można było przewidzieć, że w Wiedniu powtórzone będą słowa, które Mirabeau wyrzekł 23 Czerwca r. 1789: „Bez 11 Czechów jesteśmy tém samem, czém byliśmy z nimi; radźmy daléj!“ Można było nadto przewidzieć, że niemiecka większość w sejmie czeskim w podobny sposób odzywać się i działać będzie. W ogóle należało wiedzieć, że żaden parlament nie rozwiązuje się przez wyjście mniejszości, i że legalna większość wygodniéj jeszcze obradować będzie jeżeli niewygodna mniejszość usunie się dobrowolnie. Należało również wziąść na uwagę, że mniejszość nie powinna nigdy wychodzić z parlamentu, bo tym sposobem wszelki parlamentaryzm staje się niemożliwym. System parlamentarny jest niewykonalny jeżeli mniejszość nie podda się większości, w razie gdy mniejszość nieobecnością swoją wyłamu-

je się z pod téj zależności, możliwe są tylko dwa wypadki. Albo nieobecność ta znaczy, że mniejszość wyrzeka się nieużytecznéj walki parlamentarnéj ale poddaje się uchwałom większości, albo że apeluje do rewolucyi przeciwko uzurpowanemu panowaniu większości, które przemocą chce obalić. Za ostatnią drogą nikt w Czechach nie obstawał; można nawet, jak sądzę, wprost twierdzić, że nikomu do głowy nie przyszła; nie myślano téż o tém na seryo, ażeby bierny opór narodu czeskiego posunąć aż do nie płacenia podatków, odmówienia rekruta lub w ogóle do sprzeciwienia się postanowionym prawom państwowym czy téż krajowym. (O częściowym i wkrótce zaniechanym oporze przeciwko prawom szkolnym, jako o fakcie nic nie znaczącym, wystarczy nawiasowa wzmianka). Ograniczono się więc do piérwszego środka, to jest nie przyjmując parlamentarnego udziału w prawodawstwie, poddawano się wszystkim istniejącym prawom. I dla tego nie może tu być mowy o „polityce biernego oporu" lecz jedynie o „taktyce abstynencyi."

Co się tyczy téj taktyki należało jeszcze mieć to na uwadze, że działalność parlamentarna ma jedną właściwość wspólną z każdą ludzką działalnością: tylko ciągła wprawa wyrabia w niéj talenta; więc i owa mniejszość, wrazie gdyby po długiéj abstynencyi stała się większością, mogła być narażona na wielkie niebezpieczeństwo utraty świadomości i kompetencyi w skomplikowanym mechanizmie politycznym, przez co straciłaby i zdolność kierowania nim z własnéj inicyatywy.

Na żaden z powyższych względów nie zwracano uwagi, ani w r. 1863 ani w 1868; poprzestano po prostu na powstrzymaniu się od wszelkich parlamentarnych rozpraw, spodziewając się osiągnąć rychle tego kroku rezultaty. Taktyka nie pozostała bez następstw. Belcredi, Potocki, wreszcie w r. 1870 ministeryum Hohenwarta, pracowali nad politycznem z Czechami pojednaniem. Ponieważ idzie tu tylko o stosunek młodych do starych Czechów, nie mogę się wdawać w bliższe omawianie „zasadniczych artykułów" ułożonych z gabinetem Hohenwarta, ani praw o narodowości dla Czech, lecz mając na uwadze wyłącznie moje zadanie, zaznaczam, że w osiągniętych wtedy rezultatach nie uwydatniła się żądna różnica poglądów.

Z tego co dotychczas wyłuszczyłem okazuje się, że aż do r. 1871 stronnictwo narodowe czeskie we wszystkich sprawach dotyczących polityki narodowéj i taktyki stronniczéj występowało jednym zwartym szeregiem, i że wtedy już od dość dawna krążące nazwy „młodych Czechów" i „starych Czechów" nie oznaczały bynajmniéj rozdziału na dwa przeciwne obozy. Tak zwani „młodzi Czechowie" mieli od samego początku swego powstania cechę raczéj koteryi

aniżeli niezależnéj politycznéj partyi; ażeby liczbę członków téj koteryi powiększyć, rozwijano tam jaknajgorętszą działalność, dążąc ostatecznie do zjednania sobie większości w stronnictwie narodowém. Wiele drobnych interesów osobistéj ambicyi musiało tam naturalnie pewną odgrywać rolę i znaleść dla siebie upragnione uwzględnienie. Wpływ organu, którym rozporządzano, musiał być naturalnie w najkorzystniejszy sposób wyzyskany, ażeby jednych promować na posłów sejmowych, innych na członków rady municypalnéj i tym sposobem pomnażać siły koteryi. Dla miast i gmin wiejskich, *Narodni listy* były wspólnym organem malkontentów wszelkiéj jakiéjkolwiekbądź opozycyi.

Tym sposobem „młodzi Czechowie“ mogli utrzymywać, że tworzą partyą przeciwną zachowawcom, bo *Narodni listy* ujmowały się gorąco za tymi, którzy w czémkolwiekbądź powstawali przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Niepodobna więc zaprzeczyć, że pod sztandarem „młodych Czechów“ zjednoczyły się wszystkie żywioły, które można było nazwać żywiołami ruchu. Tytuł wyłącznego liberalizmu pozyskany w r. 1863 sympatyą dla powstania polskiego, stracił wprawdzie znaczenie po pielgrzymce (1867) przywódców młodych i starych Czechów do Moskwy, gdzie wspólnie złożyli hołd cesarzowi rosyjskiemu. Trzeba więc było pomyśléć o tém, ażeby ów liberalizm jako charakterystyczną cechę „młodych czechów,“ na innéj oprzeć podstawie, a do tego nastręczyły doskonałą sposobność wewnętrzne stosunki stronnictwa narodowego.

Duchowieństwo katolickie w Czechach (Czechy są w znacznéj większości katolickie) wielkie położyło zasługi około utrzymania i podniesienia narodowego życia. Bez gorącego i pełnego poświęceń współudziału duchowieństwa, naród czeski nie byłby podźwignął się w r. 1848 z taką siłą i jednością narodowych uczuć, jak to w rzeczywistości miało miejsce; stąd duchowieństwo narodowe jest dla słowiańskiego stronnictwa narodowego nader ważnym czynnikiem i bardzo pożądanym sprzymierzeńcem. Współudział duchowieństwa w wielkiéj pracy stanowiącéj główne zadanie czeskiego stronnictwa narodowego, tj. w strzeżeniu i obronie naszych praw narodowych, był zawsze tak szczery i w wynikach swoich tak korzystny, że można było przypuszczać, iż każdy prawdziwy patryota, musi uznać ważność tego współudziału duchowieństwa narodowego i że nikt nie życzyłby sobie ażeby je naród czeski utracił. Niepodobna z drugiéj strony zaprzeczyć, że duchowieństwo katolickie uchwałami watykańskiego koncylium postawione zostało w szczególniejszéj pozycyi, a wypadki w całéj katolickiéj Europie dają wyraźny dowód, że katolicyzm i liberalizm polityczny stoją względem siebie jak dwie

nieprzyjacielskie potęgi. Więc też kto tylko chce uchodzić za stronnika politycznego liberalizmu, ten uważa za konieczny obowiązek wystąpić jako przeciwnik katolicyzmu. Ponieważ więc „młodzi Czechowie“ szukali w nowożytnym politycznym liberalizmie warunków swego istnienia, czuli się w obowiązku przyjąć odstręczające stanowisko względem sprzymierzeńców stronnictwa narodowego, tj. względem duchowieństwa i uważali to sobie za przymiot, aby nie być „klerykalnymi“. Czy odpychając od siebie dawnego wypróbowanego towarzysza walki, wypełniają obowiązek patryotyczny, to znów inne pytanie, wielkiém też jest pytaniem, czy można nazwać „klerykalnym“ tego, kto chce z duchowieństwem żyć w spokoju i przyjaźni, dla tego, że nie może zaprzeczyć, iż duchowieństwo silnie popiéra interesa ludu czeskiego.

Stronnictwo narodowe czeskie uczuwało zawsze bardzo żywo, brak narodowéj szlachty. Nie przytaczając tu innych przykladów dość wspomnieć o politycznych powodzeniach Madziarów, ażeby usunąć wszelką wątpliwość co do ważności arystokracyi narodowéj, dla każdego stronnictwa prawdziwie narodowego. Szlachta czeska wyginęła po większéj części w 17 stuleciu. Na jéj miejsce wystąpiły nazwiska niemieckie, włoskie, francuskie i inne należące do wszystkich krajów, a to co zostało z czeskich rodzin, uległo w ciągu XVIII w. zupełnéj germanizacyi. Kiedy w r. 1848 naród czeski dźwignął się do nowego życia, przyznał się do niego to Kolowrat, to Lobkowitz, ale następująca wkrótce reakcya zatrwożyła tych rzadkich sprzymierzeńców, którzy nie chcieli ściągnąć na siebie złéj opinii, że są sojusznikami „czeskich rewolucyonistów i hussytów“. W r. 1861 stronnictwo narodowe czeskie starało się znów zbliżyć ze szlachtą, i udało jéj się, na podstawie wspólnéj obrony politycznéj odrębności królestwa czeskiego, zawrzéć przymierze z liczną partyą szlachecką która od tego czasu nosi nazwę „partyi historycznéj arystokracyi“. W szeregach téj partyi spotykamy członków najznakomitszych rodzin szlacheckich w Czechach (Schwartzenbergów, Lobkowitzów, Konnitzów, Kolowratów, Klam-Martinitzów i innych) którzy reprezentują większość wielkiéj posiadłości ziemskiéj. Przymierze czeskiego stronnictwa narodowego z tą partyą arystokratyczną, nie inny ma cel, jak obronę politycznéj autonomii królestwa czeskiego, przeciwko planom niwelacyjnym niemieckich centralistów. Partya szlachecka nie myśli bez wątpienia o przywróceniu średniowiecznéj tak zwanéj „feudalnéj“ potęgi arystokracyi, bo sama jest o tém przekonaną, że wskrzeszenie robocizny i patrymonialnego wymiaru sprawiedliwości należy dziś do najniemożliwszych niemożliwości. Stronnictwo narodowe czeskie, po większéj części ze stanu wiejskiego złożone ni-

gdy też nie myślało podobnych planów popiérać, tém bardziéj, że plany te nie istnieją.

„Młodzi czechowie“ nie omieszkali naturalnie i względem tych drugich sprzymierzeńców stronnictwa narodowego zaakcentować swoje wyłączne prawa do tytułu „partyi liberalnéj“, oznajmiając wszystkim przy lada sposobności, że nie należą do „feudalnych“, że nic wspólnego ze szlachtą nie mają i usiłując pojedyńczych członków „historycznéj partyi“ porządnie przed czytelnikami swego organu oczernić, i przedstawić ich jako nieprzyjaciół narodu.

Słowem „młodzi czechowie“ starali się dowieść swego liberalizmu odtrącając sojusz duchowieństwa i szlachty, która chce być narodową. Głównym ich celem było zaświadczenie, że są liberalnymi, i to liberalnymi do tego stopnia, że czystą opinią liberalizmu wyżéj cenią aniżeli wszystko co stronnictwo narodowe osiągnąć mogło przez przymierze z duchowieństwem i szlachtą. Nastręcza się teraz pytanie, czy najczystszy, według pojęcia „młodych czechów“ liberalizm, jest najwyższym i jedynym celem narodu czeskiego, czy też naród ma jeszcze oprócz tego i inne cele, i inne zadania życiowe.

Biorąc na uwagę wyraźną sympatyę, wszystkie ciche i głośne życzenia, któremi przeciwne stronnictwo, niemieccy centraliści, zawsze popierali wszelkie usiłowania „młodych czechów;“ słysząc z téj strony dochodzące pochwały dla „młodych czechów“ za odtrącenie przymierza z duchowieństwem i ze szlachtą, można już przyjść do wniosku, że „młodzi Czechowie“ nienajlepszymi byli pracownikami około zadań narodowego stronnictwa czeskiego. Ale, gdyby nawet ta okoliczność nie tak głośnie przeciw nim przemawiała, wystarczyłoby do przedmiotowego ocenienia ich dążeń przypomnienie, że koalicye najrozmaitszych stronnictw politycznych były i są, zawsze i wszędzie w zwyczaju, gdzie chodzi o obalenie istniejącego systematu i że ten tylko może wyniośle odtrącać wszelkie przymierza kto sam posiada siłę wystarczającą, do wyjścia z walki zwycięzko bez wszelkiéj pomocy. Stronnictwo narodowe czeskie nie znajduje się w tém przyjemném położeniu, w przeciwnym razie byłoby już odniosło zwycięztwo nad swym przeciwnikiem; obecnie wszelki sprzymierzeniec w nierównéj walce powinien być mu drogim i pożądanym, a dowiodłszy „młodym Czechom“, że pozbawiają stronnictwa narodowe użytecznego sprzymierzeńca, jedynie w interesie koteryjnym, aby mieć prawo nazwać się partyą liberalną, już tém samém wydaje się sąd na ich niepatryotyczne postępowanie.

Jeżeli użyłem tu wyrażenia „niepatryotyczne postępowanie“ to winienem zaraz dodać, że każdy pojedyńczy przedstawiciel partyi

„młodych Czechów“ może być niewątpliwie szczerym czeskim patryotą, co bynajmniéj nie przeszkadza innemu objawowi, że „młodzi Czechowie“ poświęcają wyższe interesa i cele dla celów czysto stronniczych. Pragnienie stworzenia własnego stronnictwa jest charakterystyczną cechą „młodych czechów“, wynika z tego jako naturalne następstwo, dążenie do odosobnienia się i do grania na własną rękę, a jeżeli to dążenie doprowadziło w końcu do rozdwojenia w łonie stronnictwa narodowego, to przedmiotowy spostrzegacz może tylko powiedzieć, że przyczynili się do tego rozdwojenia ci, którzy tego chcieli i do tego dążyli nie zaś ci, którzy rozdwojenia nie chcieli, uważając je przedtém i teraz za klęskę narodową.

Widzieliśmy, że w okresie Hohenwart‘a (1871), mimo wszelkie koteryjne machinacye i zachcianki „młodych Czechów“, stronnictwo narodowe czeskie dążyło zawsze zgodnie zjednoczonemi siłami do wspólnego celu. Po krótkiém upojeniu nadziei w r. 1871 nastąpiło dla narodu czeskiego, jeszcze przed skończeniem tego roku gorzkie rozczarowanie. Ministeryum Hohenwarta, które dążyło do politycznego pojednania z Czechami i rozpoczęło działanie w tym kierunku musiało już w Listopadzie 1871 r. ustąpić miejsca gabinetowi Auersperga który oznajmił, że głównèm jego zadaniem będzie złamać opozycyą czeską wszelkiemi środkami jakiemi tylko rząd rozporządzać może. Nowy „silny“ rząd przyjął za hasło nie dawać Czechom żadnych ustępstw, ale dążyć do podciągnięcia ich pod konstytucyą państwową, która w demonstracyjny sposób ignorowała istnienie narodu czeskiego. Nastąpiły dla Czech dnie smutne, w ciągu których pokazało się wkrótce, że przywódcy narodu czeskiego przecenili jego siły oporne, postanowiwszy osiągnąć za pomocą biernego oporu, zmianę ustroju politycznego nieprzyjaznego, a raczéj zupełnie wrogiego narodowym interesom. Chcąc być wiernym przedmiotowéj prawdzie, trzeba otwarcie przyznać, że naród czeski pod naciskiem energicznych środków przedsięwziętych przez rząd otwarcie im nieprzyjazny, po kilku latach zaczął okazywać objawy obezwładnienia, i że już w r. 1874 zewsząd odzywało się zdanie, iż opór bierny do niczego nie doprowadzi, lecz przeciwnie wyrządza narodowi i krajowi wyraźną krzywdę.

Gdy w r. 1875 przed otwarciem posiedzeń sejmu, posłowie narodu czeskiego zebrali się w Pradze na zwykłe narady, wystąpili „młodzi czechowie“ jako rzecznicy tego zdania dość już w narodzie rozpowszechnionego, i postawili formalną propozycyą aby taktykę biernego oponu porzucić jako nie przedstawiającą żadnych widoków i znów do sejmu powrócić. Słuszność nie pozwala zarzucić nic temu wystąpieniu. Obrady były naturalnie dość burzliwe. Z pierw-

szego głosowania wynikła bardzo nieznaczna większość za wnioskiem „młodych Czechów“; ale energiczne wystąpienie Palackiego i Riegera obaliło nazajutrz pierwszą uchwałę, a nierównie znaczniejszą większością głosów postanowiono nadal wytrwać przy dotychczasowéj taktyce „abstynencyi“. Jakiekolwiek działać tu mogły okoliczności i przyczyny niepodobna przecież zaprzeczyć faktowi, że zgromadzenie posłów sejmowych narodu czeskiego, uznało istotnie pierwszą swoją uchwałę za nieważną i po dojrzalszéj rozwadze, powzięło inne postanowienie wprost pierwszemu przeciwne. Według ogólnie przyjętych zasad parlamentarnych, zdanie wyrażone mniejszością głosów powinno było być i tu uznaném za stanowczo odrzucone, a nie ulega wątpliwości, że młodzi Czechowie byliby w następnym roku pozyskali dla swego wniosku znakomitą większość, gdyby byli potrafili zdobyć się na parlamentarną cierpliwość i przedstawili po prostu wniosek odrzucony w r. 1875 na rok następny poparłszy go nowemi dowodami. Zamiast iść tą jedynie prawdziwą drogą, woleli ukonstytuować się w samodzielne polityczne stronnictwo, w pewnéj nadziei posiadania za sobą większości narodu czeskiego, ponieważ otwarcie wyrazili i wypowiedzieli zdania i życzynia téj większości.

Tym sposobem przyszło w r. 1875 do opłakanego rozdwojenia w łonie czeskiego stronnictwa narodowego, a od téj chwili młodzi Czechowie mogli być uważani za jawnych przeciwników taktyki abstynencyi i biernego oporu.

Znakomita większość narodu czeskiego potępiła odstępstwo młodych czechów, i w tém właśnie widzieć można nader pocieszający dowód jego taktu politycznego. Żywiono wprawdzie przekonanie, że raz nareszcie trzeba będzie wyrzec się biernego oporu, ale nie zgadzano się na sposób postępowania młodych Czechów, i tym sposobem przyszło do rezultatu bardzo dla młodych Czechów niepomyślnego, że tylko *dziewięciu* ich zjawiło się w sali sejmowéj.

Z tego co ze względu na prawdziwy interes stronnictwa narodowego nigdy stać się nie powinno było, najwięcéj naturalnie cieszyli się nasi przeciwnicy, a rząd Auersperga uważał również wejście 9 młodych Czechów do sejmu za wielkie zwycięztwo. Wielkiéj też radości doznać musieli nasi przeciwnicy kiedy w Czechach zamiast jednéj listy kandydatów na posłów do sejmu lub Rady zjawiło się dwie: od młodych i od starych Czechów. Widocznem było, że na téj drodze naród czeski nie osiągnie celu swych życzeń, i trzeba oddać sprawiedliwość młodym Czechom, że wkrótce sami to spostrzegli.

Palacky najwytrwalszy obrońca biernego oporu umarł 26 Maja r. 1876. Rieger który się tu znów okazał prawdziwym przedstawicielem życia politycznego swego narodu, musiał wkrótce wytknąć sobie jako jedyny cel przywrócenie jedności w czeskim stronnictwie narodowém. O ile to było możliwém w obecnych warunkach powiodło mu się w roku zeszłym (1878). Zjednoczenie polityczne młodych Czechów ze starymi Czechami spełniło się w takich okolicznościach, że można się cieszyć niém takiém jakiém jest, bo główny cel został osiągnięty. Młodzi czechowie musieli być uznani za samoistne stronnictwo; liczbę deputowanych na sejm i do rady państwa rozdzielono między młodych i starych Czechów, każda partya ogłasza swoję listę kandydatów, i obowiązana jest szanować prawa drugiéj partyi umową określone. Młodzi Czechowie mają w sejmie 14 deputowanych, starzy Czechowie 66; stosunek posłów do Rady nie jest oznaczony, lista kandydatów jest wspólna. Każda partya ma swój własny klub, dla obu zjednoczonych istnieje „prawnopaństwowy klub“ do którego przyłączyła się także historyczna arystokracya. i w którym roztrząsane są wszystkie ważniejsze kwestye wspólnéj taktyki. *Uchwałom klubu prawnopaństwowego poddają się obie partye.*

Na podstawie tego familijnego paktu przedsięwzięto w r. 1878 nowe wybory na sejm, a kiedy we wrześniu roku zeszłego miały się rozpocząć posiedzenia sejmu, uczyniono dalszy krok ku utrwaleniu na nowo osiagniętéj jedności narodowéj. Klub prawnopaństwowy mocen był rozstrzygnąć czy deputowani narodu czeskiego mają wejść napowrót do sejmu, czy téż zawsze zdala trzymać się od jego posiedzeń, a téj uchwale poddaćby się musieli i młodzi Czechowie. Ale klub starych Czechów postanowił w dniu 22 Września po dlugich rozprawach prawie jednozgodnie powrócić na sejm i zrzec się względem téj reprezentacyi dotychczasowéj „abstynecyi“. W dniu 24 Września 1878 r. wszyscy posłowie czescy ukazali się w sali sejmu czeskiego, dając przez to narodowi czeskiemu pocieszające świadectwo faktycznego przywrócenia jedności w czeskim stronnictwie narodowém.

Więc niema już ani młodych Czechów, ani starych Czechów zapyta kto może? Na zakończenie odpowiem na to pytanie krótko, zwięźle i bez ogródek.

Przedewszystkiém w Czechach istnieją jeszcze młodzi i starzy Czechowie, jakkolwiek często młodzi Czechowie są staremi Czechami, a niejeden stary Czech do młodych Czechów należy. Jakkolwiek młody niezapomniany poeta Halek wykazał młodszym jeszcze poetom, że sama młodość nie upoważnia do wynoszenia się nad wiek po-

ważny, to nie można jeszcze uważać za pewne, że ten słuszny pogląd życiowy przeniknął do wszystkich naszych sfer narodowych. Przykłady innych ludów europejskich, w których tylko dojrzałe doświadczenie życiowe uzdalnia do politycznego sterowania sprawami narodu, dopiéro stopniowo zyskać mogą u nas praktyczne znaczenie. Tymczasem znaczna korzyść już jest przez to osiągnięta, że wszyscy młodzi czechowie z r. 1863 starsi są dziś o całe 16 lat, i sami mają przed oczyma nieuniknioną pewność, że bardzo wkrótce zostaną starymi Czechami.

Dr. Juliusz Gregr jest zawsze jedynym właścicielem dziennika *Narodni listy*; wprawdzie doczekał się tego, że naród czeski nie uznaje już jego gazety za wyłącznie uprzywilejowany organ narodowy, z drugiéj strony nie wyrzekł się jednak pragnienia, aby dla własnego organu, własną posiadać partyą. Wszystko to nie wyklucza przecież nadziei, że Dr. Juliusz Gregr, prawy charakter i szczery patryota, nie będzie od tego aby *Narodni listy* podnieść znowu do znaczenia urzędowego organu stronnictwa narodowego.

Dr. Sladkowski oficyalny przywódca młodych Czechów, jest zawsze ofiarą niepohamowanéj ambicyi i zawsze woli być pierwszym w wiosce aniżeli drugim w Rzymie. W tym celu wymyślił własną teoryą, według któréj obecny stan stronnictw jest poniekąd skrystalizowaną, na wszystkie czasy niezmienną normą politycznych przywilejów tych stronnictw. Ale ponieważ pewnik *tempora mutantur et nos mutamur in illis*, silniejszą jest potęgą aniżeli sztucznie budowane teorye, więc i on przyjdzie kiedyś zapewne do przekonania, że polityczne odcienia stronnictw są znikomemi zjawiskami, i że dla każdego uczciwego patryoty (a takim jest niewątpliwie Dr. Sladkowsky) prawdziwym najwyższym, jedynym celem życia, może być nie zaspokojenie osobistéj ambicyi jednostki, ale dobro ogólne całego narodu.

Opór bierny był w naszém życiu publiczném, jak próżnowanie w zwykłém życiu prywatném, źródłem wszelkich występków. Polityczna działalność, którą wreszcie podjęliśmy na nowo zjednoczonemi siłami, wprowadzi nas wkrótce na inne tory, i możemy się spodziewać, że w niedalekim czasie naród czeski spojrzy po za siebie z ubolewaniem i z radością zarazem na minioną walkę młodych ze starymi czechami, wyniosłszy z téj szkoły doświadczenia zbawienną dla siebie naukę: że zbytkiem jest karygodnym, partyę narodową, mającą za jedyny cel wywalczyć dla czeskiego narodu bezpieczne stanowisko w państwie austryackiém, dzielić na odłamy liberalne i *zachowawcze*, zanim zdobędzie to co *zachowywać* powinna.

Prawda.

LOGIKA I METAFIZYKA.

1. Les Logiciens anglais contemporains, par Louis Liard. Paris, 1878. Str. 177 in 18-vo.
2. La Science positive et La Metaphysique, par Louis Liard. Paris, 1879. Str. 485 in 8-vo.

Zadaniem niniejszego artykułu jest sprawozdanie z dwóch powyżéj przytoczonych książek; o logice zatém i metafizyce o tyle tylko będzie mowa, o ile sam autor o nich mówi. Piérwsza z tych książek jest przeważnie wykładem historycznym najnowszych prac logików angielskich i to nie wszystkich, lecz przeważnie tych, co logikę formalną wzięli za przedmiot swoich badań; druga, także nie jest bynajmniéj traktatem metafizycznym, lecz raczéj krytyką empiryzmu i wywodem konieczności metafizyki moralnéj. Szczegóły zaraz poniżéj będą podane; na początek więc niech to starczy do dania ogólnego o książkach wyobrażenia.

A najprzód, kto jest p. Liard? Z kartki tytułowéj dowiadujemy się, że wykłada filozofią w Bordeaux. Jakie jego stanowisko w filozofii, do jakiego zalicza się obozu? O tém dopiéro z przeczytania obu dzieł jego sądzić można. Tymczasem widzimy, że drugie z powyższych dwóch dzieł przypisał Pawłowi Janet'owi, a w króciutkiéj przedmowie wyznaje, że nie wszystkie myśli, które ogłasza, są jego własne. „Wiele z nich, zawdzięczam p. Lachelier'owi, którego słuchałem w Szkole Normalnéj, daléj panom Renouvier'owi, Ravaisson'owi i Secrétan'owi.“ Wszystkie te nazwiska mało są znane innym czytelnikom oprócz francuzkich, a nawet pośród tych ostatnich, nie cieszą się wielką powagą po za szkołą, do któréj należą. Jaka jest ta szkoła, jaki jéj charakter i stanowisko w filozofii? Określić trudno, gdyż spółrodak tych autorów, Ribot, także nie wié, gdzie ich zaliczyć i jak ich dążenia scharakteryzować. Ribot zamieścił w piśmie angielskiém *Mind* osobny artykuł o spółczesnéj filozofii francuzkiéj

(zeszyt z Lipca 1877). W artykule rzeczonym zalicza wspomnionych autorów do przedstawicieli spirytualizmu mistycznego. Gdzieindziéj znów czytamy, że są wyznawcami realizmu spirytualistycznego. Jedna i druga charakterystyka nie wiele uczy. Poprzestaniemy jednak na niéj dlatego, że mamy mówić tylko o jednym z przedstawicieli tego kierunku i to najmłodszym, uważając rzecz chronologicznie. Gdy bowiem nauczyciele jego, jak np. Ravaisson, czynni są od lat kilkudziesięciu (1837), Liard dopiéro od paru lat wystąpił na widownią literacką. Dyalektyk to jednak niepospolity, gdyby dyalektyka jeszcze popłacała, gdyby metafizyka miała jakieś widoki powodzenia.

Zacznijmy więc od piérwszéj książki. Autor założył sobie w niéj streścić prace spółczesnych logików angielskich; streszczenie to jednak nierównomiernie rozdzielił. Gdy bowiem Mill'owi i Bain'owi poświęcił zaledwie kilka stronnic lub okolicznościowe wzmianki; za to dość szczegółowo streścił Hamilton'a, De Morgan'a, Boole'a, Stanley Jevons'a. Są to zaś autorowie, którzy przeważnie uprawiali logikę formalną, szczególniéj naukę o syllogizmie; lub którzy, jak np. Boole, chcieli wprowadzić do rozumowania syllogistycznego metodę algebraiczną.

Spółcześni logicy angielscy, mówi Liard, dzielą się na dwie główne szkoły: szkołę logiki materyalnéj czyli indukcyjnéj, i szkołę logiki formalnéj. Dla jednych, logika jest tylko teoryą indukcyi i dowodzenia na doświadczeniu opartego; dla drugich, jest, zgodnie z życzeniem Kanta, nauką o prawach myślenia oderwanego. Jednakże pomimo téj zasadniczéj różnicy, wszyscy zgadzają się w uznawaniu logiki Arystotelesa za niedostateczną i dążą do zastąpienia jéj systemem nowym i prawdziwszym. Dodać wszakże trzeba, że gdy jedni redukując wszelkie wnioskowanie do indukcyi, widzą w syllogizmie jedynie zamaskowaną indukcyą i témsamém przeczą logice formalnéj prawa do bytu; drudzy, uznając prawność i ważność dedukcyi, starają się ułomne i niezupełne metody dawnéj analityki zastąpić metodą zupełniejszą.

Początek dzisiejszéj logiki empirycznéj datuje się od Bakona; w jego ślady poszli, ale dopiéro w naszych czasach, Herschel, Whewell, Stuart Mill, Bain, Fowler i inni.

Herschel, to przedewszystkiém uczony, matematyk i astronom; filozofią się nie zajmował, a jeżeli między teoretykami logiki znajduje miejsce, pochodzi ztąd, iż napisał gruntowną *Rozprawę o badaniu filozofii naturalnéj*, (1831). W badaniu zjawisk przyrodzonych, najwięcéj zależy na wykryciu istotnéj przyczyny każdego zjawiska. W tym celu należy najprzód obserwować fakta, albowiem tylko fakta są nam dostępne oraz ich rozmaite ze sobą stosunki. Przyczy-

ną. nazywamy okoliczności, które poprzedzają stale pewne zjawisko, lub mu niezmiennie towarzyszą. Ważną zatém jest rzeczą wyróżnić okoliczności istotne od przypadkowych, niezmienne i stałe od zmiennych i przemijających; tym sposobem można dojść do poznania przyczyn prawdziwych i odróżnić je od pozornych. Skoro badanie natury i wogóle jakichkolwiek zjawisk redukuje się do poznania przyczyny; więc znów potrzeba dobrze rozumiéć stosunek zachodzący między przyczyną a skutkiem. Przyczynę i skutek rozpoznajemy po następujących znakach: są one ze sobą niezmiennie złączone, przyczyna poprzedza skutek, a ten po tamtéj następuje. Cecha ta jednak nie zawsze jest widoczna. Tak np. skutek może się zjawiać powoli, stopniowo, dzięki stopniowemu wzmaganiu się czyli intensywności przyczyny; czasem znów przejście od przyczyny do skutku jest tak nagłe, że się zlewają ze sobą i nic ich zdaje się nie dzielić. Gdy brak przyczyny, brak i skutku, jeżeli zwłaszcza nie znajdzie się inna, mogąca ten sam skutek wywołać. Jeżeli natężenie przyczyny maleje lub wzrasta, okaże się to samo i na skutku. Skutek jest zawsze proporcyonalny do przyczyny, ile razy taż działa bezpośrednio, wprost i bez żadnych przeszkód. Skutek znika, gdy przyczyna znika.

Z przytoczonych tu przez Herschla znamion cechujących przyczynę i skutek widać, że Stuart Mill tylko je rozwinął i przykładami objaśnił, podając jako metody badania indukcyjnego. Słusznie więc od Herschla należy zaczynać historyą logiki indukcyjnéj w téj formie, jak ją dziś układają.

William Whewell założył sobie uzupełnić *Novum organum* Bakona i w tym celu napisał *Novum organam renovatum* (1859). Jego teorya indukcyi polega na teoryi nauki wogóle, szczególniéj zaś znać na nim wpływ Kanta. Podług Whewell'a, w skład poznania wchodzą dwa piérwiastki nierozłączne i nie dające się zredukować, mianowicie, fakta i idee. Faktów dostarczają zmysły czyli wrażenia przez zmysły odbierane; idei dostarcza umysł. Jakkolwiek dwa te elementa można za pomocą myślenia odłączyć od siebie, na prawdę jednak jeden bez drugiego istnieć nie może. Wrażenia nasze nie mogą być połączone i utworzyć wyobrażeń bez pomocy pewnych idei, jak np. przestrzeni, czasu, liczby, przyczyny i t. p. Idee te są powszechnemi zasadami, początkami, które wiążą ze sobą wrażenia i tym sposobem doprowadzają je do naszego umysłu; bez nich nie mielibyśmy poznania rzeczy. Ale z drugiej strony, bez wrażeń, idee byłyby czcze, próżne, czyste abstrakcye; nie możemy bowiem pojąć przestrzeni bez ciał, czasu bez zdarzeń, liczby bez rzeczy liczonych: otóż ciała, zdarzenia, rzeczy liczone istnieją dla nas przez pośrednictwo wra-

żeń. Antyteza istniejąca między wrażeniami a ideami jest podstawą filozofii; ona to pozwala nam zrozumnieć jéj naturę, postęp i metodę. Zadaniem nauki jest, łączyć zjawiska za pomocą idei w pewne systemata; postęp jéj zależy na tém, by do faktów coraz lepiéj obserwowanych, stosować idee coraz jaśniejsze i coraz ogólniejsze.

Po Herschlu i Whewell'u zastanawia się Liard nad logiką Stuarta Milla i godzi się na zdanie Bain'a, że największą oryginalność Mill'a stanowi odróżnienie teoryi wynajdywania od teoryi dowodzenia. Podług Milla, logika jest „nauką o czynnościach umysłowych mających na celu ocenienie dowodu, a to zarówno dowodu, który postępuje od wiadomych do niewiadomych, jak i czynności pomocniczych, posługujących temu działaniu głównemu."

Dochodzić z wiadomych, rzeczy niewiadomych, znaczy rozumować. Rozumowanie uważane jak najogólniéj, jest blizkoznaczne z wnioskowaniem. Odróżniamy zwykle dwa rodzaje wnioskowania: jedno posuwające się od szczegółów do ogółu, drugie od ogółu do szczegółów. Piérwsze nazywamy indukcyjném, drugie syllogistyczném. Oba wszakże rodzaje wzięły początek we wnioskowaniu piérwotnem, rozumującém ze szczegółu o szczególe. Logika powinna okazać, jakim sposobem ten piérwotny typ wnioskowania rozwinął się następnie w dwie gałęzie, indukcyjną i dedukcyjną.

Mill twierdzi, że wszystkie nasze piérwotne wnioski odbywają się tą drogą t. j. ze szczegółów o szczególe. Dziecko sparzywszy palec w ogniu, drugi raz już ręki do ognia nie zbliża; w umyśle jego odbyło się rozumowanie bez pomocy jakiéjś zasady ogólnéj, gdyż jeszcze nie mogło przyjść do uogólnień mogących służyć za premissę większą. Przypomina sobie, że się sparzyło i to przypomnienie wystarcza mu za cały dowód i ostrzeżenie, by ręki znów do ognia nie zbliżać; wyobrażenie ognia i pamięć bolesnego wrażenia, jakiego doznało, skojarzyły się w jego umyśle tak, że widok jednego wywołuje obraz drugiego. Ile razy zdarzy się nowy, podobny przypadek, takie samo odbywa się rozumowanie, ograniczone do tego tylko przypadku; bo na uogólnienie jeszcze nie było czasu, lub sposobności: fakt szczegółowy służy za podstawę do wywnioskowania innego, także szczegółowego. Taka indukcya jest jeszcze bardzo prostą, początkową. Jakim sposobem zdoła ona doprowadzić umysł nasz do tego, byśmy rozumując ze szczegółów, mogli dojść do wyniku ogólnego? Indukcya naukowa zależy na wnioskowaniu, że to, co się sprawdziło w jednym przypadku, sprawdzi się we wszystkich tamtemu podobnych. Muszą zatém w świecie zdarzać się przypadki podobne, musi panować pewien ład jednostajny, pozwalający na powtórzenie się owych przypadków; innémi słowy, musi panować w świecie pra-

wo powszechnéj przyczynowości. Gdyby nie to, nie mogłoby powstać żadne wnioskowanie. Wiara więc w tę jednostajność praw przyrodzonych jest postulatem, bez którego nie moglibyśmy zrobić ani jednego pewnego kroku naprzód: on to stanowi piérwszą i fundamentalną premissę wszelkiego rozumowania.

Logika Milla znaną jest więcéj, niż którakolwiek inna; dlatego nie powtarzamy tu streszczenia jéj podanego przez Liard'a, dodając jedynie, że streszczenie to jest wierne, zgodne z dziełem Milla, i że autor jako zwolennik Kanta i metafizyk nie godzi się na poglądy Milla oraz całéj grupy empiryków. Zobaczymy, że takim pozostał i w swojéj Metafizyce: streszcza doktryny przeciwników bardzo dobrze, ale krytukuje po dawnemu, za pomocą słownych dystynkcyi i pojęć wrodzonych czyli *a priori*. Nie uprzedzając jednak treści drugiego dzieła, wracajmy do logiki.

Po przytoczeniu treści logików empirycznych jak Herschel, Mill, Bain, a także zdań H. Spencera o znaczeniu syllogizmu; autor przechodzi do uwag nad dziełami logików innéj grupy, którą nazywają formalistyczną, gdyż logikę uważa za naukę form myślenia i ogranicza ją do teoryi syllogizmu. Ta część dzieła Liard'a o tyle przedstawia zajęcia dla naszego czytelnika, że go zaznajamia z nazwiskami pisarzy angielskich mniéj niż poprzedni znanych, a razem świadczy, jak w tym kraju dziwnie stare z nowem się splata i obok siebie istnieją. Jakoż, scholastycyzm niemiecki w szacie Kanta przechadza się w Anglii obok empiryzmu Millów i Bainów. Scholastyków angielskich dzisiejszych mało znano za granicami ich ojczyzny; do rozwoju logiki nie przyłożyli się oni, chyba, że powiększenie liczby książek trzebaby wziąć za rozwój logiki formalnéj.

Z pośród logików angielskich, którzy w nowszych czasach logikę formalną starali się uzupełnić, lub pewne zmiany w niéj zaprowadzić, trzeba najprzód wymienić Jerzego Benthama i Williama Hamiltona. Piérwszy z nich, synowiec sławnego Jeremiasza Benthama, wydał w r. 1827: „Zarys nowego systemu logiki.“ Jest on więcéj znany jako botanik, niż jako metafizyk. Zasługi jego w zakresie logiki polegają na tém, że piérwszy zwrócił uwagę na konieczność nadawania *orzeczeniu* we wszelkich sądach *ilości pewnéj, określonéj*, co w języku téj szkoły nazywa się *la quantification du predicat*. Prawie równocześnie myśl tę podnieśli: Hamilton, Thompson i De Morgan. Jak rozumiéć tę poprawkę orzeczenia, na to czytelnik znajdzie odpowiedź w *Logice* A. Bain'a (T. I. str. 2o3 w polskiém tłomaczeniu). Liard uważa tę poprawkę za nadzwyczaj ważną reformę w teoryi sądów czyli zdań logicznych, gdyż dzięki jéj, liczbę sądów można z cztérech pomnożyć do ośmiu, a następnie uprościć inne działanie

logiczne zwane odwracaniem sądów i rozumowaniem za pomocą syllogizmu. Otóż szkoła przeciwna wcale téj reformy nie uznaje, a korzyści mające z niéj wyniknąć ma za złudzenia, lub redukuje one do *minimum*.

Inny znów uczony angielski, August de Morgan (urodzony 1806, zmarły r. 1871) znany więcéj jako znakomity matematyk, ogłosił w r. 1847 „Logikę formalną“ w któréj zwrócił uwagę na konieczność lepszéj klasyfikacyi wyrazów osobliwie wyrażających przeciwieństwo, oraz na znaczenie łącznika (copula) w zdaniach logicznych.

Od matematyki przeszedł do logiki również i Jerzy Boole (urodzony 1815, zmarły 1864) który starał się za pomocą symbolów algebraicznych i znaków wyrażających działania algebraiczne zbliżyć logikę do algebry. O tych wszystkich usiłowaniach czytelnik znajdzie szersze sprawozdanie wraz z krytyką w przytoczoném dziele A. Bain'a. Liard poświęcił także wyłożeniu jego nauki najwięcéj stosunkowo miejsca w swojéj książeczce, ograniczając się jednak do streszczenia dzieł Boole'a i nie wdając się wcale w ich krytykę.

Ostatnim logikiem, o którym autor daje sprawę, jest Stanley Jevons, który poprzednio wykładał logikę w kollegium Owen'a w Manchesterze, a obecnie ekonomią polityczną w kollegium uniwersyteckiém (University College) w Londynie. Dzieła jego wykładowi logiki poświęcone są następujące: *Logika czysta* (1864) zawierająca oraz krytykę systemu Boole'a; *Początkowa nauka logiki dedukcyjnéj i indukcyjnéj* (1870); *Zasady nauki* t. j. *traktat o logice i metodzie naukowéj* (1874). To ostatnie dzieło uważane jest za najważniejszą z prac tego autora i stawia go na równi z najznakomitszymi metodologami takimi, jak Whewell, Herschel i Stuart Mill. Nareszcie w r. 1876 wydał mały podręcznik pod tytułem *Logika*.

Stanley Jevons uchodzi za ucznia Boole'a, ale to nie pozbawiło go ani samodzielności, ani oryginalności; przeciwnie, wystąpił z krytyką na system nauczyciela, zarzucając mu przedewszystkiém, że jego symbole algebraiczne są całkiem różne od imion czyli symbolów języka zwyczajnego, i że zatem jego logika nie może być logiką zwyczajnego myślenia. Ale najcharakterystyczniejszém może znamieniem St. Jevons'a jest usiłowanie, żeby myślenie i rozumowanie zredukować do mechanicznego działania, i w tym celu ułożył *machinę logiczną*. Machina przypomina małe piano z klawiaturą o 21 klawiszach; klawisze są dwóch rodzajów: szesnaście z nich wyobraża terminy lub litery A, a, B, b, C, c, D, d; ośm klawiszów z lewéj ma oznaczać terminy pozytywne i negatywne będące podmiotami, a drugie ośm z prawéj strony wyobraża terminy pozytywne i negatywne będące orzeczeniami sądów. Inne klawisze przeznaczone są

do wyrażania rozmaitych działań logicznych. Klawisz środkowy wyobraża łącznik (copula); klawisz ostatni po prawéj stronie oznacza punkt czyli kropkę; naciska się go gdy zdanie jest skończone; klawisz ostatni po lewéj stronie, naciśnięty przy końcu dowodu, służy do nastawienia machiny na nowo, czyli powrócenia jéj do stanu pierwotnego; klawisze przedostatnie z każdéj strony wyobrażają spójnik *albo*.

Więcéj o téj machinie pisać byłoby w tém miejscu zbyteczném; zwłaszcza, że trzebaby rysunków chcąc zrozumiéć grę tego fortepianu logicznego; a powtóre, uważamy go za zabawkę, którą poważny myśliciel ułożył dla swojéj zapewne rozrywki. Dodajemy że już na początku b. wieku Karol earl Stanhope wymyślił narzędzie do wnioskowania, któremu dał nazwę „Demonstrator" (patrz Mind. z Kwietnia, 1879).

W ogóle tedy logika formalna pod piórem nawet tak znakomitych matematyków jak De Morgan i Boole nie wiele zyskała; wątpimy nawet czy to, co jéj obrońcy uważają za nabytek, lub za refomę wejdzie do skarbca wiedzy. Arystoteles będzie jeszcze długo po staremu ojcem téj skromniuchnéj nauki, którą nazywamy logiką formalną. I p. Liard byłby nam większą sprawił przyjemność i realniejszy przyniósł pożytek, gdyby wyłożył i ocenił prace logików empirycznych. Trudno mu jednak brać za złe jego upodobań do logiki formalnéj, gdyż jako Kantysta i metafizyk przeniewierzyłby się szkole, do któréj należy. Teraz zobaczmy, jak wygląda jego metafizyka.

Nie wdając się w definicyą metafizyki zauważmy, że ta mniemana umiejętność pierwszych zasad wszelkiego bytu i myślenia, niegdyś uważana za filozofią fundamentalną, *philosophia prima*, dziś musi walczyć o zdobycie sobie równouprawnienia z dawnemi służebnicami. Są zaś tacy, co ją wprost odrzucają twierdząc, że nie ma się czém zajmować, że nie ma przedmiotu określonego, ani metody, że jest szeregiem złudzeń i podmiotowych przywidzeń, czyli tak zwanych à *priori* urojeń. Tak to starzy bogowie ustępują ołtarzów swoich nowym! Metafizyka jednak nie dała za wygraną. Ma ona swoich czcicieli w Anglii, Ameryce północnéj, Francyi, a osobliwie w uprzywilejowanéj ojczyźnie swojéj, w Niemczech. Można przypuszczać nawet, że metafizyka nie zaginie pomimo złorzeczeń pozytywistów, jeżeli zwłaszcza definicya człowieka jest prawdziwą, jeżeli w istocie jest to zwierze metafizyczne, *zoon metaphysicon*.

Dzieło Liard'a, o którém teraz mówić będziemy, nosi tytuł „*Nauka pozytywna i Metafizyka*". Pod nauką pozytywną jednak nie

należy rozumieć pozytywizmu jako systemu Comte'a lecz raczéj krytykę rozmaitych szkół naukowych. Książka dzieli się na trzy części zatytułowane: Nauka, Krytyka, Metafizyka. W pierwszéj mamy streszczenie i krytykę pozytywizmu, streszczenie i krytykę szkoły angielskiéj empirycznéj, któréj dają nazwę assocyacyjnéj; daléj streszczenie i krytykę teoryi ewolucyjnéj, o ile ją Spencer do psychologii zastosował. W drugiéj części rozważa autor przedmiotowe prawa poznania, do których zalicza przestrzeń i czas, ilość (liczbę) substanacyą, przyczynę. Oprócz tego roztrząsa rozmaite znaczenie absolutu. W trzeciéj, będącéj wyrazem pojęć samego Liard'a czytamy rozprawę o świadomości jako podmiocie świadomym siebie, daléj idą rozdziały o wolności i dobru, ocenienie rozmaitych systematów metafizycznych i zarys metafizyki moralnéj.

W księdze obejmującéj streszczenie rozmaitych systematów albo raczéj poglądów np. pozytywizmu, filozofii assocyacyjnéj i hipotezy ewolucyjnéj, Liard nie wchodzi w całkowity wykład tych teoryi, lecz zastanawia się nad niemi o tyle, o ile mają związek z teoryą poznania. Każda ze wspomnionych teoryi naukowych wypiéra się wszelkiego związku z metafizyką. Otóż autor dowodzi im, że jak dawne szkoły filozoficzne nie mogły się obejść bez metafizyki, tak i teraźniejsze na niéj kończą. „Bo, czyliż, mówi on, nauki pozytywne nie zawdzięczają metafizyce pojęcia ewolucyi powszechnéj? Albo w innéj sferze, czyliż to nie metafizyce zawdzięcza nauka o społeczeństwie swoje pojęcia prawa i obowiązku, wolności i równości tak cywilnéj jak i politycznéj"?

Nie byłoby to więc paradoxem twierdzić, że zadaniem wszystkich nauk pozytywnych jest odnaleźć i stwierdzić za pomocą doświadczenia aprioryczne intuicye metafizyki" (60 str.) Jakie są te aprioryczne, wcześniejsze od wszelkiego doświadczenia, intuicye, bez których nauki ścisłe obejść się nie mogą? Oto właśnie pojęcia przestrzeni, czasu, ilości, przyczyny, bez których ani kroku na drodze naukowéj uczynić nie podobna. Czy jednak pojęcia te są rzeczywiście wrodzone, wcześniejsze od wszelkiego doświadczenia? Tak twierdzą jedni, do których należy i Liard; drudzy znów przeczą mówiąc, że i do utworzenia tych pojęć służy nam doświadczenie. Spór to ciągnący się już od wieków i dotychczas nierozstrzygnięty. Empirycy chcąc się przy swojem zapatrywaniu utrzymać, czynią doświadczenia; metafizycy zaś tylko słowami szermują, a najsilniejszy ich argument jest ten, że chcąc czegoś doświadczać, czy coś poznawać, już musiemy miéć te formy myślenia gotowe, bo tylko za ich pomocą i w ich ramach możemy zjawiska świata przedmiotowego rozważać; zatém do pojęć przestrzeni, czasu, przyczyny, nie dochodzimy

przez doświadczenie, lecz mamy je utkwione niejako z natury w organizmie umysłowym. Nie rozstrzygając tego, co jeszcze nie jest rozstrzygnięte i zgadzając się, że pojęcia rzeczone są co do genezy swojéj bardzo trudne do wytłomaczenia; dziwi nas jedno w książce Liarda, mianowicie, że zdaje się nie wiedziéć o tém, co za doświadczenia robili Weber, Fechner, Helmholtz, Hering, Wundt i wielu innych, ażeby wytłomaczyć stosunek umysłu do ciała, objaśnić drogę jaką umysł postępuje w tworzeniu sobie tych pojęć, które metafizycy nazywają intuicyjnemi. Wiedząc o tém, znając te usiłowania byłby prawdopodobnie mniéj dogmatycznym w swoich twierdzeniach, i przekonałby się może, iż to, co on i jego spółwiercy uważają za pierwotne, proste i niezłożone, jest wielce złożone i późniejsze, słowem, drogą doświadczenia osiągnięte. Ale dla Liard'a, Kant jest jeszcze największym filozofem, więc zupełnie w duchu tego metafizyka rozumuje i wyraźnie do tego się na wielu miejscach swéj książki przyznaje.

Z drugiéj strony jednak trzeba mu oddać słuszność, iż rozumie że metafizyka w naukach ścisłych już się na nic nie przydała do tłomaczenia zjawisk przyrodzonych, które mają swoje wypróbowane metody, experymenta, i z absolutem nie chcą mieć nic do czynienia. Dlatego radby metafizykę przenieść ze świata przedmiotowego do podmiotowego i przedmiotem jéj uczynić rozmyślanie o dobru, cnocie, wolności, które stanowią absolut nowego rodzaju, inny od tego o jakim prawili Schelling i Hegel. Dla téj właśnie dążności, słusznie możnaby Liard'a zaliczyć do grupy spekulacyjnych pisarzy francuzkich, którzy uprawiają mistyczny spirytualizm, lub realizm spirytualny. Metafizyka, jaką chciałby utworzyć, to już nie ta dawna, co szukała pierwszych przyczyn i przez dwadzieścia przeszło wieków zdobywała same niepowodzenia. Metafizyka moralna, mówi autor, nie ma i nie mogłaby mieć zadania naukowego. Nie masz w niéj niczego, coby szło z nauki, ani téż z niéj nic nie spłynie na naukę. Wszyscy filozofowie, z wyjątkiem Sokratesa i Kanta, myśleli, że pojęcie pierwszego pryncypium wszech rzeczy było nieodzowną premissą wiedzy ogólnéj, i że z niéj powinny drogą dedukcyjną płynąć szczegółowe prawa każdéj istoty, każdego zjawiska. Trzeba się wyrzec raz na zawsze téj pretensyi. Nauka ścisła i metafizyka są najzupełniéj od siebie różne. Pochlebiano sobie czasami, że to dwie rodzone siostry czasowo pokłócone ze sobą, i że należy dążyć do ich pojednania. Ale wszelkie usiłowanie podejmowane w tym celu z góry było skazane na niepowodzenie, gdyż nie miało za sobą słuszności. Nauka i metafizyka nie mają ani tego samego przedmiotu, ani tych samych metod, ani tego samego celu, ani tego samego zadania: zatém

nie mają sobie nic do udzielenia. Rozwód między nauką a metafizyką zdaje się być dokonany całkowicie, niemniéj jednakże ta ostatnia rości sobie dawne pretensye. Zrzekłszy się od niedawna budowania *a priori* świata doświadczalnego, obstaje przecież zawsze za hegemonią duchową, jaką niegdyś rozciągała nad całym obszarem wiedzy. Ale pretensye te są już bezsilne, żadna z nauk na doświadczeniu opartych niczego od metafizyki nie potrzebuje i zwierzchnictwa jéj nie uznaje.

Jeżeli zatem metafizyka ze swéj strony odepchnie wszelką spółkę z nauką, nie tylko ustrzeże się sprzeczności podkopującéj wszelkie myślenie; lecz zajmie stanowisko, którego jéj nauka nie zdoła zaprzeczyć, i na któróm hegemonią nad duszami utrzyma. Nauka bowiem zakłada sobie wykazanie stosunków zachodzących między zjawiskami względnemi, a dokonywając analizy doświadczenia obecnego, dąży do przewidzenia przyszłości. Nie jest to jednak wszystko, co pragniemy wiedzieć, co potrzebujemy poznać. Przypuściwszy nawet, żeby sferę zjawisk względnych (le domaine du relatif) całkowicie zbadano, żeby prawa wszystkich zjawisk wykryto; hierarchiczną zależność tych praw wyśledzono; jeszczebyśmy po za tém wszystkiém czegoś żądali. Nauka postępuje od warunku do warunku, nie zaś od zasady do zasady. Otóż my potrzebujemy ostatecznéj zasady wszelkiego bytu wogóle, a w szczególności naszego. Na to pytanie nauka, jak sama wyznaje, nie ma odpowiedzi. Tymczasem pytanie to jest metafizyczne *par excellence.* Wiemy (z argumentacyi całego dzieła) że odpowiedzieć na nie za pomocą metod naukowych niepodobna. Pytanie to ma szczególniéj znaczenie moralne. Gdyby człowiek był jedynie pewnym związkiem organów, nauka wystarczałaby całkowicie do zaspokojenia jego żądań, zapewniałaby mu posiadanie najwyższego dobra. Ale dobro materyalne nie jest wszystkiém w naszém życiu. Pragnienia szczęścia, jakie nas dręczy, nie ugaszą dobra, których zmysły dostarczają. Przesyt, jaki po częstém użyciu następuje, jest dowodem ułomności samego użycia. Dobro, którego pragniemy jest nieskończone; to zaś, co się nam z niego dostaje, fraszką jest, tak iż skłonnibyśmy byli do mniemania, że ta żądza czegoś lepszego, jest dobroczynném mamidłem natury, która w ten sposób chciała zabiegom naszym dać nieustającego bodźca.

Czujemy w sobie, mówi daléj autor, dwie różne powagi albo raczéj potęgi: potęgę praw myślenia i potęgę prawa moralnego. Istota więc nasza zdaje się być na dwie połowy rozszczepana, albowiem konieczność tkwiąca w rozumie i wolność nieodzowna w moralności, nie dają się ze sobą pogodzić. Zdawałoby się zatém rzeczą konieczną,

pójść ku jednemu lub drugiemu biegunowi życia wyłącznie. Którąż pójść drogą? Zdołaż nauka zapewnić umysłowi wszystko, czego pożąda? Objawiż mu ona ostatnie słowo wszech rzeczy? Potrafiż ona przeskoczyć granice rzeczy względnych, by mu odsłonić absolut? Oczywiście, że nie, albowiem nauka dawno się już zrzekła poszukiwania absolutu. Z tego wynika, że należy się zwrócić drogą prowadzącą ku drugiemu biegunowi, to jest zwrócić się do metafizyki. Ale ta nowa metafizyka musi na czele swojém postawić prawdę moralną nie zaś rozumową, i od sumienia żądać wytłomaczenia świata zgodnie z sumieniem. Metafizyka podobna do téj, o jakiéj mowa, nie zdoła zapewne swoich twierdzeń dowieść geometrycznie, i dlatego nie znajdzie kredytu w umysłach pijanych nauką. Dlatego téż metafizyka moralna, która pragnie czynić zadość spekulacyjnym potrzebom umysłu tylko zasobami sumienia, odwołuje się do dusz, nie do umysłów ludzkich. By ją przyjąć, należy z dobrą wolą uwierzyć, że prawda moralna jest piérwszem i ostateczném słowem wszech rzeczy. Nie rodzi ona lecz przypuszcza już istniejącą w człowieku intuicyą dobra, podobnie jak nauka, która tłomaczy dźwięki i kolory, ale niezdolna dać ich uczuć głuchym i ślepym. A tak, jeden przykład cnoty choćby małoznaczny, jest dla metafizyki moralnéj lepszym sprzymierzeńcem, niż najświetniejszy wynalazek naukowy.

Tak rozumiana metafizyka ma w życiu człowieka niezrównane zadanie. Biorąc swój początek z moralności, staje się naodwrót strażniczką i karmicielką moralności. Ludy, zarówno jak indywidua potrzebują ideału. W życiu jednostki ideał widziany zdala i ścigany przez nią, nadaje kolejnym jéj czynom jedność, któréj same z siebie nie mają. W życiu społeczném znowu, ideał skupia dusze około wspólnego celu. Bez tego, pozostaje tylko użyteczność, zysk, które nie łączą, lecz rozdzielają ludzi. Otóż zadaniem metafizyki moralnéj jest podtrzymywać wiarę w ideał, i bronić przystępu zarówno zniewieściałości jak i gorączce utylitarnéj. Ona jedna t. j. metafizyka może podołać temu zadaniu. Wszelki inny ideał, oprócz moralnego, może się wyczerpać, a wtedy dusze, które wiązał i podtrzymywał, rozpierzchają się bez przewodnika. Tymczasem ideał moralny jest niewyczerpany i duszom, które go ukochają, nigdy go nie zabraknie.

Tak więc metafizyka, nie zrzeka się powszechnéj władzy, do jakiéj zawsze rościła pretensye. Dobro, jest w jéj oczach, bytem w sobie, a zatém przyczyną wszelkiéj doskonałości i wszelkiego bytu względnego. Dobro to, czuje każde sumienie w sobie. Metafizyka zatém redukując doń wszystko, może połączyć wszystkie dusze. Straciła ona umysłowe nauczycielstwo, jakie sobie niegdyś przywłasz-

czała; ale wykonywa i daléj będzie sprawowała to wysokie nauczycielstwo moralne, jakie jéj wskazał Sokrates w najpiękniejszéj epoce greckiéj mądrości, i które jéj w nowszych czasach przywrócił Kant po dwudziestu wiekach wydziedziczenia.

Przytoczyliśmy po większéj części dosłownie pojęcia autora o téj nowéj metafizyce. Co ona warta z naszego punktu widzenia? A najprzód, co warta cała książka, uwieńczona przez wydział nauk moralnych i politycznych Akademii paryskiéj? Skoro ją taka powaga uwieńczyła, musiała w niéj znaleźć coś zasługującego na uznanie i odznaczenie publiczne. Jakoż, tak jest w istocie. Oto przedewszystkiém streszczenie teoryi dotyczących poznania a głoszonych przez szkołę empiryczną angielską i przez pozytywistów francuzkich jest bez zarzutu: jasność, precyzya i skupienie w kilku głównych tezach zdań rozrzuconych w dziełach A. Comte'a, Littrégo, J. St. Mill'a, Spencera, pozwalają czytelnikowi zapoznać się, jeżeli nie znał, z niektóremi pojęciami tych uczonych. Krytyka tychże pojęć jest słabsza jako jednostronna, metafizycznémi przypomnieniami z krytyki Kanta zaprawiona. Przecząc zapatrywaniu się szkoły empirycznéj jakoby pojęcia przestrzeni, czasu, liczby, substancyi i przyczyny były z doświadczenia wywiedzionemi, i obstając przy Kantowskiéj hipotezie, uważającéj je za istniejące w umyśle *a priori* przed wszelkiem doświadczeniem, Liard powtórzył znane dawno rozumowania słowne, a nie wciągnął do swojego streszczenia tych usiłowań i doświadczeń, które czynili empirycy, żeby owe pojęcia i ich genezę wytłomaczyć. Nawet nie godząc się z empirykami, jakoby pojęcia te były podmiotowemi i przez doświadczenie osiągniętémi, należało ocenić przed innémi prace Fechnera i Wundta. Daléj, pojęcia te autor nazywa „prawami przedmiotowémi poznania." Jest to niepotrzebne pomieszanie i zamieszanie, albowiem przez wyraz „prawo" czy to w znaczeniu praw przyrody, czy jako prawa społeczne, rozumiemy zupełnie co innego. Również, gdy chodzi o prawa poznania, także trudnoby się zgodzić na nazywanie przestrzeni lub czasu, prawami poznania. Mogą to być warunki poznania, ale nie można ich nazywać prawami, nie chcąc tworzyć zamieszania w języku. Już zaś samo ich tłomaczenie, i wywodzenie początku z formalnego myślenia, w żaden sposób nie wytrzyma krytyki. Możnaby co najwięcéj powiedzieć, że i empiryzm dostatecznie ich nie tłomaczy. Ale ponieważ u Liard'a Kant jest największym filozofem, więc w duchu królewieckiego mędrca rozprawia i jego rozumowaniem się posługuje.

Odsądziwszy metafizykę od hegemonii naukowéj, autor stara się jéj zapewnić panowanie w sferze moralności i w ostatniéj części pracy swojéj rozprawia nietylko o jednym absolucie, ale o absolutach

w liczbie mnogiéj, o dobru, sumieniu, obowiązku, wolności woli i t. d. Są to w istocie rzeczy, któremi się metafizyka oddawna trudni; żeby jednak i tych pojęć nie można było wywieść z doświadczenia tego nie dowiódł nam Liard, lecz po dawnemu każe je uważać za zrozumiałe same przez się. Rozumując zaś o nich wpada w deklamacyą, poetyzuje, tłomaczy się językiem mistycznym a przez to wymyka się ze swoim absolutem z pod zwyczajnéj krytyki. Sokrates i Kant jako moraliści, oto jego mistrze. Ale zapomina, że właśnie owo dobro, które poetycznie opisuje, że sumienie i wolność woli, pojęcie obowiązku i t. p. przedmioty, wcale nie są wyjaśnione pomimo Sokratesa i Kanta, którzy o nich metafizykowali; że każdy uczony a tymbardziéj nieuczony co innego przez te wyrazy rozumie.

Podług nas zatem metafizyka moralna, jaką buduje Liard, nie więcéj warta od naukowéj, którą z nauki wyrugował dając jéj dymisyą nawet bez pochwały. Można przewidywać, że metafizykę obyczajów ten sam los czeka, i że ustalenie pojęć obyczajowych również jak wszystkich innych, jedynie drogą doświadczenia da się osiągnąć. Jakoż czynią się ku temu spółcześnie usiłowania, z których najważniejsze mamy zebrane w dziele Sidgwick'a „The Methods of Ethics."

Cóżkolwiekbądź, chociaż książka Liard'a nie może być uważana ani za gruntowną krytykę filozofii empirycznéj, ani za podstawę nowéj metafizyki; chociaż dużo w niéj pojęć chwiejnych, nieokreślonych: jednakże jest pewien zapał, pewien ton moralny podnioślejszy, który wobec surowéj nauki i jéj metod, czyni niejako ulgę umysłowi strudzonemu rozmyślaniem nad materyą i ruchem. Metafizyka jest pokrewną poezyi i ztąd czytanie jéj utworów, zwłaszcza w przejrzystéj mowie francuzkiéj, może służyć za rozrywkę i wytchnienie, podobnie jak odczytanie jakiego utworu Schillera lub Mickiewicza.

F. K.

KASIA I MARYNKA.

Z PAPIÉRÓW POZOSTAŁYCH

po

GABRYELLI.

(*Dokończenie*).

VII.

Towarzystwo zaciekawione tém, co o Marynce bez wymienienia jéj nazwiska wspomniałam, różnych jeszcze względem jéj osobistości żąda objaśnień.

— A czy ładna? zapytał pan Nepomucen.

— Jaki to zwyczaj dla nas upokarzający, śmiejąc się i wzdychając odpowiedziałam niedyskretnemu przyjacielowi. Byle o któréj z nas wspomnieć, pierwsze zawsze będzie „a czy ładna?" choć umiécie potém deklamować przeciw lekkomyślnéj próżności i strojom kosztownym, chwalić cnotę, zalecać pracowitość; niech ta niekonsekwencya wasza, kamieniem na sumieniu wam cięży, radźcie z nią sobie jak chcecie, nie mam potrzeby się w to mięszać. Moja młoda znajoma jest i ładna i piękna i śliczna.

Jéj gruby czarny warkocz do rozpaczy przywodzi fryzyerów, nie tylko dla tego, że im nadzieję sprzedaży dodatkowych loków i szynionów odejmuje, ale i dla tego, że gdy im układać go przyjdzie, to sami nie wiedzą co z temi kaskadami hebanu zrobić mają. Oczy są zupełnie odpowiedniéj włosom czarności, a takiego dyamentowego, słonecznego blasku, że ty sam panie Nepomucenie, choć masz do błękitnych pociąg wrodzony, nie potrafiłbyś jednak blasku ich bez lekkiego olśnienia wytrzymać; a rzęsy, takim długim cieniem na twarz gdy spuszczone padają, że jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Twarz...... nie znam żadnéj Hiszpanki, wyobrażam sobie jednak, że między niémi często muszą się spotykać twarze z owym kolorytem świeżym i ciepłym, choć bez rumieńca, jasnym choć bez białości. Mniejwięcéj przypomnijcie sobie państwo, panią Józię i panią Felicyą:

cygańską śniadość jednéj w bladym marmurze drugiéj rozpuścić, to będzie coś podobnego. Skład głowy, jéj osadzenie na ramionach, zdaje się jakby z przeczucia w Słowackiego Beniowskim opisane.

Czoło pogodne, wcale obiecująco rozwinięte i dwoma aksamitkami wąziutkiemi zakończone; nosek jéj wydał mi się czysto rzymskiego rysunku, lecz sprzeczano się ze mną, że jest francuzkiego typu, a raz słyszałam, jak go nosem lady Georginy z jakiegoś keepsaka przezwano, to już świadczy, że o nim można długą, *ad libitum* uczoną, czy artystyczną prowadzić dysputę. Znałam wszelako pewne panie i pewne panienki, które pierwéj zawsze o ustach mojéj znajoméj mówić zaczynają; ale mnie nudzą takie maskaradowe zwroty i wyrażenia „moja znajoma, moja przyjaciółka“ lepiéj chrzestnego użyję imienia, lecz żeby *incognita* nie zdradzić, pożyczę od ciebie Maryniu i skłoniłam się pani domu żartobliwie.

— Bo téż istotnie, pod imię Maryni, jak pod najobszerniejsze domino schować się można, zauważała młodsza córka państwa Marcinostwa.

— Prawda że to już trochę imieniem własném być przestaje, Marynia, Mania, Marylka.... ale ciągnęłam daléj, tém odpowiedniejsze dla mnie dzisiaj się okazuje. Żeby zaś wszelkiego nieporozumienia uniknąć z obecnemi właścicielkami, więc moję niewłaścicielkę, na dzisiejszy wieczór: „Marynką“ oto mianuję.

Śmiać mi się chciało z własnego pomysłu, że szczerą prawdą ludzi zwodziłam; okazało się późniéj, jak to było zdradliwe, lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Pan Marcin koniecznie chciał się dowiedziéć, czemu niektóre z płci naszéj osoby, przedewszystkiém na usta Marynki uwagę zwracały? Gdyby on tak postąpił, toby wiedział dla czego.

— A ja, szanowny panie referendarzu, taka jestem dobroduszna, że się powodu tych pań i panienek nie domyślam bynajmniéj, owszem, dziwi mnie bardzo ich wybór, gdyż właśnie usta są najniepoprawniéj ze wszystkich rysów jéj zakreślone. Gdyby w ich rozwarciu, prawdziwe uryjańskie perły nie świeciły, toby im przyganiano, że za mało wydatne, o parę linii za szeroko rozcięte; ale ponieważ każdy jéj uśmiech, jak z tysiąca nocy zjawisko, to i czasu nikt nigdy nie miał na gruntowną krytykę, bo zaraz mnóstwo głosów broniących się odzywa.

Co mi jednak arcyosobliwém się zdaje, to że względem wzrostu Marynki, częściéj prawie niż względem kształtu jéj nosa, lub wdzięku jéj ust nierysunkowych, dzielą się opinie. Wzrost przecież można łokciem zmierzyć, a tymczasem jedni mówią, że Marynka tylko średniego wzrostu, drudzy, że wysoka, że ma wspaniałą, kró-

lewską postawę i stokroć dziwniéj jeszcze, ja sama przyznam się państwu, téj wątpliwości roztrzygnąć nie mogę, zupełnie z porównania śledczego korki i obcasy bucików wyłączając. Często bardzo, gdy przyjdzie do mnie na gawędkę poufną, gdy się zacznie przymilać, jak koteczka, albo dąsać jak rozpieszczone dziecko, albo figlować, tańczyć po pokoju, w ręce klaskać, jak Hebe pensyonarka, co niby z Olimpu na rekracyą uciekła, to widzę na własne oczy, że jest szczupła, wysmukła, lecz prawie drobna, a w innych chwilach znowu, u siebie naprzyład w salonie, kiedy powstaje na przywitanie jakiéj tytułowéj znakomitości, albo kiedy stoi przy fortepianie, słuchając biegłéj gry sławnego wirtuoza, albo kiedy ją matka prowadzi przez środkową aleję Saskiego ogrodu, kiedy idzie ulicą—raz szczególniéj, pamiętam w Wilanowie, zatrzymała się przed jednym z historycznych portretów, i długo, długo patrzyła na niego, wtedy była wysoka...... Mnie jednak w Marynce najwięcéj głos jéj zachwyca, głos ma przepyszny, nie do śpiewu, choć i śpiewa dość dobrze, ale w czytaniu, w rozmowie, w każdém wzruszeniu, modulacye, zagięcia, spadki cudowne, nigdy nie przygotowane, nie obmyślone z góry, ani naciągnięte do pewnych tonów konwencyonalnych; żadnéj co to zowią maniery: ciągła improwizacya, ciągłe niespodzianki, ciągła zgodność uczucia i dźwięku, ciągła „prawda w głosie“. Ludziom się może zdaje, że to nic osobliwego. Niech słuchają uważnie samych siebie, gdy mówią z gośćmi a z domownikami, w salonie, a w pracowni swojéj, gdy kilka osób słucha, lub gdy chcą by one ich słuchały: szkoda, że zaraz na porównanie, Marynka się nie odezwie.

— Czy pani się nie obrazi na mnie, jeśli pozwolę sobie maleńką wtrącić uwagę, zapytał pan Stanisław, drugi syn z rzędu, zastępujący rodzicom ich pierworodnego wędrowca.

— Mam nadzieję, że pan mię nigdy nie obrazi, odrzekłam nader grzecznie, a w duszy zachowałam słów moich komentarz, że i selenita na odwrotnéj stronie księżyca żyjący, nigdy obrazićby mnie nie mógł.

— Gdyby panna Marynka była zupełnie podobną do odmalowanego przez panią portretu, cała już Warszawa znałaby jéj prawdziwe imię, a tém samém i jabym się łatwo dzisiaj domyślił, o kim pani chce mówić. Że się jednak nie domyślam, to mię na lekkie podejrzenie wprowadza, czy....

— Czy wizerunek nie zbyt pochlebiony, śpiesznie dokończyłam.

— A nawet czy oryginał istnieje?... odśmiechnął się jak najuprzejmiéj p. Stanisław.

— Dla tego, że pan się z nim nie spotkał?

— Dla tego, że byłbym go spotkał niezawodnie.

— Ha, może go pan i spotkał nawet, może tylko nie umiałeś pan i nie umiesz rozumiéć takich twarzy. Trzeba mieć talent albo wprawę nabytą, żeby od razu wśród liczniejszego grona, wyróżnić je, przeczytać i ocenić. Głos całéj Warszawy nie mógł pana pokierować w tym względzie, bo Marynka nie prowadzi życia modnéj piękności. Ze dwa lata temu, gdy była ślepiéj posłuszną swojéj mamie, dała się parę razy na bal zaprowadzić, ale pan właśnie przed dwoma laty na balach nie bywałeś jeszcze; a teraz Marynka bywać już przestała. W teatrze nie siaduje także w abonowanéj loży i bardzo często aż do głębi się zasuwa; w resursie nigdy jéj noga nie postała. U wód w Saskim ogrodzie, na spacerach, można łatwo się z nią minąć, bo nigdy bardzo wykwintnéj toalety na podobne przechadzki nie kładzie; zresztą często na wieś wyjeżdża... Pan wie przecie, towarzystwo wiejskie, nawet wśród miasta, trochę na uboczu się trzyma... Chociaż przypuszczam, że pan z nią razem byłeś przeszłéj zimy w jedném zgromadzeniu, jestem pewna, że byłeś; ale nikt pana pierwéj nie uprzedził, jaką piękność zobaczysz. Mnie się coś podobnego zdarzyło w galeryach Luwru: gdy je pierwszy raz w życiu zwiedzałam—przeszłam koło Madonny Murilla najspokojniéj w świecie. Już nie wiedziałam w jaką bawełnę obwinąć ten prosty sens moralny, że p. Stanisław żył w zupełnie innéj sferze towarzyskiéj, jak moja Marynka i miał zupełnie inne pojęcia estetyczne jak ja.

Na szczęście, pan Marcin z kłopotu mnie wyratował.

— A jakże tam z posagiem? Taki klejnocik kosztowny, winien mieć rownie kosztowną oprawę.

— Panie Marcinie! toć właśnie bardzo kosztowne klejnoty, kosztownéj oprawy nie potrzebują; lecz widać taki będzie porządek do skończenia świata, z temi biednemi kobiétami: Czy ładna? Czy bogata?

— Otóż ja spytam, najpierwéj czy rozumna? z żywością zawołała Marylka?

— A ja się spytam, czy dobra? z naciskiem dołożył pan Konrad.

— A ja spytam, czy pobożna? jeszcze dobitniéj akcentowanym głosem, rzucił mi, jak przymówkę p. Stanisław.

— Zaraz, zaraz moi państwo, broniłam się wesoło, cierpliwości, cierpliwości! Każdemu z kolei odpowiem. Panu Marcinowi najpierwéj. Słyszałam, że w dzień ślubu pięćkroć stotysięcy gotówką, listami zastawnemi, szczęśliwy małżonek w ręce swoje odbierze, a dru-

gie tyle po najdłuższém życiu pani matki, a trzecie tyle, jeżeli nie więcéj, po najdłuższém życiu pana wuja.

— Tam do licha! nie żarty! wykrzyknął swoim pozadomowym głosem p. Marcin, aż się żona z zadziwieniem spojrzała na niego. Jak myślisz Stasiu? Czy się sam sobie nie dziwujesz, że byłeś podobno w jednym pokoju z taką młodą pięćkroćstotysięczną osobą i nie przeczułeś nawet. Wstydź się, kapucynie, ręczę, że Władek nie byłby takim ciemięgą ej! gdyby go sprowadzić, cobyś na to powiedziała Maryniu?

Pani Marya przyjęła to za żart najczystszéj próby, rozśmiała się serdecznie, odwołała niby do mojéj protekcyi; ale ja po dziś dzień mam to przekonanie, że pan Marcin nie zupełnie żartował.

— Teraz z tobą się załatwię, mówiłam do Marylki zwrócona. Czy rozumna? zapytałaś najpierwéj: nie wielką masz w tém zasługę nie jesteś mężczyzną, przecież urodź się drugi raz we fraku lub czamarce, a pewną jestem, że ci nigdy na myśl nie przyjdzie informować się o rozum jakiéj chwalonéj przy tobie panienki. Może zresztą lękliwiebyś się wyraziła: „a czy nie rozumna przypadkiem?“ Co do Marynki, mogę tych panów uspokoić, ciebie nie zasmucając, że mi się zdarzyło często słyszéć jak o niéj mówiono: „dowcipna, ma żywą wyobraźnię, świetnie wychowana“ ale raz tylko jeden, nasz wspólny znajomy, stary profesor z realnego gimnazyum, powiedział „rozumna dziewczyna“ i ten raz jeden właśnie ośmieliłam się szanownemu profesorowi zaprzeczyć. Na skalę powszechnie przyjętéj miary, choćby nie na skalę filozofii, Marynka nie jest rozumną dziewczyną, tak, jako matematykiem nie był ów Henryk Pastour, co zgadywał ostateczne rozwiązania najtrudniejszych algebraicznych zagadnień. Biedny chłopiec, gdy przyszło do dowodzenia, nigdy nie mógł poza pierwsze kartki elementarnych dziełek przepłynąć; Marynka także na mieliźnieby się rozbiła, gdyby kto od niéj żądał ścisłego wywodu zdań rzucanych wśród rozmowy, jak race kongrewskie. Nie ma talentu do analizy logicznéj; sumy ogólne za to, różnice, iloczyny, ilorazy, od jednego rzutu myśli pochwytuje. Rozumni ludzie (a ciągle potocznéj mowy dykcyonarza się trzymam) rozumni, muszą bogaty zasób wiadomości posiadać, mieć zdolność i zamiłowanie naukowéj pracy, tego wszystkiego właśnie Marynce brakuje. Według ciążącego nad żeńską generacyą fatum, pomimo kilku drogich guwernantek i na godziny przychodzących profesorów, Marynka nie wiele się nauczyła, i co gorzéj, chociaż namiętnie lubiła się dowiadywać, to z nader umiarkowaną gorliwością sama do uczenia się brała: skąpy też zasób rozumowego materyału przysposobiła sobie i dla tego jakkolwiek wyroki sądowe, kombinacye, zestawienia tych ograniczonych

nabytków, wybornie jéj się udają, nie mogłam do spółki z panem nauczycielem gimnazyalnym „rozumną dziewczyną“ ją nazwać. Jéj rozum, jest „darem trafności“ tylko.

— Najlepszy i najwłaściwszy, jakim kobiéta pochwalić się może, zauważał pan Marcin, innego rozumu nie chciałbym nawet dla moich córek.

— Wcale się o to nie sprzeczam; jabym taki i dla wielu synów przyjęła. Lecz o cóż to p. Konrad pytał? szybko zwróciłam rozmowę, żeby na żadne komentarze ostatnich słów moich, czasu nie zostawić.

— Ja pytałem czy dobra?

— Oj panie Konradzie, coś mi się widzi, że panu bardzo ostrożnie trzeba dawać odpowiedzi. Znakomici mechanicy we wszystkiém tomowéj prawie dokładności wymagają.

Pan Nepomucen z naiwną próżnością odśmiechnął się na to powiedzenie moje.

A „dobra,“ „dobroć,“—ciągnęłam daléj—ogromnie elastyczne wyrazy, daleko mi bezpieczniéj i wygodniéj będzie, pod cudze zdanie się schować. Wszyscy krewni Marynki, domownicy, którzy ją otaczają, bliżsi i dalsi znajomi, wszyscy ogólnie mówią, że Marynka jest dobrą.

— Lecz pani zaprzecza?

— Ja przyznaję, że mogłaby całéj seryi prześlicznych illustracyj do jakiéj powieści moralnéj dostarczyć, i rzeczywiście ledwo że ją zaszczyt tego rodzaju nie spotkał. Zebraliśmy się raz u jéj wuja, który nawiasem mówiąc, bardzo kocha i trochę psuje swoją siostrzenicę. Marynka dzieckiem jeszcze była, w siódmym co najwięcéj roku. Ubrano ją bardzo elegancko; miała krótką ponsową z czarnemi aksamitkami spodniczkę, biały przejrzysty staniczek, majteczki suto haftowane i buciki ale jakie buciki! Esmeralda, ich pierwszy model na szyi za talizman nosiła. Po obiedzie, gdy panie przed domem, wśród klombów ogrodowych zasiadły, a panowie jeszcze wistowych stolików nie otoczyli, pan wuj wziął mnie i brata mego, żeby nam jakieś osobliwe tulipanowe drzewo, kędyś daleko w głębi szkółki rosnące, pokazać.

Był tam jesion z ławeczką w pobliżu, więc spoczęliśmy trochę i gawędzili przez chwilę, gdy w tém z ciemnego szpaleru na przeciwko, wychyla się, istna polna makóweczka, staje na paluszkach, rozgląda się do koła, nasłuchuje.... ma się rozumiéć nie spostrzegła nas wcale pod spuszczonemi jesionu gałęziami, i swobodnym biegiem uspokojonéj sarenki, prosto pędzi ku furtce na pola wychodzącéj.

Furtka była zamknięta. Mocuje się, mocuje, otworzyć nie może, a my z pod jesionu patrzymy, co daléj z tego będzie.

Najniespodzianiéj pomoc się zjawiła, po drugiéj stronie za sztachetami, szła wiejska dziewczynka, mało co od Marynki większa i to zapewne ufność téj ostatniéj wzbudziło.

— Moja kochana! moja dobra! zawołała na nią, pomóż mi te drzwi odemknąć.

Dziewczynka wstrząsnęła niemi, lecz równie bezskutecznie.

— To możebyś jedną sztachetę wyłamała, ja się łatwo przecisnę, radzi Marynka znowu.

— Oj nie chcę, panienko, boję się,—odpowiada dziewczynina z przestrachem wyraźnym. Coby to było, gdyby się dowiedziano!

— Powiedziałabyś, że ja cię prosiłam, toby ci nic nie było.

— A czyja to panienka jesteś?

— Mojéj mamy i wujaszka. Wszakże znasz mego wujaszka, on jest tutaj panem.

— Jużcić że go znam, ależ dla czego panienka 'nie poprosi pana, żeby kazał otworzyć?

— Co mi z tego, że wujaszek każe otworzyć, zaraz bona powlecze się za mną, a ja chcę pójść sama. Tutaj w długim ustępie rozmowy koniecznie wypadło Marynce objaśnić dziewczynkę, że bona jest chudą, wysoką Niemką, która jak cień nigdy Marynki nie odstępuje, łaje za każdą plamę na sukience i tak gada, że ją zrozumiéć trudno. Nakoniec dziewczynka, nowem zapytaniem rozmowę do głównego przedmiotu zwróciła.

— A gdzie to panienka chce pójść sama?

— Tam wprost przed siebie. Bona mnie ani razu nie chciała zaprowadzić aż do tamtąd, do tamtąd, gdzie się zielone kończy a niebieskie zaczyna. Powiada, że tam nic innego niéma, że zawsze to, co i tutaj; ja pewna jestem, że musi być daleko piękniéj, takbym chciała zobaczyć!

Dziewczynka oświadczyła, że może zaspokoić jéj ciekawość, bo nieraz już zwiedzała owe krainy nieznane; więc drugi rozdział gawędki. Pokazało się, że tam daleko, daleko, gdzie zielone się kończy a niebieskie niebo zaczyna, jest najpierwéj.... Bartoszowe pole, za polem Bartoszowem, dworski owies, za dworskim owsem, Lipieniec, za Lipieńcem.... Wiejska eksploratorka już nie wiedziała, co jest za Lipieńcem. Nazwisko jednak Lipieńca, z pełnym znaczenia dźwiękiem, wpadło do ucha Marynki i wystarczającém się okazało.

Co téż to było można w Lipieńcu zobaczyć? W Lipieńcu można było zobaczyć ogromne, ogromne lipy, i dużą, dużą pasiekę, a pasieka, z powagą udzielono objaśnienie, to znaczy miejsce, gdzie pszczoły miód robią. Marynka znała miód, bo codzień świeży w plastrach na podwieczorek zastawiano u wujaszka, ale nie widziała nigdy, jak go pszczoły robią. Dziewczynka bardzo dumna, że tylu rzeczy świadomsza, długo jéj to rozpowiada, niekoniecznie jasno i dokładnie, lecz zupełnie zrozumiale i zadawalniająco dla Marynki, która wszystko, co słyszała przenosiła w kalejdoskop swojéj wyobraźni i układała z oderwanych wyrazów różne cudowności wzorzyste, a tak trwałe piérwotnością wrażenia, że jak sama teraz utrzymuje, nigdy już od téj chwili z widokiem czysto zakreślonego na horyzoncie półkola, nie mogła rozłączyć wspomnienia lip zielonych, złotego miodu i tajemniczéj pasieki. W końcu wszelako rozszczebiotana towarzyszka, udzieliła jéj trochę niemiłego szczegółu o pszczołach. Pszczoły mają żądła i kłują niémi gorzéj, niż grubemi szpilkami, ot nie dawniéj, jak przed tygodniem, gdy po wosk do pszczelnika chodziła, jedna w nogę ją ugryzła. Okruteczny to ból, okruteczny! Dziewczynka téż bardzo krzyczała, a kiedy stary pasiecznik chciał jéj żądło wycisnąć, uciekła z przestrachu, dla tego mówią, rana się rozjątrzyła i trzeba było szmatą ją obwiązać. Przy téj okoliczności dopiéro Marynka spostrzegła, że owa szczęśliwa istota, co sama najdalsze zwiedza strony, co Lipieniec i pasiekę widziała... bez trzewików chodzi!

Czemu? Czy jéj tak wygodnie? Przypuszczała Marynka, że bez trzewików nadzwyczaj wygodnie być może czasem, w pokoju, ale nie zawsze, zwłaszcza téż między pszczołami. Dziewczynka zupełnie o tém była przekonana, tylko zkądżeby ona wzięła trzewików?

— Od mamy, od taty, od wujaszka?

Dziewczynka matuli już nie ma, tatulo się ożenił i macocha bardzo zła, a wujeczni?... Nie przypomina sobie, czy kiedy o wujecznych słyszała. Słówko po słówku, z pytania w odpowiedź, rozwinęła się na téj treści daleko mniéj skomplikowana, niż o pszczelnictwie historya. Piérwszy raz w życiu Marynka spotkała się z żywą rzeczywistością mnóstwa sylabizowanych i czytanych w książeczkach powiastek. „Sierota, macocha, jątrząca się rana, zawsze zimą i latem bose nogi...“ Dziś jeszcze pamięta ona, jak przy każdém takiem wyrażeniu serduszko jéj biło, coraz mocniéj, niby z przelęknienia a w gardle ją coś ściskało, niby przed wielkiego płaczu wybuchem; wiedziała jednak, że nie ma czego się lękać i na płacz jéj się nie zebrało jeszcze, chociaż czuła, że jéj bardzo przykro, bardzo

smutno się robi. Nagle ujrzeliśmy, jak przysiadła na ziemi i śpiesznie drżącą, znać nieprawną rączką, zaczęła odsznurowywać pyszne swoje buciki, odpinać sprzączki elastycznych podwiązek, ściągać pończoszki.

— Na! masz! zawołała, wszystko razem przez otwór między sztachetami dziewczynce podając. Na! masz! rzekła jeszcze, gdy dziewczynka oświadczała pewne wątpliwości, czy mama panienki pozwoli, czy wujaszek gniewać się nie będzie. Nie bój się, mam inne, takie same buciki. Mama gniewać się nie będzie. Czytała mi wczoraj o królowéj Elżbiecie, ktora świętą została i mówiła mama, że ja także świętą być mogę, jeśli jak ona, dla biedniejszych dobrą będę. I wujaszek nic ci nie powie. Domyślacie się państwo, że wujaszek ciekawie szyję wyciągnął, żeby ani słówka z tego, co o nim siostrzenica prawiła, nie stracić. Wujaszek bardzo dobry, on nigdy nie łaje, czasem na kucharza albo na Hrycia... Czy znasz Hrycia? — Nie? To chłopiec kredensowy i ciągle „nic nie robi, tylko szklanki tłucze,“ wujaszek powiada, że musi dla niego umyślnie sklep ze szkłem, jakąś budę czy hutę założyć, wujaszek często gniewa się na Hrycia, ale na mnie nigdy. Chociaż ja wujaszkowi lustro stłukłam, nie rozgniewał się. Mama zaczęła mię łajać, a wujaszek jak tylko zobaczył, że mam łzy w oczach, co prędzéj wziął mię na ręce i powiedział, że mogę, jeśli chcę wszystkie zwierciadła mu potłuc, bo kawalerom źwierciadła nie potrzebne, ale ja obiecałam, że już żadnego nie stłukę, i wujaszek mi podziękował. Widzisz, że możesz wziąć buciki. Niech go tylko poproszę, nakupi mi nowych, ile sama zechcę tylko.

Temi i tym podobnemi argumentami, Marynka zupełnie przełamała słaby opór swojéj zasztachetowéj znajoméj, dowiodła jéj, że może przyjąć i trzewiki i pończoszki, nawet podwiązek nie zostawiła sobie. Roskosznie było patrzéć na radość obdarowanéj, lecz trzeba było wracać po inne obuwie.

— Czy przyjdziesz jutro?

— Ach! przyjdę, moja panieneczko!

— Pójdziemy do Lipieńca?

— Możeć ta furtka da się otworzyć.

I na tych słowach, dwie reprezentantki braku i obfitości, rozstać się musiały. Jeszcze Marynka szpaleru nie dobiegła, kiedy moi panowie już wytrzymać nie mogąc, jednocześnie głośno w ręce klasnęli.

— Brawo! brawo! Marynko!

Na ten wykrzyknik, jak wryta stanęła. Widok trzech świadków stojących przed jéj oczyma, strachem czy wstydem ją przejął, a mo-

że powieść dziewczynki, niespodziane klaścięcie drażliwie na jéj nerwy podziałały, bądź co bądź, przez chwilkę jeszcze stała nieruchomie, a potém, jak się odwróci, jak krzyknie i uciekać zacznie, tak chociaż wujaszek na nią wołał, chociaż gonił, nie oparła się, aż koło domu. Biedną Marynkę nowa tam czekała konfuzya. Wszystkie panie, jak mówiłam, siedziały na tarasie; gdy z rozpędem aeorolitu wpadła między nie taka skrzyczana, zapłakana i rozzuta, przerażenie było okropne. Dopiéro z nadejściem panów, rzeczy się wyjaśniły. Goście zaczęli admirować, lecz mama bardzo surowo brwi zmarszczyła. Wujaszek bronił, usprawiedliwiał, przytaczał zastosowaną św. Elżbiety historyą, więc trochę mniéj groźnie powiedziano Marynce, że dzieci nie mają prawa swoich rzeczy rozdawać, póki piérwéj mamy o pozwolenie nie poproszą. Prawdziwą burę jednak dostała bona Niemka, za to, że dziecko z oczu spuściła, a wieczorem Marynka taką samą od bony, za to, że jéj uciekła i nowiuteńkie obuwie zmarnowała. Trudno było dziewczynie w sumieniu swojém rozsądzić, czy źle, czy zobrze zrobiła, przypomina sobie tylko, że ją wielkie poczucie śmieszności dręczyło. Ile razy tylko opowiadano jéj naśladownictwo św. Elżbiety królowéj, tyle razy widziała, że wszyscy się śmieją i wielką miała ochotę pod stół się schować wtedy, a wujaszek na nieszczęście, bardzo często opowiadał właśnie. Kazał nawet przypytywać się, czy gdzie w okolicy niéma przejeżdżającego artysty, coby pędzlem swoim, to zdarzenie upamiętnił, dotychczas jednak roztrzygnąć stanowczo nie może, jaką chwilę miałby obraz przedstawiać. Ta w któréj Marynka rozzuwała się dla stojącéj za sztachetami dziewczynki, była treścią samą wypadku, ale ta, w któréj przestraszona klaśnięciem, zatrzymała się pod drzewami szpaleru, ze swoją twarzyczką ciemną a mocnym rumieńcem pokrytą, ze swojemi błyszczącemi wschodniéj gazeli oczami, z wdzięcznym nieładem rozwianych w biegu loczków, z tą sukienką czerwoną, a szczególniéj z témi bosemi, różowo, delikatnie śniadémi nóżkami na trawie, istnie do świeżo porwanéj przez cyganów Precyozy podobna, ta chwila była daleko odpowiedniejszą wszelkim wymaganiom sztuki. Jedynie dla tego, że wówczas ani jednego Apellesa w obrębie trzech sąsiednich powiatów znaleźć nie można było, potomność arcydzieło w swoim rodzaju straciła. Ale Marynka, nie straciła zupełnie wątka, z którego bardzo podobne temata snućby się dały. Może wątek splątał się nieco, w zamięszaniu babelowém piérwszych wrażeń, nierozwikłanych z pedagogiczną troskliwością a chrześciańskiém braterstwem przez nikogo. Może się pozrywał, potargał.... to jednak pewną jest rzeczą, iż wiele jeszcze niteczek w lata młodości przeciągnęło się; ani gwar świata, ani zobojętnienie

przywyknienia, ani apatya otaczającéj ja atmosfery, nie zdołały zerwać ich zupełnie. Dotychczas Marynka, bardzo łatwo rozrzewnia się nad sieroctwem, ubóstwem i cierpieniem wszelkiem, a nawet nie otrząsnęła się jeszcze z dziecinnego zwyczaju, oddawania potrzebującym tego, co ma na sobie, lub przy sobie. Własnemi oczami widziałam, jak futrzany zarękawek rzuciła bardzo staréj kobiécie, któréj zgrzybiałe od zimna ręce nie mogły kosza dotrzymać i upuściły go ze wszystkiémi roznoszonémi na ziemię pączkami. Pączki w rynsztok, chłopaki uliczne w śmiech, staruszka w płacz, a moja Marynka w rozrzewnienie i „zarękawek bierz.“ Inną razą, gdyśmy do jakiejś poleconéj szwaczki przez różne sienie przechodziły, w jednéj w nich, pod zakrętem schodówym, drzwi się rozwarły, na okropnie smutnéj nędzy obrazek. Izdebka, raczéj dziura ciasna i zimna, dwoje dzieci obdartych, trzecie, nowonarodzone, przy choréj matce bez dostatecznego okrycia, słowem wszystko, jak się to często zdarza... Marynka zostawiła biednéj kobiécie swoją portmonetkę, z pieniędzmi i szal szkocki, który miała pod futrem. Mogłabym wiele podobnych „uczynków“ przytoczyć, na całą seryą illustracyi dostarzyć, jak to już państwu mówiłam, tylko ja nie podejmuję się tego zbioru zatytułować.

— Mnie się zdaje, że tytuł sam z siebie do myśliby przyszedł patrzącym, rzekł na to pan Konrad.

— Lecz ja, byłbym równie ostrożny jak pani, pókibym piérwéj nie usłyszał odpowiedzi na moje zapytanie, odezwał się p. Stanisław.

— A mnie się zdaje panie Konradzie, odpowiedziałam piérwszemu z mówiących, mnie się zdaje, że nie tak łatwo znaleźć ogólnik na podobne szczególiki. Ile nas tu jest osób, ręczę, że każda coś innego by powiedziała, nie licząc tych, coby przez ostrożność jak p. Stanisław, lub przez sumienność jak ja, niczego powiedzićć nie chciały.

Zacznijmy tylko, sąsiadko moja...

Sąsiadką z jednéj strony była Marynia, z drugiéj Marylka jéj młodsza córka; pytanie do córki było zwrócone.

— Niech pani będzie trochę wyrozumiałą, odrzekła mi swobodnym, wesołym, ale bardzo stanowczym głosikiem, ile razy z mamą w zapytania i odpowiedzi gramy, to mnie zawsze najgorzéj się powiedzie; cóż dopiéro teraz, gdy idzie nie o grę towarzyską, lecz o żywą i ukochaną pani osobę. Zaczekam, niech inni się wypowiedzą a dopiéro póżniéj przyłączę się do tego, lub owego zdania. Oh! na talencie sądu wcale mi nie zbywa, a właściwie mówiąc, mam znakomity talent... wyboru; dziwnie jakoś spojrzała na starszą siostrę, akcentując trochę przeciągle ostatni wyraz.

— Nudna trochę jesteś ze swoim wyborem, odrzuciła jéj panna Aniela bardzo prędko. Sądzić, wybierać, brać na siebie wielką odpowiedzialność za dłuższe przygotowanie... dziękuję. Jestem pewna, że choć niedorzeczność powiem, chętniéj mi ją pani przebaczy, niż tobie, twoje rozsądne namysły pochwali. Jakkolwiek niepytana, odrazu téż pani wyznaję, że gdybym spotkała ową jéj Marynkę, tobym ją uściskała serdecznie, pokochała szczerze i miała wtedy prawo powiedziéć, jako o mojéj przyjaciółce, że jest najlepszą.

W tył się trochę przerzuciła głowa mówiącéj, rumieniec na twarz wystąpił, oczy dumném jakiemś spojrzeniem na oczach młodszéj siostry się zatrzymały, ale tu młodsza wcale wzrokiem nie ustąpiła. Jak mi żal było naówczas, że wprawniejszą fizyonomistką nie jestem; może byłabym lepiéj zrozumiała, co się maluje na tych dwóch młodych obliczach, z uśmiechem zabawy wzajemnie ku sobie zwróconych, a patrzących tak dziwnie. Dramatyczna rywalizacya? nienawiść? zazdrość? Oh! nie, w podźwięku mowy, a znam się na tém lepiéj niż na sztuce Lawatera, słychać zaledwie dziewczęce przekomarzanie się, niby pół żartu a pół groźby. Wszelako myślałam sobie, jest w tém coś, lecz coby to było?...

— Czy panny Melci przyjaźń jest dowodem najlepszości? zagadnął pan Nepomucen.

— Pan wie przecie, że nigdy niczego nie chcę dowodzić, zupełnie w tém przynajmniéj, do nieznajoméj Marynki podobną jestem, ale rzecz bardzo naturalna przecie, że najlepszym mi się wydaje, najlepszym jest w mojem przekonaniu, ten, którego kocham...

. . . .

— Lecz do kwestyi tytułowéj wracając, przerwałam epizod niechże pan Referendarz łaskawie powiedziéć nam zechce...

Spostrzegłam wtedy, że zagadany z żoną w półgłosem prowadzonéj naradzie, nic nie wiedział, o co rzecz chodziła. Zbieramy głosy na tytuł dla tych ustępów, które w biografii mojéj znajoméj opowiadałam. Niechże pan łaskawie powiedziéć nam zechce, jaki byłby najstósowniejszy podług pana Referendarza.

— Piękne uczynki, pięknéj młodéj dziewczyny: odpowiedział ze zwykłą swoją salonowo-urzędową dwornością.

Na starość człowiek tak niedowierzający się robi, że go posądziłam o intencyą przesłania tego komplementu bogatéj dziedziczce za mojem pośrednictwem.

— Nazwałbym to może, pięknémi fantazyami tylko, mruknął p. Nepomucen.

— A jabym nazwała seryą szczęśliwych przypadków w życiu ubóstwa, podsunęła pani Marya, swoim przycichłym, lecz zawsze

trochę wyrokowym, jak prawo Likurga głosem. Pan Konrad lekko przed nią głowy uchylił.

— Istotnie rzekł, pani dobrała najstosowniejsze orzeczenie, jest to szereg przypadków jedynie, ale szczęśliwym przypadkiem dla nędzy, może być tylko spotkanie dobrego serca w bogatym; według mego więc zadania, równieby się godziło zbiór takich przypadków, zbiorowo: „dobrém sercem“ zatytułować.

— Przez litość, panie Konradzie, zawołałam na te słowa, nie wspominaj o dobrém sercu; wszak sam pan widzisz, jak starannie unikałam tego wyrażenia. Nie chcę go razem ze wspomnieniem Marynki zestawiać.

— Pani tylko chce ciągle w szarady ze mną się bawić.

— Nie, tu niema żadnéj szarady do odganięcia. Gdybyś pan był tyle co ja, od „dobrych serc“ ucierpiał, tyle co ja na „dobrych sercach“ się nazawodził, gdyby panu tyle najkosztowniejszego kapitału przepadło, ile mnie go dobre serca straciły, toby dopiéro pan szaradą mojéj opozycyi nie nazwał. Wszak prawda, panie Nepomucenie?

Ani chwili nie wątpiłam, że mi stary przyjaciel na pomoc przyjdzie; nasłuchałam się dosyć mizantropijnych jego w tym przedmiocie utyskiwań. Biedna pani Nepomucenowa słynęła niegdyś z anielskiéj dobroci swojéj, lecz przedewszystkiém na pewném prawie sprzeczności gruntowałam nadzieję moję. Gdyby mi było trzeba szlachetności i poświęcenia bronić, byłabym niezawodnie do pana Marcina o pożyczenie retoryki zastukała, lecz kiedy przeciw dobremu sercu mówić wypadało, nikt tego nie mógł zrobić lepiéj od pana Nepomucena i pan Nepomucen poparł mnie też natychmiast.

— Czy wiész Konradzie, dla czego cię najwięcéj szanuję, szparko zwrócił się do syna, a to dla tego, że nie masz dobrego serca.

Pochwalony pan Konrad, lekko zarumienił się jednak i samemi końcami ust rozśmiał.

— Nie masz dobrego serca, nie rozrzewniasz się nad zabitym gołąbkiem, nie płaczesz nad smutkiem przyjaciela, nie rzucasz się na szyję bliźniemu dla tego, że ma zasługę być głodnym, lub honor być obdartym, słodką pociechą wewnętrzną po tém rozkoszować się nie będziesz, że cię widok nędzy wzruszył i sumienie w tobie nie zasypia spokojną pewnością, że nie możesz nic złego nikomu zrobić, ty, co masz takie, takie dobre serce!...

Czy pan Konrad domyślał się, co znaczyła gorzka ironia tego śmiechu, który ostatnim słowom towarzyszył? Niewiem. Głos mu

nawet nie zadrgnął, gdy zaraz najzwyczajniejszym swoim odezwał się tonem.

— W tym jednym względzie muszę się do praw mechaniki odwołać, jak mi to pani przymawiała trochę. Nim zacznę co stawiać, potrzebuję koniecznie punktu oparcia; nim zacznę o jakim wyrazie dysputować, potrzebuję mieć jego definicyą; definicya to punkt oparcia we wszelkich rozprawach. Zaczynam tedy od określenia, co to jest dobre serce? Ja powiadam najpiérwéj, że co dobre, to nie złe, więc dobre serce, jest dobrém, nie złém. Według powszechnie przyjętego w moralności prawa, dobre się szanuje, a złe potępia, więc dobre serce trzeba szanować, a potępiać się nie godzi. Teraz co do właściwéj definicyi tego dobra, widzę, że to jest wrodzone upodobanie do szczęścia bliźniego, i wrodzony wstręt do jego cierpień. Kto lubi sprawiać przyjemność, a nie lubi sprawiać przykrości, ma dobre serce. Wstydziłbym się okropnie, gdybym istotnie miał być pozbawionym téj piérwszéj prawdziwie społecznéj, prawdziwie chrześciańskiéj skłonności, mój ojcze.

— Dajmy pokój osobistościom, odśmiechnął się już bardzo łagodnie pan Nepomucen. Przyjmuję twą definicyą, lecz ją rozwijam trochę. Dobre serce jest tedy wrodzona skłonność, wrodzone upodobanie, wrodzony wstręt i tam daléj, że wszystkie wrodzone poczucia, bardzo sprawiedliwie fizyologiczném wyrażeniem „dobrego serca“ oznaczasz. Jest to rzeczywiście dobroć od obiegu krwi zależna dobroć na najniższym stopniu swoim; tego zaprzeczyć nie możesz?

— Wszystko musi przecież zaczynać się albo od najniższości swojéj, albo od najmniejszości, ale zaczęcie stanowi o bycie.

— Ale zaczęcie nie stanowi o kształtach rozwoju bytu, czekajno tylko mój chłopcze, zaraz cię tu przekonamy. Dobre serce jest tedy zdolnością taką samą, jaką może mieć do muzyki człowiek, który się grać nie uczył, lub któremu się uczyć nie chciało, lub którego uczono źle i podług fałszywéj metody. W całości swojéj zupełnéj, dobre serce jest łagodnością, litością i instynktem datności. Łagodność głównie z nastrojem systematu krwistego jest połączona; litość od wrażliwości nerwów zależy; instynkt, no, sam wiesz najlepiéj, ulega rozmaitym zewnętrznym pobudkom i wpływom, zależy od przypadku. Jestem pewny, że pani Marya miała coś podobnego na myśli, gdy doraźne jałmużny jakiejś Marynki, szczęśliwym dla biednych przypadkiem nazwała.

Pani Marya nieznacznie potakującym ruchem głowy, zawtórowała słowom pana Nepomucena.

— Ciekawą jednak byłoby rzeczą — wtrącił pan Konrad — gdyby można było obliczyć, choć na mniéj więcéj, ilu pokoleń i ja-

kich warunków trzeba, żeby się urodziło indywiduum z pierwiastkami dobroci we krwi, w nerwach i w instynkcie?

— Zwykle te trzy składowe części dobrego serca w odosobnionych przedstawiają się okazach. Są ludzie przeważnie łagodni; są inni wyłącznie litościwi tylko; są i datni, hojni, uczynni, którzy ani łagodnymi, ani litościwymi nie bywają, my wszystkich jednak zarówno całujemy, ściskamy, okrzykujemy za takich dobrych! takich dobrych ludzi!

— Ach! mój drogi panie Nepomucenie! zawołała z niedyskretnym pośpiechem Marylka, powiedzno pan co prędzéj o tych przeważnie łagodnych ludziach! Takbym chciała przekonać się, że u zenitu wszelkiéj doskonałości nie stoją.

— Niezbyt trudna sprawa, odrzekł pan Nepomucen, bardzo życzliwie na pytającą patrząc. W łagodnych krew trochę leniwiéj płynie; od zupełnie apatycznych próżniaków, różnią się oni przecież dobrym, jednostajnym humorem i cichą, niewymagającą żadnego z ich strony wysilenia, działalnością. Żeby mnie Konrad znowu nie podchwycił, że dobre złem nazywam, to muszę od razu przyznać ich drogocenne zalety. Pożycie z nimi, nadzwyczaj bywa łatwe i gładkie, stosownie do położonéj definicyi; nikomu przykrości wyrządzać nie lubią; doskonałe temperamenta na uczonych, naturalistów, niemieckich hernhutów lub francuzkich episyerów; w danych okolicznościach, mogą się na ozdoby salonów lub filozoficznych stoików wykształcić, to już od gatunku zdolności umysłowych zależy, o ile dowcip, lub o ile logiczność przemaga, mogą z nich być panie Sévigné i Archimedesy.

— Nie tak zła dola, mój ojcze, przerwał p. Konrad, właśnie przykłady twoje dowodzą, że pod wpływem rodzinnych obowiązków i uczuć, a nadewszystko pod wpływem nauki, człowiek łagodnieje. Słusznie nawet wskazałeś badanie natury, jako więcéj od innych skuteczny pod tym względem środek. Ciągłe przestawanie z ogromem, z nieskończonością, z pewnemi i nieuchylonemi prawami wszechświata, uspakajająco działa na charakter człowieka. Bez zuchwalstwa przypuścić wolno, że im więcéj przyrodoznawstwo się upowszechni, im ogólniéj w wychowaniu, w przywyknieniu, w upodobaniu się zaszczepi; tém bardziéj rasa łagodniéć będzie; a im bardziéj rasa złagodnieje, tém częściéj wyda z siebie Archimedesów głuchych na trzaski i wrzaski szturmem wziętego miasta, a broniących go jednak geniuszem swoim; niech więcéj takich zresztą jak nasi znajomi L... F... B... W... będzie, i na tém ludzkość źle nie wyjdzie.

— Lecz niech zacznie się tworzyć nowa rasa Lapończyków albo Eskimosów? Podróżnicy świadczą, że to nader łagodne są ludy.

Nie, mój drogi, już ja się wolę na ostrożności z łagodnością trzymać Prawda, że łagodny mi nie dokuczy, ale i nie obroni, gdy ktoś trzeci dokuczyć zechce, widok cierpienia go nie zaboli, krzywda cudza nie oburzy; spokojnie, dajmy na to, zniesie własne nieszczęście i spokojnie także na nieszczęście bliźniego popatrzy. Staw go wobec popełnionych nadużyć, równie spokojnym będzie. Brak mu najpotrzebniejszéj dziś władzy, w chwilach przejściowego rozluźnienia, wśród zamętu półprawd i kłamst caluteńkich, wśród jawno-grzeszników zuchwałych i niepewnych swéj drogi symplicyuszów; brak mu dobroczynnego wstrętu do podłości; obrzydzenia na złe, choć kary słowa, na występek i zbrodnię. Nie życzę ci, mój jedynaku, ani łagodnych obywateli w sąsiedztwie, ani łagodnych stronników w opiniach, ani łagodnych przyjaciół w trudnych położeniach; nie życzę byś spotkał kiedy w życiu bardzo piękną i ładną kobiétę, któréj każde słowo będzie tak słodkie, jak gdyby cię kochała, i nie życzę ci, jak będziesz potrzebował na chléb lub dobre imię pracować; jak będziesz potrzebował domem i własném sumieniem zarządzić; nie życzę ci, byś miał wtedy łagodną żonę, i dzieciom twoim Konradzie, szczególniéj dzieciom twoim i każdemu dziecku, co się do spełnienia ciężkich obowiązków rodzi, co złego z dobrém rozróżnić jeszcze nie umie, łagodnéj matki nie życzę.

— A to się zapędziłeś, szanowny kuzynie, wpadł w monolog pan Marcin, cóż to? nie znaszże mojéj żony? Przecież to żona i matka wzorowo łagodna. To mówiąc, rycersko pocałował ją w rękę, na dopełnienie danego jéj świadectwa.

— Mylisz się trochę odpowiedziała z czarującym uśmiechem, łagodną nie byłam dla ciebie, tylko zgodną, a dla dzieci starałam się właśnie, bardzo surową być i wymagającą; lecz niech nam teraz kuzyn o litości swoje zdanie objawi, ciekawam, czy tak blizką pociągnie granicę jak w tém, które łagodność, ma się rozumiéć wyłączną, zbyteczną łagodność potępiła: nie mogę jeszcze uznać wszystkiego, a raczéj czuję potrzebę wielu dodatków, zawszeć to przecież o miedzę tylko z sobą stojemy.

— Wszak państwo nie zaprzeczą mi wcale, że jak są ludzie wyłącznie łagodni, tak są i bez łagodności wyłącznie litościwi; owszem zdarza się najczęściéj, że mają wprost przeciwne usposobienie. Są gwałtowni, popędliwi, szorstcy, ale nie mniéj przeto ich nerwy tak są już nastrojone, że „widok“ cudzéj boleści, jest im nieznośny. Współbolenie jest koniecznością ich organizmu: jedni mdleją, gdy krew płynącą zobaczą, bledną patrząc na ranę, lub na jakie kalectwo, inni smucą się każdéj nędzy obrazem i każda przykrość bliźniego, im przykrą bywa. Otóż usposobienie podobne, bynajmniéj egoizmu nie

usuwa, trafiają się wielcy egoiści z nadzwyczaj litościwém sercem. Pamiętasz, Konradzie, naszego pana Remigiusza, co piérwszy na ratunek w czasie pożaru stodół moich przyjechał i paszy dla inwentarza zaraz nazajutrz przysłał, a tak niegodnie z wszystkimi dzierżawcami swoimi rachunki prowadzi.

— Kaunitz, minister Maryi Teresy, nie pozwalał, by mu o chorobie lub o śmierci bliższych jego przyjaciół donosić, odezwałam się nakoniec, żeby choć cytącyą wywdzięczyć się panu Nepomucenowi, zawsze utrzymywał, że mu to zbyt wielkie sprawiało zmartwienie. Kronikarskie pamiętniki ówczesne z niedowierzającą humorystyką podają ten szczegół. Ja myślę jednak, że sprawami całéj Europy zajęty dyplomata, a przebiegły, i rozumny do tego, nie zadawałby sobie pracy na odegranie tak lichéj, nie dowcipnéj, a co więcéj znaczy, nieużytecznéj komedyi; to musiało być w niéj prawdą, że Kaunitz miał rozdrażnione nerwy. Pełno jest wśród nas podobnych Kaunitzów, którzy dla oszczędzenia sobie litośnéj współboleści, przed troską brata się kryją, przed chorobą przyjaciela, od konającéj żony, od umierającego dziecka, daleko z domu, koleją żelazną uciec gotowi.

— Nie dość na tém, pełno jest zbrodni nawet przez litość popełnianych, rozejrzyj się tylko w kronikach sądowych i w podaniach sądowych i w podaniach historycznych, Konradzie. Ilu to ojców dzieci swoje zabija, żeby ich jęczącego kwilenia nie słyszeć; a ile to żołnierzy litościwych poroztłukało głowy sierotom, między trupami wyrżniętego miasta znalezionych. Przyznaję zresztą, że są to wyjątkowe osobliwości, nie mniéj często wszakże spotykamy objawy równogatunkowego usposobienia, tylko w spokojniejszéj formie. Zdarzają się także położenia osobiste i takie przejścia społeczne, że najostrożniejszy egoista, niema gdzie przed ciągle drażniącemi litość jego pobudkami się schować. Łagodniejszych wówczas opanowywa „zniechęcenie,“ gwałtowniejsi przerzucają się w „mizantropią.“ Kiedy kto raz i drugi, stanie oko w oko z taką boleścią, na którą niema ulgi, to cóż? Ręce mu opadają, a kiedy przekona się, że boleści dłużéj i daléj niż wszystkich przeszłych i Bóg wie ilu przyszłych rodu ludzkiego pokoleń, że to bezdenność, bezmierność, bezlik na wsze strony, to cóż znowu? Nic poradzi, więc przynajmniéj w nieczynność lub nienawiść otuli się dla ulgi jakiejkolwiek, a jeśli brudne, nikczemne wszelkiego nieszczęścia przyrostki zrażą jeszcze w nim odrębną szlachetności władzę (szlachetność, jak państwo czują zapewne, jest bardzo wymagającą artystką i ma arcy-estetyczne nałogi swoje), jeżli ją zrażą, to i lenistwo usprawiedliwione w sumieniu i wstręt do cierpień, pierwotnie na łączność z bliźnimi idący, osta-

tecznie przeciw cierpieniom i bliźnim się zwraca. Mnóstwo słupów skamieniałych, pustelników osamotnionych wśród świata, mnóstwo biczów sarkastycznych, krzaków cierniowych, nieprzystępnych, z oderwanego uczucia litości zakiełkowało. Podobno któryś uczony niemiecki dowodzi, że Tyberyusz z wielkiéj litości na okrucieństwo się rozchorował. Gotówbym temu uwierzyć, bo istotnie, można oszaléć z rozpaczonéj nad sobą i nad drugimi litości!...

— Ale téż ojciec na same tylko patologiczne wypadki uwagę swoję zwraca, zaprotestował pan Konrad. Według praw normalnego rozwoju, litość jest wszelkich cnót społecznych, humanitarnych zawiązkiem; staje się miłosierdziem, gdy na widzianych biedach i nędzach, uczy się niewidziane, lecz wiadome sobie tylko współczuciem ogarniać; staje się poświęceniem nakoniec, gdy się utrwali w duszy i nad innemi jéj popędami zagóruje. Wszelka miłość zresztą, w składowych swoich częściach, trochę litości obejmować musi. Ludzie nie chcą zwykle bywać przedmiotem litości, nie dla tego jedynie, że wzbudzać jéj kosztem swego cierpienia nie radzi, ale dla tego najbardziéj, że ich litość upokarza. No! mają słuszność do pewnego stopnia; litość czysto nerwowa, ograniczona przelotném wrażeniem, wykrzyknikiem, choćby wsparciem rzuconém przypadkowo, litość bezprzyjazna, bezkoleżeńska, bezłączna na dalsze życie, jest bardzo przykra, działa bardzo jątrząco na zbolałe serce. Lecz nie mają słuszności, jeśli im się zdaje, że z jakiegobądź stosunku potrafią ten piérwiastek zupełnie usunąć. Taki jest stan ludzkości całéj, takie jéj krzyże, ciężkie i łzawe koleje, że byle człowiek tomahawk opuścił i do człowieka z gałązką pokoju się zbliżył, już jeden nad drugim litować się musi. Litość na dnie każdego ukochania leży, nawet ten, co uwielbia, wtenczas dopiéro kochać prawdziwie zaczyna, gdy tajemnicę smutków wielkości odgadnie, gdy nad mękami geniusza świętego, bohatéra czy królowéj, użalić mu się wolno. Łagodność jest może pożądańszym w społecznościach, litość piękniejszym w indywiduach przymiotem. Są niektóre zwierzęta łagodne. Człowiek piérwszy w rzędzie tworów ziemskich, litośnym być zaczyna.

— Ale w co ta litość obrócić się może? Ile złego narobić, podchwycił znowu pan Nepomucen. Zarzut mi tu stawiłeś, że patologią tylko litości przedstawiam. Nic dziwnego, bo ją dokoła w chorobliwych jedynie widzę objawach. Martwa obojętność, chciwe skąpstwo, nigdy tyle złego nie zrobiły, ile naprzykład owa litość bezmyślna, do ulicznéj jałmużny w każdéj chwili gotowa, albo rozrzewnienia takich młodych czy starych Marynek, które dziś złotem sypną i we własne szaty przyodzieją, a jutro nie dowiedzą się nawet, czy z przepicia, czy z przejedzenia po długim głodzie, ich klienci nie po-

marli. Aj! ta litość fantazyjna, ta loterya dla włóczęgów na grosze i złotówki, to istna plaga zacofanych w cywilizacyi krajów! Próżniactwo i żebractwo, niedbałość i ospałość, uzuchwalone oszustwo, natręctwo, wszystkie śmiecie towarzyskiego nieładu, wszystkie zjadliwe odciski ran społecznych, ślepcy z wyłupionemi umyślnie oczami, połamane ręce i nogi odpustowo-częstochowskich kalek, dzieci wynajmowane żebraczkom na mrozy i skwary: wszystkie te publicznéj nędzy nadużycia, są jedynie głupiéj naszéj litości owocem.

— Niech co chce będzie, to głupią litość naszą troskliwie pielęgnować i cenić należy rzekł pan Konrad bardzo poważnie, rzadszą jest ona, niż się zdawać może. Gdy piérwszy raz czytałem Pamiętniki Napoleona ze św. Heleny, uderzyło mnie bardzo miłém wrażeniem, to spotrzeżenie jego, że jest więcéj dobrych, niż złych ludzi w ogóle, bo gdyby więcéj złych było, wszelka próba rządzenia nimi, okazałaby się niemożliwą. Ja zaś myślę, że gdyby dobrzy w przeważnéj liczbie się znaleźli, toby Napoleon jeszcze mniéj mógł swoje rządy rozpostrzeć nad nimi. Z czytanéj i widzianéj, choćby w tych dwudziestu kilku latach mego życia historyi, przekonałem się statystycznie, że jest daleko więcéj złych niż dobrych, więcéj mających złe, niż dobre serca, na całéj kuli ziemskiéj. Człowiek jest królem przyrodzenia i sam tylko z podniesioną do góry głową, w niebo patrzyć może, mnóstwo jednak poddańczych zachował przywyknień, mnóstwo nie arystokratycznych, nieodpowiednich rodowi swemu podobieństw. Jak najświeższy parweniusz ma krewnych po sklepikach, lub nad cepami stojących, tak i on ma ciotecznych braciszków, stryjeczne siostrzyczki, to w dżunglach nad Gangesem, to w puszczach brazylijskich, to w lasach z najbliższego sąsiedztwa; nie mówiąc już o Papuasach polinezyjskich, co Lapeyrousa zjedli, ani o Eskimosach, co z głodu jedynie Franklinem się pożywili, ani o Buszmanach afrykańskich, co się od ludzkiego mięsa wstrzymać nie mogą. Pokaże się, że i nad brzegami wszystkich rzek, co do wszystkich mórz przez Ocean Atlantyncki utworzonych wpadają, znajdzie się przeważna liczba usposobień dzikich, nienawistnych, bez litośnych; takich, co się nie brzydzą mordem, lubią widok boleści, rozkoszują sie łowiecką rozkoszą, gdy im się zdarzy prześladawoć, ścigać, brać na cel i trafiać wymierzonym ciosem. Od salonów wytwornych, do szynków najbrudniejszych, wszędzie jeszcze, w różnéj odzieży, w aksamitach, w siermięgach, w korcikach, roją się kuzynkowie tygrysów, wilków, panter i hyen. A czy herbarze naszéj człowieczéj szlachetczyzny, wielu mogą zapisać na kartach swych magnatów, coby już żadnéj pozostałości nie czuli z podkładowéj, drapieżnéj natury plebejuszów, coby przy zdarzonéj sposobności, na chwilę tę lub owę nie

mogli być choć kilka razy w ciągu życia tygrysem, wilkiem, hyeną, panterą? a lisem podstępnym? a małpą szyderczo przedrzeźniającą? a niedźwiedziem głupowato-zbrodniczym? a myszą niszczycielką? Ilu z nas da sobie zupełnego wyzwolenia świadectwo? Czy was to nie przeraża, moi państwo, że każdy tłum bezimienny, tak łatwo do wściekłości roznamiętnić się daje? Każde zbiorowo bezimiennie występujące zgromadzenie, tak łatwo, tak prędko, z surowości koniecznéj, w nieużyteczne okrucieństwo się osuwa, czy ono będzie sekcyą tytułowane, czy pułkiem, parlamentem, czy komitetem bezpieczeństwa publicznego?... Otóż mnie to wszystko bardzo przeraża, i dlatego wszelkie dobrego serca zadrgnięcie, wszelki przebłysk złagodnienia i litości, umiem szanować, żadnego ironią nie odtrącę, nie pognębię, nie złamię. Niemam ja sobie do wyrzucenia, żebym kiedy zażartował z młodego przyjaciela, który przy opatrywaniu, widoku rany znieść nie mógł, albo żebym przyganiał dzieciom, które się od zarzynanych kurcząt odwracały. Z każdym rokiem, z każdym ważniejszym wypadkiem, przekonywam się, jakie to stokroć błogosławione w porównaniu z przeciwném, usposobienie. Przez naukę i przez doświadczenia własne doszedłem ja do téj prawdy, że dobroć serca, jest miarową cechą rasowéj cywilizacyi, stoję przy tém, jak mur.

— My téż pana wcale z tego stanowiska odmurowywać nie chcemy! wszak prawda panie Nepomucenie? rzekłam wzruszona trochę argumentami pana Konrada.

— Nie, lecz on także powinienby przyznać, że dobroć serca w towarzyskich stosunkach między ludźmi, ciągłém grozi niebezpieczeństwem. Dobre serce, często bardzo samo na siebie ściąga nieszczęście. Co za masy rozrzewnień wziętych za tkliwe uczucia, co za legiony oszukanych na wdzięczności, zawiedzionych w jéj oczekiwaniu lub odepchniętych w jéj wypłacie! Lecz w tych wszystkich sentymentalnych nieszczęściach, które jak mówiłem, dobre serce na siebie ściąga, jeszcze są gorsze te, które na drugich sprowadza. Wolę, żeby mię tunezyjski korsarz biczem zacinał, niż żeby niespodzianie na twarz mi spadła ręka, co ją przed godziną może, chętnie z braterskiém uczuciem wyciągniętą do siebie widziałem. Niech mnie zjedzą antropofagi, ale niech mnie kochać nie przestaje, niech obojętnym się nie okazuje ten, który mnie uśmiechem miodowym i dźwiękiem miłego słówka przynęcił, ten, którego ja kochać zacząłem. Niezbyt dawno temu nadmorscy różnych krajów europejskich mieszkańcy, gdy noc była ciemna i burzliwa, wypuszczali na brzegi krowę z zapalonémi u rogów latarniami; krowa obłędnie biegała, a przypływające statki, biorąc światło latarni za sygnał bezpieczeń-

stwa, sterowały ku lądowi i rozbijały się między skałami. Jak latarnia do rogów krowy przywiązana; tak dobre serce w piersiach człowieka bez charakteru osadzone. Łatwiéj się ustrzedz od obłudy, niż od szczerości dobrego serca, któremu wytrwania w dobrém i zrozumienia dobrego brakuje. Roją się u nas dobrego serca młodzieńcy, przypatrzyliście się ich dziełom. A kobiéty z dobrém sercem?... Lepiéj się rozbić o najdzikszą zawziętość, niż się rozbić o dobre serce kobiéty.

I pan Nepomucen, zaczerwienił się przy swoich siwych włosach, jak młoda dziewczyna. Czuł, że patrzy na panią Maryą, więc gwałtem prawie spuścił oczy ku ziemi.

Może nie dłużéj, jak minutę ogólne trwało milczenie, ale znać było, że wszyscy mniéj więcéj, zakłopotania jakiegoś doznali czy wspomnień? czy domysłów? czy przeczuć? Nakoniec, piérwsza się z tego otrząsnęłam.

— Jeszcze nie „Dixi.“ Nic pan nie wspomniałeś o tym trzecim piérwiastku, najczynniejszym w dobroci, który jest datnością, hojnością, pięknym czynem, zwany rozmaicie, a właściwie instynktem pomocniczym zwaćby się tylko powinien. Mówiłam, nie wiele dbając o to, co pan Nepomucen mógł mi odpowiedziéć, jedynie dla tego, żeby wypędzić „anioła“ zbyt ociężałem skrzydłem przelatującego, i pan Nepomucen był w zupełnie takiém samém usposobieniu, bo od niechcenia ledwie, zdobył się na te słowa.

— Ha, tak, są ludzie z ogromnie rozwiniętym instynktem pomocniczym. Muchy, które wraz z końmi, każdy wóz z piasku wyciągają. Albiny, które każdy upuszczony kłębek podnoszą. Są nadzwyczaj datni wszyscy utracyusze, a zdumiewająco hojni szulerzy i złodzieje. Francuzi mówią „généreux comme un voleur.“

— Jednak gdy instynktem tym udarowani, staną przy wielkiéj sprawie ludzkości... odezwałam się znowu.

— Przy wielkiéj sprawie ludzkości! przedrzeźniająco powtórzył pan Nepomucen. Jak są mizantropi szalejący z litości, tak są filantropi okrutni, z swoją pomocą na litości opartą. Dzieje i biografie pełno ukazują owych pomocników przy wielkiéj sprawie ludzkości, w odpowiedni temperament nie zaopatrzonych. Fanatycy św. Inkwizycyi, niektórzy członkowie konwencyi, wszyscy prawie gimnazyalni zapaleńcy, niedouczeni lub przeuczeni reformatorzy, mnóstwo ministrów, wodzów, eksperymentatorów wielu, wielu koło nas i poza nami w Europie i w Ameryce, tą chęcią uszczęśliwienia, instynktem datności, spiesznością gwałtowną wspomagania, upojeni fanatycy.

— A z tego wszystkiego co za wniosek, panie kuzynie? zapytała pani Marya, niby trochę upominającym głosem. Łagodność niewy-

starczająca, litość niebezpieczna, chętność do pomocy szkodliwa, na czémże tedy oprzéć wszystkie z ludźmi stosunki?

— Na miłości, odparł z głębokiem przekonaniem pan Nepomucen. Kto nie kocha, niéma prawa ani jedném dobrém słówkiem się przymilić, ani jedną łzą się ulitować, ani jednėm podaniem ręki wesprzeć; kto nie kocha, nie ma prawa być dobrym.

— Bo też kto nie kocha, dobrym nie jest, odparła pani Marya. Kto nie kocha Boga i bliźniego, choćby miał najłagodniejszy temperament, najwrażliwszą litość i najwytrwalszą do pomocy skwapliwość, jak to kuzyn bardzo słusznie w kilku przykładach okazał, dobrym jeszcze nie będzie, jeźli z pod tego wszystko obejmującego przykazania się uchyli. „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego twego jak siebie samego.“ W potocznéj mowie, jedynie dla prędszego zrozumienia się, oddzieliliśmy od siebie te dwa wyrazy: dobroć i kochanie żeby oznaczyć ciaśniéj lub szerzéj zakreślone kółko naszego życia. W gruncie między dobrocią a kochaniem, różnicy nie ma. Dobroć jest niby drugiém chrzestném imieniem świętéj chrześciańskiéj miłości. Dobroć jest miłością naszą dla ludzi, z któremi żadne osobiste, ziemskie związki nas nie łączą.

— Miłością dla niekochanych, smutnie uśmiechnął się pan Nepomucen, a ja się lekko skrzywiłam.

— Moja Maryniu, rzekłam nareszcie, piękna to rzecz miłość, przyjęłabym ją nawet w kształcie miłości od wszystkich i zapragnęła jéj dla wszystkich; lecz to bieda największa, że na miłość dziś niema dość ujętnego probierza, by ją z pomiędzy tysiąca nerwowych wrażeń lub fantazyjnych uniesień wyróżnić. Każdy ci powie, że kocha: Torquemada Panu Bogu, Lamartine Elwirze. Czy cię spali na stosie, czy wiersz natchniony zaimprowizuje do ciebie, powie, że kocha, i zkądże my biedni napewno się dowiémy, o ile nam prawdę mówi, lub sobie samemu kłamie? Strasznie téż jakoś w tym czasie miłość spowszedniała. Nie w sercach, oh! nie w sercach, ale w retoryce. Każdy się miłością zastawia, tłómaczy, usprawiedliwia, każdy się z nią w okresach i zdaniach jak słowem posiłkowém posługuje, tak, że ja co nigdy nie miałam talentu, by dość filozoficznie subjektywność z objektywnością, treść z formą dzielić, w ciągłych a ciągłych zadziwieniach żyję; sama nie wiem, czego się trzymać, jak sobie różne praktyki i zastosowania owéj miłości wytłómaczyć. Kocha, rozrzewnia się, łzami oczy mu zachodzą a niszczy dobrobyt swéj rodziny, oszukuje sąsiadów na dostawie pszenicy, ciągnie kubany od interesantów, zastawia sidła na tych, co mu przeszkodą w drodze pod górę stają. Wita się tak serdecznie, przemawia tak zachwycająco, że wstyd nie wierzyć, lecz znowu strach wierzyć. Gdyby to nako-

niec samą, prostą obłudą było tylko, łatwe wyjście z kłopotu. Raz i drugi na gorącém się sparzyć, a potém na zimno dmuchać. Z tém najgorzéj niestety, że połowa przynajmniéj, jest szczerością i prawdą, prawdziwością chwili obecnéj; można przysiądz, że grunt na którym budują, skałą, bo jest rzeczywiście skałą na bieżącą godzinę, może dopiéro jutro się rozkruszyć. Żaden rachunek, plan żaden niepodobny z tymi waszymi ludźmi, co ich bez zastanowienia dobrymi zowiecie, z takiemi sercami fosforycznémi, co przy byle potarciu świecą, a nie rozgrzewają się trwale. Słyszę o człowieku, że heroizmem karmi się, jak chlebem powszednim, w szkołach bierze na siebie odpowiedzialność za psoty kolegów, w męzkiem życiu ratuje zapowietrzonych, rzuca się w ogień pożaru, lub na szyję przyjacielowi z takiém uniesieniem, co mu ledwo piersi nie rozsadzi: więc go najufniéj w świecie między znakomitości zapisuję, powierzyłabym mu szczęście, jeśli nie Europy, to przynajmniéj powiatu, skarby, jeśli nie Golkondy, to przynajmniéj Rotszylda, zarekomendowałabym go każdemu z najspokojniejszym sumieniem. Aż tu nagle dowiaduję się, że mój bohater, albo pijak, albo utracyusz, albo skąpiec, albo próżniak, albo mściwy, obraźliwy, niesłowny, krótko mówiąc... lód pod nogami na wiosnę.

Przebacz mi zatém moja droga Maryniu, że ci tutaj w obec świadków zgromadzonych, na stemplowym papiérze gotowa jestem wystawić pokwitowanie ze wszelkiéj dobroci i miłości. Nadewszystko z miłości. Bardzo szanuję lordów angielskich, co bez miłości zaprowadzają wolny handel zbożowy, Amerykanów, co bez miłości znoszą niewolnictwo, Langenbeka, co bez miłości antraxy wycina a nosy przyprawia, Humbolta, co się bez miłości do Ameryki wybrał... Pana Konrada, jeśli według tego, co mi ludzie powiadali, nie z samą miłością przecież z zagranicy do nas wrócił. Bardzo szanuję obsługujących szpitale, siostry miłosierdzia, lekarzy, administratorów dobroczynności publicznéj, założycieli szkół i szkółek, stowarzyszeń wzajemnéj pomocy i kas oszczędności. Bardzo ich szanuję; choć większa ich połowa, nie przez miłość działa zaiste, ani téż osobliwą dobrocią nie pociąga. W ogóle czynne, ruchliwe, energiczne natury, nie wyczerpują się tkliwościami i czułością. Pośpiech ciągły, ciągła oszczędność kosztowniejszego dla nich od dyamentów czasu, daje charakterowi pewną szorstką i niecierpliwą surowość, oswojenie się z porządkiem, czyli nieporządkiem rzeczy ludzkich, przytępia drugostronnie współbolenia władze: jednakże droga życia dla wielu, wielu takich niedobrych, nielitośnych, prostą linią zasług się rysuje i w użyteczność trafia. Czy oni kochają? Czy nie kochają? Kto ma sądzić? Bóg. Miłości i Bogu nie godzi się ciągnąć pod motywa jakie-

gebądź ziemskiego wyroku. Tajemnica, nie argument. Jeśli kochają, tém przyjemniéj dla nich, tém łatwiéj z niémi dla drugich; jeśli nie kochają, smutniéj i trudniéj: byle zawsze użytecznie, sprawa przed ludźmi wygrana. A kiedy o subtelnościach natury ludzkiéj mowa, kiedy oznaczyć trzeba wiernie jakąś niekonsekwencyą wartość moralnéj skłonności, lub moralnego stanu człowieka; wtenczas musimy koniecznie takiéj miary szukać, coby stalszą była, ujętniejszą, jak to już rzekłam, od „systematu" dokładniéj, widzialniéj narysowaną, od samego ideału. Dla mnie jedyną skalą, według któréj wszystkie dobre serca, i wszystkie, tak zwane, dobre uczynki mierzę, jest skala prawa i obowiązku.

— Niby to prawo i obowiązek, nie abstrakcyjne także wyrażenia? rzucił mi pan Nepomucen.

— Dawny prawnik lepiéj to odemnie wiedziéć powinien, w każdym razie, mogę łatwo z zarzutu abstrakcyi się oczyścić. Prawo jest dla mnie najzwyczajniejszém, jakie może być *prawem*; od tablicy, które w ogrodzie zrywać kwiatów i deptać po trawnikach zakazuje, do dziesięciorga przykazań i do kodexu, którym społeczeństwo jednostkę z ogółem wiąże. (Przypuszczam, że kodex będzie miał kiedyś jaśniejsze, ulepszone w wielu rozdziałach artykuły, niemniéj jednak na jaki się trafiło z losu urodzenia, takiego słuchać trzeba piérwej, nim się go poprawiać zacznie). A obowiązek, jest tém, czego jednostka względem całego społeczeństwa, lub jego członków, dobrowolnie się podejmuje. Czy się podejmie być mężem, czy urzędnikiem, zrobić parę pantofli, czy książkę napisać, powinien to zrobić dobrze...

Pan Marcin tak się złośliwie uśmiechnął, że cała wstydem spłonęłam, a przynajmniéj, najlepiéj jak tylko umie i może, dodałam trochę cichszym głosem, wtenczas dopiéro będzie można zaświadczyć, że jest dobrą.

— Lecz do Marynki wróćmy nakoniec, poczciwa Marylka zawołała dość prędko, by mi dłuższego kłopotu oszczędzić. Dla czego pani nam odrazu nie powiedziała, czy Marynka jest dobrą? czy nie dobrą?

— Bo Marynka nigdy jeszcze nie miała sposobności ani do prawa, ani do obowiązku życia swego stosować. Nie zaczepiła się żadném zdarzeniem o kodex, żadną ciągłą pracą o własne przyrzeczenie. Marynka więc nie jest jeszcze dobrą, nie wiem czy nią będzie, wiem tylko dzisiaj, że dobrą być może.

— I tylko dla tego, że pani to wié, mogła ją pani bez żywienia ogólnikowéj miłości bliźniego, prawdziwą osobistą przyjaźnią pokochać, zauważył p. Konrad z pewnym uporem, który mnie w nim bynajmniéj nie raził.

— Ale czy jest pobożną? wniósł powtórnie swoje zapytanie p. Stanisław.

VIII.

Drugi wieczór u pani Maryi (urywek 1.).

— A pani sama czy kochałaś się kiedy? zapytał mię najniespodziewaniéj pan Nepomucen. Słysząc zwrot ten osobisty pani Marya się zarumieniła. Ja nie wiem, czy się zarumieniłam, czy zbladłam, ale tego pewną jestem, że się twarzą w twarz obróciłam do pana Nepomucena i z uśmiechem zadeklamowałam wiersz jego uwielbionego poety:

— A naco ta ciekawość? znów tylko pacierze!— Pan Nepomucen, jak ksiądz Gustawa nie odmówił zaraz pacierzy, tylko na dalsze ciągnął objaśnienia.

— Przecież sami między sobą jesteśmy. Nie prędko, może nigdy nie zdarzy nam się zebrać, jak dzisiaj, lata całe upłynęły, a myśmy się nie zeszli tak we troje przy okrągłym stoliku, z tą dużą lampą, co na środku stoi. Zupełnie mi się dawne czasy przypomniały, tylko weźcie panie robótki w ręce, a ja wezmę książkę jaką, by wam głośno czytać.

— I wyprowadźcie za drzwi Amelkę, Marylkę i p. Konrada.

— Niech Bóg broni! Niech Bóg broni, zaprotestował p. Nepomucen, to nasze dzieci, to nasze zstępne pokolenie. O co dla siebie dopominałem się w imię dawnych wspomnień, o to dla nich dopominam się w imię przyszłego kierunku. My sobie możemy otwarcie i szczerze mówić, bo kawał naszego życia razem pamiętamy, jako się pani wyraziłaś. Oni mogą wszystkiego słuchać, bo im się żywy przykład objaśniający zasadę należy. Mówisz pani wybór, miłość, ideały; trzeba teraz powiedzieć: prawda, życie, rzeczywistość.

— Panie Nepomucenie, przerwałam wesoło, Napoleonowi nie chciała wierzyć Europa, że cukier można robić z buraków, a Napoleon nie chciał wierzyć Fultonowi, że para żagle okrętów zastąpi; ponieważ coś jest osobliwe, trudne, nie bywałe, czyż ztąd wnioskować....

Lecz pan Nepomucen przerwał nawzajem. Ja też nie wnioskuję, niech mię pani w żadne wnioski nie plącze; po prostu zapytałem i powtarzam znowu zapytanie, czy pani kochała się kiedy?

Bardzo uważnie patrzyłam w oczy panu Nepomucenowi, lękałam się, że migną chociaż przebłyski ironii, sarkazmu albo zniecierpliwienia dysputowego, pychy argumentowéj. Nie, w jego oczach była najspokojniejsza dobréj wiary promienność. Wtedy Marynko

dziwna mi przyszła do głowy fantazya, biedny głuchy Beethowen chciał, aby raz przed śmiercią słuch odzyskać i wiedzieć jak też to brzmienia najpiękniejszéj jego sonaty się wydają.

— Ha! tak jest rzekłam z pewną awanturniczą odwagą, i ja byłam w Arkadyi panie Nepomucenie i ja się bardzo, bardzo kochałam, ale tutaj zabrakło mi dalszego wyrazu i nastąpiła wcale nie potrzebna fermata.

— Kochała się pani, w kim? — popędził nielitośnie pan Nepomucen.

— Kochałam się w głosie, który mówił raz do mnie: „kochaj ją.“ Może to była chwila wybrana, ta jedyna w życiu, co o losie, o przyszłości stanowi, chwila koronacyjna, kiedy wstępujemy na tron wszystkich królestw naszych i obejmujemy władzę nad przeznaczeniem, chwila, kiedy jesteśmy według tego, jak natury naszéj starczy, najpiękniejsi, najszczęśliwsi, najrozumniejsi i najlepsi, ach! bo ja niezawodnie najlepszą wtedy byłam, i najzdolniejszą, i kiedy chciałam czego w sobie, to się stawało, a może téż to głos jedynie był taki wszechmocny i ożywczy. Nigdy przedtém, nigdy potém nie słyszałam mu równego, kiedy piérwszy raz o moje ucho się odbił zdumiałam, że tyle muzyki i tyle nieskończoności piękna, tyle potęgi cudu, że objawienia tyle może być w jednem odezwaniu się głosu ludzkiego od rozkazu do poszeptu, od wyroku do prośby, cała skala najbogatszych modulacyj, i najdźwięczniejszych, najpełniejszych tonów.

IX.

Kasia przesyłając książki Marynce opisuje mniej więcéj parę wieczorów spędzonych u pani Maryni; różne zdania tych państwa co do pójścia za mąż z miłości. Kiedy wszystko gotowe (do przeslania) pan Nepomucen przychodzi pochwalić jéj się, że syn jego nie jest przecież takim zimnym, wyrachowanym samolubem, za jakiego w jéj oczach uchodzi. Właśnie teraz dowiedziawszy się o chorobie młodego kolegi ze szkół, mechanika, biednego chłopca, który pracą swoję matkę utrzymuje, podjął się wyjechać za niego na wieś dla skończenia jakiejś roboty (podobno tartaka). To wspomnienie ją zaciekawia, pyta się i dowiaduje, że istotnie jedzie na wieś do pana... wuja Marynki.

Pan Konrad wyjechał rzeczywiście, a tą robotą był tartak wuja Marynki. Przyjęcie czysto obywatelskie, mechanik jeden taki jak drugi, więc miejsce na szarym końcu, pokoik daleko w dworskich zabudowaniach. Konrada bawi ta pomyłka towarzyska, bawi to

incognito niby książęce. Marynka pierwsza zwraca uwagę na gładkość obejścia, pewność ruchów i układność całéj powierzchowności. Nazwisko z początku nie zwraca jéj uwagi, lecz w parę dni potém przynoszą listy z poczty, jeden z nich na podpisie ma imię Konrada. To jéj podejrzenie rozbudza, wie, co pan Konrad mógł o niéj od Kasi usłyszéć, zastanawia się, jaki powód nim kierował w tym postępku. Najpiérw wnioskuje, że to spekulacya owéj „konsekwentności," o któréj Kasia jéj pisała, lecz dni mijają. jeden, drugi, trzeci, a pan Konrad, jak gdyby jéj nie było na świecie. Po tygodniu może, sama pani Zenobia uznaje bardzo salonowe ułożenie nowego mechanika, pan wuj odkrywa, że doskonale mówi po niemiecku,—pani Zenobia wręcz go pyta, czy się i francuzkiego musiał uczyć w swoim zawodzie, Konrad wesoło przyznaje, że nie tylko francuzkiego,—a okoliczności go zmusiły nawet bliżéj z angielskim się zapoznać i to co się zowie gruntownie zapoznać, żeby Royal Academy zrozumiała, co napisze, przełożeni warsztatów zrozumieli, co im przedstawi, a robotnicy zrozumieli, co nakaże. Więc pan pracował w angielskich warsztatach?

Marynka wtedy przypomina sobie, co jéj Kasia niegdyś o panu Nepomucenie wspominała. A czy umie pan po włosku? rzuca *niby* w ciąg ogólnéj rozmowy. Konrad nie domyśla się intencyi, dość więc spokojnie odpowiada krótko, że mówi i tym językiem. Pani Zenobia się dziwi, czy i ten mu był potrzebny?

— Nie, ten już nabył dla własnéj przyjemności. Czy panu nigdy nie przyszła ochota samemu do Włoch się wybrać? Zdarzyło się, że raz być tam musiał. Czy w Rzymie? pyta Marynka. W Rzymie, krótko ucina Konrad. Widząc, że ta wzmianka już go lekko podrażniła, Marynka daléj ciągnie. Jaki pan szczęśliwy! widziéć Rzym i papieża! Konrad milczy. Czy to było po pana podróży do Londynu?

— Nie pani—przed podróżą.

— A to pan z całą świeżością pierwszych wrażeń mógł się przypatrywać pysznym arcydziełom! jakiéż to na panu wrażenie zrobiło? czy długo pan tam gościł? Muszę przyznać, że samego Rzymu bardzo mało, a papieża wcale nie widziałem. Jakto być może? czy czasu nie starczyło? Miałem inne zajęcia i dlatego żadnych o wrażeniu i zachwytach turystycznych szczegółów udzielić nie mogę.

Wyraźne zniecierpliwienie pana mechanika zachwiało trochę fundamenta pierwszych przypuszczeń. Konsekwentny spekulant korzystałby przecież z nadarzonéj sposobności i posunąłby się kro-

kiem naprzód w zażyłości codziennych stosunków; pan Konrad, jak gdyby o krok cofnął się właśnie. To coś dziwnego, trzeba sobie wyjaśnić, może paladyn w opisanym portrecie zakochany. Jednego dnia Liszta fantazya, na pieśni węgierskie ułożona, spada nawałnicą, gradem i piorunem na biédny prowincyonalny fortepian wujaszka, struna pęka, pedał się łamie. Ach! co tu rubić? Przed obiadem wuj sam wprowadza pana mechanika do salonu; pierwéj tylko w jadalnym pokoju się spotykali.

— Niechże pan z nami zaczeka trochę, bo obiad późniéj, niż zwykle; czekamy gości—może nam co zagrasz (gdyby powiedział *Marynko!* ale to już wyszło z rodzinnego zwyczaju, na pamiątkę zmarłego ojca między przyjaciołami tylko się utrzymało) może co zagrasz Marylko? To zawołanie Marylki pogłaskało mu ucho, jak gdyby wrócił na 1-sze piętro przy ulicy Miodowéj. Zagrać nie może, fortepian zepsuty. Mechanik ofiaruje się naprawić—wdzięczność, pierwsza rozmowa jak równy z równym; ale gość przyjeżdża—pan Filip. Znali się w Anglii, surpryza jak na teatrze. Państwo trochę zakłopotani uważają Konrada za większego jeszcze, niż był pana.

— A cóż to! wkradasz mi się pan Dobrodziéj do domu pod przybraną postacią?

— Ja panie łaskawy pod moją najwłaśniejszą z nazwiska i profesyi.

— Ale żeby nas téż nie objaśnić!

— Owszem, jak najsumienniéj objaśniłem pana, że w zastępstwie chorego kolegi przybywam.

— Ten kolega zbił mię z tropu.

— Jednak to prawda najistotniejsza, że jest moim kolegą ze szkoły, warsztatu i powołania, a nawet osobistéj przyjaźni—to złote serce i chwali kolegę. Pani Zenobia z wielkim taktem przecina dalsze wywody i objaśnienia, zwraca się do pana Filipa, dzieli jego radość z niespodzianki tak miléj, pan wuj znów utrzymuje, że coś wyższego upatrywał w swoim gościu, przez tydzień więcéj zrobił, niż tamten przez dwa miesiące, i nie dość na tém, udzielił rad wybornych, co do spadku wody, pogłębienia rowu itp.

— Nam się zdaje, że ty wszystko umiesz, nasz drogi Konradzie, odzywa się pan Filip, gdyby się co u wozu niebieskiego zepsuło przy gwieździe polarnéj, tobyś chyba zaraz naprawił. Marynka nigdy pana Filipa tak ożywionym nie widziała. Pan Filip opowiada, jak mu wydobywanie i oczyszczenie nafty w jego Galicyjskich dobrach urządził. Marynkę to wszystko jakoś dziwnie rozdrażnia. Po obiedzie pan Konrad chce odchodzić, ma jakieś dyspozycye do wydania przy

tartaku. Zatrzymują, wszakże obiecał fortepian naprawić. Nazajutrz znów się to powtarza. Pan wuj śmieje się, że bezpiecznie może trochę popróżnować, gdyż prędzéj robi, niż inni, a tego próżniactwa nie policzy mu w rachunku. Konrad wesoło odpowiada, że policzy każdą godzinę swoję, bo idzie na korzyść jeszcze więcéj potrzebującego, niż on sam a właśnie razem z Marynką kolo fortepianu coś majstrują—Marynka probuje akordów, on schylony pedalu dociąga.

— Czy i tę pan policzy, co przy naprawie fortepianu spędził?

— Policzy do bardzo przyjemnych godzin w życiu.

— A kiedy tak, to pan mi będzie dłużny; godziny przyjemne w życiu daleko droższe, niż połowa przy tartaku ukończonéj pracy.

— Ma pani słuszność nie zaprzeczam, a jednak z długu mego się nie uiszczę.

— To bardzo nie rzetelnie.

— Znów pani masz słuszność..... lecz cóż czynić, mnie nie stać na równéj wartości monetę.

— Wygodny sposób.

Ułożony związek Konrada z panną Amelią. Systematyczna konkurencya. Rady, Nauki, Wymagania doskonałości np. gorszy się historyą strzałki piorunowéj. Młodsza siostra brzydsza, rozumniejsza, entuzyazmuje się do wyższego umysłu przyszłego szwagra, a tymczasem korepetytor braci wcale nie idealny, tylko zakochany, zdobywa serce Amelii, różne ustępy o wrażeniach *siła porwania, siła porwanéj przeciw całéj przeszłości własnéj i otoczenia.*

Pan Konrad w stosunkach przez pana Filipa wprowadzony ulega trochę wdziękowi Marynki; wrażenie artystyczne bogactwa działa na jego artystyczne popędy, zasypia w nim wszelka pedagogika, do któréj przy Amelii nawyknął, nic się nie dziwi, że tak kosztownie wychowana panna nie zna dobrze historyi średniowiecznéj i o Semiramidzie północnéj, Małgorzacie, nie słyszała nigdy. Marynka wcale się też tego nie wstydzi, opowiada swoję edukacyą. Pan Filip przyjeżdża, pan Konrad czuje się w obowiązku odjechania. Chwila niepewności. Marynka sama w sobie rozważa, czy kocha Konrada, stawia niepodobne własnemu sercu żądania: miłość powinnaby ją natchnąć, unieść, przetworzyć, oświecić, wzmocnić. Miłość powinna być jéj życiem, jakże ona może nie wiedzieć o miłości swojéj, jakże nawet pytać się, czy istnieje, więc nie kocha,—a jednak nasuwa mi się przypuszczenie, że jéj kobiécéj naturze, zewnętrznéj tylko trzeba inicyatywy wezwania; boć przecież choć powabna, wabiącą być nie może i kończy się na tém, że Marynka idzie za Filipa, Amelia za ko-

repetytora — Konrad się żeni z inną majętną osobą, a siostra Amelii raz tylko w jednéj rozmowie rzuca mi te słowa, że miała naturę potrzebującą zawsze najlepszość jakąś ukochać, ale najlepszości jéj nie kochały.

Rozmyślam nad tém wszystkiem w dziesięć lat później i żadnych wniosków wyciągnąć nie mogę—żadnego prawa—trzeba się liczyć z faktami. Małżeństwo z rozsądku czém jest dzisiaj? Nie wzorowem, nie gorszącém też. A Marynka w nikim innym się nie zakochała. Pan Filip utrzymuje stan majątkowy w kwitnącym stanie tylko Marynka przyjechała do Warszawy starać się o nauczyciela dla swego chłopca i bardzo prosi o cierpliwego, bo jéj Staś jest łagodne, posłuszne, ale niepojętne dziecko. Panna Amelia ciężkie przechodzi zgryzoty, jéj mąż lubi śniadanka proszone i karteczki, czasem jéj kupi pyszną materyalną suknią, a czasem zrzędzi, że na obiad legumine zrobić kazała—dzieci kilkoro—matka surowo chciałaby trzymać, ojciec pieści. Chłopaki łamią wszystkie krzesła w pokojach, dziewczęta lustro potłukły—gdyby się to chciało uczyć! Antoś by miał zdolności—Józiaby już zagrać co mogła—ale tak im się nie chce. Wszyscy bardzo się kochają i ciągle kłócą.

Pan Konrad wcale nie ma dzieci, bo żona chorowita; nudziłby się, gdyby mu bardzo gorzko i smutno nie było.

Przygotowując do druku fragmenta powyższe, czułem jakiś niepowstrzymany popęd do wypowiedzenia kilku słów o nich, nie dlatego żebym porywał się na dopełnienie tego, co się w rękopiśmie brakiem tylko zaznaczyło, gdyż byłoby to z méj strony lekkomyślnością nieprzebaczoną; nie dlatego żebym starał się odgadnąć te sytuacye i kollizye, które doprowadziły do zaznaczonego jedynie przez Gabryellę rezultatu, bo wyobraźnia czytelników a zwłaszcza czytelniczek już ją bezwątpienia we właściwy każdemu sposób dotworzyła; nie dlatego wreszcie, żebym się zapuszczał w szerokie i głębokie wyjaśnienia tego, co autorka napisała, bo to jest tak jasne i tak dobitne, że pomoc komentarza mogłaby się chyba do zaciemnienia przyczynić. Marzenie moje było w daleko skromniejszym obrębie zawarte. Określić usposobienie Gabryelli do osób na scenę wyprowadzonych, charaktery tych osób uprzytomnić, słowem przypomnieć tylko w jakim nastroju ducha utwór powstał; oto, co mię pociągało. Gdybym posiadał listy Gabryelli od roku 1860 zapewne usiłowanie moje na

pewniejszéj opierałoby się podstawie; w braku ich poprzestać muszę na znajomości jéj pióra z tego czasu.

Przypomnijmy sobie, jak wielką goryczą przejęte było serce Gabryelli w czasach reakcyi po roku 1850, kiedy zarówno sprawy ogólne krajów całych, jak i sprawy najbliższe przyjaciół i znajomych, poszły drogą wprost przeciwną téj, jaką w chwilach bezpośrednio ten okres reakcyjny poprzedzających kroczyły. Z rozdzierającą boleścią pytała się ona, gdzie się podzieli ci ludzie, co niegdyś jedno z nią kółko składali, co z zapałem oddawali się badaniu prawdy bez względu na własną korzyść lub biédę, co mieli serca gorące i szlachetne, do wszystkich poświęceń zdolne, co tak namiętnie i tak entuzyastycznie bojowali o ukształcenie ducha, o zapewnienie mu przewagi nad skłonnościami poziomemi, czysto samolubnemi. Z goryczą wspominała, że w społeczeństwie tém, które tak ukochała, złe się nie poprawia, a dobre się psuje, szermierstwo siły wycieńcza a rezygnacya ducha nie wzmacnia, byle nieroztropność, to śmiertelną chorobą zagraża; ocet z żółcią smak przytępia, a cukier z miodem rozmdławia; że niepodobna dobrać sobie pokarmów; i kuracya szkodliwości nie leczy; głupcy marnują swoję pracę; rozumni marnują się bez pracy: nad wszystkimi, zda się, straszliwa klątwa zepsucia lub nieużyteczności zawisła. Przestała wówczas wierzyć w dogmat najwyższy swojéj młodości, pogardziła miłością, gdyż się przekonała, że zaprzeczona czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona czy rozbita, każda miłość z lat koleją, choć innemi ścieżkami, u tegoż samego punktu błotnistéj rozłogi staje.

Tymczasem czasy reakcyi przyjęły odmienny trochę charakter, zaczął się budzić ruch naukowy mianowicie w zakresie nauk przyrodniczych i społecznych; rozbawieni i rozweseleni bezmyślnie ludzie zaczęli wglądać w siebie głębiéj i rozpatrywać się naokoło siebie uważniéj; obłuda reakcyjna musiała zlekka uchylać zasłony; jéj miejsce zajmowała powoli szczerość, szczerość w złém zarówno jak i dobrém, przykryta tylko powszechném lakierem dobrego wychowania i powierzchownego najczęściéj wykształcenia. Po krótkiéj chwili namiętnego wybuchu, umysły zwróciły się następnie do zagadnień praktycznych, do zabezpieczenia sobie bytu środkami pracy ekonomicznéj.

Gabryella zbyt bystrym obdarzona była rozumem, ażeby nie dostrzedz, że zmiana ta miała w sobie, obok wielu stron ujemnych, lepsze także zadatki na przyszłość. Zwątpienie, jakie ją ogarnęło pod koniec okresu reakcyjnego, zaczęło przyjmować formę pytań nierozwiązanych wprawdzie w chwili obecnéj, ale rozwiązalnych

prawdopodobnie kiedyś. Nie było to więc zupełne jakieś ukojenie, znalezione w prawdach stałych, niezbitych, któreby w każdéj chwili dostarczały oręża do pokonania wątpliwości, lub stanowiły nieomylną wskazówkę postępowania, ale było to w każdym razie przygotowanie się do przyjęcia prawd takich, gdyby je własna rozwaga lub obca nauka ugruntować potrafiła. Gdybym się nie lękał, źle być zrozumianym, powiedziałbym, że było to przejście z wieków średnich do czasów nowożytnych, z wieków średnich w najpoetyczniejszém ich pojęciu, z wieków bohaterstwa indywidualnego w obronie marzeń najdroższych, które za nieochybny ideał poczytywano, do czasów, w których regularne państwowe porządki ujmują w karby zachcianki jednostek, przytępiają nieraz szlachetne popędy, ale w ogóle .pożytecznemi poszczycić się mogą wynikami, do czasów w których cuda i marzenia poetyczne o wszystkiém, co się widzi i słyszy, co się tworzy i myśli, zaczynają się zamieniać w stałe prawa naukowe, rozpraszające wiele ślicznych złudzeń, ale dające w ogóle głębokie uspokojenie człowiekowi, że nie jest pustą losu ślepego igraszką. Przejście to łatwém bez wątpienia nie było. Jak każdy, który ma się ułożyć do nowych stosunków, dostrzega w nich najprędzéj rzeczy, drażniące dawne jego przyzwyczajenia, pojęcia i uczucia, tak i Gabryella ujrzała przedewszystkiém w nowo-układających się charakterach i położeniach ich strony rażące, a przeciwstawiąc je z temi, jakie w błogich chwilach entuzyastycznego usposobienia młodości widziała, nie mogła nie odczuć bolesnéj dla siebie różnicy, pomimo to, że rozumem je do pewnego przynajmniéj stopnia usprawiedliwiała. Nastrój prozaiczny, coś maszynowego w postępkach i dążnościach, powierzchowna ogłada, kunsztowne tylko przejmowanie się wszelkiemi ideami i gorącemi uczuciami, ażeby o nich módz przez pół godziny w namaszczonych przemawiać słowach; dążności praktyczne natury poziomej, a obojętność względem wielkich zagadnień człowieka jako człowieka: oto główniejsze objawy, na które autorka patrzyła z ironią. Tak jest, z ironią spokojną, a nie z namiętną goryczą, jak to było dawniéj, kiedy na naleganie znajomych nie chciała kończyć „Książki Pamiątek.“ Autorka stała się wyrozumialszą i pobłażliwszą, bo się przekonała, że nieposzlakowane ideały, doskonałość, łatwo wymarzyć, ale trudno spotkać w życiu codziennéın. Nie przejmowała się naturalnie sympatyą dla tych nowych dla siebie osobistości, nie patrzyła na nic takim wzrokiem miłości, jakiém poglądała na gronko wybranych, które tak sympatycznie odmalowała w „Obrazku wstępnym“, za któremi tak głęboko tęskniła w „Liście niewiadomo czyim i niewiadomo do kogo“;—ale nie gardziła już niemi; owszem przy zdarzonéj sposobności lubiła je obserwować. Wraz

z zajęciem tego obserwacyjnego stanowiska uległ także niejakiéj zmianie i pogląd na dawnych entuzyastów i entuzyastki. Gabryella śledząc koleje życia swych towarzyszek i postępowanie towarzyszów przekonała się, że nie tylko dzisiaj, ale i dawniéj były kobiéty umiejące nadawać zasadom swoim elastyczność, gdy szło o przeprowadzenie ich w praktyce, że nie tylko dzisiaj ale i dawniéj wielcy entuzyaści niekoniecznie byli wielkimi ludźmi, bo brakowało jednego nader ważnego w życiu czynném przymiotu, to jest energii i wytrwałości. Horyzont ściemnił się więc ze wszech stron; Gabryella jednak przeszedłszy już fazę goryczy i rozpaczy niemal, przejęła się nader przyjaznėm dla artystycznego tworzenia uczuciem, to jest łagodną, wielce pobłażliwą ironią.

Wśród takiego usposobienia powstała *Kasia i Marynka*. Kasia to bez wątpienia sama Gabryella w tym okresie pytań nierozwiązanych, uczuć niewyjaśnionych, programów niespełnionych. Marynka przedstawia się jako jéj niegdyś koleżanka, naturalnie żywą wodą artyzmu odmłodzona. Z jednego szczegółu to jest z pytania Marynki czy obciąć włosy wnioskować wypada, że należała do grona entuzyastek, do owego grona dusz wybranych, które prozą życia gardząc, ulatywały w sfery ukształcenia duchowego i żądały dla siebie i dla swéj płci szerszego zakresu wiedzy i szerszéj działalności społecznéj. Ale to czasy dawno minione. Obecnie Marynka jest już panną na wydaniu, zamożną z pewnością, córką obywatelską i cóż więc jéj myśléć o szerszéj działalności? Umysł swój może kształcić i daléj, lecz w zasoby książek nie bogata, w bibliotece jéj, gdzie zdobycie Anglii przez Normandów tyle konfuzyi nabawiło Filipa, nie ma ani jednego dziełka o zawodzie kobiét. Trafia się jéj dobra partya: czyż ma grymasić dla tego tylko, że nie kocha Filipa, to jest nie kocha go tak, jak pojmowano miłość w gronie entuzyastek? Wie ona doskonale, coby jéj powiedziała towarzyszka, którą o radę jednak zapytuje; umie wybornie odczuć, że nie spełni marzeń swych młodocianych wychodząc za Filipa; potrafi nawet zręcznie wskazać wszystkie niedobory tego charakteru, który określa tak, jak materyą kupowaną w sklepie. Dawniéj możeby nazwała nikczemném zaprzedaniem się takie połączenie z człowiekiem tuzinkowym, który nie posiada żadnych cech odróżniających, którego można wziąć za kupczyka lub ekonoma, w ogóle za jakąkolwiek osobę, zewnętrznėm wzięciem się, ubraniem, wysłowieniem nie spadającą zbyt nizko. Dzisiaj wyrażenie powyższe wydałoby się jéj zbyt trywialném, grubijańskiém nawet, nie postało ono zapewne nawet w jéj głowie, nie wypowiada go również poważna i serdeczna Katarzyna Aleksandryjska. Traktując o swym stosunku do pana Filipa, Marynka wszędzie

posługuje się tylko dowcipem i lekkiém szyderstwem, czuje się tylko od niego nieskończenie wyższą, to prawda, ale równocześnie przechodzą w jéj myśli marzenia o bogactwie, może nie dla bogactwa samego i dla tych wygód czysto osobistych, jakie ono zapewnić zdoła, ale dla celów szerszych, które za pośrednictwem dobrobytu materyalnego urzeczywistnić się dadzą: wszakże zapewnienie sobie losu—jest sierotą, i możność czynienia dobrze w czasach obecnych, w których warunki materyalne tak ciężą ludziom, to sprawa zasługująca na głębszą rozwagę i na szczersze uznanie. Cóż pomogą piękne deklamacye o wyżynach bezinteresownego uczucia i o wszechpotędze bezgranicznéj miłości, gdy potrzeba będzie dzieci wychować i los im zapewnić. To też Katarzyna Aleksandryjska w odpowiedzi na list swojéj Marynki nie powstaje bynajmniéj z góry na przeniewierstwo entuzyastki, ale wynajduje dowcipną teoryą trzech królestw płci niewieściéj, i z pewnym bólem wprawdzie, ale bez gromów przekleństwa, umieszcza swą Marynkę w królestwie roślinném.

Marynka ma parę cech podobieństwa z Białą Różą. Umie ona analizować swoje uczucie, umie podpatrzéć niemiłe strony natur prozaicznych i tuzinkowych, umie się unosić i zachwycić wielkiemi ideami i uczuciami. Mimo to Białą Różą nie jest. W Białéj Róży było jeszcze bardzo wiele pierwiastków romantycznych, a przedewszystkiém ta żądza pozowania, ta chęć dramatyzowania życia własnego, to dążenie do zostania bohatérką w jakikolwiek sposób, Marynka takiéj żądzy, takiéj chęci, takiego dążenia nie ma. Odznacza się ona bystrą inteligencyą i dla tego wszystko widzi jasno; a zatém nie tylko powszedniość pana Filipa, ale i korzyści, jakie wyniknąć mogą z połączenia się z nim. Praktyczny kierunek czasów nowszych już w niéj zabił wszelkie marzenia romantyczne; ona tylko jako kobiéta uczciwa pragnie uspokoić swoje sumienie, pragnie się dowiedziéć, czy postępek jéj będzie w zgodzie z prawidłami moralności, powszechnie uznawanemi, czy nie popełni czegoś, coby kontrastowało nie z pojęciami grup pewnych lub własnego swego umysłu, ale z nałogami i wyobrażeniami ogółu oświeconego. W tym celu żąda książek traktujących o moralności dla kobiét. Cóżby na to powiedziała Marya Regina?.... Czyżby nie zwątpiła o umysłowości Marynki w ogóle, że nie w sercu własném szuka natchnień, ale gdzieś na martwych kartach podręczników i rozpraw? Ale Katarzyna Aleksandryjska jest pobłażliwa: wysyła jéj książki, kłopoce się szczególniéj o pisma Hofmanowéj, których jakoś na podorędziu nie znajduje, ale z pewnością znajdzie u pani Maryi, u téj czcicielki bezwarunkowéj pism autorki „Pamiątki po dobréj matce,“ u téj idealistki, która tak doskona-

le umiała pogodzić swój idealizm uczucia z realizmem życia i zawsze spokojna, pogodna, wesoła przeszła znaczną część drogi w powszechném poważaniu. Jakaż to subtelna ironia w rysunku téj postaci! Gdyby była wykończona, gdybyśmy np. usłyszeli z jednéj strony przyobiecaną rozmowę o pismach Hofmanowéj, a drugiéj ujrzeli dokładniéj powszednie życie pani Maryi w stosunkach zwłaszcza z mężem; byłaby to bezwątpienia jedna z najznakomitszych postaci naszéj literatury powieściowéj. Wystawić zacną serdeczną kobiétę, umiejącą cenić wszystko wielkie i szlachetne, postępującą uczciwie, rozumnie, zachowującą niezamąconą pogodę zawsze i wszędzie; przyznać wszystkie te załety; a jednak wskazać, że to nie jest kobiéta zupełna, że to nie jest ideał upragniony, lecz nader skromny okaz ludzkiego, ułomnego jestestwa: to doprawdy potrzeba na to talentu genialnego. Całe w ogóle towarzystwo zbierające się u pani Maryi, to galerya żywych, silną indywidualnością odznaczonych postaci, które zostały niestety naszkicowane tylko. Z pomiędzy nich najważniejszą osobą wydaje mi się p. Nepomucen, człowiek niepospolitych zdolności, marzyciel niesamolubny, dusza szlachetna; a jednak i on nosił w sobie zasadę śmiertelnéj choroby duchowéj; nigdy nic wielkiego nie zrobił, pomimo nauki i talentu wpływu na spółziomków a nawet na spółpowietników nie wywierał; życie sobie zatruł, z żoną rozstać się musiał, syna nie potrafił przejąć uczuciami gorącemi, gdyż ten na krasomównego doktrynera wyszedł. Niezdolność do czynu oto nazwisko téj choroby.

W Filipie widzimy doskonały obraz człowieka, który rządzi się zasadą: bądź takim, jak i inni. Wykształcenie jest w nim lakierem tylko, który po pewnym czasie łuszczy się i odpada; przepisy ogłady towarzyskiéj zachowuje dopóty, póki oczy licznych osób nań zwrócone; gdy się znajdzie z kim sam na sam a podrażni się trochę, wyjdzie na wierzch jego pierwotna gburowata natura. Zamiast: „witamy panią nakoniec“ może kiedyś powiedzieć „idź do diabła!“

Nie rozszerzamy się dłużéj, chociaż bogactwo szczegółów jest tak wielkie nawet we fragmentach, że moglibyśmy długo jeszcze snuć przędzę myśli. Zwrócimy tylko uwagę na przyczynę pozostania tego utworu w stanie fragmentarnym. Pierwszy pomysł jego datuje z roku 1863, do 1875 zatém było dosyć czasu, ażeby mógł być w całości obrobionym. Musiały więc być inne, wewnętrzne powody, dla których tak się nie stało. Nie pomylimy się prawdopodobnie, jeżeli dopatrywać się ich będziemy w tém samém rozdwojeniu pierwotnego pomysłu i późniejszéj refleksyi, jakie już dawniéj w „książce pamią-

tek" zaszło. Stosunki nowe nie ułożyły się jeszcze były do takiéj równowagi w myśli autorki, ażeby je w harmonii artystycznéj wyrazić było można. Gabryella nie lubiła mechanicznego że tak powiem tworzenia osnowy powieściowéj; wynikać ona musiała z głębi uczuć i przekonań i opiérać się na żywych okazach życiowych, ażeby zostawała w organicznym zupełnie związku z pewném usposobieniem samego twórcy. Jeżeli się usposobienie zmieniało, utwór nie mógł mieć zakończenia.

P. Chmielowski.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Najdawniejsze księgi sądowe. Księga ziemi czerskiéj 1404—1425, poprzedzona wstępem historycznym. Warszawa 1879. Str. CV, 357 i XIX.

Ogłoszone przez śp. Helcla w r. 1870 zapiski sądów krakowskich z XIV-go i XV-go wieku (Starodawne prawa polskiego pomniki. Tom II), zwróciły uwagę naszego uczonego świata na ten piérwszorzędny materyał do wewnętrznych dziejów, który w starodawnych księgach sądowych wszystkich ziem i powiatów dotychczas w ukryciu spoczywa. Przykład ten jednak znalazł dopiero teraz naśladownictwo w dziele, którego tytuł podajemy wyżéj. Rozwodzić się nad ważnością tego rodzaju pracy, dowodzić, że bez takiego materyału ze wszystkich ziem Rzeczypospolitéj nie możemy żadnego obrazu dawnego społeczeństwa polskiego nakreślić, jest to już dzisiaj rzecz zupełnie zbyteczna. Witamy téż wydawnictwo zapisków sądowych ziemi czerskiéj z prawdziwą wdzięcznością. Wyjątkowa ta ważność wydawnictwa oraz brak gotowych dlań wzorów (zbiór Helcla jest niewykończonym fragmentem) zniewala nas jednak do poświęcenia mu bliższéj uwagi i do zastanowienia się nad metodą, którą wydawca obrać za stosowne uznał.

I.

Na 357 stronnicach znajdujemy wydrukowane zapiski sądów:

a) czerskich od r. 1404—1418. str. 1—118, oraz z lat 1408, 1409, 1411 str. 333—357;

b) grójeckich od r. 1407—1410. str. 119—130;

c) wareckich od r. 1408—1425. str. 131—332.

Wydawca ograniczył się do ogłoszenia textu zapisków sądowych i ani jedném słowem wydawnictwa swego nieuzasadnił i nie-

wyjaśnił. W skutek téj niezwykłéj wstrzemięźliwości, czytelnik nawet dokładnie z dawnemi księgami sądowemi obznajomiony, stawia sobie cały szereg pytań, na które w książce, o której mowa, nie znajduje odpowiedzi.

Ogłoszone w tém dziele zapiski są świadectwem czynności sądu ziemskiego który objeżdżał kolejno trzy powiaty ziemi czerskiéj i w Czersku, Grójcu i Warce swe posiedzenia odbywał. Piérwotnie pisarz ziemski prowadził jednę tylko księgę sądową, obwoził ją z sobą i wpisywał do niéj sprawy kolejno w różnych miejscowościach sądzone. Późniéj dla każdéj miejscowości, w któréj się odprawiały sądy, a raczéj dla każdego powiatu osobne księgi utrzymywali pisarze. Jak się działo w ziemi czerskiéj w latach 1404—1425 wydawnictwem objętych, tego z wydanych zapisków nie możemy odgadnąć. Wydawca umieszcza wprawdzie osobno zapiski czerskie, osobno grójeckie, osobno wareckie, jednakże w aktach wareckich znajdujemy wtrącone zapiski kadencyj sądowych czerskich z r. 1415, 1416, 1417, 1418, 1419, 1421 i 1423.

Kto zna nasze dawne archiwa sądowe, temu nie tajno, że właśnie najstarsze księgi z XV-go wieku, rozpadły się z biegiem czasu na luźne zeszyty a nawet na luźne kartki. Wiele z takich zeszytów i kartek zginęło, te które zostały, pomięszano późniéj z sobą w najdowolniejszy sposób, łącząc i oprawiając w księgi zapiski należące do różnych sądów i pochodzące z rozmaitych czasów. Każdy wydawca powinien też najpiérw wszystkie księgi sądowe najdokładniéj zbadać, cały piérwotny rozkład ksiąg i kolejny porządek zeszytów i kartek każdéj księgi starannie ustalić i w takim je dopiéro sprawdzonym porządku i układzie ogłaszać. Z zapiskami sądu ziemskiego czerskiego stało się jednak inaczéj. Wydawca ogłosił je w takim przypadkowym porządku, w jakim się obecnie znajdują w archiwum. Wynikły ztąd różne niedogodności.

Niemamy najpiérw rękojmi, że oprócz ogłoszonych nieprzechowały się inne zapiski sądów ziemi czerskiéj z przed r. 1425, na którym się wydawnictwo zamyka. Dostrzegać się dają znaczne luki, które w wydawnictwie tu i owdzie punktami zaznaczono. Zapiski czerskie zaczynają się z r. 1404, brak ich z r. 1406 całkiem, kończą się na r. 1418, czy dalszych do r. 1425 niema? Może i są, bo wydawca już po wydrukowaniu swéj książki znalazł jeszcze zapewne luźne kartki, do innéj późniejszéj księgi wszyte, zapisków czerskich z r. 1408, 1409, 1411 i w dodatku je ogłosił. Zapisków grójeckich mamy tylko luźny fragment z r. 1407, 1408 i 1409. Zapiski wareckie rozpoczynają się z r. 1408, ale potém luka aż do r. 1415. Wszystko to wymagało dokładnego zbadania i wyjaśnienia. Ale o to mniejsza.

Zachował wydawca ostrożność, że zapiski mieszczące się na jednéj stronie dawnych ksiąg linijkami od innych zapisek odróżnił. Mamy więc pewność, że zapiski linijkami objęte i na jednéj stronie się mieszczące, dobrze po sobie następują i do siebie należą; niewiemy już jednak, które dwie strony tworzą jedną kartę księgi, co przecież zaznaczyć należało, a niemamy żadnéj gwarancyi, czy pojedyńcze kartki i stronice w dobrym są wydrukowane porządku. O wielu możemy na pewno powiedzieć, że w zupełnie mylnym. Znalazły się luźne kartki, odwrócone w księdze, tak że strona druga jest dziś piérwszą a piérwsza drugą, w tym je téż zmienionym porządku obecnie ogłoszono. W skutek takiego poprzewracania i pomieszania luźnych kartek mamy wydrukowaną:

Na str. 350, 351, piérwéj kadencyą sądową z 14 Września, potém z 8 Czerwca.

Na str. 13, 14, 15, piérwéj z 25 Lipca, potém z 7 Lipca.

Na str. 31, 33, piérwéj z 3 Marca, potém z 3 Listopada, potém z 13 Marca.

Na str. 38, 39, piérwéj z 13 Marca, potém z 12 Lutego.

Na str. 40, 41, piérwéj z Czerwca, potém z Kwietnia, potém z Lipca i t. d.

Niejest to rzecz obojętna. Na wielu kartkach niema bowiem zanotowanéj kadencyi sądowéj, do któréj zapiski sądowe na nich umieszczone należą. Jeżeli taka kartka umieszczona jest w mylném miejscu, to oczywiście czytelnik przypuści, że zapiski jéj odnieść należy do kadencyi sądowéj, która na poprzedniéj karcie jest zanotowaną, i wręcz w tém tak łatwém przypuszczeniu pomylić się może. Częściéj jeszcze, nawet zwykle zdarza się, że kadencya sądowa zanotowaną jest dopiéro w połowie strony. Co zrobić z zapiskami, które na piérwszéj połowie strony się mieszczą, czy je jako dalszy ciąg zapisek na poprzedniéj stronie umieszczonych uważać. Pomyliłby się nieraz ktoby tę zasadę do wydawnictwa, o którém mówimy stosował. Są tam bowiem, jak wspomnieliśmy, ogłoszone zapiski z luźnych, pomieszanych i wielkiemi lukami przegrodzonych kartek. Objaśnijmy rzecz na przykładzie. Zapiski oznaczone liczbą 83—87 mieściły się na jednéj stronicy i odnosiły się do kadencyi odprawionéj w miesiącu Lipcu (1), dalsze zapiski pod l. 88—93 niemają zanotowanéj kadencyi, do któréj należą, łatwo je zatém było odnieść do kadencyi powyższéj lipcowéj, zapiski na dalszéj stronnicy oznaczone l. 94 sg.

(1) Sabato die [post] festum Visitationis b. V. M. a. 1408 t. j. 7 Lipca, lub nawet 29 Czerwca jeźli przyjmiemy „ante."

należą do kadencyi listopadowéj. Tymczasem wydawca znalazł i ogłosił w dodatku zapiski kadencyj z 3 Września, 17 Września, 24 Września, 1 Października, 6 Paźdz. 15 Paźdz. 29 Października, które oczywiście pomiędzy zapiskami kadencyi lipcowéj i listopadowéj się znajdowały i umieszczone być winny. Pytamy teraz, do jakiéj kadencyi odnieść zapiski pod l. 88—93, czy do kadencyi z 7-go Lipca czy téż do kadencyi z 29 Października? Wydawca badając pismo i papier, mógł tę wątpliwość z łatwością rozwiązać, czytelnik uczynić tego w żaden sposób nie może, a takich wątpliwości w wydaniu wiele się napotyka. Sama ta jedna okoliczność naraża wydawnictwo na zarzut niekrytyczności.

Obok staranności w zebraniu i uporządkowaniu materyału, która główny warunek jakiegokolwiek wydania stanowi, istnieją jednak inne jeszcze warunki, przez których dopełnienie wydawnictwo staje się dopiéro przystępném, i może wprost bez osobnych prac przygotowawczych za podstawę do badań naukowych posłużyć. Warunki to już sformułowane, uświęcone zwyczajem i praktyką w naukowym świecie, przyjęte z wielkim pożytkiem prawda że od niezbyt dawna w wydawnictwach polskich, a jednak z żalem powiedzieć musimy, że je wydawca ksiąg sądowych czerskich zupełnie pominął.

Jakież znaczenie praktyczne dla nauki może miéć ogłoszone przez wydawcę z górą dwa tysiące ważnych i ciekawych zapisek sądowych, jeśli do nich niema dodanego żadnego indeksu? Dla wyszukania jednego szczegółu niepodobna całéj księgi czytać, a nazajutrz dla drugiego szczegółu czytanie na nowo powtarzać. Najszacowniejszy materyał bez indeksów, małą przyniesie korzyść. Nieżądamy już indeksu rzeczowego, ale wykaz miejsc i osób, wymienionych w zapiskach, jest rzeczą nie trudną a potrzebną. Jeżeli nazwisk osób jest w zapiskach zbyt wiele, to wypadało przynajmniéj znakomitsze w alfabetycznym porządku z odnośnikami ułożyć, nazwy zaś miejscowości, choćby ich było najwięcéj, bezwarunkowo wszystkie.

Podał wprawdzie wydawca tabelę urzędników z XV w. ułożoną na podstawie ksiąg sądowych czerskich, jednakże niepopartą żadném szczegółowém przytoczeniem źródeł. Zresztą jest ona niezupełną: w zapiskach jednego tylko 1416 roku znalazłem tylu urzędników, o których w tabeli niema żadnéj wzmianki:

a) N. zapiski 416. Vitus notarius Czirnensis.
b) 417. 477. 478. 518. 867. Derslaus procurator Czirnensis.
c) 423. Jacobus Prusin advocatus Czirnensis.
d) 450. Stiborius marsalcus.

e) 460. 494. 507. 809. 825. 830. 860. Vigandus vexillifer Varsoviensis.

f) 470. 482. Albertus magister coquinae.

g) 484. Soldanus procurator ducis Boleslai de Garwolino.

h) 487. 490. 493. 499. Pacossius de Tharnowo pincerna Czirnensis.

i) 890. Kanimirus (sic) advocatus Czirnensis.

Wspomnieć wreszcie wypada o rozwiązaniu średniowiecznych dat kalendarzowych na dzisiejsze. Dopełnił tego wydawca, ale nie ze wszystkiemi datami. Bardzo wiele pozostało nierozwiązanych i to mianowicie takich, które oznaczone są świętem Nawiedzenia N. M. P. Dlaczego? Niektóre rozwiązane są błędnie, np. fe. 2 in conductu paschae 1405 rozwiązane na 27 Kwietnia zamiast 20 Kwietnia, toż w r. 1407 na 4 Kwietnia zamiast 28 Marca fe. 2 post fe. Scolastice 1413 na 12 Lutego zamiast 13 Lutego. die prox, ante fe. pentecostes 1413, na 10 Maja, kiedy zielone świątki przypadają dopiéro w Czerwcu i t. p.

II.

Chcąc nas niejako wynadgrodzić za te usterki samego wydawnictwa, podał nam za to wydawca wstęp historyczny zawierający monografią ziemi czerskiéj w rozdziałach: Statystyka, Duchowieństwo, Szlachta, Mieszczanie, Kmiecie, Stosunki ekonomiczne, Urządzenia sądowe, Uwagi ogólne.

Bardzo to piękna rzecz, jeżeli przy wydawnictwie dawnych dokumentów znajdujemy dodatek w postaci naukowéj rozprawy. W wielu dobrych wydawnictwach rozprawa taka jest nawet ściśle z wydanemi źródłami związaną, stanowi do nich indeks rzeczowy ułożony nie w alfabetycznym lecz w systematycznym porządku, uzupełniając go nadto gdzieindziéj już ogłoszonemi w związku zostającemi źródłami. Próbą takiego indeksu jest przedmowa Szujskiego do ksiąg sądowych miasta Krakowa z XIV-go stulecia świeżo przez niego i Piekońskiego wydanych. Wstęp historyczny do aktów sądowych czerskich takim systematycznym indeksem nie jest choćby dla tego, że nigdzie do tych aktów niepodaje odnośników; jako zupełnie odrębnie od wydania stojącą pracę ocenić ją téż należy.

Monografia ziemi czerskiéj opiéra się na archiwalnych, nieogłoszonych dotychczas i nieznanych nam źródłach. Część statystyczna ma za podstawę regestr poborów z lat 1540—1564, który wydawca w dodatku ogłasza. Rozdział o duchowieństwie jest właściwie wy-

kazem parafii znajdujących się w ziemi czerskiéj (z datą założenia każdej i z licznemi wzmiankami o kościołach), ułożonym na podstawie wizyty biskupiéj z r. 1616 a licznemi spostrzeżeniami archeologicznemi mianowicie o dzwonach kościelnych uzupełnionym. Reszta rozdziałów opiéra się na księgach sądowych, przyczém autor nie zamyka się w granicach wydanych przez się do r. 1425 zapisków, lecz sięga daléj aż w pierwsze dziesiątki XVI-go stulecia, liczne z tych późniejszych zapisków podaje wyjątki i dyplomatami je uzupełnia. Praca to zatém podająca nam nowe, zkądinąd nieznane wiadomości źródłowe.

Uznając tę niemałą zaletę, niemożemy jednak przemilczeć, o brakach, jakie przy jéj odczytaniu dostrzegliśmy. Autor nie uznał przedewszystkiém za stosowne licznych swoich nieraz dość hazardownych twierdzeń, przytoczeniem źródeł na każdém miejscu poprzeć. Co w rozprawie ściśle naukowéj razi i wartość jéj zmniejsza. Autor niezakreślił téż swojéj pracy żadnych ścisłych granic chronologicznych, nie trzyma się zakresu źródeł któremi rozporządzał, po za granice ziemi czerskiéj i po za wiek XV wstecz wybiega i często stawia tu apodyktycznie zasady, z któremi nauka prawa polskiego wcale się dotychczas nie zgodziła, a sądzę że w przyszłości się również nie zgodzi. W opracowaniu szczegółów, których niemając źródeł dostępnych autorowi dokładnie skontrolować téż niemożemy, napotykamy wątpliwości, wynikające z wad metody i nie zawsze jasnego wykładu.

Zaraz na samym początku rozdziału o szlachcie spotykamy twierdzenie że „u nas własność (ziemska) była wspólną“ i to tak jak u Germanów według Cezara i Tacyta. Przytoczenie tych dwóch starożytnych pisarzów razem, rzeczy jednak nietylko niewyjaśnia, lecz ją owszem zamąca. Według Cezara cały *lud* zajmował corocznie pod uprawę pewne pola i to zmieniając ustawicznie w sposób koczowniczy swoje siedziby; według Tacyta własność roli lasu i pól należała do stale osiedlonéj *gminy*, prowadzącéj na wspólny rachunek trójpolowe gospodarstwo, zagrody zaś stanowiły już własność pojedyńczych rodzin.

Jakże więc było *u nas*? Czy owa własność wspólna należała do ludu czy do gminy, czy się do nas stosuje opis Cezara czy też opis Tacyta, bo obu mieszać niepodobna. Później według autora, zawsze jeszcze „w czasach przedpaństwowych i przedchrześciańskich używalność własności położonéj w obrębach osady ograniczono wyłącznie do jéj mieszkańców“. Na twierdzenie te nieprzytoczył oczywiście autor żadnego dowodu, nieuwzględnił téż podniesionéj przez naukę wątpliwości, czy u nas w ogóle pierwotnie były jakie

„osady“, czy téż przeciwnie całe gospodarstwo nie było raczéj jednodworcowem, a całą tę kwestyą mógł najbezpieczniéj pominąć, bo ona do wyjaśnienia stanowiska szlachty czerskiéj w XV w. przyczynić się zaiste niemoże. Osiedlenie ziemi czerskiéj odbywało się według samego autora głównie dopiéro w XIII do XVI-go wieku, a więc w czasach, kiedy już szlachta polska się wyrobiła; monografia ziemi czerskiéj do badania początków szlachty polskiéj żadnego więc niedaje powodu. Autor rozwiązuje ją jednak w ten sposób, że z owéj własności wspólnéj wydzielano pewne grunta na rzecz kmieci, którzy w ten sposób stali się „przodkami szlachty w ziemi czerskiéj.“ Twierdzenie to pomija wiele innych czynników, które się notorycznie złożyły na powstanie szlachty.

Do gruntów wycofanych z pod wspólności miało należeć „poświętne“, grunta przeznaczone na uposażenie kościoła i duchowieństwa. O ile mi wiadomo z ogólnych pojęć prawa kanonicznego, poświętném jest tylko ten grunt, na którym stoi kościół i otaczający go cmentarz, nie zaś grunta stanowiące „uposażenie“ kościoła lub duchowieństwa, które przecież „poświęconemi“ nie są. Atoli parę wierszy niżéj pisze autor: „Nadawania panujących, objawiające się przez obdarowanie prawem chełmińskiem (!!), obróciły *poświętne*, działy i morgi na rzecz ich posiadaczy. Całość tych nazywano „ojczyzna, imienie, dziedzina.“ A zatem na rzecz osób prywatnych sekularyzowano owo uposażenie kościoła? Dowodem tego twierdzenia ma być następująca rota świadków z r. 1478 (!): „Jako ja to wiem, iże to imienie Zaliwie i Dambrowka nie jest nadane z kstwa ale ich prawa ojczyzna z wieka wieczna.“ A więc „ojczyzna“ niepowstała wcale z nadania i jest przeciwieństwem nadań.

Nieco daléj ciekawę, ale niczem niepoparte twierdzenie, iż własność nieużywana przez lat trzy traciła charakter własności prywatnéj i powracała do „pospólnéj dziedziny.“

Daléj na poparcie twierdzenia, że wspólników użytkujących ze wspólnych pastwisk i lasów nazywano „uczastnikami, czastnikami“ rota przysięgi z r. 1518: „Jako przywiléj ten, na imienie moje i inszych czestników z Chynowka służący mi skażon z przygody nieszczęśliwéj“. Namby się zdawało, że owi „czestnicy“ są to tysiąckrotnie w aktach sądowych występujący „sortis suae heres“ t. j. ziemianie, którzy rozrodziwszy się wieś pomiędzy sobą podzielili, a w owéj rocie przysięgi nieznajdujemy przynajmniéj żadnego śladu, aby „czestnicy“ mieli posiadać wspólnie las i pastwisko.

Jeszcze daléj czytamy: „Sąd surowym wyrokiem skarcił Jana, Braneckiego w r. 1462 który nieczekając na przeprowadzenie sądowego podziału własności.. zajechał gaj, który Braneccy i Suscy trzy-

mali wspólnie według prawa ziemskiego.“ Tu przytoczone roty przysięgi Jana Braniecklego: „Jakom ja nie zadał samdziesiąt z pomocniki rany krwawéj Tobiaszowi z Suchéj, stoja (sic) z nim w pozwiech,“ i Mikołaja Branieckiego: „Jakom ja niewziął gwałtem samowtór na imieniu Jana Suskiego w Brańcicach Maciejowi sukniej, kaptura, pasa, bursy z sześci groszy, rękawic, wszego tak dobrego jako trzydzieści groszy, Andrzejowi sukniéj, pasa, bursy.“ Jaki związek pomiędzy tekstem rozprawy a cytatą?

Nakoniec niepoparte niczém twierdzenie, że czynność wypowiedzenia wspólnéj własności nazywano najpospoliciéj inhibicyą, i że „inhibicyą tę trzykrotnie ogłaszał woźny na targach w mieście (!!)“. Jeżeli wypowiedzenie wspólnéj własności zwano rzeczywiście inhibicyą, to czyż téj inhibicyi niepomieszał autor najoczywiściéj z inhibicyami policyi targowéj miejskiéj, odnoszącéj się do sprzedaży pewnych płodów, o których mowa tylokrotnie choćby w Voluminach legum!

Przeszliśmy w ten sposób trzy stronice rozprawy, ażeby czytelnikowi dać wyobrażenie o jéj metodzie i krytyczności. Nie mogąc rozbierać w ten sposób całéj rozprawy, przytoczymy tylko kilka zasadniczych twierdzeń najwięcéj uderzających.

„Niemając kmieci swoich (którzy powynosili się już dawno w skutek wzrastającéj liczby gniezdników), Gośniewscy zajmowali się obroną kmieci cudzych... kto chciał mieć świadka, zawsze znalazł go w Gośniewicach“ (str. XLIX).

Przyczyną upadku włościan „górującą nad wszystkiem, jak u nas tak i wszędzie (!), to była rozwijająca się idea państwa, która już zaczynała gnieść i pochłaniać religią, pracę, swobodę i lekceważyć godność człowieka“ (str. LXII). A zatém u nas, gdzie w XVI wieku idea państwa osłabła, lud wiejski wznosił się coraz wyżéj, na zachodzie zaś w obec absolutnych monarchii coraz więcéj upadał!

Na str. LXIX—LXXI mowa szeroko o „sądzie (sic) starców“, który datuje jeszcze z przedchrześciańskich czasów, kiedy „starcy stali na czele opól i osad, skupiając w sobie władzę religijną, sądową, ekonomiczną, administracyjną (!)“. Na dowód sądu starców przytoczone spory graniczne, w których na świadków wzywano oczywiście ludzi starych pamiętających dawne granice.

„Milczenie, wzbranianie się z odpowiedzią na zapytanie sądu, częstokroć spotyka się w tych i innych aktach: czy to nie była forma protestacyi ludowéj przeciwko naruszeniu niezależności starożytnego narodowego sądownictwa“ (str. LXXII)!!

„Powaga sądów wiejskich była tak wielką, że szlachta własne sprawy dobrowolnie oddawała przed ich rozpoznanie. Uczynili to np. właściciele Gośniewic z r. 1416“ (str. LXXV). Takiéj zdumiewającéj zapiski atoli w ogłoszonych aktach sądowych z r. 1416 nieznalazłem wcale.

„Kobiéta zajmowała miejsce właściwe, nawet nadużywała swego stanowiska, rozkazując mężowi (!), fantując kmiecia ujętego w szkodzie, okładając rózgami sąsiadkę na gościńcu, jak wspomniano w zapisce pod r. 1408 i t. d.“ (str. XCIV). Przytoczono na dowód zapiski.

Michał Bobrzyński.

Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane oraz prowincyonalizmy, zebrał. Al. Walicki. Warszawa 1879.

Jest to drugie wydanie przeszło w dwójnasób pomnożone interesującéj pracy, która przed trzema laty po raz pierwszy ogłoszona, niespodziewane, a przez to tém bardziéj pocieszające miała powodzenie. Że bardzo żywe, miejscami zbyt żywe może traktowanie przedmiotu nie mało się do tego powodzenia przyczyniło, na to się chętnie ze zdaniem autora w przedmowie do drugiego wydania wyrażoném godzimy: boć zapał w dobréj sprawie udziela się, i obojętnych nawet porywa. Pomówimy o niektórych wyrazach do nowego wydania „Błędów“ wprowadzonych.

Basałyk nie jest wyłącznie litewskim; możemy upewnić autora, że się w Królestwie w tożsamém znaczeniu używa i ogólnie jest znany.

Babiniec znany jest u nas równie i pospolicie używany, lecz nie w znaczeniu szczególném kruchty. Używa się ten wyraz ogólnie i żartobliwie dla oznaczenia zgromadzonych kobiét „Taki tam babiniec!“ mówi się często o towarzystwie, z kobiét wyłącznie lubt przeważnie złożoném; o domu lub lokalu przez same kobiéty zajmowanym itp.

Uważając zgodnie z autorem używanie wyrazu *aspiracya* za niepotrzebny galicyzm, nie godzimy się z nim w rozumieniu tego wyrazu. Gdyby *aspiracya* znaczyła *popęd* i *dążność* możeby się do nas nie wcisnęła, pomimo naszę do galicyzmu skłonność. *Popęd* i *dążność* są to jasno określone pojęcia i dla ich zastąpienia nie byłaby się *aspiracya* nastręczyła: oznacza ona chęci, zamiary, pragnienia nie dobrze określone; coś z czego sobie ludzie lub społeczeństwa jasno

jeszcze sprawy nie zdały. Brak w mowie naszéj całkiem odpowiedniego temu pojęciu wyrazu może tłómaczyć lubo nie zupełnie usprawiedliwiać posługiwanie się *aspiracyą*. Sądzimy, iż wyraz „pożądanie“ najczęściej mu odpowiada; czasem „pragnienie,“ czasem „zamysł,“ czasem i „chętka“.

Niewłaściwie windykuje autor dla Litwy tylko używanie wyrazu *bułka* w znaczeniu bochenka: jest ono i u nas dosyć częste nie tylko w mowie lecz i w piśmie.

Toż samo stosuje się i do wyrazu *buszować*: lubo w Królestwie oznacza on prócz hulanki także przywłaszczone górowanie nad innymi, rozporządzanie, rozkazywanie, strofowanie innych bez prawa do tego, lub z nadużyciem tego prawa.

Wyraz *słabość* w znaczeniu choroby porodu jest najpowszechniéj w Królestwie używany.

Wyrazu *drużba* w znaczeniu litewskiego *ciosek* tj. *imiennik*, niktby dziś w całéj Polsce nie zrozumiał, z wyjątkiem chyba wielce szczupłéj liczby erudytów, zabytki dawnéj mowy naszéj znających; przypuściwszy, iż wyraz pomieniony miał kiedybądź takie znaczenie; co jak mniemamy dowodnie wykazane nie jest.

Co do *cudzoziemczyzny* i *cudzoziemszczyzny* wątpimy czy można dowieść, że wyraz ten nie pochodzi wprost od rzeczownika *cudzoziemiec* w jednym stopniu z przymiotnikiem *cudzoziemski*, lecz dopiéro od tego ostatniego; jak mamy *niemczyznę*, lub *niemiecczyznę* od Niemca, *greczyznę* od Greczyna, *tureczczyznę* od Turka. Obecność zaś litery *s* w wyrazach téj postaci (*angielszczyzna*, *chińszczyzna*, *mongolszczyzna* itp. pomimo nieznajdowania się onéj w pierwotnych rzeczownikach (Anglik, Chińczyk, Mongoł itd.) tłómaczy się zdaniem naszém nie przez ich jakoby uformowanie się dopiéro z przymiotników *angielski*, *chiński*, itd.) lecz dla powodów eufonii naszéj mowy.

Czupiradło znane jest i używane w Królestwie tak samo jak i na Litwie. Co do wyrazu *haranga* niema wątpliwości że to jest szpecące nasz język zapożyczenie; lecz p. W. nie ma słuszności, twierdząc jakoby wyrażeniem *mowa*, *przemowa*, *odezwa* zastąpić go można, tak jak francuski *discours*. *Harangue* używa się u Francuzów albo dla ironii i przygany (A quoi bon toute cette harangue? Une ennuyeuse harangue itp.) albo dla spotęgowania (Cette puissante harangue produisit un effet extraordinaire itp.). Na pierwsze z tych znaczeń mamy dawno utarty i bardzo dobry wyraz *perora*; na drugie nie mamy właściwie żadnego; w koniecznéj jednak potrzebie uwydatnienia siły i gwałtowności trafniéj posłuży *filippika*.

Jak u psa w gardle, wyrażenie znane bardzo dobrze i w Królestwie; lecz w odmiennéj się nieco postaci używa: *jakby psu z gardła wydarł*, mówi się o rzeczy zmiętoszonéj.

Wyrażenie *jako taki* potępia pan W. zdaniem naszém zbyt bezwzględnie. Może ono być zupełnie logiczném i prawidłowém użyciem zaimka w miejsce przymiotnika. W zdaniu naprzykład: „Jest on niepełnoletni, a jako niepełnoletni nie może aktu prawnego zeznawać,"—jeżeli zamiast powtarzania wyrazu *niepełnoletni* wstawimy *taki*, cóż tu jest do zarzucenia? *Przeto* lub *dla tego* doradzane przez autora nie będą miały równéj ścisłości; trzebaby im jeszcze dodać *jedynie* (gdy chodzi np. o osobę, mającą wszelkie umysłowe i moralne kwalifikacye, a jedynie dla niepelnoletności prawnie działać nie mogącą). „Byłem wtedy podwładnym, i *jako taki* milczałem." Ani *przeto* ani *dlatego* nie odda tu téj saméj myśli: bo pomiędzy podwładnością i milczeniem koniecznego związku przyczynowego nie ma.

Czy zaś godzi się używać zaimka *taki* w miejsce rzeczownika, to inna sprawa; w téj może mieć p. W. słuszność.

Przyznawszy że *drugdy* wyszło z użycia, powinien się autor zgodzić na *kiedyindziéj*, wyraz koniecznie potrzebny, przez ogół mówiących i piszących przyjęty.

Przymiotnik *kiepski* nietylko w Litwie lecz i w Królestwie do ściśle przyzwoitych nie należy, i choć go najlepiéj wychowane osoby (mężczyzni tylko) używają, lecz nie w towarzystwie salonowém.

Wyrażenie *konie zajechały* ma swoję racyą, któréj autor nie dostrzegł: znaczy że zaprzężone do powozu. *Konie zaszły* nie miało by tego znaczenia; mogłoby się stosować do luzem prowadzonych, lub wierzchowych.

Wątpimy bardzo czy był kiedybądź używany w Królestwie wyraz *łaża*. Powszechnie mówiono *ażio*; lecz od pewnego czasu zaczął natomiast wchodzić w użycie i zapewne upowszechni się *mienne*.

Farbka bywa w Królestwie często nazywana krochmalikiem.

Żeby wyrażenie *na czasie* miało się dzisiaj używać w tém znaczeniu w jakiém go najdawniejsi pisarze używali, o tém się po raz pierwszy od autora dowiedzieliśmy. Śmiemy twierdzić, iż znaczenie to zupełnie z tego wyrażenia uleciało i zapomnianém zostało, przynajmniéj w mowie piśmiennéj i obcowaniu klas ukształceńszych. Chyba może gdzie u ludu wiejskiego lub po małych miasteczkach utrzymuje się. Pod względem jasności i logiczności *na czasie* w znaczeniu przez p. W. ganionem nie tylko nie jest gorszem niż *na dobie*, ale jest odeń stanowczo lepszém, jako wprost naturalnie z owem pierwotném znaczeniem przez rozszerzenie i przenośnią wiążące się.

Nie potrzeba było wcale szukać go w niemczyznie; tak jak nie potrzebowała od niéj zapożyczać polska mowa dobitnego wyrażenia *dalėj nie idzie* (srodze téż przez autora potępionego), posługując się od dawien dawna wyrażeniami nieosobistemi—*o co idzie*, *nie o to idzie*, *to uchodzi*, *to ujdzie*, lub *to nie uchodzi*, *to już nie ujdzie* itd.

Nie potrzebowaliśmy téż pożyczać od Rosyan wyrażenia „*na* ulicy" (dla oznaczenia mieszkania) zamiast „*przy* ulicy" jak chce koniecznie p. W. Odwieczne jest ono u nas, jako jedno z wyrażeń służących nie do wiernego przedstawienia rzeczy i stosunków, lecz tylko do ich wskazania i ułatwienia. Dla tego może oddajemy pierwszeństwo przyimkowi najmniéj określonemu (*na*) przed ściślejszym *przy*: bo gdy chodzi o ścisłość, to „*przy* ulicy" mieszkają tylko lokatorowie domu frontowego; mieszkaniec zaś bocznéj lub tylnéj oficyny, w drugiém lub trzeciém podwórzu bynajmniéj „*przy* ulicy" nie mieszka; tylko się do niego wchodzi z téj a téj ulicy. Gdy się zaś ten ostatni rzeczownik opuszcza, a tylko nazwa wymienia, to według powszechnego w miastach polskich zwyczaju używa się koniecznie przyimek *na*, nigdy *przy*. (Na Miodowéj, na Senatorskiéj, na Nowym Świecie, a nie przy Nowym Świecie). Lecz i o to niebawem zapewne spór ustanie; bo już za dobrym przykładem Zachodnich narodów zaczynamy się całkiem bez przyimków przy oznaczeniu mieszkań obywać. „Gdzie mieszkasz?" „Chmielna 15" i koniec. Im króciéj tém lepiéj. Stąd zarówno jak „*na* ulicy" nielogiczne ale dogodne wyrażenia: „idę *na* kawę, *na* gazety—wstąpmy *na* kieliszek wódki, cały wieczór przesiedzieli *na* piwie itp. Stąd miasto dawnych adresów na listach „do rąk W-go N. N. w Lublinie" piszemy po prostu i bez żadnéj logiki „W-y N. N. Lublin". Krócéj a równie dobrze.

Wyrażenie „konie poniosły" znane jest i używane w Królestwie, gdy mowa o koniach w zaprzęgu; zaś „koń uniósł" dotycze tylko wierzchowego.

Wyraz *nieudały* w naszém użyciu nie znaczy *niezgrabny*, *niezręczny* lub *nietrafny*, jak mniema p. W. lecz ściśle toż samo co i słowo *nie udać się*, tylko w postaci przymiotnika. „Ta nieudała intryga popsuła mu sprawę"—a mogła być bardzo zręczna; boć nie zawsze zręczność, zgrabność i trafność uwieńczone bywają powodzeniem. O istnieniu wyrazu *nieudałyj* w języku rosyjskim powątpiewamy: bo pocóż by tam był obok wyrazu *nieudacznyj*? Chybaby go kto użył w ironiczném znaczeniu jako przeciwstawienie wyrazowi *udałyj*, oznaczającemu dzielność i odwagę fizyczną, dziarskość, tężyznę.

Słusznie p. W. gani wyraz *oczów*, lecz wątpimy czy ma słuszność zalecając natomiast *ócz*. Zdaniem naszém cała deklinacya, *oczy*, *oczu*, *oczom*, *oczyma*, *oczach* jest liczbą podwójną, i tylko ona do ludzkich

lub zwierzęcych oczu stosowaną być może; mnoga zaś *oka*, *ok*, *okom*, itd. lub zdrobniale *oczka oczek* itd. do sieci, wagi, deseniów, robót pończoszniczych i tkanych itd. Gdy mówimy „wszystkie oczy zwróciły się ku niemu“ nie rozumiem żeby tu *oczy* były w postaci liczby mnogiéj; lecz znaczy to tyleż co „oczy każdego z obecnych;“ a więc zawsze liczba podwójna. Tem wydatniéj w przykładzie przez autora przytoczonym: „Radość tryskała u wszystkich z *ócz*“, powinnoby być zdaniem naszém *z oczu*; tj. u każdego z jego dwojga oczu. W pieszczotliwém znaczeniu weszły w użycie *oczki*, deklinujące się dalej (prócz przypadku piątego) tak samo jak w nieżywotném. Podobny wypadek jest z *uchem*, które też w ludzkiém znaczeniu ma tylko liczbę podwójną; zaś mnogą (*ucha*, *uch* itd.) do innych nieżywotnych przedmiotów stosującą się. Najliczniejsze grono ludzi musi powiedzieć „doszło do naszych *uszu*“; nie inaczéj.

Co do wyrazu *odpowiedni* chętnie przyznajemy zasadność argumentacyi autora; a jednak w tém powszechném, jak sam to ujrzał, zboczeniu od prawidłowości musi być inna jeszcze racya prócz téj desperackiéj, którą on wskazuje: że taka już ludzka ma być natura, iż „bez porównania łacniéj każdy błąd znajdzie naśladowców niż prawda“. Mniemamy iż zmiękczenie prawidłowéj końcówki *dny* na *dni* musiało nastąpić jednocześnie ze zmianą w znaczeniu samego wyrazu. *Odpowiedny* znaczyło dawniéj tyleż co dziś *odpowiedzialny*, albo *odpowiadający za coś* (verantwortlich, Rede stehend); sens ten ulotnił się zeń zupełnie; *odpowiedni* jest dziś bliskoznacznikiem *stosownego*, *właściwego*, *podług miary będącego* (angemessen), *symetrycznego*. Dla czego zaś w tém nowém znaczeniu mięka końcówka nadaje się lepiéj niż twarda? To jest już tajemnica fonologii mowy, wyrozumować się nie dająca. Takich tajemnic ma ona dosyć. Przytoczymy jednę nader oryginalną. *Wiatr* ma niewątpliwie i bezwyjątkowo 2-gi przypadek *wiatru*; a jednak w znaném przysłowiu „szukaj *wiatra* w polu!“ pedanteryą byłoby trzymać się postaci prawidłowéj *wiatru*: przysłowie straciłoby od tego ironiczną barwę i moc.

Myli się p. W. twierdząc; że w Królestwie wyraz *ordynaryjny* wyszedł z użycia, a zastąpiony został przez *ordynarny*. Tak nie jest; i tu zmiana postaci zaszła razem ze zmianą znaczenia. Używamy *orydnaryjny* w znaczeniu *ordinaire*, *ordentlich*, np. profesor ordynaryjny, tj. etatowy, dział ordynaryjny budżetu, obejmujący dochody lub wydatki stałe, pewne, coroczne, dla odróżnienia od extraordynaryjnego, w którym mieszczą się rubryki i pozycye nadzwyczajne, jednorazowe lub czasowe. *Ordynarny* zaś oznacza grossier, commun, vulgaire. Ordynarny chłop, ordynarne obuwie, ordynarne jadło.

Podzielając w zupełności potępiający sąd autora o pretensyonalném nazywaniu malowideł *płótnami*, dodamy, że jest to galicyzm, jak mnóstwo podobnych w mowie naszéj. Od dosyć dawna francuzcy recenzenci wystaw artystowskich wprowadzili *toile* w miejsce *tableau* lub *peinture*, a nasi krytycy nie mogli tak postępowéj oprzéć się nowości. Nazywanie obrazu *płótnem* stało się niemal cechą głębszego znawstwa (t. j. pretensyi do niego). Obawia się nie jeden literat być podejrzanym o płytkość sądu, o brak kwalifikacyi krytycznych pomiędzy bracią, gdyby mienił obraz obrazem. Ale szczęściem śmieszna ta moda nie wykracza po za szpalty gazet; publiczności się ona nie udziela, w mowę ustną nie przechodzi; zniknie więc zapewne po cichu, jak się po cichu wkradła.

Przenosić się i *przenosiny* w znaczeniu zmiany siedziby czy mieszkania, są to wyrażenia bardzo dobrze w Królestwie znane i używane; zwłaszcza gdy się rzecz nie w obrębie miasta odbywa. Zdaje nam się, że *przeprowadzka* jest terminem tylko warszawskim. *Przeprowadzać* (bez *się*) w tém znaczeniu co litewskie *przepuszczać*, nie używa się u nas wcale, jak mylnie powiada p. W. Mówimy w takim razie *odprowadzać* (Odprowadzaliśmy brata do saméj stacyi. Niech się Pani nie obawia o późną godzinę: odprowadzimy ją do mieszkania. Muszę jeszcze pójść odprowadzić żonę z teatru. Ciemno już: nie można tych dzieci samych puszczać do domu; trzeba je odprowadzić. Stryj wczoraj wyjechał; odprowadziliśmy go aż za rogatki i t. d.). W szczególnych tylko wypadkach, gdy idzie o pewną określoną miejscowość i przestrzeń, używamy *przeprowadzać*; np. „przeprowadź tę dziewczynkę przez podwórze, bo tam jest zły pies; przez ten las muszę cię przeprowadzić, bo byś mógł zabłądzić. Przeprowadź mię tylko przez tę plątaninę ulic i zaułków do mostu: dalej trafię sam i t. p.“ Choć i w tych zdaniach mógłby być wyraz *odprowadzać* bez błędu użyty.

Mówiąc o *ręku*, zaznacza p. W., że dwie tylko postacie liczby podwójnéj tego wyrazu pozostały: *ręku* i *rękoma*. Ależ *ręce* jako piérwszy przypadek jest także postacią liczby podwójnéj; bo nie masz w języku naszém rzeczownika na *ka*, któryby miał taką liczby mnogiéj postać; wszystkie bez wyjątku mają na *ki*, żadne na *ce*. Nie godzimy się též z autorem na to, aby można pisać lub mówić „wydarto z *ręku*,“ a nie z *rąk*: w ogóle ażeby *ręku* mogło drugi przypadek wyrażać. Wątpimy czy sam p. W. mówi, „wypadło mi z *ręku*, wziąłem do *ręku*, doszło do moich *ręku*. Cytowaliśmy już wyżéj używane dawniéj powszechnie adresowanie listów: do *rąk* W-go i t.d. Nikt nigdy nie adresował do *ręku*.

Nie radzi jesteśmy bynajmniéj galicyzmom; wszakże wpływ wiekowy towarzyskości, wychowania i piśmiennictwa francuzkiego tak mocne i gęste wycisnął i wyciska na nas ślady, że ich wszystkich przy największéj gorliwości zatrzéć i pozbyć się już niepodobna. Więc i niektóre użycia wyrazu *robić* w znaczeniu *faire* pozostaną, bo się utarły, i nawet uzasadniły. Gani p. W. wyrażenie *robić* znajomości, skoro mamy *zabierać* i *zawierać*. Jest to racya; ale trzeba mieć wzgląd i na inną. Oto kiedy mówimy: „będąc w Paryżu *porobiłem* dużo znajomości,“ to podobno dla tego, żeśmy tych znajomości ani *pozabierali*, ani *pozawierali*. Te ostatnie dwa wyrazy wydały się nam za uroczyste, za poważne dla przemijających spotkań; woleliśmy tedy powiedzieć z francuzka: *porobiłem* znajomości. Zachodzi tu więc odcień znaczenia, który mógłby być oddany przez *poznajomiłem* się z mnóstwem osób, *otarłem* się o wielu ludzi, lub coś podobnego. Dbając o swój język i mając myśl nieustannie w tym kierunku przytomną, możnaby największéj części galicyzmów uniknąć; ogół jednak do takiéj baczności zdolnym nie jest; zamiast szukać i dobiérać wyrazów swojskich, woli łapać blizko nastręczające się obce, które mu od dzieciństwa wbijano; a że jest liczbą, większością, więc w drodze zwyczaju przegłosuje oświeceńszych. Są jednak jak wspomnieliśmy i uzasadnione galicyzmy; do takich zaliczamy „*robić* sprawunki.“ Równie dogodnego innego wyrażenia nie znajdzie na to p. W. „Muszę jeszcze *porobić* sprawunki; czyś już *porobił* sprawunki? i t. p. Jakże to inaczéj a równie krótko i trafnie powiedzieć? *Robić honory domu* dziko wygląda niewątpliwie; lecz i to prawda, że nie wyraża ono tego samego co „przyjmować, albo bawić gości.“ Wyraża inne względy, które wyrażonemi być potrzebują, i gdybyśmy się całkiem po francuzku nie uczyli, tobyśmy na jakiś odpowiedni swojski termin wpadli. W wielu razach wystarczy *zastępować gospodarza* (lub gospodynią); ale nie zawsze.

Przemiana *rząd* na *rzęd* (w znaczeniu szeregu, kolei), zdaje nam się zupełnie naturalną i usprawiedliwioną językową ewolucyą: po cóż bowiem zmieniwszy już całą deklinacyą utrzymywać w jednym tylko piérwszym przypadku l. p. tę wspólność postaci w oznaczaniu pojęć tak od siebie odległych?

Niedokładną jest obserwacya pana W., iż wyrazy *tęgi* i *tęgość* używają się w Królestwie tylko w materyalném znaczeniu. Równie często mówimy tu i piszemy: *tęgi* charakter, *tęga* głowa, *tęgość* w postępowaniu, w zachowaniu się, w prowadzeniu rzeczy, w kierownictwie (w znaczeniu francuzkiego *fermeté*).

Nie ma też słuszności autor „Błędów,“ potępiając użycie wyrazu *żaden* bez przeczenia w znaczeniu *nullus*: t. j. nic nie warty, nic

nie znaczący, żadnéj wagi nie mający. Nie możemy się wyrzec wyrażeń tak dobitnych i zwięzłych jakiemi są: „to *żadna* racya! to *żaden* dowód! to *żadna* pomoc!“ albo: „Czy złożył jaki dowód? — żadnego!“

Dziwimy się, że p. W. nie słyszał *zbić z pantałyku* nigdzie indziej prócz na Litwie, gdy ono wszędzie jest znane; choć prawda że całkiem zbyteczne: bo mamy dwa według potrzeby trafne i zrozumiałe wyrażenia: zbić z *terminu* i zbić z *tropu* lub z *toru*.

Narzędzie do prasowania bielizny zowie się i w Królestwie *żelazkiem* a nie *żelazem*; ten ostatni wyraz służy tylko podobnemuż narzędziu krawieckiemu, ogrzewającemu się bezpośrednio: t. j. bez duszy.

Nie zgadzamy się z panem W., iżby wyrażenie *na ziemię* w znaczeniu kierunku i zmiany miejsca było błędne, skoro rzecz nie wymaga wyszczególnienia, czy to była podłoga, czy posadzka, czy asfalt, czy bruk, czy żwirówka.

Lubo ograniczyliśmy uwagi nasze do wyrazów i wyrażeń w drugiem wydaniu „Błędów“ przydanych, jednak pozwolimy sobie wyjść za ten zakres w jednym ważnym punkcie: mianowicie w materyi odmiany nazwisk naszych nieprzymiotnikowych dla oznaczenia żon i córek; za czém p. W. tak gorąco obstaje. Sądzimy, iż przemagające że tak powiemy unieruchomienie tych nazwisk (z małemi wyjątkami) jest wynikiem pewnych zmian wyobrażeń i stosunków społeczno-obyczajowych, które się w języku odbić musiały. Coraz większa ilość naturalizowanych u nas obcych nazwisk, nie dających się zręcznie podług naszych form wyginać, coraz częstsze stosunki z obcymi odmian takich nieznającymi, podwyższone towarzyskie stanowisko kobiét i panien, wpływ ogólny Zachodu, większe wymagania eufonii,—wszystko to złożyło się na zarzucenie nazwiskowych odmian, pospolicie szorstkich i dla uszu nie miłych. Żadna powaga dawnych zwyczajów, żadne argumenta logiczne i gramatyczne tego prądu nowych względów nie przemogą. Możemy na poparcie tego przytoczyć fakt nieodwołalny. Istniały u nas odmiany nazwisk nie tylko dla żon i córek, lecz i dla synów, i nietylko nazwisk nieprzymiotnikowych, lecz nawet i najliczniejszych przymiotnikowych. W młodocianych latach naszych (będzie temu około półstulecia) słyszeliśmy w osadach drobno-szlacheckich i w małych miasteczkach takie odmiany nazwisk, jak: *Zaleszczak* i *Zaleszczanka*, *Kamińszczak* i *Kamińszczanka*, *Domańszczak* i *Domańszczanka* i t. d., dla oznaczenia synów i córek Zaleskich, Kamińskich, Domańskich i t. d. Temi czasy nie spotykamy się już z tém nigdzie; choć być może, iż się te prastare formy jeszcze gdzie w zakątkach prowincyi kołaczą. To pewna, że w piśmie, w obcowaniu klas ukształceńszych i w większych

miastach w ogólności znikły doszczętu (zdaje się, że autor „Błędów" nie wiedział o nich wcale) (1). A przecież możnaby było bronić ich temi samemi argumentami, które wyprowadza p. W., zalecając utrzymanie odmian w nieprzymiotnikowych nazwiskach. Prawda że język, jako żywy organizm nieskończenie jest w ukształtowaniu swojém rozmaity; potrzebuje zawsze wyjątków i niewielkiéj tylko liczbie absolutnych prawideł się poddaje. Więc obok powszechnego uznania i utrzymania odmian żeńskich w nazwiskach naszych przymiotnikowych, które przetrwają dopóty, dopóki mowa nasza trwać będzie, mogą się téż utrzymywać nadal i niektóre odmiany nazwisk nieprzymiotnikowych, zwłaszcza świetniejszych, i gładziej brzmiących (jak: Sapieżyna, Sapieżanka, Zarembina, Zarembianka, Sanguszkowa, Sanguszkówna, Chodkiewiczowa, Chodkiewiczówna); ale żeby się mogły ostać Haraburdziny i Haraburdzianki, Kiszczyny i Kiszczanki, Ważyny i Ważanki, Szyrminy i Szyrmianki, Pluciny i Plucianki, a cóż dopiéro Blumberżyny i Fomberżyny z Blumberżankami i Fomberżankami, o tém powątpiewamy jaknajmocniej; bo to coraz mniéj do dzisiejszego obcowania towarzyskiego, do form grzeczności i do uszu naszych przypada; osobliwie téż w nazywaniu panien. Zwracamy uwagę pana W., iż formy te w zakończeniach swych jednobrzmienne z wyrazami pospolitemi takiemi jak: *kobiecina*, *człowieczyna*, *głowina* (zwykle z przymiotnikiem *licha*), *surducina*, *sukienczyna*, *bazgranina*, *gadanina*, *oklepanka*, *zalecanka*, *pogadanka*, *hulanka*, nabrały ztąd pewnego niepoważnego i zbyt poufałego odcienia, który je w grzecznėm nazywaniu osób niezręcznėm czyni. To téż najdaremniéj usiłowały niektóre pisma warszawskie — i usiłują jeszcze — mianować znaną artystkę tutejszego teatru *Deryńżanką*. Publika tego stanowczo nie aprobuje i nie przyjmuje — chyba żartując.

Wypowiedziawszy w czém się różnimy od autora „Błędów" i uzasadniwszy różnice opinii naszych według możności, kończymy upewnieniem, iż najszczerzéj podzielamy jego intencye i większą część jego przestróg; a zatém drugiemu wydaniu jego pracy życzymy powodzenia równego temu, jakiego piérwsze dostąpiło.

---

(1) W klasie jednak włościańskiéj utrzymują się do téj chwili odmiany nazwisk dla synów; nie tylko dla córek i żon. Jeleniakiém, Szelążakiém, Mrówczakiém, Grudziakiém, zowie się syn Jelenia, Szeląga, Mrówki, Grudy i t. d. Nikomuby już chyba nie przyszło na myśl zalecać te odmiany klasom społecznym na wyższym stopniu ogłady towarzyskiéj stojącym, a dla czego? prosimy pana W. nad tém się zastanowić.

A. A. K.

Socyalizm jako objaw choroby społecznéj. Zarys ustroju społecznego i krytyczną odprawę socyalizmu, skreślił Dr. Juliusz Au. Poznań 1878 (str. XI i 188. Cena rs. 1 kop. 65.).

Herbert Spencer w swoim „Wstępie do umiejętności społecznéj“ (Socyologii) słusznie zauważył, że popularność i pozorna prostota kwestyi społecznych, upoważniająca niejako do rozprawiania o nich niemal każdego, stanowi jednę z głównych trudności naukowego ich zbadania i wykorzenienia mnóstwa szkodliwych przesądów. Podczas gdy marzycielskie pomysły profanów w dziedzinie każdéj innéj nauki np. nauk przyrodniczych, mechaniki, techniki i tp. za żart jedynie poczytywane, bywają, podobne wybryki fantazyi w sferze zjawisk społecznych poważnie brane są pod uwagę i zyskują nawet zwolenników, którzy według nich pragną oceniać i reformować istniejący porządek rzeczy. Tęż samą uwagę wypowiada Dr. Juliusz Au, przystępując do krytycznego rozpatrzenia socyalizmu, jako objawu choroby społecznéj. Brak wpośród ogółu zdrowych, naukowych wiadomości o ustroju społecznym i jego prawach, przyczynia się według niego, niemało do rozpowszechnienia błędnych teoryi, łudzących swémi pozorami, a pozbawionych wszelkich racyonalnych podstaw.

Że tak jest w rzeczywistości zaprzeczyć niepodobna. Dla tego téż praca pana Aua, mająca za zadanie wskazanie owych racyonalnych podstaw społecznego ustroju i krytyczną na ich podstawie ocenę teoryi socyalistycznych, zwłaszcza najnowszych, w samą porę się pojawiła i prawdziwą lukę w naszéj literaturze wypełnić się stara. Jakkolwiek kwestya socyalna obecnie jeszcze ma dla nas jedynie teoretyczne znaczenie, a nawet o ile można sądzić, nie znajdzie u nas wcale odpowiedniego do działania gruntu, to przecież zaognienie się jéj w różnych miejscowościach Europy budzi, i budzić musi powszechny interes. A tymczasem publiczność zna socyalizm raczéj z imienia niż z treści, raczéj z gwałtownych wybryków niż ze stałego, systematycznego programu. Taka powierzchowna z nim znajomość jest najszkodliwsza; wszystko co nieznane i dalekie a głośne i ruchliwe, skłonni są ludzie otaczać pewnym urokiem; wszystko co gotowe do walki budzi mimowolne zajęcie, zwłaszcza jeźli cel walki i plany szermierzy są tajemnicze.

Zwróciwszy w krótkim wstępie uwagę na groźną postawę obecnego socyalizmu i poparłszy ją kilku cytatami z odezw głośniejszych jego przywódzców, przedstawił p. Au w rozdziale piérwszym streszczenie systematu socyalistycznego, co do głównych reform i środ-

ków ich wykonania. Powszechne prawo do pracy i przyznanie jéj jednéj, zasługi w wytwarzaniu bogactw, zniesienie prywatnéj własności ziemi i w ogóle środków do pracy, uorganizowanie państwowe téjże, obalenie religii i uczucia narodowego, zniesienie pieniędzy oraz reforma w stanowisku kobiét i w stosunkach małżeńskich, oto główne cele socyalizmu; agitacya przeciwko kapitalistom i to głównie wśród ludności miejskiéj, oraz zyskanie przewagi w ciałach prawodawczych, oto jego środki.

Rozdział drugi zawiera pobieżny rys historyczny teoryj komunistycznych i socyalistycznych. Rzecz ta traktowana jest, jak dla osób z przedmiotem nieobeznanych za krótko, i stanowić może raczéj przypomnienie ważniejszych momentów w dziejach tych teoryi dla znających je, niż naukę dla nieznających. Nie można się zgodzić z autorem na wypowiedziane na czele tego rozdziału zdanie, że „kwestya socyalna stara jak świat,“ i że początek jéj tkwi już w walce dwóch dzikich wydzierających sobie zdobycz. Jest to pomieszanie pojęć i zaciemnienie kwestyi. Wprawdzie główny grunt teoryi socyalistycznych, t. j. nierówność majątkowa istniała od wieków, wprawdzie były tu i owdzie w teoryi lub nawet w praktyce przykłady dążenia do pewnéj równości, lecz były to zjawiska sporadyczne, oderwane, nie przejmujące nas i nie stanowiące ogólnego nastroju, tego, co duchem czasu nazywamy. W kwestyi socyalnéj nie to jest ciekawe i groźne, że ten lub ów marzy sobie o równości, ale to, że podobne marzenia stały się hasłem całych mas, że pod ich sztandary zaciągnęły się nie wyjątkowe, wybujałe po nad potrzeby życia codziennego jednostki, ale gromady normalne, do życia praktycznego nawykłe i w jego imię występujące. Brak tego rozróżnienia nie dozwoli nigdy zdać sobie dokładnéj sprawy z natury kwestyi, bo ogólnikowemi i na pozór głównémi, a w gruncie rzeczy podrzędnémi przyczynami, zakrywać będzie bezpośrednie. W tymże rozdziale p. Au porównywa wraz z Walckerem socyalizm, jako ideologią robotniczą z ideologiami innych klas społecznych z feodalizmem, hierarchizmem, biurokratyzmem oraz ze szkołą bezwględnych protekcyonistów, i szkołą ekonomiczną Manchester. Szkoda, że podobieństwo to nie zostało dokładniéj dowiedzione, bo przyznam się, że niewiem na czém może polegać. Co do obu przytoczonych szkół ekonomicznych można jeszcze po części się zgodzić, ale jedynie w najmniéj charakterystycznem znaczeniu socyalizmu, t. j. że jak owe, jest teoryą obstrakcyjną, doktrynerską, nie opartą na podstawach rzeczywistych warunków życia. Ale żeby miał być w czemkolwiek zbliżony z feodalizmem, biurokracyą i hierarchizmem, żeby te ostatnie miały być ideologiami, tego zrozumieć nie podobna bez bliższego wyjaśnienia.

Socyalizm jest ideologią, bo powstał na drodze spekulacyi, aprioryetycznie, i gotowy już w teoryi przeniesiony został na pole praktyczne. Feodalizm zaś, biurokratyzm i hierarchizm są systematami czysto praktycznego pochodzenia; powstały bezwiednie, historycznie i z życia przeszły do teoryi, w któréj zresztą nigdy wybitniejszego nie zyskały stanowiska.

W tymże drugim rozdziale zamieścił pan Au rzut oka na przebieg historyczny kształtowania się stosunków społecznych pod względem własności i położenia klasy robotniczéj, w celu przeciwstawienia go teoryom socyalistycznym. Ustęp ten, acz krótki, odpowiada w zupełności celowi. Autor korzysta z przeszłości zgodnie z obecnemi wymaganiami nauki; pragnie w niéj wykryć nić przewodnią, prawo naturalne postępu, ażeby tą drogą spojrzéć w przyszłość. W tym przebiegu dziejowym słusznie widzi dążenie od wspólności do własności indywidualnéj, od niewoli do wolności, od ubóstwa do dobrobytu. Przesadne deklamacye socyalistów, zestawiających smutne położenie obecnego robotnika fabrycznego ze średniowiecznym rzemieślnikiem, błądzą używając do porównania rzeczy różnorodnych. Porównywać trzeba i można jedynie byt robotników w starożytności (niewolników) w wiekach średnich (poddanych) i obecnych, a wtedy rezultat wypadnie stanowczo przeciwny twierdzeniom socyalistów.

Rozdziały III, IV, V, VI, VII i VIII bliższego rozbioru nie potrzebują. Wykłada w nich autor ogólną teoryą ustroju społecznego, zwłaszcza pod względem ekonomicznym, chcąc tym sposobem podać czytelnikowi zdrowe ziarno nauki, jako kryteryum do oceny fantastycznych mrzonek socyalizmu. Są to rzeczy znane lecz dla szerszego koła czytelników bardzo pożyteczne. Autor przedstawił je jasno i przystępnie, chociaż może w niektórych punktach zbyt pobieżnie.

W rozdziale dziewiątym spotykamy się z krytyką teoryi socyalistycznych, a raczéj dzieła głównego obecnego przedstawiciela socyalizmu Karola Marxa („Das kapital. Kritik der politischen Oekonemie 1873.). Wykazawszy błędy logiczne Marxa w jego wywodzie powstawania wartości, według którego cały przybytek jéj uznany został za sprawę pracy, z zupełném wykluczeniem z udziału w téj czynności kapitału, rozbiera p. Au główne wyniki teoryi socyalistycznéj: organizacyą pracy, własność wspólną środków do pracy, zastąpienie pieniędzy bonami za czas pracy i ogólny podział zysków według owych bonów. Wysoka niepraktyczność tych środków i antycywilizacyjne ich następstwa, dały autorowi bogaty materyał do ich krytyki. Nie sądzę jednak ażeby trafnie było dokonane w tym rozdziale zestawienie Marxa z Hartmanem, twórcą nowéj pessymistycznéj teo-

ryi filozoficznéj. Przedewszystkiém p. Au powierzchowne tylko rysy teoryi Hartmanna uchwycił, i nie ma słów na potępienie jego „materyalistycznych“ poglądów. Komentując dowolnie oderwany ustęp z téj teoryi dochodzi do wniosku, że jest ona wcieleniem zasady „siła przed prawem,“ że usprawiedliwia, a nawet popiéra podboje, mordy i zniszczenie. Lecz pominąwszy już błędne zrozumienie teoryi Hartmanna, nie rozumiem w czém mógłby zachodzić związek pomiędzy nim a systematem Marxa. Sądzę, że stanowią oni raczéj antytezę niż podobieństwo, bo Marx malując w czarnych kolorach obecny stan rzeczy, widzi przed sobą wschodzącą jutrzenką lepszéj doli, któréj teoryą swą pragnie przygotować drogę, występuje więc jako krańcowy optymista co przyznaje sam pan Au. Podobieństwo obu leży według pana Au w tém, że oba kreślą obraz społecznéj walki o byt: Hartman politycznéj, Marx zaś ekonomicznéj. Lecz wszakże oba czynią to w innym zupełnie duchu; Hartman uważa ją za konieczny, prawidłowy bieg rzeczy, za wynik nieodwołalny prawa rozwoju wszechświata, Marx przeciwnie widzi w niéj chorobliwy objaw społeczny, który ma upaść z nastaniem epoki socyalizmu. W ogóle całe wplątanie Hartmanna i jego teoryi do dziełka pana Au'a jest niefortunne i bezcelowe.

Nakoniec w rozdziale dziesiątym przechodzimy do środków zaradczych przeciwko szerzącéj się socyalistycznéj epidemii. Zanim jednak o tém parę słów powiem, zwrócić się muszę do kwestyi najważniejszéj, któréj autor rozbieranéj rozprawy w kilku miejscach swéj pracy dotykał, a mianowicie do przyczyn socyalizmu. W ogóle socyalizm nie wszędzie jednakowo się przedstawia, i to co o nim pisze pan Au dotyczy głównie Niemiec. Ztąd téż i jedna z przyczyn anormalnego stanu społecznego w czasie obecnym, którą autor najgruntowniéj i najlepiéj przedstawił, odnosi się do tego kraju. Stanowią ją nadzwyczaj częste przesilenia przemysłowo handlowe, wywołane nieodpowiednim stosunkiem produkcyi do zużycia, a przedewszystkiém rozgałęzionym szałem giełdowym. Cały ustęp temu przedmiotowi poświęcony (str. 125—136) należy do najlepszych części książki. Za to wykazanie ogólnych przyczyn obecnego rozwoju socyalizmu stanowi słabą jéj stronę. Co do okoliczności wywołujących dążenia socyalistyczne w jednostkach, słusznie mówi pan Au, że należy do nich zarówno brak kultury jak chorobliwie rozwinięta kultura, zazdrość równie jak litość. Lecz gdy idzie o wykazanie przyczyny ogólnego nastroju spotykamy następujący, niezrozumiały ustęp (str. 7): „Materyalizm XIX wieku siłę brutalną wyżéj prawa stawiający, co podeptał wszystko idealne lub ideą frymarczył, ze sfer najwyższych przechodząc koleją od giełdowéj haute finance do śre-

dniego stanu, wszędzie zarazę szerząc, brudném swém tchnieniem sięgnął aż do najniższych warstw społeczeństwa i tu najwyuzdańsze przybrał kształty, a skrystalizował się jako wrogi społeczeństwu, wrogi ludzkości, postępowi i cywilizacyi socyalizm.“ Wyznaję, że takie połączenie różnych pojęć nietylko jako wyjaśnienie socyalizmu, ale nawet samo w sobie jest dla mnie niepojęte. W inném miejscu (str. 166) schodząc na grunt praktyczniejszy, widzi autor przyczynę socyalizmu w nizkiéj płacy i złym stanie klasy robotniczéj w obec zbytku innych, w braku oświaty i zachwianéj religijności, do czego przyczyniło się wciągnięcie robotników do sporów religijnych w celach stronniczych, wreszcie w odosobnieniu ich towarzyskiém i intelektualném. Lecz przyczyny te nie wyjaśniają stanu sprawy, bo przecież, jak sam p. Au dowodzi w czasach dawniejszych było jeszcze pod témi względami gorzéj.

W środkach zaradczych nie był również pan Au bardzo szczęśliwy. Słuszne jest żądanie zaprowadzenia jaknajdokładniejszéj statystyki ekonomicznéj w państwach, lecz to będzie dopiéro środkiem do gruntowniejszego zbadania potrzeb, i wyjaśnienia przyczyn nie zaś do zaradzenia złemu. Zalecane przez autora środki państwowe, jak np.: kontrola rządowa po fabrykach, zatrudnianie robotników w czasie bezrobocia i t. p., były i są praktykowane zwykle bezskutecznie, a w każdym razie nie usuwają złego radykalnie. Pomijając nawet uznaną niepraktyczność tych środków, p. Au proponując je, staje w sprzeczności z samym sobą. Uważając bowiem za główną wadę w systematach socyalistycznych, a nawet za jednę z przyczyn socyalizmu wszechwładzę państwa (str. 161, 162), podaje ją ze swéj strony jako środek przeciwko socyalizmowi. Inne środki jak rozszerzanie oświaty w kierunku ogólno kształcącym (przygnębionym obecnie przez czysto fachowy), moralne oddziaływanie społeczne i podniesienie religijności, zbyt są ogólnikowe, żeby je można było uważać za właściwe, specyalne środki antysocyalistyczne.

Zresztą, przyznać należy, że niepodobna téj niedokładności we wskazaniu środków zaradczych poczytywać za winę autorowi. Nie można wymagać za wiele. Sprawa sama przez się nie jest łatwa do stanowczego rozstrzygnięcia jednym zamachem, tembardziéj, że w propagandzie socyalistycznéj, pod pokrywką idei ogólnéj ważną rolę odgrywa zła wola, w egoistycznych pobudkach źródło swe mająca. Nauka wiele robi szerząc zdrowe zasady ustroju społecznego, mające służyć za puklerz przeciwko niepraktycznym utopiom. Z tego powodu książce pana Au należy się zupełne uznanie. Autor stojąc na stanowisku pozytywném, nie dał się unieść krańcowym kierunkom, czuć przeto z jego pracy bezstronność, która jest zawsze

najdzielniejszym orężem w ręku krytyka. Jest ona naukową oceną socyalizmu nie zaś pamfletem i dlatego życzyćby należało, ażeby zyskala jaknajszersze koło czytelników.

K. Dunin.

Archiwum do dziejów oświaty w Polsce, wydawane przez Komisyą do badań tego zakresu, przez Wydział filologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie powolaną. Tom I, Kraków nakladem akademii, 8º Maja str. VI i 378.

Jak z samego tytułu domyślać się można wydawnictwo, które rozpoczyna niniejszym tomem nowo utworzona komisya, zawierać będzie zbiór materyałów do historyi oświaty w Polsce, do zakresu więc wiedzy dotąd dosyć skąpo tak pod względem materyałów jak i opracowań w naszéj literaturze reprezentowanego. Nad ważnością podobnego wydawnictwa, zdaje się, rozwodzić się nie potrzeba, życzyć sobie tylko należy, żeby to archiwum ciągle wzrastało, jak również żeby nowa komisya nie tylko w tym kierunku działalność swoję ujawniała.

W skład niniejszego tomu wchodzą: „a) statuta collegii majoris uniwersytetu Jagiellońskiego, b) statuta collegii minoris tegoż uniwersytetu, c) statuta facultatis theologicae studii Cracoviensis, d) wizyta szkół przez księdza Hołowczyca z rozkazu komisyi edukacyjnéj przedsięwzięta, e) zapiski i dokumenta do dziejów instrukcyi publicznéj w Polsce od 1812—1831, f) przyczynek do początków romantyzmu w Polsce w rozprawie Fr. Wężyka o poezyi dramatycznéj i zdaniu sprawy o niéj przez komisyą Towarzystwa przyjaciół Nauk w Warszawie; g) bibliografia historyi literatury ubiegłego roku.“

Z tego przeglądu widać, że treść niniejszego tomu jest dosyć różnorodną. za różnorodną może nawet: z obfitego materyału, który komisya miała w swojém rozporządzeniu (zob. str. V przedmowy), można by ułożyć tom bardziéj jednolity, kierując się wprost względami chronologicznemi, lub téż lepiéj jeszcze podając w jednym tomie materyaly ściśléj pokrewne między sobą, albo do jednéj kategoryi, instytucyi naukowéj itp. odnoszące się; ponieważ każdy tom wydawnictwa stanowić ma sam w sobie całość, wspomniana powyżéj okoliczność zasługiwać by powinna na uwzględnienie.

Co się zewnętrznéj strony wydawnictwa tycze, jest ona piękna, nawet ozdobna, wewnętrzna za to pozostawia dosyć do życzenia. Pominąwszy rzeczy pomniejsze, rzuca się przedewszystkiém w oczy, po wzięciu dzieła do ręki, brak pomocy do zoryentowania się lub do-

kładnego przeświadczenia, co się w tém dziele znajduje. Nie tylko bowiem komisya nie uważała za stosowne zaopatrzyć tom w indeks lub indeksy (osób, miejscowości i materyj) co jest rzeczą w podobnych razach niezbędną, ale nawet nie dodała najzwyklejszego „spisu rzeczy.“ Wprawdzie gdzieś na końcu przedmowy można się doczytać, co się w dziele znajduje, ale ten wykaz przytoczony wyżéj dosłownie za „spis rzeczy“ przecież uchodzić nie może, gdyż w nim 1) obok tytułów zabytków nie postawiono (również jak i w samém dziele) lat, z których one pochodzą; 2) wyliczono w nim zabytki w innym porządku niż się w dziele znajdują i 3) nie podano stronnic dzieła, na których każdy z nich odszukać by można.

Spodziewać się należy, że nastepne tomy wydawnictwa wymaganiom metody więcéj odpowiadać będą, że komisya dla historyi oświaty w Polsce, uważać będzie za obowiązujące przepisy, co do wydawania materyałów, przyjęte i ogłoszone drukiem przez komisyę historyczną, czego przestrzegać będzie tém łatwiéj, że niektórzy członkowie téj ostatniéj należą również do składu pierwszéj.

T. Wierzbowski.

Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące, tom I. Andrzeja na Więcborku Zebrzydowskiego, biskupa wrocławskiego i krakowskiego korespondencya z lat 1546—1553 z przydaniem synodów z r. 1547 i 1551, jakotéż innych dokumentów współczesnych, wydana przez Dra. Władysława Wisłockiego. Nakładem Akademii Umiejętności (z funduszu po Breidkreiczu), Kraków, 1878 4^{0} str. XXXII i 579.

Komisya historyczna akademii umiejętności, najwięcéj ze wszystkich innych składająca dowodów swojéj pracy, rozpoczęła znowu nowe wydawnictwo, które pod ogólnym tytułem „Acta historica res gestas Poloniae illustrantia“ czyli „Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące“ zawierać będzie zbiory dyplomatycznych materyałów do dziejów Polski w latach 1506—1796.

Bogactwo materyału, w niniejszym tomie do rąk badaczów podanego, dobrze zapowiada i wiele obiecywać sobie pozwala po całém wydawnictwie. Obejmuje on 815 listów Zebrzydowskiego z lat 1546—1553, wziętych ze współczesnego własnością biblioteki Jagielońskiéj będącego kopijaryusza (pisanego przez znanego Antoniego Patrycyusza Nideckiego) tudzież 62 listy i pomniejsze zabytki, ze-

brane przez wydawcę z innych archiwów i rękopismów tejże biblioteki, z lat 1527—1560.

Niepodobna w krótkiem sprawozdaniu podawać bliższą treść tak bogatego materyału lub omawiać choćby i główniejsze kwestye, które rozświeca. Faktem jest tylko, że materyał ten nie tak prędko dla dziejów da się wyczerpać. Oczywiście do historyi Andrzeja Zebrzydowskiego przedewszystkiém i głównie on się odnosi; na jego podstawie dopiéro można będzie napisać monografią, przynajmniéj w ciągu lat kilkunastu dokładnie przedstawiającą nam tę historyczną postać; praca taka zapewne się téż pojawi, i konieczną jest nawet tak ze względu, że ma ona być przyczynkiem do historyi wzrostu religijnego ruchu, jako téż, że ostatecznie może i powinna rozstrzygnąć różność zdań i rozmaite sądy o Zebrzydowskim. Nie tylko jednak, co się Zebrzydowskiego tycze, materyały wydane prze p. Wislockiego obfitują w dane. Jest w nich wiele ważnych i ciekawych szczegółów o innych wydatnych, Zebrzydowskiemu współczesnych, osobistościach, o wypadkach zewnętrznéj i wewnętrznéj polityki, historyi kościelnéj i religijnéj, stosunku wyższego i niższego duchowieństwa, stanie jednego i drugiego i t. d. i t. d.

Co się tyczy oddania textu i sposobu wydania, to wydawca ogólnie przyjętym zasadom i wymaganiom starał się zadosyćuczynić. Szkoda tylko, że wydawca nie motywował dat, postawionych przez siebie przy tych listach, które ich nie mają; byłoby to korzystném dla tych, którzy ze zbioru korzystać będą, a jemu przyszłoby to łatwiéj, jako wtajemniczonemu lepiéj w genezę rękopiśmiennych materyałów, które oddrukowywał, w treść samą listów i t. d. W indeksie podane liczby odnoszą się nie do stronnic, lecz znaczą numera listów; w danym razie podobny sposób jest praktyczniejszy z tego względu, że mamy w tomie niemal dwa razy tyle stronnic ile listów (na jednéj stronnicy mieszczą się niekiedy dwa lub trzy listy); przy obszerniejszych jednak dokumentach jak n. p. Nr. 846 (Instructio nuntiis capituli Cracoviensis ad synodum a. 1551 data), mającym 22 stronnic, lub następnym (Juramentum episcoporum in synodo provinciali), mającym 14 stronnic, niezbędném było w indeksie przy nazwiskach osób i miejscowości obok numeru dokumentu podać w nawiasie i numer stronnicę wskazujący.

W podobnych większych zbiorach korespondencyj niezbędném także, według mego zdania, bo wielce ułatwiającém poszukiwanie, jest podać po spisie chronologicznym drugi spis albo wykaz (w alfabetycznym naturalnie porządku): które listy pisze do kogo osoba główna i które przez innych do osoby głównéj pisane n. p.

Zebrzydowski do Dzierzygowskiego Nra: 4, 27, 33, 37 i t. d.
„ „ Uchańskiego Nra: 582, 587, 620, 725.
Zebrzydowski do Zygmunta I Nra; 16, 34, 39, 43, 45, i t. d.
i viceversa: podobny wykaz listów *do* Zebrzydowskiego pisanych.

Przy następnych kilku tomach tego wydawnictwa, mających zawierać ogromną korespondencyą kardynała Hoziusza, wykazy takie będą jeszcze potrzebniejsze, życzyć więc sobie należy, ażeby one tam wprowadzone zostały.

Teodor Wierzbowski.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

P. Łamański et consortes.—Kwestya żydowsko-niemiecka.—„Studya bezpośrednie.“—P. Koczubiński.—Symptomata epidemii umysłowéj.—Sprawa p. Jackowskiego.—Nowa teorya władzy sądowéj. - Odpowiedź pana H. W.

Dają się słyszeć głosy, że od niejakiego czasu na zachodzie mniéj się niż przedtém nami zajmują. Los widocznie, chcąc nam osłodzić to zapomnienie, zdarzył, iż na przeciwnym końcu Europy, jesteśmy obecnie niewyczerpanym tematem „studyów“: nasza przeszłość, stan obecny i przyszłe perspektywy rostrząsane są tam często, a jeśli rozprawom tym nie raz brakuje głównéj podstawy, bo faktycznéj świadomości rzeczy, wynagradza za to sowicie pewien ferwor wojacki i naiwna wiara, że każda kwestya jest tylko węzłem gordyjskim, który po macedońsku zawsze się daje rozwiązać. Gdyby te debata dotyczyły tylko przeszłości, możnaby bezpiecznie pomijać je milczeniem; że jednak mają one pretensyę wpływać na dalszy spraw naszych kierunek, że walcząc sofizmatami, zwracają się do uczuć ujemnych, które w masach ludzkich najłatwiejsze są do rozbudzenia, pożyteczném przeto być może zwracanie w tę stronę baczności, zwłaszcza téż, gdy występują na widownię osobistości wydatniejsze lub wpływowe. Do takich osób właśnie należy znany slawista, p. Włodzimierz Łamański, o którego ostatnim utworze wzmianka w dziale „kroniki“ stosowne znajdzie miejsce.

Od chwili, jak przed dziewiętnastu laty, w pierwszéj swéj pracy naukowéj dowiódł zwycięzko téj niewątpliwéj prawdy, że Czerwona Ruś jest to Ruś Czerwona,—p. Łamański od czasu do czasu wzbogacał literaturę swojego kraju innemi, nie mniéj cennemi, pracami, i w pewném kółku literackiem zajął dosyć znaczące stanowisko. Wiadomo, iż niektórzy uczeni europejscy, jak np. Michelet i Labou-

laye, w chwilach odpoczynku po ciężkich pracach naukowych, próbowali niekiedy pióra w utworach literatury lekkiéj. Laury, jakie ci pisarze zebrali na polu belletrystyki, lubo nie nazbyt świetną odznaczały się zielonością, nie dały jednakże zasnąć, jak się zdaje, p. Łamańskiemu. Porzuciwszy tedy,—miejmy nadzieję, że na krótką tylko chwilę—uczone swe badania, wystąpił jako publicysta i podniósł kwestę żydowsko-niemiecką w Królestwie (1).

Popęd do emulacyi ze znakomitościami europejskiemi nie ma w sobie zapewne nic nagannego, wszak mówią: *in magnis et voluisse sat.* P. Łamański, biorąc pióro do ręki, miał niewątpliwie sporo woli (pomijamy na teraz pytanie, jakiego gatunku jest ta wola), i gdyby siła woli była w stanie zmieniać fakta historyczne, gdyby mogła zastąpić wiedzę, p. Łamański dokonałby pewno wielkiéj jakiéj rzeczy. Tymczasem napisał tylko długi artykuł, zawierający skoncentrowaną esencyę z fantazmatów, któremi p. Katkow od lat siedmnastu obładowywa „Moskiewskie Wiadomości" dla balastu,—artykuł, który przyniesie autorowi chwały a ludziom pożytku chyba niewięcéj, aniżeli p. Kostomarowowi przyniosła jego polemika w materyi nas dotyczącéj, prowadzona przed dwoma laty z p. Gradowskim.

Rozprawa o żydach i niemcach jest produktem téj, raczéj niemieckiéj aniżeli słowiańskiéj, świerzbiączki autorskiéj, która bez wielkiego zachodu stwarza tomy za tomami, zapełnia półki księgarskie, a bibliografom przymnaża niewdzięcznego mozołu. P. Łamański zarzuca swym ziomkom, „że lubią ślizgać się po powierzchni przedmiotu, poprzestawać na komunałach i nurzać się w frazesach bez znaczenia". „Nam (tj. Rosyanom)—powiada daléj—sprawy trudne i skomplikowane wydają się nader łatwemi i prostemi." „Nie lubiemy i nie umiemy zgłębiać różnych pytań ogólnych, które z godną podziwienia lekkością poruszamy, ani téż wchodzić w ścisły i drobiazgowy ich rozbiór" (str. 371). Lubo wyrokowanie o słuszności tego zarzutu przechodzi nasze siły, lubo obrona ani nagana pisarzy rosyjskich nie jest naszém zadaniem, ośmielamy się zaznaczyć, iż w tym doraźnym akcie oskarżenia, wytoczonym piśmiennictwu własnego kraju, mieści się podobno pewna doza prawdy, mianowicie, jeżeli wnioskowanie z części o całości uważać będziemy za dozwolone. Widząc z jaką „lekkością" autor nasz porusza kwestye, jak mu się one „prostemi i łatwemi" wydają, przyznać wypada, iż charaktery-

(1) Jewrei i niemcy w Prywislanskom kraje (Ruski Wiestnik, 1879 r. marzec, str. 371—421).

styka, skreślona przez p. Łamańskiego, nader jest trafną, przynajmniéj względem jego własnéj działalności pisarskiéj.

Przeczytawszy memoryał Staszica „O przyczynach szkodliwości Żydów i środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznemi stali", oraz broszurę p. Jeleńskiego pod tytułem „Żydzi, Niemcy i my," p. Łamański wnet się uznał za uzdolnionego do zabrania w téj materyi głosu. Że za pomocą pism dwóch autorów łatwo jest ułożyć swoje własne trzecie, o tém codzienne przekonywa doświadczenie; robienie dosłownych a długich wyciągów z cudzéj pracy, czyli tak zwana „metoda nożyczkowa", nieocenione w takich razach okazuje usługi. Słusznem jest przeto, że p. Łamański nią nie pogardził; szkoda tylko, iż ten uczony pisarz nie wiedział, że i nieboszczyk Żółkowski, ojciec utalentowanego komika, a znany autor Momusa, także zajmował się onego czasu kwestyą żydowską (1). Żółkowski nie zgłębił jéj wprawdzie do dna samego, ale umiał być tak idealnie treściwym, że jeśli nie przekonał nikogo, to przynajmniéj nie znudził. *Tous les genres sont bons, sauf le genre ennuyeux.* Mniemamy, że zaznajomienie się z Momusem Żółkowskiego korzystnyby wpływ na pracę p. Łamańskiego było wywarło, zwłaszcza, że z niektórych względów do rodzaju humorystycznego zaliczyć ją należy.

Prawiąc o żydach, autor poprzestał na zaczerpnięciu wiedzy z dwóch tylko źródeł; gdy traktuje o kwestyi mnożenia się u nas elementu niemieckiego, posuwa swą wstrzemięźliwość do jeszcze wyższego stopnia, tu bowiem alfę i omegę jego wiadomości o danym przedmiocie stanowi jedna i jedyna broszura p. Jeleńskiego, któréj tytuł wyżéj przytoczyliśmy. Nie znaczy to wszakże, iżby autor nic własnego nie włożył do swego elaboratu; owszem, broszura p. Jeleńskiego służy mu za punkt wyjścia do rozprawiania *de omni re scibili.* Czytając o żydach i niemcach, dowiadujemy się zarazem różnych ciekawych rzeczy, o emigracyi (str. 372), o N. A. Milutynie i ks. Czerkaskim (373 i 379), o naszych kanonikach (373), o celibacie duchowieństwa katolickiego (374); że księża „panują nieograniczenie nad umysłami i sercami młodych i starych polek", a polki trzymają polaków pod pantoflem (374); o Fryczu Modrzewskim i prymasie Uchańskim (400, 403), o Mickiewiczu, Szopenie i Z. Krasińskim (400), o Husie i husytach (400 i nast.), o Jankielu z „Pana Tadeusza" (385) i Konradzie Walenrodzie (398), o „pewnych salonach Petersburga" (379), o Duchińskim (401), o Syllabusie papieskim (404), o dyplomatycznéj roli języka rosyjskiego (406), o kaznodziei Skardze i siedmiu

---

(1) „Sposób na Żydów: wyskrobać ich scyzorykiem" (Momus).

uczonych czeskich (401). Omal nie znaleźliśmy wzmianki o siedmiu braciach śpiących i siedmiu cudach świata.

Nie podobna nam podążać krok w krok za uczonemi wywodami autora: najprzód dla tego, iż musielibyśmy tłómaczyć na język polski to, co Staszic i p. Jeleński po polsku napisali; powtóre zaś dla tego, że p. Łamański jest takim żwawym dyalektykiem, tak subtelnie umie godzić rozmaite sprzeczności, tak zręcznie lawiruje między Scyllą faktów a Charybdą absurdu, że czytelnik, nie posiadając ukrytego głęboko przez autora kompasu, z pewnością by się w téj żegludze zabłąkał. Poprzestać więc musiemy na wskazaniu piękniejszych i więcéj zastanawiających ustępów.

„Przez długie czasy,—zapewnia nas autor—wszystkie wyobrażenia i zdania rodaków jego o kraju naszym nacechowane były ogólnikowością i niejasnością“ (395). Ten stan zmienił się na lepsze wtedy dopiero, kiedy „zaczęliśmy bezpośrednio studyować Polskę“ (395). P. Łamański, jak nas artykuł jego przekonywa, wziął czynny udział w tém „bezpośredniem studyowaniu“; ciekawą jest więc rzeczą zobaczyć jak sobie z tém radzi. „W ogólności“ nie ma on nic przeciw zaspokojenia naszych prawowitych interesów i życzeń, i oświadcza gotowość ich wysłuchania (371). Nim jednak do słuchania przystąpi, stawia sobie pytanie, kto ma prawo wyrażać życzenia nasze i gdzie tych życzących szukać: w Poznańskiem, w Galicyi, lub w Królestwie, czy téż „w Szwajcaryi, Francyi i Anglii?“ (372). Kiedy Diogenes wybrał się na wędrówkę dla znalezienia człowieka, wziął się do tego szczerze: przedewszystkiém zaopatrzył się w latarnią i nie od parady tylko, gdyż knot w niéj zapalił i rezerwoar napełnił olejem. Co ważniejsza, mędrcowi z Synopy nie brakowało oleju w głowie. A przecież stary cynik utrzymywał, że nie znalazł człowieka i że jeno w Sparcie na dzieci zaledwie natrafił. Nie wiemy, czy p. Łamański należy do szkoły cyników, czy raczéj do sofistów zaliczyć go wypada, czy wreszcie metodą eklektyczną zdołał połączyć zalety obu tych sekt filozoficznych; to wszelako pewna, że jak niegdyś uczniowi Antystenesa, tak obecnie uczniowi p. Katkowa, los okazał się w téj peregrynacyi zarówno nieprzyjaznym. P. Łamański szukał nas gorliwie po rozmaitych kątach świata i nigdzie znaleść nie potrafił, a w rezultacie jego „bezpośrednich studyów“ wypadło, że i Królestwo „nie jest czysto polskim krajem,“ naliczył w niem bowiem „*około* dwóch milionów dusz“ obcéj nam ludności (376).

Ale, pomimo iż znaleść nas tak trudno, nie mniéj jednak p. Łamański pragnie dowiedzieć się o życzeniach naszych i bardzo jest zakłopotany, czemby zadowolnić Galicyą. Jak się od troski o Galicyę oswobodził, niewiadomo; co do Królestwa zaś wpadł na myśl, że „pi-

śmiennictwo peryodyczne i literatura tego kraju“ mogą posłużyć do obznajomienia się z ogólnym nastrojem umysłów. Na nieszczęście, nasz badacz i tu nową napotyka trudność, albowiem literatura polska w ciągu trzech ostatnich stuleci, przedstawiała i przedstawia nie interesa całego narodu, jeno wyłącznie interesa dwóch klas: 1° szlachty i 2° duchowieństwa. Ponieważ szlachta uciskała chłopów, więc literatura polska „w oczach p. Łamańskiego, nie może być wyrazicielką żądań ogólno narodowych“ (373). Autor „studyów bezpośrednich“ musiał zapomnieć, że trzysta lat temu i długo później, jeszcze, literatura nasza wolną była od wszelkich pęt sztucznych; że kościół wschodni zarówno jak protestantyzm, uznawały w niéj doskonałe narzędzie do obrony swoich interesów, do szerzenia swéj nauki, i bez żadnéj przeszkody nią się posługiwały. Nie łatwo nam domyśleć się co p. Łamański rozumie przez interesa „ogólno-narodowe“: jeżeli mu chodzi o wyswobodzenie chrześcian z pod ucisku muzułmańskiego, to w historyi i w bibliografii znajdzie nader liczne dowody, że przodkowie nasi słowem i czynem nie mało dla tego celu pracowali. Jeżeli zaś p. Łamański, znany jako autor o wielkiéj łatwości i obfitości pisarskiéj, mniema, że w téj sprawie rola literatury naszéj mogła być świetniejszą,—nie będziemy spierać się z nim i ochotnie przyznamy, że w walce z półksiężycem ojcowie nasi istotnie więcéj krwi niźli atramentu wylali. Jeżeli wreszcie nasz socyolog za interesa ogólne uznaje tylko poprawę bytu klasy wieśniaczéj, to w piśmiennictwie przeszłego i bieżącego stulecia (byle się zaznajomić bliżéj z niem raczył) znajdzie wyraźne słowom swym zaprzeczenie.

Co do duchowieństwa katolickiego, mianowicie wyższego „poczynając od kanoników,“ p. Łamański zarzuca mu to szczególnie, że posłusznem jest *swojéj* naczelnéj zwierzchności (str. 373). Z tego okropnego grzechu, jeżeli to jest grzechem, nie będziemy księży katolickich usprawiedliwiać; dla dokładności jednak dodamy, że „złowrogiéj, dla p. Łamańskiego, pamięci“ ksiądz Skarga wymownie w swych kazaniach ujmował się za prawami ludu wiejskiego, co przypadło mniéj więcéj w tym samym czasie, kiedy Borys Godunow przytwierdzał włościan do ziemi; że Paweł Brzostowski, urodzony w r. 1730, który w swoich dobrach Mereczu obdarzył włościan niezależnością, własnością i najobszerniejszym samorządem, że ów Brzostowski był, jakby na złość „kanonikiem“; że później, bo za naszéj już pamięci, w sprawie szerzenia wstrzemięźliwości, która na podniesienie dobrobytu klasy wieśniaczéj tak korzystnie oddziałała, największy udział wzięli księża. Mamyż nakoniec odkryć przed pan Ła-

mańskim straszliwą tajemnicę, że Staszic, dla którego autor „studyów“ zbyt demonstracyjny, aby mógł być szczerym, entuzyazm okazuje, że ów „biedny a szlachetny“ Staszic, z którego dzieł p. Łamański całe karty wycina i nagość swoją niemi okrywa,—był także księdzem? Nie wyrzucamy tego bynajmniéj naszemu autorowi: ubóstwo nie plami, a jałmużnę i od księdza przyjąć nie zawadzi; lepiéj jednak jest nie pluć do naczynia, z którego się pije.

Nie mając zaufania do szlachty i duchowieństwa, wypadało zwrócić się do ludności miast i wieśniaków; nasz badacz wszelako woli o miastach zamilczeć, a o ludzie wiejskim powiada tyle, że „chłopi w literaturze polskiéj i prasie głosu nie mają, i zapewne długo miéć go nie będą“ (374). Nie ulega wątpliwości, że literatura polska dotychczas przeważnie w klasie ludzi oświeconych rekrutowała sobie pracowników, i że Mickiewicz, Krasiński, Słowacki nie byli synami kmieci. Ależ przecie nie z chłopów się téż urodzili Puszkin, Lermontow, Gogol, Turgeniew, Sałtykow, hrhr. Tołstoje, ks. Wasilczykow i tylu innych pisarzy, a czyż komukolwiek przyszło kiedy do głowy nie uznawać ich z tego powodu za istotnych przedstawicieli inteligencyi narodu rosyjskiego? Wszak wreszcie i sam p. Łamański nie jest wcale chłopem, a nie przeszkadza mu to podawać się za rzecznika interesów włościańskich! Zabawiać się czczemi wróżbami o przyszłości, do wspólki z autorem „studyów bezpośrednich“, nie myślemy. Być może, iż chłopi nasi, zgodnie z maksymą *ne sutor ultra crepidam*, „długo jeszcze“ roli ornéj gromadnie nie porzucą i na pole literackie zamienić jéj nie zechcą; jeżeli skutkiem tego piśmiennictwo nasze nie zyska większéj ceny w oczach p. Łamańskiego, będziemy w naszém zmartwieniu tę mieli przynajmniéj pociechę, że produkcya ekonomiczna kraju przez ten upór chłopski nic nie straci, a oni sami z pewnością korzyść odniosą.

„Tym sposobem,—konkluduje nasz badacz—od prasy i literatury polskiéj, choćby nawet została wyjęta z pod cenzury, długo jeszcze nie będzie można oczekiwać dokładnego wyrażenia życzeń i potrzeb całego narodu“ (374). W obec tak smutnego horoskopu, mimowolnie nasuwa się pytanie: na czémże tedy oprze swe „bezpośrednie studya“ p. Łamański?

Nie trwóż się czytelniku! Pisarz, obdarzony głęboką intuicyą, da sobie radę zawsze. O ludziach, uposażonych niezwykłą bystrością umysłu, wieśniak nasz powiada, że „słyszą jak trawa rośnie“. Wprawdzie nie możemy ręczyć za to, czy ucho p. Łamańskiego wrażliwem jest na zjawiska botanicznego świata, ale wiemy natomiast, iż najmniéj dostrzegalne fenomena społeczne baczności jego nie ujdą.

Oto np. ostry słuch tego pisarza słyszy „jak w Czechach *głucho i cicho* przygotowuje się część ludności do porzucenia katolicyzmu“ (404). (Nawiasem mówiąc, ciekawą byłoby dowiedzieć się rzeczą, co też ostatnie wybory czeskie szepnęły do ucha naszego slawisty). Oto zapewnia on daléj stanowczo, że „ściśle mówiąc, znakomita większość szlachty polskiéj, bogatszéj i średniéj“ zadowolnioną byłaby dopiéro wtedy, gdyby dokonane przed piętnastu laty reformy cofnięte zostały (373), o czém chyba przez swoją cudowną intuicyą dowiedzieć się musiał, bo myśmy tu na miejscu przez lat 15 ani jednego głosu, odrzucającego reformy nie czytali, ani słyszeli. P. Łamański wie z równą pewnością, chociaż mu tego nikt nie mógł powiedzieć, że u nas „w łonie duchowieństwa, mianowicie niższego, znajduje się wiele osób, które sobie przykrzą celibat i inne (?) przepisy, które pragnęłyby różnych reform, wyzwolenia się od ucisku wyższego kleru itd.“ (374). Czyżby p. Łamański do rzędu niższego duchowieństwa zaliczał organistów, zakrystyanów, dzwonników i dziadów kościelnych? Wszakże, tym wszystkim nikt nie przeszkadza zawiérać związków małżeńskich, byleby sobie przyzwolenie swych oblubienic wyjednali.

Już to zniesienie celibatu duchowieństwa katolickiego stanowi słabość naszego autora. Wiele on sobie po niém rokuje dla dobra powszechnego korzyści, do których prawdopodobnie zalicza i oddawanie nowożeńcom probostw w posagu. Bądź co bądź, dla osiągnięcia tego upragnionego celu, autor gotów jest zrobić nawet ustępstwo z innych swoich przekonań. Pomimo, iż myśl jakiegokolwiek zbliżenia między mieszkańcami naszego kraju, różniącemi się wiarą lub pochodzeniem, głębokim przejmuje go wstrętem, pomimo że radby nagromadzeniem wszelakich przeszkód zapobiedz temu stanowczo (376 i nast.)—w tym jednak razie nie miałby nic przeciw temu, choćby przez zniesienie celibatu katolicy zbliżyli się do protestantów, chrześcianie—do żydów. Do takiéj ofiary musiała go chyba skłonić szczera sympatya dla naszych „chłopów“, którzy—są słowa autora—„bardzo są niezadowolnieni z bezżeństwa duchowieństwa świeckiego, z radością by powitali jego zniesienie“, tylko, że na nieszczęście „nie mają, jak wiemy, głosu w literaturze“ (374). Czemużby jednak zatrzymywać się w połowie drogi? czemuby za jednym zachodem nie skasować celibatu w duchowieństwie zakonném? Azaliżby chłopi tak daleko posunąć się nie chcieli? Przecież o ich rozsądku i cnocie wątpić nie można, przecież autor uznał ich za „najzdrowszą klasę“ w naszym kraju, przyjmując oczywiście niższy stan oświaty za główny warunek zdrowia.

Trzeba też wiedzieć, że nasze oświeceńsze klasy trapione są różnemi chorobami; nasza literatura znajduje się „pod panowaniem ciemnych i ograniczonych poglądów ultramontańskich" (403). I jakże może być inaczéj, skoro jesteśmy „odłamkiem słabéj, historycznie przeżytéj narodowości, sztucznie podbudzonéj, fałszywie nastrojonéj i, rzec można, gwałtem, albowiem nieorganicznie, przyodzianéj w państwowość" (375). Wprawdzie i Edyp nie zgadnie o jakim *gwałcie* autor tu mówi, ale zawsze „daremniebyśmy ukrywali i zamazywali (?), przed p. Łamańskim, swoją słabość, niemoc, swoje smutne położenie, jako narodowości chorowitéj, cierpiącéj nie tyle od nacisku zewnętrznego, ile pożeranéj przez cierpienia wewnętrzne" (395). Otóż ukrywać się dłużéj nie mamy powodu, albowiem p. Łamański daleki jest od „radowania się lub szydzenia" z naszéj choroby; owszem, przejęty „istotnym smutkiem i spółczuciem," spieszy nam z pomocą.

Jako sumienny lekarz, autor „studyów" poczuwa się do obowiązku zbadania źródła naszéj choroby; domyśla się go w przeszłości, szuka w naszéj historyi czarnych kart i na nich wyłącznie całe swe rozumowanie opiéra. Taka metoda dyagnostyczna łatwo do mylnych wniosków może doprowadzić, gdyż patologia nie wszystkie choroby uznaje za dziedziczne lub zadawnione. Każdy organizm społeczny, jak dziś doznaje różnych dolegliwości, tak i w dawniejszych czasach przechodził rozmaite cierpienia. Gdy komu spadła cegła na głowę, gdy kula oderwała nogę, lekarz nie potrzebuje dociekać czy ojciec tego nieboraka cierpiał na wodną puchlinę. Prawdą jest, że są w dziejach Polski ciemne miejsca, ale któraż historya od nich jest wolną? Przyznać by to musiał i p. Łamański, gdyby się w niéj lepiéj rozczytał; wiedziałby wtedy o Wojciechu Bortosie, Głowackim, i nie pisałby może niezgodnych z prawdą rzeczy o czasach Kościuszkowskich (402). Ale i nieświadomość naszych dziejów nie usprawiedliwia autora z naciąganych wniosków, boć to mu obcém być nie powinno, że lud wiejski w żadnym kraju nie odznacza się tak bardzo zdolnością do inicyatywy,—bo wiedzieć musi, że Lapunow, Minin i Pożarski nie pod wiejską strzechą światło dzienne ujrzeli.

P. Łamański, nam odmawiając, sobie wydziela monopoliczne prawo do „dziedzictwa cywilizacyi grecko-rzymskiéj i rzymsko-germańskiéj" (404). Bogate ani słowa, dziedzictwo: wystarczyłoby go dla wszystkich; trwoga nas jednak ogarnia, aby w tém zmonopolizowaném bogactwie greckorzymsko-germańskiem nie utonął charakter specyficznie słowiański, do którego autor podobnież wyłączną pretensyą rości. Wszelka cywilizacya, grecka czy rzymska, jest niby drzewem, z którego owoce wolno jest zrywać i pożywać każdemu, byle tylko chciał; nie tajemy jednak, że dzieci zrywają niekiedy owoce niedojrzałe, że cza-

sem chorują z przejedzenia. Więc o żadnym monopolu nie może być tu mowy. Co się zaś tyczé spadkobrania, to bywa ono przedewszystkiém w linii prostéj zstępnéj, ale bywa i w linii kolateralnéj t. j. bocznéj; można przyjść do dziedzictwa bezpośrednio, ale można i pośrednio, prawem reprezentacyi, czyli, jak prawnicy mówią, przez czyjąś głowę. Owóż, trudno przypuścić, aby autor nie wiedział, jakie to znaczące stanowisko zajmowali w literaturze rosyjskiéj za czasów Piotra W. wychowańcy szkół polskich, którzy i w polskim języku dzieła swe kreślili. Życzylibyśmy więc autorowi, aby dał pokój przechwałkom, które nikogo w błąd nie wprowadzą, a raczéj przyswoił sobie umiarkowane i trzeźwe widzenie rzeczy, którego doskonały przykład daje mu właśnie teraz „Przegląd literacki“ w „Wiestniku Europy“ za Lipiec r. b. (str. 357—369).

P. Łamański lubo, jak się zdaje, jest z powołania historykiem, lekceważy sobie ścisłość historyczną i w ogóle samą historyę. Mówią, że co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; tak, ale znowu co nie było, nie wpisuje się do historyi. Cały zajęty dniem dzisiejszym i troską o przyszłość milionów ludzi, autor „pozostawia“ innym starania o ustalenie prawdy dziejowéj (385). Zwróciwszy się tedy do teraźniejszości, zarzuca nam wstecznictwo, a cywilizacyę naszą zowie „wychudłą i zgrzybiałą“ (405). Uderzmy się ręką w piersi i wyznajmy, że w zarzucie tym kryje się pewne jądro prawdy. W istocie, trzymamy się uparcie niektórych wielce starych prawideł logiki i ślepo wierzymy, że co jest kołem, nie może być jednocześnie ani kwadratem, ani trójkątem. Gdy ktoś naraz ubolewa i lamentuje nad rozrostem u nas elementu niemieckiego (str. 407) i wnet cieszy się z tego rozrostu, uznając za nader pożyteczny (str. 413), zadziwia nas taka sprzeczność, nie wiemy czém ją objaśnić: obłudą czy brakiem zastanowienia. Jeśliby znowu innym razem przekonał nas autor n. p. że język nie ma żadnego znaczenia cywilizacyjnego (str. 404), to już z trudnością przyszłoby nam pojąć go, gdy dowodzi wszechmocności pewnego języka pod tymże samym względem (399 i 405). U nas ludziskom koniecznie się zdaje, że w ogólności, przy cywilizowaniu się ten język jest i użyteczniejszym, i ze względów pedagogicznych najbardziéj właściwym, który jest zrozumialszym, a takim dla każdego jest jego język ojczysty. Nasze zastarzałe przesądy stosują się zresztą nie tylko do logiki i pedagogiki, zachowujemy nadto, z dawnych czasów, cześć niby bałwochwalczą dla pojęć o uczciwości i sprawiedliwości: u nas, od rozprawiającego o faktach mają zwyczaj wymagać aby znał takowe, i rozumieją, że praktykowanie zasady „nie czyń drugiemu co tobie nie miło,“ zasady, która nie przestała figurować w naszym „katechizmie,“ jest obowiązkiem każdego; rozumieją, że

pięknie jest i pożytecznie obrzydzać innym pohop do „kłamstwa," który to grzech wielokrotnie p. Łamański nam wytyka, ale piękniéj i pożyteczniéj daleko — samemu nie wymijać się z prawdą, ani jéj rozmyślnie przekręcać, i to bez względu czy się jest, czy nie jest historykiem. Że podobne poglądy tchną staroświeczyzną — o to nie może być sporu. P. Łamański jest zbyt postępowym, aby się nie miał z tych średniowiecznych pęt wyswobodzić: u niego zwykle *stat pro ratione voluntas*. Wolę ma w rzeczywistości silną; (gdybyż w równym stopniu była ona dobrą wolą!). Nie zna ona przeszkód, łamie je bez namysłu. Uległa jéj już historya i logika, nie oprze się gramatyka, geografia i etnografia. Spotykamy tu wyrazy polskie, o jakich się nie śniło nawet Lindemu, np. *złaczcie się* (384), *szkodliwości*, *usposoqienia* (380) i t. d. Ze wsi Samoklęsk zrobią się *Samokoliski* (411), fabryczny Ozorków na powtórnym chrzcie nazwany będzie *Ozierkowem* (410), zapewne na cześć jeziora, którego tam nie ma, ale którego potrzebę p. Łamański uznaje, bo chociaż w Ozorkowie mieszka dużo niemców, nie idzie zatém, aby całą ludność korzyści z rybołóstwa w jeziorze pozbawiać. Reformując nomenklaturę geograficzną wsi i miast, p. Łamański i nazwie całego kraju nie da pardonu. Warszawę nazwie „brudnem miastem gubernialnem" (415), którego oczywiście nie powinniśmy porównywać do stolic europejskich, jak Paryż lub Cetynia. Jeżeli wolno nam kraj swój przyrównywać do czego, to według p. Łamańskiego, chyba do najciemniejszych i najbardziéj zacofanych prowincyj Hiszpanii (415). Jaka szkoda, że autor, nie dodał, które to prowincye zamierza w czasie swéj przyszłéj po Hiszpamii podróży, uznać za przodujące pod względem obskurantyzmu: wiedzielibyśmy już czego się trzymać mamy. W każdym razie prosimy go, choćby przez wzgląd na podobieństwo nazwy, o litość dla wschodniéj Galicyi hiszpańskiéj, gdy już austryacką tarczą swéj opieki osłonił.

Dzięki p. Łamańskiemu, nikt już teraz wątpić nie będzie, że warszawska pretensya do „cywilizacyi europejskiéj" jest śmieszną. Ani słowa przeciw temu. „Bardziéj *zachodnią* cywilizacyą" posiada „Dorpat" (str. 415), który o 5 z górą stopni geograficznych leży daléj ku *wschodowi*. Bardziéj „starożytną" — wyludniony Krym, gdzie znajdują się starożytne, podrobione przez Firkowicza w bieżącém stóleciu napisy hebrajskie, gdzie na powierzchni ziemi wznoszą się *ruiny* murów, które Genueńczykowie aż w XIV wieku po Chr. zbudowali, gdzie z głębi ziemi wykopują korony królów Pontu, o których ludność miejscowa nic nie wié, gdzie jadają potrawę piław, a przy jedzeniu, starożytnym obyczajem, posługują się danemi przez Boga palcami, a obchodzą bez heretyckiego widelca. Ośmieliż się Warszawa wreszcie rywalizować „ze starożytniejszą i świetniejszą kulturą

Azyi środkowéj, mianowicie Samarkandy" (415) o glinianych murach, która niezrównanym jaśnieje blaskiem w powieściach Tysiąca i jednéj nocy, na złość Vamberemu i innym tegoczesnym podróżnikom?

Poznawszy samodzielność naszego autora w dziedzinie geografii i etnografii, nie będziemy się już dziwić, że do grona Słowian zagarnął hurtem „Greków, Albańczyków, Rumunów, Litwinów, pokolenia czudzkie, Ormian, Gruzinów, Syryjczyków i *innych*" (416). Ci *inni* — byliżby to Kirgizi, Tatarzy, Burjaty, Jakuty, Czukcze i t.d.? P. Łamański całkiem seryo przyznaje się do ścisłego z nimi związku „kulturnego i geograficznego" (416). Mizerny globie ziemski! niebawem, będziesz dla tego etnografa za ciasnym; — wtedy pójdzie już na tortury astronomia, i biada ludziom na księżycu, jeśli ich tam nasz autor dopatrzy. Nim na nich jednak kolej przyjdzie, p. Łamański wyprawia sobie z nami igraszki, niby źle wychowane dziecko, które schwytawszy ptaszka, piórka mu dla zabawki wyskubuje i nic sobie z towarzystwa opieki nad zwierzętami nie robi. W postępowaniu z nami autor kieruje się oczywiście przysłowiem: daj kurowi grzędę — on wieży zachce; z obawy tedy, abyśmy z nieistniejącéj wieży nie zlecieli, nawet prostéj grzędy nam odmawia. No, wreszcie na danie grzędy zezwoli, ale pod pewnemi warunkami, których odrazu nie wyłuszcza, lecz za pomocą długich i krętych peryfraz z daleka omawia. Dopiéro, przeczytawszy większą połowę rozprawy o „żydach i niemcach," zrozumiéć można, że autorowi ani o żydów, ani o niemców wcale nie chodzi. Dopiéro na str. 403—404 spada mu z czoła maska i ukazuje się natchnione oblicze apostoła religijnego, który zbawienia dusz naszych pragnie. Gdy się ta jego „nadzieja" spełni, — podaruje nam pewno grzędę. W tym razie z pewnością nie posądzimy go o „obłudę," czego się na inném miejscu (str. 406 u dołu) obawia. Niechże mu gwiazda „nadziei" przyświeca i nadal.

Dla nas, którzy do astronomii pociągu nie czujemy, najwięcéj znaczenia ma fakt, zaświadczony przez p. Łamańskiego, że nie wszyscy jego ziomkowie zgadzają się z nim w poglądach, że w sferach wyższych administracyi i w literaturze można się spotkać ze zdaniami, stojącemi na przeciwnym biegunie w stosunku do doktryny, którą nasz autor w swych „bezpośrednich studyach" rozwinął. Wobec tego faktu, nie mogą nas boleśnie dotykać obelgi, któremi chojnie szafuje p. Łamański. W ogólności nie zadaje on sobie z przeciwnikami żadnéj ceremonii: jednemu z „wpływowych dostojników" przyczepia epitet „egzemplarza" (416), a względem utalentowanego publicysty p. E. Utina, który z prawdziwą godnością obowiązek swój spełnia, autor nasz pozwala sobie alluzyi, takiego gatunku (str. 379), do jakiego człowiek przyzwoity zniżać się nie powinien. Nareszcie,

dla wszystkich tych, którzy, kierując sprawami publicznemi, nie myślą według jego fantastycznego programatu postępować, p. Łamański wynajduje w swym słowniku wykwintne przezwiska „pigmejczyków i niedołęgów“ (417).

Jak widzimy, p. Łamański lubo ma pociąg do operacyi chirurgicznych, lubo delikatne kwestye sobie wynajduje, delikatnością jednak pióra i ręki pochwalić się nie może. Ów wiejski cyrulik, co to nie bardzo się troszczy o to, czy jego pacient przy operacyi ducha nie wyzionie, — ów konował, który puszczanie krwi uważa za środek nigdy nie zawodzący, za uniwersalne panaceum, — postępują według metody autora „bezpośrednich studyów.“ Tylko, że tę metodę leczenia stanowczo już potępiła medycyna nowoczesna, a puszczanie krwi zachowało mir jeszcze tylko u empiryków medycznych i publicystycznych: piérwszych—głos publiczny obwiniał o przedwczesny zgon króla Wiktora Emanuela; o drugich potomność powie, że jeśli nie dorównali Herostratowi, to nie dla braku chęci.

Kończąc przytoczymy tu własne słowa p. Łamańskiego: „Zresztą, pigmejczyki i niedołęgi tylko na czas pewien mogą zamulać naturalny prąd wypadków. By zmienić zaś proces historyczny rozwoju wielkiego kraju nie starczy siły nie tylko umysłom płytkim i działaczom nieudolnym, których jakiś ironiczny kaprys losu wyrzuca na wierzch niekiedy, ale nawet ani charakterom silnym, ani gienialnym kierownikom państw nieprzyjaznych“ (417). Jest to słuszném; możnaby tylko dodać, że jak niezmieniły naturalnego prądu dziejowego siedmnastoletnie usiłowania redakcyi ze „Strastnego bulwaru,“ tak zapewne nie zdołają zmienić żadne „studya bezpośrednie.“

Zatrzymaliśmy może zbyt długo, uwagę czytelników naszych nad artykułem p. Łamańskiego, dla tego, że jest on niby piérwszym wyrazem postępu jeometrycznego rosnącego, którego drugi koniec jeszcze w cieniu przyszłości się kryje, tak iż ani matematyka obliczyć, ani najbujniejsza fantazya odgadnąć go nie zdołają. Z ogniw jednak pośrednich tego postępu, które już się okazały, miarkować można, że będzie to coś bardzo niezwyczajnego. P. Łamański poprzestawał na tém, że językowi swemu przyznał rolę dyplomatyczną w świecie słowiańskim. Stagnacya jednak jest śmiercią ducha,—trzeba postąpić naprzód; więc oto p. A. Koczubiński wydaje spory tom o 222 stronnicach (obecnie wychodzi już tom drugi), traktujący o różnych sposobach łączenia głosek *l*, *r* z samogłoskami, w którym między wielu innémi osobliwościami dochodzi do wniosku, że piérwotnym językiem Słowian jest język rosyjski, że więc wszystkie języki słowiańskie są tylko narzeczami a raczéj modyfikacyami języka ro-

syjskiego (1). Ziarno w szczęśliwą zasiane godzinę, pozwala spodziewać się „bujnego plonu, na który nie długo czekać każe. Jakoż w Nr. 20 „Rosyjskiéj Bibliografii“ z r. b. niejaki pan N. P. (cyfra wiele mówiąca i dająca do myślenia) wyraża w ślad za p. Łamańskim „nadzieję,“ że „jeśli sprawy pójdą daléj drogą naturalną, to, prawdopodobnie, po upływie lat kilkudziesięciu, owo skażone narzecze rosyjskie, które dotąd błędnie zowie się językiem polskim, powróci do swego prawowitego źródła zleje się z niem w jedną całość.“ H. Th. Buckle w drugim tomie historyi cywilizacyi angielskiéj, wspierając się na licznych badaniach lekarskich, podaje spostrzeżenie, iż w czasie znaczniejszych zawichrzeń społecznych, obłęd umysłowy występuje z charakterem zbliżonym do chorób epidemicznych i mnogie sprząta ofiary. Mamy oczywiste powody do obawiania się, że i w teraźniejszych ciężkich chwilach zagraża podobna klęska i że się na panu N. P. nie skończy. Na nieszczęście środków do zwalczenia téj choroby nie znamy, a choćbyśmy znali nie śmielibyśmy doradzać ich, ze względu na art. 576 kodeksu kar głównych i poprawczych z r. 1847. Wolimy tedy zwrócić uwagę na to, co korespondent Rosyjskiéj bibliogr. nazywa „drogą naturalną.“ Wiadomo, że p. Aleksander Walicki w książce pod tytułem „Błędy nasze w mowie i piśmie“ pomiędzy mnóstwem usterek językowych, wytknął pewną liczbę błędów, które są rusycyzmami. Błędy tego rodzaju wprawiają pana N. P. w wielką „radość.“ Zjawisko to, powiada on, „służy nam za najpewniejszy dowód, że wszystkie *nasze* trudy i olbrzymie wysiłki nie zostały stracone napróżno.“ Nie wiemy czy winszować mamy panu N. P. takiego plonu „jego trudów i wysiłków.“ Język Anglosasów, pomimo podboju normandzkiego, pomimo że zapożyczył mnóstwa wyrazów francuskich, nie zlał się wcale z językiem francuskim i płynie wcale innym korytem.

Nie chcemy zresztą psuć panu N. P. i jego towarzyszom humoru, ani odbierać im ochoty do różnych piśmiennych przechwałek. Zasada wolności druku ma w nas dość szczerych czcicieli, abyśmy się wybrykami pióra téj lub owéj jednostki zrażali. Bawcie się, panowie.

> Ecrive, qui voudra, chacun à son métier
> Peut perdre impunément de l'encre et du papier.

Inna wszelako rzecz— pismo, a inna zupełnie— czyny, i trudno pozostać niemym świadkiem czynów, które z wspomnionémi wyżéj

---

(1) Czytelnikom, pragnącym poznać bliżéj tę kwestyę, polecić możemy wyczerpujący rozbiór dzieła Koczubińskiego, napisany przez p. J. Baudouin de Courtenay pod tyt. Kritika i Bibliografia. — „K' woprosu o wzaimnych otnoszeniach słowianskich narieczij. etc., izsledowanje A. Koczubinskawo.“ Recenzja J. Boduena-de-Kurtene. — Kazań. 1879. Cena kop. 25.

zabawkami pseudo-literackiemi w pewném powinowactwie duchowem zdają się zostawać. Mamy tu na myśli sprawę p. Aleksandra Jackowskiego.

Wiadomo, że przed dwoma laty jeden z sądów gminnych w powiecie Mławskim odmówił rozpoznania sprawy p. Jackowskiego, z powodu, iż skarga napisana była w języku polskim; że apelacya od tego postanowienia założona nie znalazła przychylnego rozwiązania w Zjeździe Sędziów Pokoju w Mławie i że dopiéro Departament kasacyjny Senatu ujmując się za obrażoném prawem, zniósł decyzye sądów niższych i do innego sądu sprawę dla załatwienia odesłał. Zdawało się przeto, że z wytkniętéj przez Senat drogi zboczyć już niepodobna. Aliści, wbrew powszechnym oczekiwaniom, Sąd Zjazdowy I-go okręgu gubernii płockiéj, skargę p. Jackowskiego również pozostawił bez skutku, a tém samém zmusił go powtórnie przechodzić kosztowną drogą kasacyi, i to w sprawie o przedmiot błahy, bo zaledwie kilka rubli wynoszący. Nie o wyrok jednak Sądu Zjazdowego nam chodzi, gdyż wyrok, o ile by się okazał nie zgodnym z prawem, przez Senat sprostowanym być może; ale o motywa wyroku i pewne poglądy prawne, wypowiedziane przez p. sędziego Jurkiewicza w N-rze 43 „Korespondenta Płockiego“ z r. b., które na posępne naprowadzają wnioski.

Sąd „nie robił uwłaczającego Polakom porównania pomiędzy językami polskim i żydowskim.“ P. Jurkiewicz, zaczynając od tego zapewnienia, zdaje się mniemać, że kwestya dotyczé lingwistycznéj miłości własnéj, jeśli tak się wyrazić wolno, gdy, według naszego zdania, idzie tu o rzecz daleko ważniejszą, bo o ścisłe wykonywanie wyraźnych przepisów prawa i rozporządeń najwyższéj magistratury sądowéj. W czasach, kiedy podstawy społeczne ulegają nietylko teoretycznym zaprzeczeniom, ale i rzeczywistym zamachom w praktyce, — obowiązek szanowania prawa, stosowanie się do istniejących ustaw, nabiera dla każdego obywatela większéj niż kiedykolwiek wagi, a stokroć chyba więcéj cięży na tych, którzy specyalnie powołani zostali do szafunku sprawiedliwości; działalność ich bowiem, przy drzwiach otwartych spełniana, stać się może albo zbawiennym wzorem, albo źródłem zgorszenia.

Warto byłoby ofiarować konia z rzędem temu, kto sprzeczności znajdujące się w odezwie p. Jurkiewicza pogodzić, czy wyjaśnić podoła. Naszym chodowcom wyścigowych rumaków przedstawia się tu piękna sposobność położenia prawdziwie obywatelskiéj zasługi.

P. Jurkiewicz powiada, że „Zjazd pozostawił skargę Jackowskiego bez skutku *jedynie z powodu* niedopełnienia niektórych (którychże to?) formalności przy podaniu takowéj, zrobił to jednakże nie

w celu przecięcia możności podawania skarg do sądów gminnych, lecz li tylko *dla tego*, aby sprawa Jackowskiego przeszła drogą kasacyi pod rozpatrzenie Rządzącego Senatu i tym sposobem została ostatecznie rozstrzygnięta kwestya czysto prawna; a mianowicie: czy prawo z roku 1876 (2 Lipca) dotyczy li tylko polskiego języka, lub też należy je stosować i do wszystkich innych narzeczy, jakiemi mówią cudzoziemcy, zamieszkujący pewne miejscowości Królestwa? to jest inaczéj mówiąc, Sąd Zjazdowy powziął *zamiar* dokładnego wyjaśnienia spornéj kwestyi: czy mogą być przyjmowane w sądach gminnych skargi w języku niemieckim, którym mówią koloniści, litewskim lub łotyszskim" i t. d.

Mocno to nas zadziwia, że powyższy wywód mógł wyjść z pod pióra prawnika. Mniejsza o błąd faktyczny, wytknięty już przez p. Jackowskiego (Nr. 125 „Gazety Pols." r. b.), który wyjaśnia słusznie, że żadnéj skargi do Zjazdu I-go okręgu gubernii płockiéj nigdy nie podawał, gdyż skarga przesłana została Zjazdowi przez Senat; mniejsza o różnicę między formalnościami, z których jedne prawo przepisuje pod zagrożeniem nieważnością a inne bez tego rygoru, o któréj to różnicy ustalona w całéj Europie teorya prawa dawno wyrzekła, że przepisy wyjątkowe tłomaczyć i stosować należy ściśle, a nigdy sposobem rozszerzającym;—mniejsza o to, powiadamy, bo teorya nie każdemu może być wiadomą, a wiedzącemu nie zawsze przypadać do gustu. Ale jak pogodzić sprzeczności? Najprzód mówi p. Jurkiewicz, że sąd odrzucił skargę „*jedynie*" dla braku formalności, wnet jednak dodaje, że *celem* odrzucenia skargi było rozwiązanie wątpliwości prawnéj. Jeżeli brak formalności był *jedyną* pobudką, to pocóż tu mówić o celach; jeżeli zaś był *cel*, to brak formalności mógł tylko grać rolę pozoru. Myśmy zawsze słyszeli, że w wyroku może być tylko mowa *o powodach*, *motywach*, aż tu zamiast nich cele i zamiary się zjawiają. Cele i zamiary, jak nas uczono, to rzecz polityki i administracyi wyższéj, która dla osiągnięcia zamierzonego celu posługuje się organami niższemi, ale nie upoważnia ich do wynajdywania i przeprowadzania innych celów i zamiarów. Cóż dopiéro mówić o sądownictwie, obdarzoném niezależnością, usuniętém z pod wpływu administracyi, sądownictwie, które ma nad sobą jednego tylko pana — prawo, a obok siebie dwóch doradców — rozum i sumienie. We wszystkich czynnościach swoich sądownictwo może miéć tylko jeden cel, wiekuisty i niezmienny — wymierzanie sprawiedliwości: obok tego celu nie ma miejsca na żadne zamiary, a wszystkie kwestye i kwestyjki prawne, czy sporne, maleją. Kwestye prawne obchodzą głównie prawników z powołania, dla p. Jackowskiego istniała tylko kwestya faktu, kwestya zaskarżonego przezeń

czynu: tę jedną oddał on pod rozstrzygnienie sądowe. Kwestye prawne, stawiają się dla tego, aby rozsądzenie sprawy ułatwić, ale nie słyszeliśmy dotąd, żeby kto sprawę dla rozwiązania kwestyi prawnéj poświęcał; kwestye nie są celem sprawy. Sprawy i kwestye obracają się w sferach od siebie niezależnych; piérwszym daje początek życie rzeczywiste, realne, nie oglądające się na abstrakcye; drugie zaś wytwarzają się w sferze pojęć teoretycznych, jako postulaty umysłu, i rozwiązywaniem ich zabawiać się można, choćby odpowiednich im spraw wcale nie było. Liczba kwestyj prawnych jest nieograniczoną: nikt i nigdy wyczerpać ich nie zdoła, i społeczeństwo pozbawioném byłoby wymiaru sprawiedliwości, gdyby na rozwiązanie wszystkich kwestyj prawnych czekać musiało. Dla tego téż oddzielnie istnieją sądy a oddzielnie akademje nauk.

Artykuł, który p. Jurkiewicz ogłosił, pozostawia nas w wątpliwości, jaka istotna pobudka na oddalenie skargi p. Jackowskiego wpłynęła: byłaż to ciekawość co Senat w danéj kwestyi wyrzecze, lub nieświadomość jak pytanie rozwiązać, lub wreszcie chęć wyjaśnienia czy wypełnienia mniemanéj luki w prawodawstwie?

Lubo nie wierzymy w prawdziwość przysłowia, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła, owszem, rozumiemy, iż ciekawość jest wielce potężną dźwignią do postępu intellektualnego i materyalnego, jednakże nie zdaje nam się słuszném, aby p. Jackowski koszta ciekawości nie-swojéj opędzał. Kto jest ciekawy obejrzéć wystawę, być na widowisku publiczném i t. d., ten zwykle sam za siebie bilet wejścia opłaca. Epoka w któréj ciekawość plebsu rzymskiego zaspokajaną była widokiem igrzysk cyrkowych, kosztem rządu wyprawianych, uchodzi w historyi za epokę upadku. Ciekawość przytém nie zawsze uchodzi: czasem sprzeciwia się delikatności, czasem jest niedozwoloną np. gdy tajemnic dyplomatycznych sięga, niekiedy bywa tylko naprzykrzoną. Ktoś mógłby sobie np. zadać pytanie: jak długo cierpliwość Senatu potrwa? lub czy drogę kasacyi dla tego prawodawca ustanowił, aby dać komuś sposobność, do ćwiczenia się w sofistyce. Ciekawość tedy z liczby pobudek wykreślić wypada.

Co do drugiego. Że nieświadomy pragnie i podąża do nauki — nic nad to naturalniejszego. Ale na wszystko musi być właściwy czas, właściwe miejsce i właściwe sposoby. Czas właściwy da określić w następném zdaniu: zanim się weźmiesz do jakiéj roboty, naucz się jak ją wykonywać. Nauki życia uczy się wprawdzie człowiek aż do śmierci, ale nauk specyalnych, przygotowujących do pewnego zawodu, zwykle uczą się ludzie w wieku młodzieńczym, zanim obowiązki publiczne spełniać zaczną. Miejscem dla nauki przeznaczonem, stosownie do wieku i przyszłego powołania uczniów, są

szkoły, różne fakultety, akademje. Sądy zaś tylko w przenośném znaczeniu mogą być uważane za szkołę, szkołę przyuczającą społeczeństwo do praktykowania zasady: *suum cuique*. Pamiętać też trzeba, że lubo wolno jest fundować stypendya na wydziałach prawnych, nikt jednak do fundowania tych stypendyów zmuszanym być nie może, co już możność wkładania na p. Jackowskiego nieistniejącego obowiązku zupełnie wyłącza.

Zostaje nam więc tylko trzecia alternatywa, t. j. chęć wyjaśnienia wątpliwego tekstu ustawy, czy też wypełnienia rzekomej luki w prawodawstwie. Zdaje się, że do téj pobudki p. Jurkiewicz istotnie najgłówniejszą przywiązuje wagę, powiada bowiem, że skarga p. Jackowskiego nie otrzymała skutku tylko dla tego, aby przez Senat „została rostrzygnięta kwestya czysto prawna," „a to w celu *skłonienia* Rządzącego Senatu do dania kategorycznéj odpowiedzi na pytanie: co mianowicie należy rozumieć pod nazwą języka, którym mówi ludność miejscowa?" Konieczność zaś takiego postąpienia p. Jurkiewicz usprawiedliwia tém, że „drogą bezpośredniego zniesienia się z Rządzącym Senatem Sąd Zjazdowy niemógłby wyjaśnić tych wątpliwości, jakie bez kwestyi nastręczałyby się sądom gminnym przy przyjmowaniu skarg, gdyż Zjazdowi *nie służy prawo* przedstawiania władzom wyższym o nastręczających się przy rozpatrywaniu spraw wątpliwościach co do stosowania prawa (art. 10 kod. post. cyw.)." Że to prawo nie służy — zgadzamy się z p. Jurkiewiczem; że Sąd Zjazdowy nie może się znosić bezpośrednio z Senatem —jest prawdą; ale i to prawda, że i p. Jackowski nie jest powołanym do ułatwiania tych niemożliwych stosunków. Dziwić nas przytem musi, że ten komu nie służy prawo znoszenia się z Senatem, chce *skłaniać* Senat „do dania kategorycznéj odpowiedzi na pytanie." Najprzód, wywraca to nasze pojęcia o hierarchiczném ustopniowaniu władz sądowych, i powtóre sprzeciwia się pojęciom o rozgraniczeniu między atrybucyami sądowemi a prawem inicyatywy, czyli początkowaniem prawodawczém.

We wszystkich państwach ucywilizowanych władza prawodawcza ściśle jest odgraniczoną od władzy sądowniczéj. Zasadnicze ustawy państwa Rosyjskiego nie inaczéj też przedmiot ten urządziły: prawodawstwo należy do władzy najwyższéj, wymiar zaś sprawiedliwości oddany jest sądownictwu. Sądownictwo ma piękne zadanie, nawet nie przekraczając granic swoich atrybucyj i nie sięgając po inicyatywę prawodawczą. W Rzymie, gdzie było wielu prawników, rozróżniano ich na kilka kategoryj: *jurisconsultus*, *jurisperitus*, *leguleius* i *rabula*, ale amatorów zachęcających czy skłaniających do wyjaśniania wątpliwości prawnych, i to kosztem osoby trzeciéj, nieznano jako osobnéj klasy; ciekawą więc rzeczą byłoby wiedzieć, do któ-

réj z powyższych kategoryj zaliczyli by ich taki np. Ulpian lub Gajus?

Zbyteczne jednak są wszelkie rozumowania, w obec wyraźnego przepisu, w art. 9 ustawy post. cyw. zawartego, który każdemu sądzącemu powinienby być znanym, jako łatwy do odszukania, a z powodu nader jasnéj redakcyi—zrozumiały nawet dla średnio ukształconego człowieka. Owóż art. 9 uwalnia sądy stanowczo i raz na zawsze od wszelkich trosk prawodawczych; z którego to powodu, jak mniemamy, powinienby być przez każdego sądzącego mile widzianym, bo komuż nie jest przyjemnie zostać zwolnionym od przechodzącego siły brzemienia? P. Jurkiewicz zna i cytuje art. 10 kod. post. cyw. *Scire leges, non est verba earum tenere, sed vim et potestatem.* I my ten artykuł znamy, lecz znajdujemy w nim całkiem co innego: znajdujemy w nim to, co zdrowy rozsądek wskazuje; to samo, co art. 13 kodeksu postępowania karnego roku 1864 prawie dosłownie powtarza; to samo, co kodeks Napoleona i kodeks cyw. pols. z r. 1825 w artykule 4 głoszą: „Sędzia, który odmówi sądzenia pod pozorem, że prawo milczy, że jest ciemne, lub niedostateczne, może być pociągnionym do sądu, jako winny odmówienia sprawiedliwości.“

Zabawnem jest zaręczenie p. Jurkiewicza, że sąd nie miał na celu „przecięcia możności podawania skarg w języku polskim“, gdy możność podawania wszelakich skarg, choćby najbezzasadniejszych, po wszystkie czasy istniała i istnieć musi; nie o możność podawania tedy skarg, lecz o niemożność ich odrzucania bez dostatecznego powodu idzie tu p. Jackowskiemu i tym, których okoliczności do procesowania się zmuszają. P. Jurkiewicz przyznaje, że Sąd Zjazdowy w Płocku nie mógł rozstrzygać w sposób przeczący kwestyi używania języka polskiego w sądach gminnych „dla téj prostéj przyczyny, że ją ostatecznie rozstrzygnął Senat Rządzący. Ukaz zaś Senatu, *przynajmniéj w dannéj sprawie* bezwarunkowo obowiązywał Sąd Zjazdowy (art. 813 ust. postęp. cywil.)“. Miło nam się spotkać z tym, choćby teoretycznym tylko, hołdem dla wyroków Senatu; bez porównania jednak miléj by nam było widziéć praktyczne tego hołdu skutki, do czego sprawa p. Jackowskiego tak piękne otwierała pole. Ale co nam wcale nie miło, to owo zastrzeżenie p. Jurkiewicza, które moc obowiązującą wyroczni Senatu do jednéj tylko sprawy ogranicza; nie zdaje nam się bowiem, aby zgodném było z myślą i wolą prawodawcy (w art. 813 ust. post. cyw. i art. 930 ust. post. karn. wyrażoną), już nie „skłaniać“, ale wprost zmuszać Senat do rozstrzygania jednéj i téj saméj kwestyi tyle razy, ile razy ta kwestya przedstawi się sądom w praktyce. Inaczéj, jakiż byłby cel i pożytek ogłaszania drukiem kasacyjnych wyroków Senatu? Kto tego celu i po-

żytku nie zna, niech sobie odczyta art. 815 ustawy postępowania cywilnego i art. 933 ust. post. karn. Tém trudniéj téż nam pojąć jak się da pogodzić z wyrokiem Senatu, w sprawie p. Jackowskiego zapadłym, a także i z zaręczeniem p. Jurkiewicza, o którém cokolwiek wyżéj zrobiona jest wzmianka: § 32 instrukcyi rozesłanéj sądom gminnym przez Zjazd Sędziów okręgu I-go gub. płockiéj, który to paragraf zakazuje przyjmowania skarg w języku polskim.

Zachodzi pytanie: jakie znaczenie mają instrukcye przesyłane przez jeden sąd drugiemu, obok przepisów objętych procedurą sądową? P. Marcin Czeronka odpowiada na to, że „prawo w zastępstwie siebie nie dopuszcza żadnych instrukcyj albo wyjaśnień“ (Gaz. Pols. nb. N. 141). Zdarzyło nam się spotkać wielu rozsądnych ludzi, którzy zdanie to podzielają. Wydawanie instrukcyi i okólników bywa rzeczą drażliwą i naraża czasem wydającego na konieczność odwoływania swojego okólnika, co dla miłości własnéj autora nie może być przyjemném. Tak się zdarzyło temi czasy właśnie w gubernii Lubelskiéj, gdzie okólnik do sędziów gminnych, polecający im zawiesić czynności sądowe z chwilą ukończenia pierwszego trzechlecia i nie czekając aż nowowybrani sędziowie obejmą urzędowanie,—musiał być cofniętym; p. Minister Sprawiedliwości bowiem uznał, że nie tylko dawni sędziowie mogą, ale nawet powinni pełnić urzędowanie swe do czasu, kiedy nowoobrani ich następcy obowiązki swe obejmą. Piszącemu zaś okólnik rzecz ta poprzednio całkiem inaczéj się wydawała.

Wracając na chwilę do artykułu p. Jurkiewicza, poważemy się zaproponować, czy by do rejestru tak zwanych „języków miejscowych“ zamiast nieużywanego w Królestwie języka łotewskiego, nie zechciał raczéj wpisać języka cygańskiego, którego istotnie używa między sobą pewna gromadka ludzi, zapisanych do ksiąg ludności stałéj.

Uczęstniczącym w dyskusyach dziennikarskich nieraz przychodzi spotykać się z tym objawem, wcale niepocieszającym, że różnica w zdaniu przyjmowana jest za obrazę osobistą, że rozprawy przechodzą w drażliwą polemikę, a zboczywszy z właściwego toru, pozostawiają rozbieraną kwestyę bez wyjaśnienia. Mówisz komuś np. ten most ma zgniły pokład i potrzebuje naprawy,—a wnet usłyszysz odpowiedź, że mylisz się, gdyż jesteś jednookim. Tłómaczysz, że jedno twoje oko dosyć dobrze widzi;—na to odpowiedzą, że nie znasz się na rzeczy, że most jest dobrym a dziura w nim jest skutkiem wczorajszego deszczu. Więc jednak most potrzebuje naprawy! Bynajmniéj, gdyż jesteś jednookiem itd. w kółko.

Myśli te nasunęła nam odpowiedź p. H. W. (Gaz. Pol. N. 152) na naszą kronikę czerwcową. Panu H. W. mylnie się wydaje, jakoby kronikarz ganił wykazywanie ujemnych stron życia na prowincyi; panu H. W. mylnie się wydaje, że kronikarz miał na celu obronę pism ludowych. Przedmiotem polemiki była nie taka lub owaka wartość pism ludowych, lecz wywód autora, dający się streścić w następujących słowach.

Narzekacie, że inteligencya nie uczestniczy w zebraniach gminnych; nie może ona inaczéj postąpić, stanowi bowiem mniejszość, przegłosowywaną przez ciemne masy, a pisma ludowe mas tych nie oświecają należycie. „Uderzcie się więc w piersi" pp. autorowie pism ludowych, oświećcie lud, niech nadto zmienione zostaną przepisy, które wpływ inteligencyi utrudniają, a wtedy udział w zebraniach gminnych weźmiemy (Gaz. Pols. N. 36).

Kronikarz wystąpił przeciw temu wywodowi, przeciw odkładaniu rzeczy *ad calendas Graecas*, i nazwał to apologią bezwładności, Odpowiedziano nam, że wniosek nasz jest „zapośpieszny i fałszywy", posądzono o złą wolę i uprzedzenia, zagrożono odjęciem zaufania, zarzucono zupełną nieznajomość przedmiotu; wreszcie powiedziano że dopóki, zamieszkawszy na wsi, nie przyjrzemy się przez lat kilka stosunkom miejscowym, nie powinniśmy zabierać głosu w téj sprawie. Niesłuszność zarzutu co do złéj woli i uprzedzeń przeciw stanowi ziemiańskiemu odparliśmy już dawniéj (ob. kronikę w zeszycie czerwcowym). Na zarzut zaś nieświadomości poprosiliśmy o dowód, nie zdawało się nam bowiem, aby samo mieszkanie na wsi i praktyczna znajomość agronomii były wyłącznie zdolne obdarzać zdrowem pojmowaniem kwestyj społecznych, lub szczególniéj przysposabiać do projektowania reform prawodawczych. Wątpliwość nasza w tym względzie opiérała się na licznych spostrzeżeniach; wskażemy tu sposobem próbki na trzy przykłady.

Przykład 1. W artykule pełnym istotnie zdrowych uwag, a pisanym, jak widać ze wszystkiego, przez osobę, obeznaną ze stosunkami miejscowemi, znajdujemy taki ustęp: „Jak błędnym jest system rozkładania składki sądowéj gminnéj w stosunku ilości posiadanych morgów ziemi, *najlepiéj nas mogą pouczyć* następujące cyfry: w jednym z sądów gminnych nad Pilicą w ciągu roku 1878 suma ogólna poszukiwana drogą procesów cywilnych, przedstawiała cyfrę rs. 16031 k. 85½: w téj zaś, wartość powództw, wniesionych przez żydów, doszła do sumy rs. 6802 kop. 12; przez inne zaś osobistości, *niepłacące także ani grosza na utrzymanie rzeczonego sądu*, do rs. 3743 k. 2½". (Gaz. Pol. r. b. N. 120). Był czas, że system merkantylny panował w ekonomii politycznéj,—z merkantylizmem zastosowanym do są-

downictwa zapoznajemy się teraz. Można zwalczać rozkładanie opłat sądowych na morgi, ale trzeba pierwéj wartość swych argumentów dobrze zważyć. Przedstawiony tu sposób zapatrywania się na znaczenie sądów w społeczeństwie jest *par trop bourgeois*. Sąd nie jest sklepikiem, w którym by się sprawiedliwość sprzedawała na funty mającym gotowiznę, gdyż inaczéj—ubogim trzebaby odmówić jéj wcale. Społeczeństwo ma własny interes w istnieniu przybytków sprawiedliwości, w słusznym onéj wymiarze. Argument, z wartości pieniężnéj powództw wyprowadzony, nie dość jest przekonywającym, bo winę powództw częstokroć włożyć wypada nie na powodów, lecz na nierzetelnych pozwanych. Sami pozwani ciągną także korzyść z istnienia sądów, które dając prawną gwarancyą skutkom zobowiązań, zmniejszają *risico* wierzycieli, a tém samém wpływają na ułatwienie kredytu i zniżenie stopy procentowéj.

Przykład 2. W artykule, wykazującym słusznie potrzebę ułatwienia rolnikom kredytu, takiego mianowicie, któryby im dostarczał kapitału obrotowego, na co każdy zgodzić się musi; w artykule, którego autor traktuje rzecz swą w charakterze właściciela ziemskiego większego, osobiście kierującego gospodarstwem,—w artykule tym zmartwychwstaje dawno pogrzebane widmo szkoły fizyokratów. Wszystkie herezye téj potępionéj przez nowoczesną naukę doktryny występują tu na widownię, otoczone orszakiem błędów, o których się nawet fizyokratom nie śniło. Mając dość chwiejne pojęcia o kredycie wekslowym, autor nie waha się twierdzić, że ustawy banków na „nielogicznych zasadach" są wsparte, i gorszy się wymaganiem dwóch podpisów na wekslu, co, według jego zdania, „zmusza uczciwego człowieka poniżać się, i działać wbrew własnemu przekonaniu i osobistéj godności" (Gaz. Pols. N. 156). Według naszego przekonania nic nie powinno skłaniać człowieka do poniżania się; bank nikogo nie zmusza do zaciągania w nim pożyczek. Ponsard przed 26 laty napisał komedyę „Honor i pieniądze." Komedya czy dramat życia stawia nas czasem w obec alternatywy: *albo honor*, *albo pieniądze*. Trzeba wybiérać—ludzie téż wybiérają. Ustawy banków nie mają z tym wyborem żadnego związku.

Przykład 3. Kiedy nam powiedziano, że na sprawach gminnych nie znamy się i znać nie będziemy dopóty, dopóki przez lat kilka na wsi im się nie przyjrzemy,—odpowiedzieliśmy prośbą o wskazanie dowodu naszéj nieświadomości. Uwzględniając tę prośbę, p. H. W. przytoczył treść ośmiu artykułów z ukazu o urządzeniu gmin. Szanowny preopinant czyżby uważał Dziennik Praw, w którym ukaz był wydrukowany, za taką rzadkość bibliograficzną, że zachęcał nas do osiedlenia się na wsi, aby tego białego kruka poznać? Czyśmy naj-

mniejszém słówkiem zdradzili swe niedowiarstwo co do istnienia tych artykułów? lub czyśmy się z panem H. W. o znaczenie tych artykułów spierali? Bynajmniéj. Mówiliśmy do p. H. W. w Kwietniu, toż samo, co w Sierpniu mówimy do p. Jurkiewicza, że nie każdy jest powołany do projektowania reform prawodawczych, ale każdy może i powinien korzystać z praw istniejących. Pan H. W. rozpatrzywszy się w owych ośmiu artykułach, doszedł do wniosku, że nawet przy ścisłém przestrzeganiu ustawy przez inteligencyę, „nie wielebyśmy w najważniejszych punktach zyskali.“ Kronikarz, o ile sobie przypomina, nie obiecywał nikomu złotych gór, twierdził tylko, że i małych korzyści lekceważyć nie należy. Dorabiającym się dawano upomnienie, mówiąc: z groszów powstają tysiące; a my, podobno jesteśmy na dorobku. Zresztą, jeżeli kto ma skłonność, czas i zdolności do projektowania, może projektować; myśmy tylko dziwili się, jak można choćby najpożądańszą reformę stawiać za warunek *sine qua non* przystąpienia do pracy możliwéj.

Jeszcze kilka słów na zakończenie. Kiedy nam zapowiedziano „walkę“ (Gaz. Pols. N. 113), przyjęliśmy ją, wyrażając nadzieję, że będzie odbywać się ona *avec des armes courtoises*. Mniemamy, że pierwszym warunkiem kurtoazyi jest obustronne jéj zachowanie. Pan H. W. mniema inaczéj: jemu należy się od nas grzeczność i raczy przyjmować ją, jako należne mu „zadosyćuczynienie.“ Od niego zaś żądać grzeczności! cóż znowu? śmieszna pretensya. Ma słuszność: tak krawiec kraje, jak materyi staje; któż daje, gdy sam nie ma? A może preopinant uważa za zgodne z grzecznością wątpienie o szczerości przeciwnika, rzucanie na niego podejrzeń, powtarzanie zarzutów o niechęci kastowe, których bezzasadność już mu wykazywano, lub wreszcie wyrażenie delikatne „mniemania, że to lub owo pisać jest raczéj spekulacyą drukarską, niż organem potrzeby publicznéj“ (?). Że pszenicę i żyto sieje się dla zarobku, to wiadomo każdemu; ale nie każdemu jest wiadomém i może nie każdemu jest zrozumiałém, że można wydawać pismo, chociaż prenumerata kosztów wydawnictwa nie pokrywa. Tego rodzaju przedsięwzięcie, można, jeśli wola, posądzać o niedorzeczność, ale nigdy o spekulacyę. Dodamy, że najniesłuszniéj przyplątano tu niewinnego drukarza, który w wydawnictwie udziału nie bierze.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

[illegible] w dwóch [illegible] artykułach, doszedł do wniosku, że [illegible] [illegible] praca instruktorów [illegible] w najważniejszych punktach [illegible] nie obiecywał [illegible] złotych gór [illegible] nie należy. [illegible] groszów [illegible] tysiąc [illegible] podobno [illegible] Zresztą jeżeli kto ma skłonność, czas i [illegible] może projektować [illegible] [illegible] przystąpienia do pracy użytecznej.

Parę słów na zakończenie: Kiedy [illegible] (Gaz. Pols. Nr 13) [illegible] Mniemamy, że pierwszym warunkiem [illegible] H. W. [illegible] należy się [illegible] za gruntowność [illegible] [illegible] A [illegible] uwagę [illegible] przeciwnika [illegible] o [illegible] których bezzasadność [illegible] wykazywaliśmy [illegible] matematyka [illegible] drukarska [illegible] organem [illegible] publicznej (!) [illegible] Dodamy, że [illegible] nie [illegible].

Wydawca W. Spasowicz. — Redaktor [illegible]